

**Italo Calvino**

**Wszystkie opowieści  
kosmikomiczne**

(Tutte le Cosmicomiche)

Opowieści Kosmические  
Przekład Barbara Sieroszevska

## Odległość Księżyca

*Niegdyś, zdaniem sir George'a H. Darwina, Księżyc znajdował się bardzo blisko Ziemi. Przyływy i odpływy mórz sypchały go stopniowo coraz dalej; te same przyływy i odpływy, które Księżyc wywołuje w wodach ziemskich i w których Ziemia traci powoli swą energię.*

Pewnie! Wiem o tym dobrze! – *wykrzyknął stary Qfwfq* – wy tego nie możecie pamiętać, ale ja tak. Mieliśmy ją zawsze tuż nad sobą, tę Lunę, nieprawdopodobnie ogromną, a w czas pełni – noce były wtedy jasne jak dzień, ale światło jakieś żółtawe, koloru masła – wydawało się, że nas przygniata. W czasie nowiu toczyła się po niebie na kształt czarnego parasola pędzonego wiatrem, a w pierwszej kwadrze sunęła z rogami tak nisko opuszczonymi, jakby lada chwila miała zaczepić o jakieś wzniesienie i pozostać tam zakotwiczona. Ale cały mechanizm faz Księżyca funkcjonował inaczej niż dziś: ponieważ odległości od Słońca były inne, inne były też orbity i nachylenie czegoś, nie pamiętam już czego. A zaćmienia, przy takiej bliskości Ziemi i Księżyca, następowały niemal co chwila. Nietrudno sobie wyobrazić, że takie dwie ogromne bestie musiały się wciąż nawzajem zasłaniać.

Orbita? Eliptyczna, oczywiście, eliptyczna – to się spłaszczała nad naszymi głowami, to znów wznosiła się niejaką w górę. Przyływy, kiedy Księżyc bardzo się obniżał, wznosiły się do tego stopnia, że nie sposób je było powstrzymać. Bywały noce podczas pełni, kiedy Księżyc wisiał tak nisko, a morze tak bardzo się wzdymało, że był o włos od zamoczenia się. No, włos jak włos, ale niewiele metrów. Czyśmy nie próbowali się tam dostać?

No jakże, pewnie. Wystarczyło podpłynąć łodzią pod sam Księżyc, postawić drabinę i wdrapać się po niej.

Miejsce, w którym Księżyc opuszczał się najniżej, było na morzu, na wysokości Skał Cynkowych. Wypływaliśmy łodziami takimi, jakie były wówczas w użyciu – zaokrąglone, płaskie łodzie korkowe. Mieściło nas się tam kilkoro: ja, kapitan Vhd Vhd, jego żona, mój głuchy kuzyn, a czasem także mała Xlthlx, która miała wtedy około dwunastu lat. Woda bywała w owe noce bardzo spokojna, połyskiwała srebrzyście jak rtęć, a fioletowe ryby, nie mogąc się oprzeć przyciąganiu księżycowemu, wypływały wszystkie na powierzchnię, podobnie jak ośmiornice i meduzy szafranowej barwy. W powietrzu unosiło się zawsze mnóstwo różnych drobnych stworzonek – maleńkich raczków, kałamarnic, leciutkich przejrzystych alg i małych gałązek koralu, które odrywały się od powierzchni morza i dolatywały aż do Księżyca, zwisając

u jego wapiennego sklepienia, bądź też zostawały w powietrzu tworząc fosforyzujące obłoki, od których opędzaliśmy się, wymachując bananowymi liśćmi.

Nasza praca wyglądała tak: na łódź zabieraliśmy drabinę; jeden ją trzymał, drugi wchodził na sam jej szczyt, trzeci wiosłował, podprowadzając łódź jak najbliżej Księżyca. Dlatego musiało nas być aż tylu (wymieniłem tylko najważniejszych). Ten, który stał na szczycie drabiny, wołał przestraszony, kiedy łódź zbliżała się do Księżyca:

– Stać, stać! Uderzę w niego głową! – Bo takie sprawiał on wrażenie, kiedy się z bliska widziało, jaki jest ogromny, najeżony ostrymi wystęпами, postrzępionymi jak zębate ostrze piły. Dziś może jest inaczej, ale wtedy Księżyc, a raczej jego brzuch, jednym słowem ta jego część, która przesuwiała się najbliżej Ziemi, prawie po niej szorując, pokryty był skorupą z ostro zakończonych łusek. Przypominało to brzuch ryby, nie tylko wyglądem, ale, o ile pamiętam, także i zapachem, który może nie był zapachem żywej ryby, może trochę delikatniejszym, jakby wędzonego łososia.

Rzeczywiście ze szczytu drabiny, stojąc prosto na najwyższym szczeblu, można było wyciągniętymi rękami dotknąć Księżyca. Wymierzyliśmy tę odległość dokładnie (nie podejrzewając jeszcze wtedy, że Księżyc będzie się stopniowo oddalał). Dużej ostrożności i rozwagi wymagał jedynie sam sposób dotknięcia tej powierzchni rękami. Wybierałem łuskę, która wydawała mi się dostatecznie mocna (na Księżyc wchodziliśmy wszyscy kolejno, z ekipy pięciu czy sześciu osób), uczepiałem się jedną ręką, potem drugą i w tej chwili czułem, jak drabina i łódź uciekają spode mnie, a ruch Księżyca uwalnia mnie od przyciągania ziemskiego. Tak, Księżyc miał jakąś siłę, która cię porywała, czuć” to wyraźnie w momencie przechodzenia z jednej strefy przyciągania w drugą. Trzeba było poderwać się jednym szybkim ruchem, czymś na kształt koziołka, mocno uchwycić się skalnych łusek i wyrzutem nóg w górę stanąć na księżycowym grancie. Patrzącym z Ziemi wydawałeś się wtedy zawieszony głową w dół, ale dla ciebie była to zwykła, normalna pozycja i dziwne mogło ci się wydawać jedynie to, że kiedy uniosłeś wzrok ku górze, widziałeś nad sobą połyskujący strop morza z łódką i twoimi towarzyszami zwisającymi stamtąd niby winne grono ze swego szczepu.

Szczególną zręcznością w tych skokach odznaczał się mój głuchy kuzyn. Jego niezdarne, szorstkie ręce zaledwie dotknęły powierzchni Księżyca (a zawsze zeskakiwał z drabiny jako pierwszy), stawały się natychmiast giętkie i pewne siebie. Nieomylnie znajdowały właściwy punkt zaczepienia, wydawało się, że samo dotknięcie dłonią pozwala mu związać się ze skorupą satelity. Raz,

kiedy tak na niego patrzyłem, doznałem wrażenia, że wystarczy mu wyciągnąć ręce, by Luna sama wyszła mu na spotkanie.

Równie zręczny był przy schodzeniu na Ziemię, co stanowiło operację znacznie trudniejszą. Dla nas polegało to na wykonaniu podskoku w górę, jak najwyżej, ze wzniesionymi ku górze ramionami (z punktu widzenia Księżyca, bo patrzącym z Ziemi wydawało się to raczej nurkowaniem, skokiem w dół, głową naprzód, z wyciągniętymi ku dołowi ramionami); musiał to być, jednym słowem, skok taki sam jak z Ziemi do Księżyca, z tą różnicą, że bez pomocy drabiny, bo tam nie byłoby na czym jej oprzeć. Ale mój kuzyn, zamiast rzucać się z wyciągniętymi rękami, pochylał się nad księżycową skorupą głową na dół, zwijał się jak do fiknięcia koziołka i podskakiwał, opierając się na rękach. My z łodzi widzieliśmy go wyprostowanego w powietrzu, tak jakby podtrzymywał na wyciągniętych rękach olbrzymią piłkę i podrzucał ją dłońmi, dopóki jego nogi nie znalazły się wreszcie dość blisko, byśmy mogli uchwycić go za kostki i ściągnąć do łodzi.

Teraz chcielibyście zapewne wiedzieć, po co, u diabła, wyprawialiśmy się na Księżyc, i ja wam to zaraz wyjaśnię. Chodziliśmy tam zbierać mleko za pomocą dużej łyżki i kubelka. Mleko księżycowe było bardzo gęste, coś w rodzaju twarożku. Tworzyło się w zagłębieniach pomiędzy łuskami drogą fermentacji rozmaitych substancji pochodzenia ziemskiego, ułatwiających się z łąk, lasów i wód, nad którymi się satelita unosił. Składało się to mleko głównie z soków roślinnych, żabiego skrzeku, smoły, ziaren soczewicy, pszczelego miodu, kryształków krochmalu, ikry jesiotra, pleśni, pyłku kwietnego, substancji galaretowatych, robaków, żywicy, pieprzu, soli mineralnych, materiałów opałowych. Dość było zagłębić łyżkę pod łuski pokrywające zaskorupiałą powierzchnię Księżyca, aby wyciągnąć ją pełną tej cennej dla nas papki. Nie w stanie czystym, rzecz jasna. Zanieczyszczeń było sporo, w toku fermentacji (zważywszy, że Księżyc przebiegał partie suchego, nagrzanego powietrza nad obszarami pustynnymi) nie wszystkie ciała uległy stopieniu; niektóre pozostawały w papce w stanie stałym: paznokcie i chrząstki, gwoździe, koniki morskie, pestki i ogonki owoców, skorupy naczyń, haczyki od wędek, czasem trafiał się nawet grzebień. Tak więc zebraną papkę mleczną trzeba było jeszcze oczyszczać, przepuszczać przez sito. Ale główna trudność nie na tym polegała, chodziło o to, jak dostarczyć ten produkt na Ziemię. Robiliśmy to tak: zawartość każdej łyżki wyrzucało się w górę silnie jak z katapulty, posługując się obiema rękami. Papka ulatywała wysoko i – jeśli tylko rzut był dostatecznie mocny – rozplaszczała się na suficie, czyli na powierzchni morza. A skoro tam się już znalazła, pływała sobie po wodzie i bez

trudności można ją było zbierać do łodzi. Również i w tych rzutach mój głuchy kuzyn był niedościgły, miał siłę w rękę i cel w oku. Zdecydowanym ruchem wyrzucał zawartość łyżki tak, że trafiała wprost do kubelka, któryśmy mu z łodzi podstawiali. Ja natomiast często pudłowałem, nie dość silnie wyrzucona masa nie pokonywała siły przyciągania księżycowego i spadała mi z powrotem na oczy.

Nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego o czynnościach, w jakich celował mój kuzyn. Dla niego ta robota – wyciskanie księżycowego mleka z łusek – była swego rodzaju zabawą. Czasem zamiast łyżki wciskał po prostu pod taką łuskę gołą rękę czy nawet tylko palec. Nie posuwał się naprzód systematycznie, tylko przeskakiwał z miejsca na miejsce. Wyglądało to na jakieś igraszki z Luną, jak gdyby chciał jej płać figle, a może ją tylko połaskotać. A gdzie przytknął rękę, tam mleko tryskało niczym z wymienia kozy. Nam więc nie pozostawało nic innego, tylko iść jego śladem i zbierać łyżkami papkę, którą on za sobą zostawiał, a zawsze jakby przypadkowo, gdyż drogi, jakimi chodził mój głuchy kuzyn, nie zdawały się odpowiadać żadnemu praktycznemu celowi. Były na przykład miejsca, których dotykał dla samej tylko przyjemności ich dotykania: przerwy między łuskami, miejsca, w których odsłonięta była miękka pulpa księżycowa. Czasami mój kuzyn naciskał je nie palcami ręki, tylko – w precyzyjnie odmierzonej skoku – wielkim palcem nogi (na Lunę wyprawiał się zawsze boso), i wydawało się, że to jest dla niego najlepsza zabawa. Świadczyły o tym radosny pisk, jaki dobywał się z jego gardła, oraz wesołe podskoki.

Powierzchnia Księżyca nie była pokryta łuską jednolicie, były tam również nieregularne pasma gołej, śliskiej, bladej glinki. Te miękkie miejsca pobudzały mego kuzyna do wywijania koziołków i nieomal ptasiego podlatywania, jak gdyby rozmyślnie starał się zostawić w tej księżycowej papce ślad całej swej postaci. Idąc tak za nim, w pewnej chwili traciliśmy go z oczu. Na Księżycu istniały całe rozległe regiony, których nie mieliśmy nigdy chęci ani potrzeby badać, i tam to właśnie zniknął mój kuzyn; a ja wyobraziłem sobie, że wszystkie te koziołki i igraszki, które przed naszymi oczami wyprawiał, były jak gdyby przygotowaniem, jakimś preludium do czegoś sekretnego, co się miało dzieć w owych nieznanym nam regionach.

Te nasze noce na pełnym morzu na wprost Skał Cynkowych cechował jakiś szczególny nastrój – wesoły, owszem, ale niejako zawieszony w przestworzach, jakbyśmy czuli w naszych czaszkach zamiast mózgu rybę, która wypłynęła na powierzchnię przyciągana przez Księżyc. Tak więc żeglowaliśmy sobie, grając i śpiewając. Żona kapitana grała na harfie. Jej bardzo długie ramiona lśniły

w owe noce srebrzyście na podobieństwo węgorzy, a ciemne, tajemnicze zagłębienia pach przywodziły na myśl morskie jeże; dźwięki jej harfy brzmiały słodko i przejmująco, tak słodko i przejmująco, że wręcz nie można było tego wytrzymać, i musieliśmy wydawać przeciągle okrzyki nie tyle do wtóru tej muzyce, ile po to, żeby od niej chronić nasz słuch.

Przejrzyste meduzy ukazywały się na powierzchni morza, chwilę wibrowały w miejscu, a potem unosiły się falistym ruchem ku Księżycowi. Mała Xlthlx zabawiała się łowieniem ich w locie, ale nie było to wcale łatwe. Raz, wyciągnawszy jak tylko mogła rączki, żeby jedną z nich uchwycić, podskoczyła i sama także zawisła w powietrzu. Była tak chudziutka, że zabrakło jej tych paru uncji ciężaru, który by przewyciężył przyciąganie księżycowe i pozwolił jej opaść na Ziemię, unosiła się więc pośród meduz w powietrzu nad wodą. Przestraszyła się w pierwszej chwili, zapłakała nawet, ale potem zaczęła się śmiać i bawić, chwytając w locie maleńkie skorupiaki i rybki, a niektóre z nich podnosiła nawet do ust i gryzła. Płynęliśmy w ślad za nią. Księżyc sunął po swojej elipsie, ciągnąc za sobą całe roje tej morskiej fauny, a także długi ogon splecionych alg z zawieszoną pośród nich dziewczynką. Xlthlx miała dwa cienkie warkoczyki, które zdawały się ulatywać na własną rękę w stronę Księżyca. Ale ona sama wykonywała raz po raz ruchy, jakby odpychała prąd powietrza nogami, przy czym pończochy – sandaalki dawno już zgubiła w locie – zsuwały jej się z nóg i zwisały pod działaniem przyciągania ziemskiego. My, stojąc na drabinie, próbowaliśmy ją za te zwisające pończochy uchwycić.

Pomysł zjadania zwierzątek zawieszonych w powietrzu okazał się szczęśliwy; im więcej Xlthlx przybierała na wadze, tym niżej opadała ku Ziemi, a że przy tym spośród tych wszystkich zawieszonych w powietrzu ciał jej ciało stanowiło największą masę, mięczaki, algi i plankton grawitowały ku niej, tak że niebawem dziewczynka była całkowicie oblepiona drobnymi okrzemkami, zwapniałymi skorupkami, chitynowymi łuskami, pasemkami morskich traw. Im bardziej gubiła się w tej plątaniu, tym mniej ulegała wpływowi przyciągania księżycowego, aż wreszcie dotknęła powierzchni morza i zanurzyła się w nim.

Podpłynęliśmy czym prędzej, żeby ją wyłowić i udzielić pomocy. Jej ciało pozostało namagnetyzowane i dużo pracy kosztowało nas oderwanie tego wszystkiego, co się jej pouczepiało. Miękkie gałązki koralu owijały jej głowę i za każdym przesunięciem grzebienia po jej włosach spadały z nich maleńkie rybki i raczki; oczy miała jak zapieczętowane muszelkami patelli, które przywarły do jej powiek swymi przyssawkami. Ramiona sepii owinęły się wokół jej ramion i szyi, a sukienka wyglądała jak utkana z samych alg i gąbek.

Oswobodziliśmy ją z grubsza od tego wszystkiego, ale jeszcze przez długie tygodnie musiała wyskubywać sobie drobniotkie kolce i muszelki, a jej skóra, usiana mikroskopijnymi okrzemkami, została już taka na zawsze i na pierwszy rzut oka wyglądała jak pokryta drobniotkami wągrami.

Tak to w przestrzeni między Ziemią a Księżycem walczyły dwa równoważne, a przeciwne prądy. Powiem więcej: każde ciało schodzące z satelity na Ziemię przez jakiś jeszcze czas pozostawało naładowane siłą przyciągania księżycowego i opierało się przyciąganiu naszego globu. Ja także, choć byłem duży i gruby, za każdym razem, kiedy stamtąd wracałem, przez jakiś czas jeszcze musiałem na nowo przywykać do ziemskich kategorii „góry” i „dołu” i towarzysze musieli chwycić mnie za ramiona i przytrzymywać z całych sił, uwieszeni na kształt winnego grona w rozkołysanej łodzi, podczas gdy ja, głową w dół, wyciągałem się nogami ku niebu.

– Trzymaj się! Trzymaj się nas mocno! – krzyczeli, aż w tym kłębowisku udawało mi się na koniec uchwycić piersi pani Vhd Vhd, a miała je okrągłe i prężne i dotknięcie to było dobre i bezpieczne, miało siłę przyciągania równą co najmniej księżycowej, zwłaszcza jeśli, spadając głową w dół, zdołałem drugim ramieniem ogarnąć jej biodra. Wtedy dopiero czułem, że naprawdę powróciłem na ten świat, opadałem na dno łodzi, a kapitan Vhd Vhd przywracał mi przytomność, chlustając na mnie wiadrem wody.

Tak się rozpoczęły dzieje mojej miłości do żony kapitana i moich cierpień. Bo niebawem spostrzegłem, do kogo zwracały się przeciągłe spojrzenia tej pani. Kiedy ręce mego kuzyna pewnie i nieomylnie dotykały powierzchni satelity, ja patrzyłem na nią i z jej spojrzenia wyczytywałem myśli, jakie ta zażyłość między głuchym a Luną w niej wzbudzała, i kiedy on znikał, udając się na swoje tajemne eksploracje, widziałem, jaka jest niespokojna, po prostu siedziała jak na szpilkach. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne: pani Vhd Vhd była zazdrosna o Lunę, a ja – zazdrosny o mego kuzyna. Pani Vhd Vhd miała oczy jak diamenty, rzucały ogień, kiedy wyzywająco wpatrywała się w rywalkę Lunę, jak gdyby mówiła: „Nie będziesz go miała!” A ja czułem się wyrzucony poza nawias.

Najmniej przejmował się tym wszystkim mój kuzyn. Kiedyśmy mu pomagali w zejściu na Ziemię, ciągnąc go – jak już wspominałem – za nogi, pani Vhd Vhd zatracala wszelką miarę, podstawiała się ofiarnie i dodawała mu ciężaru, obejmując go swymi długimi, srebrzystymi ramionami. Na ten widok boleśnie ścisnęło mi się serce (ilekroć ja się jej w podobnych okolicznościach uczepiałem, jej ciało poddawało się łagodnie, ale bez tego samorzutnego porwy, jaki widziałem, kiedy chodziło o mego kuzyna), on zaś pozostawał



zupełnie obojętny, zagubiony jeszcze w swoich księżycowych wspomnieniach.

Patrzyłem na kapitana i zastanawiałem się, czy on także dostrzega, co się dzieje z jego żoną. Ale trudno było dojrzeć jakikolwiek wyraz w tej twarzy przeżartej morską solą, zbruzdzonej, pokrytej czarniawą siecią zmarszczek. Ponieważ głuchy zawsze wracał z Księżyca ostatni, jego pojawienie się było dla wszystkich łodzi hasłem do powrotu. Wtedy też Vhd Vhd niezwykle miękko, łagodnym ruchem podnosił harfę z dna łodzi i podawał ją swojej żonie. A ona musiała ująć harfę i wydobyć z niej choć parę tonów. Nic nie mogło jej oderwać od głuchego równie skutecznie, jak właśnie gra na harfie. A ja intonowałem ową melancholijną pieśń, która zaczyna się: „Wszystkie ryby lśniące po wierzchu pływają, po wierzchu, a wszystkie ryby ciemne głęboko, głęboko...”, i wszyscy, z wyjątkiem mego kuzyna, podejmowali pieśń chórem.

Każdego miesiąca, zaledwie satelita powędrował dalej, nasz głuchy powracał do swego samotniczego oderwania od spraw tego świata i dopiero zbliżanie się następnej pełni wyrывało go z odrętwienia. Tym razem postarałem się tak urządzić, żeby nie na mnie przypadła kolej włożenia na Księżyc, chciałem zostać w łodzi, w pobliżu żony kapitana. I oto, zaledwie mój kuzyn wdrapał się na drabinę, pani Vhd Vhd oświadczyła:

– Dzisiaj ja także chcę tam pójść!

Nigdy się dotychczas nie zdarzyło, żeby żona kapitana udała się na Księżyc. Ale Vhd Vhd nie protestował, a nawet, przeciwnie, wepchnął ją niemal na drabinę, z okrzykiem: „A to idź!”, a wtedy wszyscy zaczęliśmy jej pomagać. Ja podtrzymywałem ją od tyłu i czułem ją w ramionach, krągłą i miękką, i przyciskałem do niej dłoń i twarz, a kiedy poczułem, że już wznosi się w strefę przyciągania księżycowego, chwycił mnie taki żal za tą utraconą bliskością, że rzuciłem się w ślad za nią, mówiąc:

– Pójdę tam i ja pomóc trochę!

Ale coś przytrzymało mnie, ściskając silnie jak w kleszczach.

– Ty tu zostaniesz. Masz tu coś niecoś do roboty – rozkazał, nie podnosząc głosu, kapitan Vhd Vhd.

Właściwie intencje każdego z nich były jasne. Ale ja wciąż jeszcze nie mogłem się połapać, a i do tej pory nie jestem pewien, czy trafnie sobie to wszystko interpretowałem. Żona kapitana od dawna musiała kryć w sercu chęć odosobnienia się tam w górze z moim kuzynem (a przynajmniej nie chciała dopuścić, żeby on został sam na sam z Luną), ale być może knuła też projekt śmielszy i dalej idący, taki, który musiałby być ułożony wspólnie: ukryć się tam z nim razem i spędzić na Księżycu cały miesiąc. Ale możliwe także, że mój kuzyn, zważywszy na jego głuchotę, nic nie zrozumiał z tego, co ona mu

próbowała wytłumaczyć, a może nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest obiektem pragnień tej pani. A kapitan? Niczego więcej nie pragnął, tylko uwolnić się od obecności żony, i zaledwie ona znalazła się na Księżycu, poddał się bez żadnych hamulców swoim złym skłonnościom, pogrążył się jawnie w zepsuciu i wtedy zrozumieliśmy, dlaczego nie uczynił nic, żeby ją zatrzymać. Ale czy mógł już wtedy wiedzieć, że orbita Księżyca się rozszerza?

Nikt z nas tego nie podejrzewał. Może tylko jeden nasz głuchy, wyczuwając wszystko na ten swój jakiś larwalny sposób, wiedział, że tej nocy przyjdzie mu się pożegnać z Luną na zawsze. Dlatego, ukryty w sobie tylko znanych zakamarkach, wynurzył się z nich dopiero, by wrócić do nas do łodzi. A żona kapitana na próżno usiłowała go odszukać, widzieliśmy ją wielokrotnie przebiegającą kamieniste przestrzenie wzdłuż i wszerz i widzieliśmy, jak zatrzymała się nagle, spojrzała na nas, pozostałych w łodzi, jak gdyby chciała nas zapytać, czyśmy go nie widzieli.

Stanowczo coś niezwykłego działo się tamtej nocy. Powierzchnia morza, która zwykle podczas pełni była napięta i niemal wygięta łukiem ku niebu, dziś wydawała się jakaś rozluźniona, odprężona, jakby magnetyzm księżycowy nie działał na nią ze zwykłą mocą. Nawet światło nie wydawało się takie samo, jak przy innych pełniach, ciemność nocy jak gdyby zgęstniała. Nasi towarzysze tam w górze także musieli zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, bo podnosili ku nam wzrok pełen lęku. I jednocześnie z ich ust i z naszych wyrwał się krzyk:

– Księżyc się oddala!

Nie zdążył jeszcze ucichnąć ten krzyk, kiedy na Księżycu ukazał się szybko biegnący nasz kuzyn. Nie wydawał się przerażony ani nawet zdziwiony. Oparł się rękami o ziemię i wywinął jak zawsze koziołka, ale tym razem pozostał zawieszony w przestworzu, jak to się już kiedyś zdarzyło małej *Xlthlx*, wirował przez chwilę między Księżycem a Ziemią, obrócił się do góry nogami i wysiłkiem ramion, jak ktoś, kto płynie pod prąd, skierował się niezwykle powoli ku naszej planecie.

Inni przebywający na Księżycu marynarze pospieszyli za jego przykładem. Nikt już nie myślał o dostarczeniu do łodzi zebranego księżycowego mleka, a i kapitan nikogo za to nie łajał – i tak zbyt długo czekali, odległość stała się już trudna do przebycia. Choć starali się naśladować lot, czy może raczej pływanie mego kuzyna, zostali zdyszani pośrodku nieba.

– Razem, durnie, razem! – ryknął kapitan.

Na jego rozkaz marynarze usiłowali się jakby skupić, zbić w jedną masę, wspólnym wysiłkiem dopchnąć się w strefę przyciągania ziemskiego, aż

wreszcie nagle grad ciał posypał się w morze i pogrążył się w nim.

Łodzie pomknęły teraz szybko, żeby ich wyłowić.

– Czekajcie! – krzyknąłem. – Brak pani!

Żona kapitana także próbowała skoczyć, ale pozostała w odległości niewielu metrów od Księżyca i miękko poruszała w powietrzu długimi, srebrzystymi ramionami. Wspiąłem się na drabinę i w daremnym wysiłku dostarczenia jej jakiegoś punktu zaczepienia wyciągnąłem ku niej harfę.

– To na nic! Nie dosięgnę! Trzeba tam pójść po nią!

Nabierałem rozpędu, wywijając harfą. Nade mną ogromna tarcza Księżyca wydawała się już nie ta sama co przedtem, była o wiele mniejsza i z każdą chwilą zmniejszała się jeszcze, jak gdyby mój wzrok odpychał ją coraz dalej, puste niebo rozwierało się jak niezmierna otchłań, w której głębi rozbłyskiwało coraz więcej gwiazd, a noc zatapiała mnie rzeką pustki, pogrążała w wir przerażenia.

Boję się, pomyślałem. Boję się za bardzo, żeby móc skoczyć! Jestem tchórzem! I w tej samej chwili skoczyłem. Płynąłem niebem, zaciekle wciąż wyciągając harfę ku niej, ale ona, zamiast się przybliżyć, obracała się w kółko, ukazując mi na przemian to niewzruszoną twarz, to plecy.

– Połączmy się! – krzychałem i już byłem przy niej, już chwyciłem ją w pól i obejmowałem z całych sił kończynami. – Połączmy się i spadajmy razem!

Wyteżalem siły, żeby jak najściślej przywrzeć do niej, wszystkimi zmysłami smakując rozkosz tego uścisku. Do tego stopnia, że nie spostrzegłem wcale, iż wprawdzie wyrwałem ją z poprzedniego stanu zawieszenia, ale po to, by opadać z nią z powrotem na Księżyc. Czy rzeczywiście nie spostrzegłem? Czy też przeciwnie, od początku taka była moja ukryta intencja? Nie zdążyłem jeszcze sformułować jasno żadnej myśli, a już z mego gardła wyrwał się krzyk:

– To ja zostanę z tobą cały miesiąc! A raczej na tobie! – krzychałem w podnieceniu. – Ja na tobie przez cały miesiąc! – W tej samej chwili upadek na skorupę księżycową rozerwał nasz uścisk i potoczyliśmy się, ona w jedną, ja w drugą stronę, pomiędzy zimne łuski skalne.

Podniosłem oczy, jak to czyniłem za każdym razem, kiedy dotknąłem skorupy księżycowego globu, pewny, że ujrzę nad sobą moje ojczyste morze na kształt bezkresnego sklepienia, i zobaczyłem je, tak, zobaczyłem je tym razem także, ale o ileż wyżej i jakże ciasno ograniczone zarysem brzegów, przybrzeżnych skał i przyładków, i jakie maleńkie wydawały się na nim nasze łodzie, a twarze towarzyszy wręcz niemożliwe do rozpoznania i krzyki ich ledwo dosłyszalne. Inny natomiast dźwięk doszedł mnie z pobliza: to pani Vhd Vhd odnalazła swą harfę i pieściła jej struny, wydobywając z niej akordy

smętne niby płacz.

Rozpoczął się długi miesiąc. Księżyc powoli okrążał Ziemię. Na zawieszonym w przestworzu globie widzieliśmy teraz nie nasze, dobrze nam znane wybrzeża, tylko oceany głębokie jak otchłanie, rozżarzone piaski pustyń, łądy skute lodem, lasy rojące się od płazów i gadów, potężne skalne mury łańcuchów górskich przecięte ostrzem bystrych strumieni i miasta na bagnach, i cmentarzyska żłobione w tufie, i rozległe obszary gliny i błota. Oddalenie zasnuwało to wszystko jednym bladym kolorem, niezwykle odległości sprawiały, że każdy obraz wydawał się równie obcy; stada słoni i roje szarańczy przebiegały przestrzenie jednako rozległe, i te puste, i te pokryte gąszczem, tak że nie stanowiło to niemal żadnej różnicy.

Powinienem być czuć się szczęśliwy. Jak w dawnych moich marzeniach byłem z nią sam, zarówno intymne życie się z Księżycem, którego tylekroć zazdrościłem mojemu kuzynowi, jak i bliskość pani Vhd Vhd należały teraz wyłącznie do mnie, mieliśmy przed sobą cały nieprzerwany miesiąc księżycowych nocy i dni, skorupa satelity żywiła nas swoim mlekiem o kwaskowatym, dobrze nam znanym smaku, unosząc ku górze wzrok widzieliśmy ten świat, gdzieśmy się urodzili, nareszcie mogliśmy go objąć spojrzeniem w całej jego różnorodnej rozciągłości, oglądać krajobrazy, jakich nigdy nie oglądał żaden z mieszkańców Ziemi; mogliśmy widzieć gwiazdy po drugiej stronie Księżyca, podobne do dojrzałych owoców światła, ciężko zwisających z wygiętych gałęzi nieba, i wszystko to było ponad wszelkie spodziewanie wspaniałe; a jednak – a jednak – a jednak – było to wygnanie.

Nieustannie rozmyślałem o Ziemi. Ta Ziemia sprawiała, że każdy z nas był właśnie sobą, a nie kimś innym. Tam w górze, oderwany od Ziemi, nie byłem już „mną” i ona nie była „nią” dla mnie. Tęskniłem do powrotu na Ziemię i drżałem z lęku, że ją może na zawsze straciłem. Spełnienie moich miłosnych marzeń ograniczyło się do tej jednej chwili, kiedy złączeni uściskiem unosiliśmy się pomiędzy Ziemią a Księżycem. Wyrwane z ziemskiego gruntu moje zakochanie zmieniło się w dręczącą nostalgię za tym wszystkim, czego byliśmy pozbawieni: za jakimś „gdzie”, jakimś „wokół”, jakimś „przedtem” i „potem”.

Tak to odczuwałem ja. Ale ona? Zadając sobie to pytanie, nie wiedziałem, czego właściwie się lękam. Bo jeżeli ona także myślała wciąż tylko o Ziemi, to mógł być dobry znak, świadczący o osiągniętym nareszcie porozumieniu, ale mogło to także oznaczać, że wszystko na nic się zdało, a jej pragnienia nadal podążają wyłącznie ku memu głuchemu kuzynowi. Ale nie było ani tak, ani tak. Bo ona nigdy nie podnosiła wzroku na starą planetę, snuła się blada po

pustkowiach, nucąc smętnie i pieśczośliwie trącając struny harfy, jakby już całkowicie przystosowana do swojej chwilowej (jak sądziłem) roli mieszkanki Księżyca. Czy to oznaczało, że odniosłem zwycięstwo nad moim rywalem? Nie, przegrałem, poniosłem beznadziejną klęskę. Bo ona zrozumiała, że mój kuzyn całą swą miłość oddał Lunie, i teraz jedynym jej pragnieniem było stać się samej Luną, utożsamić się z przedmiotem tej ponadludzkiej miłości.

Księżyc obiegnął naszą planetę dokoła i oto znaleźliśmy się znowu nad Skałami Cynkowymi. Rozpoznałem je z prawdziwym przerażeniem; nawet w najczarniejszych przewidywaniach nie przypuszczałem, że ujrzę je tak bardzo zmniejszone wskutek odległości. Po czarnej kałuży morza snuły się łodzie naszych towarzyszy, już bez drabin, teraz całkowicie bezużytecznych. Sterczał natomiast z tych łodzi las długich żerdzi czy lanc. Każdy dzierżył w rękę jedną taką lancę, zakończoną czymś w rodzaju harpuna czy haka, może w nadziei, że uda się jeszcze ostatni raz zeskrobać trochę księżycowego twarogu, a może po to, żeby przyjść z pomocą nam, nieszczęsnym. Ale od razu stało się jasne, że żadna najdłuższa bodaj żerdź nie zdoła dosięgnąć Księżyca, i opadły wszystkie, śmiesznie krótkie, zawstydzone, i kołysały się już tylko na wodzie, a w tym gwałtownym ruchu niejedna łódź straciła równowagę i wywróciła się. Ale właśnie wtedy z innej łodzi zaczęła się podnosić ku górze bardzo długa żerdź, do tej chwili holowana po wodzie; musiała być chyba bambusowa, złożona z wielu trzcin nabitych jedna na drugą, i na to, by ją unieść, trzeba było płynąć bardzo powoli i spokojnie, żeby się przy chybotaniu łodzi nie złamała, taka była długa i cieniutka, i manewrować nią silnie a umiejętnie, żeby pod tym pionowo wyciągniętym ciężarem łódź się nie przewróciła.

Teraz było już jasne, że koniec owej żerdzi dosięgnie Księżyca; ujrzelśmy, jak go musnęła, przez chwilę trwała oparta o jego łuskowatą skorupę, leciutko popchnęła raz, potem drugi raz już mocniej, oddaliła się odepchnięta, powróciła znowu, uderzając w to samo miejsce, i znów się oddaliła. Wtedy rozpoznałem go, a raczej rozpoznaliśmy go oboje – to był mój kuzyn, to nie mógł być nikt inny, to była jego ostatnia igraszka z Luną, jego sztuczka magiczna, kiedy to zdawał się trzymać glob księżycowy na końcu trzciny. I zrozumieliśmy, że ten jego wyczyn do niczego nie dążył, nie miał żadnego praktycznego celu, a nawet wyglądało to, jakby próbował odepchnąć Księżyc dalej, pomóc mu w tym odejściu, towarzyszyć mu w wędrówce po tej bardziej oddalonej orbicie. To także było dla niego typowe, dla niego, który nie umiał doznawać pragnień sprzecznych z naturą Luny, z jej biegiem i jej przeznaczeniem, i skoro teraz Luna zechciała się od niego oddalić – no cóż, on

mógł tylko cieszyć się tym oddaleniem, tak jak przedtem cieszył się jej bliskością.

Cóż miała wobec tego czynić pani Vhd Vhd? Dopiero w tym momencie okazało się, że jej zakochanie się nie było frywolnym kaprysem, ale ślubem wieczystym, bez powrotu. Skoro przedmiotem miłości mego kuzyna była teraz daleka Luna, ona także pozostanie daleka, razem z Luną. Odgadłem to, widząc, że ani na krok nie zbliża się do końca bambusa, tylko unosi harfę ku Ziemi widniejącej wysoko na niebie, leciutko potrącając struny. Mówię, że ją widziałem, ale w rzeczywistości chwyciłem jej obraz kącikiem oka jedynie, bo zaledwie bambus dotknął księżycowej skorupy, skoczyłem ku niemu, uczepiłem się go i szybko jak wąż zacząłem się wspinać; wyrzutem ramion i nóg podciągałem się od kolanka do kolanka trzciny, lekki w rozrzedzonym powietrzu, popychany jak gdyby jakąś naturalną siłą, która nakazywała mi wrócić na Ziemię, niepomny przyczyny, która mnie zawiodła na Księżyc, a może właśnie teraz dopiero w pełni świadomy tej sprawy i jej niefortunnego końca; niebawem, wspinając się po chybotliwej żerdzi, doszedłem do miejsca, w którym żaden wysiłek nie był już potrzebny, wystarczało zsuwać się głową naprzód, poddając się przyciąganiu ziemskiemu, dopóki trzcina nie pękła, nie rozpadła się na tysiąc kawałków, a ja nie chlupnąłem w morze pomiędzy łodzie.

Był to słodki powrót, odzyskanie ojczyzny, aleja czułem jedynie ból z powodu jej utraty i moje spojrzenie, szukając jej, wciąż biegło ku Księżycowi, na zawsze już niedosiężnemu, i zobaczyłem ją. Była tam, gdzie ją zostawiłem, leżała na plaży, wprost nad naszymi głowami, milcząca. Była teraz tej samej barwy co Księżyc. Trzymała harfę u boku, poruszając jedną ręką w powolnych, rzadkich arpeggiach. Można było doskonale dostrzec kształt jej piersi, ramion, bioder, taką ją zapamiętałem i takiej dziś jeszcze, kiedy Księżyc stal się już tylko płaskim, dalekim krążkiem, szukam zawsze spojrzeniem, zaledwie na niebo wypłynie pierwszy jego rąbek, a im bardziej rośnie, tym bardziej wydaje mi się, że ją dostrzegam – ją czy też coś, co jest z niej, ale tylko z niej – w stu, w tysiącu rozmaitych postaci; ją, która sprawia, że Księżyc jest Księżycem i że każda pełnia zmusza psy do tego, by przez całą noc wyły, a ja wyję wraz z nimi.

## O świcie

Planety Układu Słonecznego, wyjaśnia G.P. Kuiper, zaczęły się kształtować w ciemnościach w drodze zgęszczenia się chaotycznej mgławicy. Wszystko było zimne i ciemne. Później Słońce zaczęło się koncentrować i skurczyło się niemal do obecnych swoich rozmiarów, a wysiłek ten sprawił, że temperatura podniosła się o wiele tysięcy stopni i Słońce zaczęło promieniować ciepłem w przestworza.

Owszem, było diabło ciemno – *potwierdził stary Qfwfq* – byłem wtedy dzieckiem, co prawda, i niezbyt dobrze to pamiętam. Byliśmy razem, jak zawsze, tatuś i mama, babcia Bb'b, jacyś wujostwo, którzy przyszli z wizytą, pan Hnw – ten, który potem został koniem – no i my, dzieci. Na mgławicach – wydaje mi się, że już nieraz o tym mówiłem – przebywaliśmy, można by rzec, w pozycji leżącej, spłaszczeni, jednym słowem, nieruchomo, dając sobą obracać tak, jak się obracała mgławica. Nie to, żebyśmy leżeli na zewnątrz – rozumiecie? – na powierzchni mgławicy, nie: tam było za zimno; byliśmy wewnątrz, niejako wtopieni w warstwę materii rozrzedzonej i ziarnistej. Nie istniał sposób obliczania czasu; ilekroć próbowaliśmy liczyć obroty mgławicy, dochodziliśmy do różnych wyników, ponieważ w ciemności nie mieliśmy żadnych punktów odniesienia, i zaraz zaczynaliśmy się kłócić. Toteż woleliśmy dać płynąć stuleciom, jakby to były minuty. Jedno, co nam pozostawało, to czekać, okryci, czym się dało, i drzemać, nawołując się od czasu do czasu dla pewności, że nadal jesteście wszyscy razem. I – oczywiście – drapać się. Bo co tu gadać: całe to wirowanie cząsteczek dawało jako jedyny efekt dokuczliwe swędzenie.

Na co czekaliśmy, nikt właściwie nie umiałby powiedzieć. Zapewne babcia Bb'b pamiętała jeszcze czasy, kiedy materia była jednolicie rozproszona w przestrzeni, tak samo jak ciepło i światło; i choć, jak zwykle w opowieściach staruszków, musiało być w tym sporo przesady, to jednak wyglądało na to, że tamte czasy były w pewnym sensie lepsze, a w każdym razie inne. Trzeba nam więc było cierpliwie przeczekać tę ogromną noc.

Najlepiej ze wszystkich radziła sobie moja siostra G'd(w)", bo była zawsze pochłonięta swoim życiem wewnętrznym. Była to dziewczuszka z natury dzika i lubiła ciemności. Szukała dla siebie miejsc raczej ustronnych, na krawędzi mgławicy. Przebywała tam, wpatrując się w ciemność, przesypywała ziarenka pyłu gwiazdnego, które spadały maleńkimi kaskadami, i mówiła do siebie, wybuchając raz po raz cichym śmieszkiem, który sam był jak maleńka kaskada

gwiazdny pyłu, i nuciła sobie, i oddawała się marzeniom, we śnie i na jawie. Nie były to marzenia podobne do naszych – pogrążeni w ciemności śniliśmy tylko o innych, takich samych ciemnościach, nic innego nie przychodziło nam do głowy – ona marzyła, jak można się było dorożumieć z jej majaczeń, o ciemności stokroć głębszej, urozmaiconej i puszystej jak aksamit.

Pierwszym, który spostrzegł, że coś się zmienia, był mój ojciec. Ja drzemałem wtedy i obudził mnie jego krzyk:

– Uwaga! Grunt pod nogami!

Pod nami materia mgławicy, płynna do tej pory, zaczynała gęstnieć.

Co prawda moja matka już od kilku godzin kręciła się niespokojnie, postępując: „Och, sama nie wiem, na który bok się obrócić!”, jednym słowem wyglądało na to, że czuje jakąś zmianę w miejscu, na którym leżała. Pył gwiazdny nie był już taki jak przedtem: miękki, elastyczny, jednolity, że można się było w nim kręcić, nie pozostawiając żadnego odcisku; zaczęły się tworzyć jakieś wybrzuszenia i zagłębienia, zwłaszcza w miejscach, na których matka opierała się całym ciężarem. Wydawało jej się, że czuje pod sobą jakieś ziarna, jakieś zgrubienia i garby, które tkwiły na głębokości setek kilometrów, a teraz zaczynały uciskać poprzez warstwy miękkiego pyłu. Nie można powiedzieć, żebyśmy zwracali wiele uwagi na te ostrzegawcze narzekania matki, biedaczka była bowiem zawsze przeczulona i dość już posunięta w latach, toteż warunki, w jakich się znajdowała, niezbyt były wskazane dla jej nerwów.

Trochę później, kiedy słysząc, jak mój brat Rwfzs, wówczas jeszcze dzieciak, czymś tam stuka, w czymś kopie, wreszcie czy ja wiem, co tam wyprawia, spytałem go:

– Co ty robisz? On odpowiedział mi po prostu:

– Bawię się.

– Bawisz się? Czym się bawisz?

– Jakąś rzeczą – powiedział.

Rozumiecie? To był pierwszy raz. Nigdy dotychczas nie było żadnych rzeczy, którymi można by się bawić. Bo i czym moglibyśmy się bawić? Tą papką z materii w stanie na pół lotnym? Piękna zabawa! Coś takiego mogło się podobać chyba tylko mojej siostrze G'd(w)”. Jeżeli Rwfzs się bawił, znaczyło to, że znalazł coś nowego, i nawet później mówiło się, jak zwykle z przesadą, że znalazł kamyk. Kamyk to oczywiście nie był, ale bądź co bądź jakaś cząstka materii bardziej stałej, a raczej powiedzmy – mniej lotnej. Nigdy się na ten temat nie wypowiedział jasno, w ogóle opowiadał historyjki, jakie mu tylko przyszły do głowy, a w epoce, kiedy wytworzył się nikiel i wszyscy wciąż rozprawiali o niklu, on oświadczył:



– No właśnie, to był nikiel, bawiłem się niklem! - i stąd przyłgnęło już do niego przezwisko Niklowy Rvwzfs. (A nie, jak teraz niektórzy twierdzą, stąd, że będąc nieco zapóźniony w rozwoju, zmienił się w nikiel i nie zdołał nigdy wyjść ze stadium mineralnego; rzecz miała się inaczej, mówię to przez umiłowanie prawdy, a nie dlatego że chodzi o mego brata, był zawsze trochę zapóźniony, nie przeczę, ale nie było to zapóźnienie typu metalicznego, raczej koloidalnego; tak dalece, że w młodszym jeszcze wieku ożenił się z algą, jedną z najpierwszych, i od tej pory nic się już o nim nie słyszało).

Jednym słowem, wszyscy, jak się zdaje, coś wtedy odczuli, wszyscy oprócz mnie. Może dlatego że zawsze byłem roztargniony. Usłyszałem – nie pamiętam, czy jeszcze przez sen, czy już byłem obudzony – okrzyk mego ojca: „Grunt pod nogami!” – wyrażenie właściwie nie nieznaczące (zważywszy, że do tamtej pory nie było żadnego „gruntu”, co do tego nie ma wątpliwości), ale które nabrało znaczenia w tej samej chwili, w której zostało wypowiedziane. Wyrażało mianowicie to, co wszyscy zaczęliśmy wtedy odczuwać, jakby lekkie mdłości i jakby jakaś mulista powłoka przesuwająca się pod nami, płasko, płąściutko, my zaś mieliśmy wrażenie, że się o nią objamamy. Odezwałem się tonem wymówki:

– Och, babciu!

Później wielokroć zadawałem sobie pytanie, dlaczego moją pierwszą reakcją była pretensja do naszej babki. Babcia Bb’b, która zachowała obyczaje dawno minionych czasów, nieraz popełniała rozmaite niedorzeczności: wierzyła nadal uparcie, że materia jest jednolita, że więc na przykład nieczystości można zostawiać gdzie bądź, bo i tak ulegną rozrzedzeniu i znikną. To, że proces kondensacji już się rozpoczął i że wobec tego brud utrwała się w cząsteczkach, i nie sposób go już później usunąć, nie mogło jej się pomieścić w głowie. Toteż podświadomie wiązałem ów nowy fakt, ów „grunt” z jakimś głupstwem popełnionym przez babcię i stąd wziął się mój okrzyk. A babcia Bb’b na to:

– Co? Odnalazłeś krążek?

Ten krążek to była właściwie mała elipsoida z materii galaktycznej, którą babcia nie wiadomo skąd wytrzasnęła w okresie pierwszych kataklizmów wszechświata i zawsze nosiła przy sobie, żeby na niej siadać. Kiedyś krążek zagubił się gdzieś w ciemnościach i babcia posądzała mnie o jego ukrycie. Otóż prawdą jest, że ja tego krążka zawsze nienawidziłem, wydawał mi się tak niezdarne i tak nie na miejscu na naszej mgławicy, ale winić mnie można było co najwyżej o to, że nie pilnowałem go bez ustanku, jak sobie tego życzyła babcia.

Nawet mój ojciec, który do babci odnosił się zawsze z wielkim szacunkiem, nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Ależ mam, tu się nie wiadomo co dzieje, a mama z tym swoim krążkiem!

– No, czy nie mówiłam, że nie mogę zasnąć! – wtrąciła się mama; to także była uwaga niezbyt ściśle związana z sytuacją.

Wtedy właśnie dało się słyszeć głośne: „Puach! Uach! Sgrrr!” – i zrozumieliśmy, że panu Hnw musiało się coś przytrafić: pluł i kichał bez opamiętania.

– Panie Hnw! Panie Hnw! Tutaj! Tutaj! Gdzież on się podział? – mówił niespokojnie mój ojciec i w tych niczym nierozjaśnionych ciemnościach zdołaliśmy z niemałym trudem uchwycić go i wyciągnąć na powierzchnię mgławicy, żeby nabrał tchu. Ułożyliśmy go na zewnętrznej warstwie, która zaczynała przybierać konsystencję łuskowatą i śliską.

– Uff! To świństwo wciąga cię w głąb! – próbował wyjaśnić pan Hnw, który jeśli chodzi o sposób wypowiedzania się, nie wykazywał nigdy szczególnych uzdolnień. – Opadasz, opadasz i to cię połyka! Skrrach! – charczał i spluwał.

Nowość polegała na tym, że teraz trzeba było uważać, żeby się nie dać pochłonąć mgławicy. Moja matka, obdarzona właściwym dla wszystkich matek instynktem, zrozumiała to pierwsza i zaczęła nawoływać:

– Dzieci, jesteście tu wszystkie? Gdzie jesteście?

Rzeczywiście byliśmy trochę roztargnieni i o ile przedtem, kiedy wszystko przez całe wieki pozostawało bez zmiany, dbaliśmy zawsze o to, żeby się nie rozproszyć, to teraz zupełnie nam to wyszło z głowy.

– Spokojnie, spokojnie. Niech się nikt nie oddala – zarządził ojciec. – G'd (w)<sup>n</sup>! Gdzie jesteś? A bliźniaki? Kto widział bliźnięta, niech się odezwie!

Nikt nie odpowiedział.

– O biada, zgubili się! – wykrzyknęła nasza matka.

Moi mali braciszki nie byli jeszcze w tym wieku, kiedy umie się jakoś dawać znać o sobie, toteż gubili się łatwo i wciąż trzeba było na nich uważać.

– Idę ich szukać! – powiedziałem.

– Ach tak, idź, dobry Qfwfq! – zawołali ojciec i mama, ale zaraz zawstydzili się: – Tylko nie odchodź daleko, żebyś się i ty nie zabłąkał! Zostań lepiej! Albo nie, idź, ale odzywaj się często, gwizdź!

Odszedłem w ciemność, grzęznąc w błocie gęstniejącej mgławicy, gwizdząc nieustannie. Mówię „odszedłem”, rozumiejąc przez to pewien sposób poruszania się po powierzchni, który jeszcze przed kilkoma minutami byłby nie do pomyślenia, a teraz też z trudem można to było tak nazwać, gdyż

materia stawiała opór tak nikły, że jeśli się nie zachowywało ostrożności, to zamiast posuwać się naprzód, zaczynało się zapadać coraz głębiej i głębiej, ukośnie albo nawet prostopadle do powierzchni, i można było tam zostać zupełnie pogrzebanym. Ale w jakimkolwiek kierunku czy na jakim bądź poziomie bym się posuwał, prawdopodobieństwo odnalezienia braciszków było takie samo. Któż mógł wiedzieć, gdzie się ci dwaj zawieruszyli.

Nagle przewróciłem się, jak gdyby – powiedzielibyśmy dzisiaj – ktoś podstawił mi nogę. Pierwszy to raz zdarzyło mi się upaść, nawet nie znałem pojęcia „padania”, ale teren był miękki i nic mi się nie stało.

– Nie depcz tutaj – odezwał się jakiś głos. – Nie rób tego, Qfwfq, ja nie chcę.

Był to głos mojej siostry G'd(w)<sup>n</sup>.

– Dlaczego? Co tu jest?

– Zrobiłam tu coś z czegoś... – powiedziała.

Potrzeba mi było trochę czasu, żeby przekonać się po omacku, że moja siostra, ugniatając to coś gliniastego, zbudowała górę pełną sterczących kominów, najeżoną zębataymi blankami i wieżyczkami.

– Co ty tutaj zrobiłaś?

G'd(w)” dawała zawsze odpowiedzi bez ładu i składu.

– Zewnątrz z wewnątrz w środku – powiedziała. – Dzll, dzll, dzll...

Ruszyłem dalej, raz po raz koziołkując. Potknąłem się także oczywiście o pana Hnw, który tkwił głową na dół w gęstniejącej materii.

– No, panie Hnw, panie Hnw! Czy naprawdę nie potrafi pan stać jak należy?

I pomogłem mu wydobyć się na wierzch, tym razem podpychając go od dołu, bo sam byłem już prawie pogrążony.

Pan Hnw kaszłąc, sapiąc i kichając (zimno było jak jeszcze nigdy), wychynął na powierzchnię dokładnie w tym miejscu, gdzie siedziała babcia Bb'b. Babcia wyleciała w powietrze i zaraz bardzo się wzruszyła:

– Wnuczęta! Wróciły wnuczęta!

– Ależ nie, mamó, to przecież pan Hnw! Nikt już nic nie rozumiał.

– A wnuczęta?

– Tu są! – wykrzyknąłem. - I znalazłem też krążek.

Malcy dawno już musieli urządzić sobie kryjówkę w głębi mgławicy i to oni z pewnością schowali tam krążek dla zabawy. Dopóki materia była w stanie płynnym, mogli tam wewnątrz urządzić nawet skoki przez krążek, ale teraz zostali uwięzieni w czymś podobnym do gąbczastego twarogu, który zalepił otwór krążka i naciskał na bliźniaków ze wszystkich stron.

– Uczepcie się krążka! – próbowałem im perswadować – to was wyciągnę, głuptasy!

Ciągnąłem, ciągnąłem, aż nagle, sami nie wiedząc kiedy, znaleźli się na powierzchni i natychmiast zaczęli fikać koziołki na pokrywającej ją gruzłowatej błonce jak ta, która otacza białko w jajku. Za to krążek rozpląnął się z chwilą, kiedy go wydobyłem na powierzchnię. Różne rzeczy działy się w ogóle w tamte dni i jakże to było wytłumaczyć babci Bb'b.

Właśnie wtedy, jakby nie mogli sobie znaleźć odpowiedniejszej chwili, wujostwo podnieśli się z wolna, mówiąc:

– Robi się późno, kto wie, co tam robią nasze dzieci, jesteście trochę niespokojni, bardzo było miło was zobaczyć, ale teraz już na nas czas.

Trudno było odmówić im racji, a nawet powody do niepokoju znalazłyby się już znacznie wcześniej. Ale ci wujostwo, może dlatego że mieszkali trochę na uboczu, byli zawsze jacyś onieśmieleni. Może już od dawna siedzieli jak na szpilkach, a nie mieli śmiałości zdradzić się z tym.

Mój ojciec powiedział:

– Jeżeli chcecie iść, nie będę was zatrzymywał, ale zastanówcie się, czy nie byłoby lepiej poczekać, aż się sytuacja trochę wyjaśni, bo na razie przynajmniej nie wiadomo wcale, na jakie niebezpieczeństwa możecie się narazić.

Jednym słowem, przemawiał bardzo rozsądnie. Ale oni na to:

– Nie, nie, dziękujemy za gościnę, bardzośmy sobie miło pogawędzili, ale nie chcemy już dłużej przeszkadzać – i tym podobne uprzejme głupstwa. Krótko mówiąc, my niewiele rozumieliśmy z tego, co się dzieje, ale oni to nawet nie zdawali sobie sprawy, że coś się w ogóle dzieje.

Mówiąc ściśle, tych wujostwa było troje: jedna ciotka i dwóch wujów, wszyscy okropnie dłudzy i właściwie identyczni. Nigdy nie mogliśmy się zorientować, kto tam jest czyim mężem albo bratem i czy w ogóle jest jakieś pokrewieństwo między nimi a nami; w tamtych czasach wiele było różnych spraw niezupełnie wyjaśnionych.

Wujostwo odchodzili kolejno, każde w innym kierunku, ku czarnemu niebu i tylko od czasu do czasu, jakby dla podtrzymania kontaktu, mówili: „O! O!” Wszystko robili w tak dziwny sposób, nie potrafili działać choć odrobinę metodycznie. %.

Zaledwie wszyscy troje odeszli, a już ich „O! O!” dawało się słyszeć z niezmierzonej dali, choć powinni byli znajdować się jeszcze w odległości niewielu kroków. Słyszeliśmy także jakieś ich krzyki, których sensu wcale nie mogliśmy zrozumieć:

– Ależ tu jest pustka.

- Ależ tu się nie da przejść!
- Dlaczego tu nie przychodzisz?
- Gdzie jesteś?
- No skacz!
- Dobrze sobie, a co mam przeskoczyć!
- Ależ tu się wraca do tyłu!

Ostatecznie nie rozumieliśmy nic z tego, z wyjątkiem jednego: że między nami a wujostwem rozciągały się ogromne, coraz ogromniejsze przestrzenie.

Najbardziej sensowna wydawała się wypowiedź ciotki, która odeszła ostatnia z trojga:

– No i zostałam teraz sama na wierzchu tego kawałka czegoś, co się oderwało...

A głosy dwóch wujków, ledwo już dosłyszalne z oddali, powtarzały:

– Głupia... Głupia... Głupia...

Wpatrywaliśmy się właśnie w tę ciemność, w której rozbrzmiewały głosy, kiedy nastąpiła przemiana, jedyna naprawdę wielka przemiana, jakiej zdarzyło mi się być świadkiem i wobec której cała reszta jest niczym. Mianowicie coś zaczęło się dziać na horyzoncie, jakieś drganie, wcale niepodobne do tego, cośmy wtedy nazywali dźwiękami, ani do tego, o czym teraz mówi się „grunt pod nogami”, i w ogóle niepodobne do niczego; był to jakby rodzaj wrzenia, niewątpliwie bardzo dalekiego, ale które jednocześnie przybliżało to, co było bliskie, krótko mówiąc, nagle ciemność stała się ciemnością, przeciwieństwem czegoś innego, co nie było ciemnością, czyli światła. Kiedy już byliśmy zdolni dokładniej zanalizować, jak się rzeczy mają, stwierdziliśmy po pierwsze, że niebo jest wprawdzie ciemne jak zawsze, ale przestaje już takie być; po drugie, że powierzchnia, na której przebywaliśmy, pofałdowana i zaskorupiała, utworzona z lodu brudnego do obrzydliwości, topnieje w szybkim tempie, ponieważ temperatura gwałtownie wzrasta; wreszcie po trzecie, dostrzegliśmy to, co później określaliśmy jako źródło światła, czyli oddzieloną od nas, niezmierną pustą przestrzenią masę, która coraz bardziej się rozżarzała, mieniając się w nierównych błyskach coraz to innymi barwami. I jeszcze coś: pośrodku nieba, pomiędzy nami a ową rozplamioną masą, dostrzegliśmy parę małych, niewyraźnych, choć jasno oświetlonych wysepek, które wirowały w pustce, a na nich dalekie cienie postaci – może naszych wujostwa, a może kogoś innego – wydające jakieś piskliwe odgłosy.

A zatem najważniejsze już się dokonało – wewnątrz mgławicy, kurcząc się, wytworzyło ciepło i światło i oto mieliśmy Słońce. Cała reszta nie przestawała krążyć wokół, osobno albo skupiona w różne masy: Merkury, Wenus, Ziemia,

jeszcze dalej inne. A przede wszystkim gorąco było nie do wytrzymania.

Staliśmy wyprostowani z otwartymi gębami, wszyscy z wyjątkiem pana Hnw, który przez ostrożność trzymał się na czworakach. A babcia zaczęła się śmiać. Jak już mówiłem, babcia Bb'b pochodziła z epoki rozsianego światła i przez cały okres ciemności zachowywała się tak, jakby lada chwila wszystko znów miało stać się takie, jak było niegdyś. Teraz pomyślała, że ta chwila wreszcie nadeszła. Z początku starała się przybrać obojętną minę osoby, dla której wszystko to jest rzeczą całkowicie naturalną, ale widząc, że nie zwracamy na nią uwagi, zaczęła się śmiać, wykrzykując pod naszym adresem:

– Ach, nieuki... ciemniaki...

Mówiła to jednak z niewielkim przekonaniem, bo może pamięć już ją zaczynała zawodzić. Mój ojciec, choć niewiele z tego rozumiał, odezwał się:

– Mamo, wiem, co mama ma na myśli, ale to tutaj wydaje mi się zjawiskiem nieco odmiennym... – I wskazując na ziemię pod naszymi stopami, wykrzyknął: – Popatrzcie tutaj!

Wszyscy spojrzeliśmy w dół. Ziemia, która nas dźwigała, była wciąż jeszcze galaretowatą, przejrzystą masą, stopniowo się zagęszczającą i coraz ciemniejszą, poczynając od środka, gdzie tworzyło się coś niby żółtko w jajku; ale na razie jeszcze nasz wzrok mógł ją przeniknąć na wskroś, rozświetloną nowym, młodym Słońcem. I wewnątrz tej przejrzystej bani dostrzegliśmy cień jakiejś istoty, poruszającej się, jakby pływała albo fruwała. Nasza matka wydała okrzyk:

– Córeczko!

Wszyscy rozpoznaliśmy G'd(w)<sup>n</sup>. Przestraszona, być może, pożarem Słońca, ulegając swojej przekornej naturze, zagłębiła się w gęstniejącą materię Ziemi i teraz na próżno usiłowała się z niej wydostać; podobna do złotosrebrnego motyla, ilekroć przesuwiała się przez warstwę jasną jeszcze i przejrzystą, raz po raz znikwała w sferze cienia coraz bardziej się rozszerzającej.

– G'd(w)<sup>n</sup>! G'd(w)<sup>n</sup>! – wołaliśmy i rzucaliśmy się na ziemię, usiłując otworzyć sobie do niej drogę. Ale powierzchnia globu stawała się coraz bardziej podobna do porowatej skorupy i mój brat Rwzfs, któremu udało się wcisnąć głowę w szczelinę, o mało się nie udusił.

Potem już jej nie widzieliśmy; strefa stwardniała ogarnęła powoli całą środkową część planety. Moja siostra zniknęła w jej obrębie i nie widzieliśmy, czy została pogrzebana w głębi, czy też udało jej się wydostać na drugą półkulę. Aż kiedyś, długo, długo potem, spotkałem ją w Canberze, w 1912 roku, jako żonę niejakiego Sullivana, emerytowanego kolejarza; ale zmieniła się tak

bardzo, że ledwo ją poznałem.

Podnieśliśmy się. Pan Hnw i babcia stali przed nami, płacząc. Spowici byli w błękitne i złociste płomyki.

– Rvwzfs! Dlaczego podпалиłeś babcię? – zaczął już krzyczeć z oburzeniem ojciec, ale obróciwszy się w stronę mego brata, jego także zobaczył w płomieniach. I tak samo ojciec, matka i ja – płonęliśmy wszyscy. A właściwie nie płonęliśmy, a tylko byliśmy otoczeni płomieniami niby jakimś oślepiającym lasem, płomienie wznosiły się w górę nad całą powierzchnią planety, było to jakby płomienne powietrze, w którym mogliśmy biegać, trwać w zawieszaniu albo fruwać – i ogarnęła nas nieznana dotąd radość.

Promieniowanie Słońca spalało skorupy planet, utworzone z helu i wodoru. W przestworzach nieba, tam gdzie przebywali nasi wujostwo, wirowały rozżarzone globy, ciągnąc za sobą długie brody, złote i turkusowe, jak kometa ciągnie swój ogon.

Powróciła ciemność. Myśleliśmy, że wszystko, co się może wydarzyć, już się wydarzyło.

– Teraz to już koniec – powiedziała babcia. – Wierście starym.

A w rzeczywistości Ziemia wykonała zaledwie pierwszy ze swoich zwykłych obrotów. Była noc. I wszystko dopiero się zaczynało.

## Znak w przestrzeni

Usytuowane w zewnętrznej strefie Drogi Mlecznej Słońce zużywa około 200 milionów lat na dokonanie pełnego obiegu wokół środka Galaktyki.

A tak, tak, tyle czasu potrzeba, ani trochę mniej – *powiedział Qfwfq*. – Kiedyś po drodze zrobiłem znak w pewnym punkcie przestrzeni, właśnie po to, żeby móc go odnaleźć po dwustu milionach lat, jak będziemy to miejsce mijali następnym razem. Jaki to był znak? Trudno wytłumaczyć, bo jak mówię „znak”, to zaraz myślicie o czymś, co się od czegoś odróżnia, a tam nie było nic, co by się od czegokolwiek odróżniało; myślicie zaraz o znaku zrobionym za pomocą jakiegoś narzędzia albo rękami, a przecież wtedy nie było nie tylko narzędzi, ale nawet rąk, zębów ani nosów – wszystko to mieliśmy kiedyś uzyskać, ale dopiero dużo, dużo później. Nadać znakowi jakąś formę, powiadacie, że to żaden problem, bo forma może być jakakolwiek, wystarczy, żeby znak był znakiem, czyli żeby był różny od innych znaków albo właśnie taki jak inne; cóż, łatwo wam mówić, ale ja w tamtych czasach nie miałem przykładów, na które mógłbym się powołać, mówiąc, że robię znak taki sam czy też że robię inny, nie było rzeczy, które mógłbym naśladować, nie wiedziało się nawet, co to jest linia, prosta albo krzywa, czy też punkt, czy wypukłość albo zagłębienie. Chciałem zrobić znak, to prawda, a raczej może chciałem uważać za znak cokolwiek, co mógłbym zrobić, a więc, skoro w tym właśnie, a nie w innym punkcie przestrzeni zrobiłem coś z intencją zrobienia znaku, mogę powiedzieć, że go zrobiłem rzeczywiście.

Krótko mówiąc, jak na to, że był to pierwszy znak uczyniony we wszechświecie, a już co najmniej w zasięgu Drogi Mlecznej, mogę stwierdzić, że wyszedł bardzo dobrze. Czy był widoczny? Dobrze sobie, a któż miał oczy, żeby go widzieć, w tamtych czasach? Nic nie było przez nikogo widziane, w ogóle nie istniało takie zagadnienie. A czy był możliwy do bezbłędnego rozpoznania? A jakże, był, skoro wszystkie inne punkty w przestrzeni były jednakie i niemożliwe do rozróżnienia, a tylko ten jeden miał znak.

Tak więc planety odbywały swoją drogę, a Układ Słoneczny swoją, toteż bardzo prędko zostawiłem swój znak za sobą i rozdzieliły mnie z nim niezmiernie przestrzenie. I już od razu nie mogłem się powstrzymać od myślenia o tym, jak napotkam go znowu i rozpoznam, i jak to będzie przyjemnie powrócić z tej bezkresnej, bezmiennej przestrzeni po stu tysiącach lat świetlnych wędrówki, w czasie której nie napotkam nic, co byłoby mi znane – nic przez setki wieków, przez tysiące stuleci, i zobaczyć ten znak na swoim



miejscu, taki sam, jakim go zostawiłem, niby nic takiego, a przecież z tym, można rzec, nieomylnym piętnem, jakie mu nadałem.

Powoli Droga Mleczna obracała się wokół samej siebie razem ze swoimi smutnymi konstelacjami planet i obłoków, a Słońce razem z wszystkim innym dążyło ku krawędzi. W całej tej karuzeli tylko mój znak pozostawał nieruchomy, w jakimś swoim punkcie, z dala od jakiej bądź orbity (robiąc go, wychyliłem się trochę poza granice Galaktyki, tak żeby pozostał na uboczu i żeby wirowanie tych wszystkich światów wcale go nie dotyczyło), w jakimś punkcie, który nie był już zwyczajnym, jakimkolwiek punktem, z chwilą, kiedy stał się jedynym, co do którego można było mieć pewność, że tam jest, i w zależności od niego określać położenie innych punktów.

Rozmyślałem nad tym dniami i nocami; nie mogłem myśleć o niczym innym. Mówiąc ściślej, była to dla mnie pierwsza okazja do myślenia o czymś, a raczej myślenie o czymś nie bardzo dotychczas w ogóle możliwe, po pierwsze, dlatego że nie istniały rzeczy do myślenia o nich, a po drugie nie było znaków, które by je wyobrażały, ale z chwilą, kiedy był już znak, była także ta możliwość, że kto myślał, myślał o tym właśnie znaku, w tym sensie, że znak był czymś, o czym można było myśleć, i wyobrażeniem rzeczy, o której się myślało, czyli samego siebie.

Sytuacja zatem tak się przedstawiała: znak służył do oznaczenia pewnego punktu, ale jednocześnie oznaczał, że tam jest znak, a to było jeszcze ważniejsze, bo punktów było mnóstwo, a znak tylko ten jeden i to był mój znak; oznaczał mnie, bo to był jedyny znak, jaki kiedykolwiek zrobiłem, a ja byłem jedynym, który kiedykolwiek robił znaki. To było coś jakby imię, imię tego punktu i zarazem moje, bo to ja nim ten punkt oznaczyłem – jednym słowem, było to jedyne istniejące imię dla wszystkiego, co mogło imienia potrzebować.

Unoszony na krawędzi Galaktyki, nasz świat żeglował po najdalszych przestworzach, a znak był wciąż tam, gdzie go zostawiłem, żeby ów punkt oznaczyć, i oznaczał zarazem mnie, unosiłem go z sobą, mieszkał we mnie, posiadał mnie całkowicie, pośredniczył między mną a każdą rzeczą, do jakiej mógłbym chcieć się ustosunkować. Czekał, kiedy wrócę i spotkam się z nim znowu, mogłem pokusić się o wyprowadzenie z niego innych znaków i kombinacji znaków, całych serii znaków jednakowych i znaków przeciwstawnych. Ale upłynęły już dziesiątki tysięcy tysiącleci od chwili, kiedy go nakreśliłem (a raczej, kiedy rzuciłem go w trakcie nieustannego ruchu Drogi Mlecznej), i właśnie teraz, kiedy tak bardzo potrzebowałem uprzytomnić sobie każdy jego szczegół (najmniejsza bodaj niepewność co do tego, jaki on

był, zmniejszała szansę odróżnienia go od innych ewentualnych znaków), zdałem sobie sprawę, że choć miałem w pamięci jego przybliżony zarys, jego ogólny wygląd, to jednak coś mi się tu wymykało, kiedy próbowałem go rozłożyć na poszczególne elementy, nie mogłem sobie przypomnieć, czy pomiędzy jednym a drugim elementem wyglądał on tak, czy jakoś inaczej. Powinienem mieć go przed sobą, badać go, zasięgać jego rady, a on tymczasem był daleko i nawet nie wiedziałem jak daleko, bo przecież po to właśnie go zrobiłem, żeby się dowiedzieć, ile czasu upłynie, zanim go odnajdę, i dopóki nie odnalazłem, nie mogłem tego wiedzieć. Ale teraz ważna była nie przyczyna, dla której go zrobiłem, tylko to, jaki on jest, i zacząłem snuć na ten temat najrozmaitsze hipotezy, a także teorie, według których dany znak musiał być koniecznie zrobiony w określony sposób, albo też, drogą eliminacji, próbowałem wykluczać wszystkie typy znaków mniej prawdopodobne, aby dojść do tego właściwego, ale wszystkie te wyimaginowane znaki znikwały, rozwiewały się, gdyż nie było tego pierwszego, mogącego stanowić skalę porównawczą. I w tej rozterce (podczas gdy Galaktyka nadal obracała się bezsennie w swoim łożu wyścielonym miękką pustką, jakby swędziały ją wszystkie światy i atomy, które się w niej rozpały i promieniowały) zrozumiałem nagle, że oto zatraciłem już nawet tamto mgliste pojęcie o moim znaku i chwytam już tylko ułamki znaków dających się między sobą wymieniać, czyli znaki istniejące wewnątrz znaku, a każda taka zmiana wewnętrzna zmieniała sam znak w jakiś zupełnie inny, a może po prostu tak dalece zapomniałem, jaki ten mój znak był, że nie mogłem go sobie absolutnie przypomnieć.

Czy straciłem nadzieję? Nie, zapomnienie było przykre, ale nie było nieodwracalne. Cokolwiek się zdarzy, wiedziałem, że znak jest tam i czeka na mnie, nieruchomy i cichy. Dotrę do niego, odnajdę go i będę mógł podjąć znowu nić moich rozmyślań. Tak na oko, powinniśmy byli mieć za sobą połowę galaktycznego obrotu; trzeba było zdobyć się na cierpliwość, druga połowa drogi zawsze zdaje się przebiegać szybciej od pierwszej. Teraz nie należało myśleć o niczym innym, tylko o tym, że znak jest i że do niego powrócę.

Dzień mijał za dniem, powinienem być już blisko. Drżałem z niecierpliwości, mogłem natknąć się na mój znak w każdej chwili. To było tutaj, nie, trochę dalej, liczę do stu... Czyżby go już nie było? Czy go minąłem? Nie. Mój znak został nie wiadomo gdzie w tyle, gdzieś zupełnie z boku w stosunku do orbity obrotu naszego systemu. Nie wziąłem pod uwagę wahań, jakim, zwłaszcza w tamtych czasach, podlegały siły przyciągania ciał

niebieskich, które to siły zmuszały je do zakreślania orbit nieregularnych i strzępiastych niczym płatki dali. Przez setki tysiącleci męczyłem się nad korygowaniem moich obliczeń: wynikało z nich, że droga nasza biegnie przez ten punkt nie każdego roku galaktycznego, ale tylko co trzeci, czyli raz na sześć milionów lat słonecznych. Kto już czekał dwieście milionów lat, może poczekać i sześćset, więc czekałem. Droga była daleka, ale przecież nie musiałem odbywać jej piechotą, na grzbiecie Galaktyki mknąłem przez lata świetlne, brykałem po orbitach planetarnych i gwiazdnych jak na koniu, który iskry kopytami krzesze. Znajdowałem się w stanie wciąż wzrastającej egzaltacji, wydawało mi się, że mknę tak na podbój czegoś, co jedynie dla mnie miało znaczenie – znaku, królestwa, imienia...

Zrobiłem drugie okrążenie, potem trzecie. Byłem na miejscu. Krzyknąłem. Dokładnie tam, gdzie powinien znajdować się mój znak, zamiast niego była bezkształtna rysa, wyskrobany ślad, poszarpany i nieporządnny. Utraciłem wszystko: znak, miejsce, to, co sprawiało, że ja – jako ktoś związany z tym znakiem, z tym punktem – byłem sobą. Przestrzeń pozbawiona znaku, stawała się na powrót otchłanią pustki bez początku i końca, aż do mdłości, w której wszystko – łącznie ze mną – się gubiło. (I niech mi nikt nie mówi, że jeśli chodzi o oznaczenie miejsca, mój znak czy wyskrobanie tego znaku wychodziło na jedno: zatarcie znaku było jego zaprzeczeniem, a więc nic już nie oznaczało, nie służyło do odróżnienia danego punktu od innych, leżących przed nim lub za nim).

Ogarnęło mnie zniechęcenie i przez wiele lat świetlnych pozostawałem jakby bez zmysłów i uczucia. Kiedy wreszcie uniosłem oczy (tymczasem zaczęło istnieć w naszym świecie widzenie, a co za tym idzie – i życie), otóż kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem coś, czego nigdy nie spodziewałbym się zobaczyć. Ujrzałem znak, ale nie ten mój, tylko zupełnie podobny, znak bez wątpienia skopiowany z mojego, ale który oczywiście nie mógł być moim – prymitywny, niestaranny, niezdarnie pretensjonalny, nędznie podrabiający to, co ja chciałem wyrazić swoim znakiem, którego niewypowiedzianą czystość teraz dopiero – prawem kontrastu – mogłem sobie w pełni uzmysłwić. Któż to mi spletał takiego figla? Nie mogłem tego dociec. Wreszcie wielotysięczny łańcuch indukcji przyniósł mi rozwiązanie: w innym układzie planetarnym, odbywającym swój obieg galaktyczny przed nami, znajdował się niejaki Kgwkgk (imię to wydedukowałem sobie dopiero potem, w późniejszej epoce imion), typ złośliwy i pożerany zawiścią, który wiedziony instynktem niszczenia wyskrobał mój znak, a następnie w tępcie swej usiłował zrobić drugi taki sam.

Jasne było, że ten znak nie ma oznaczać nic innego poza intencją, ze strony owego Kgwgk, naśladowania mojego znaku, z którym nawet nie sposób byłoby go porównywać. Ale w tej chwili pragnienie pognębiaenia rywala było we mnie silniejsze nad wszelką rozważę. Postanowiłem natychmiast rzucić w przestrzeń nowy znak, znak prawdziwy, który przyprawiłby Kgwgk o śmierć z zazdrości. Upłynęło już bez mała siedemset milionów lat, odkąd nie próbowałem robić innych znaków po tamtym pierwszym; z zapałem zabrałem się do dzieła. Ale teraz wszystko było inaczej, gdyż świat, jak już wam wspomniałem, zaczynał tworzyć swój własny obraz, każdej funkcji zaczynała odpowiadać jakaś określona forma i wierzono, że formy te mają przed sobą długi żywot (co nie było prawdą, weźmy chociażby, sięgając do przykładów niezbyt odległych w czasie, dinozaury), a zatem w tym moim nowym znaku dawał się wyczuć wpływ ówczesnego wyglądu rzeczy, tego specjalnego sposobu, nazwijmy go stylem, w jaki każda rzecz się przedstawiała. Mogę powiedzieć, że byłem ze swego dzieła naprawdę zadowolony i nie żałowałem już wcale tego pierwszego zniszczonego znaku, gdyż ten nowy wydawał mi się nieporównywalnie piękniejszy.

Ale jeszcze przed upływem tegoż roku galaktycznego zaczęliśmy rozumieć, że dotychczasowe formy świata były prowizoryczne i że jedna po drugiej będą ulegały przemianom. A z tą świadomością łączyło się uczucie zniecierpliwienia w stosunku do minionych form, tak dalece, że ścierpieć nie było można nawet ich wspomnienia. Mnie również zaczynała dręczyć pewna myśl: oto zostawiłem za sobą ten znak w przestrzeni, ten znak, który wydawał mi się tak piękny i oryginalny, tak bardzo funkcjonalny, ale teraz jawił się mojej pamięci w całej swojej niewczesnej pretensjonalności jako świadectwo przestarzałego sposobu pojmowania znaków, a także mojego głupiego współdziałania z tym układem rzeczy, od którego dawno już powinienem był się oderwać. Krótko mówiąc, wstydziłem się tego znaku, obok którego przez długie wieki miały się przesuwac mknące przestworzem światy i który miał wystawiać na pośmiewisko siebie i mnie, i ten nasz prowizoryczny sposób widzenia. Rumieniłem się ze wstydu, ilekroć mi się przypominał (a pamiętałem o nim właściwie nieustannie), i rumieniec ten nie znikał w ciągu całych okresów geologicznych. Chcąc ukryć wstyd, chowałem się w kraterzy wulkanów i z żalu wbijałem zęby w skorupy zlodowaceń pokrywające całe kontynenty. Nie dawała mi spokoju myśl, że Kgwgk, wyprzedzający mnie stale w krążeniu Drogi Mlecznej, widział znak, zanim miałem możliwość go wymazać, a po takim nieokrzesanym durniu, jakim był, mogłem się spodziewać, że ze mnie szydzi i w obraźliwej intencji powtarza ten znak w niezdarnej karykaturze na każdym

rogu galaktycznego kręgu.

Tym razem jednak skomplikowany mechanizm astralny okazał się dla mnie pomyślny. Konstelacja Kgwgk nie napotkała znaku, natomiast nasz Układ Słoneczny natknął się na niego punktualnie z końcem pierwszego okrążenia, i to tak blisko, że mogłem wszystko jak najstaranniej wymazać.

Teraz w przestrzeni nie było już ani jednego z moich znaków. Mógłbym więc przystąpić do narysowania nowego, ale teraz wiedziałem już, że znaki służą także do wydawania sądu o tym, kto je robi, i że w ciągu roku galaktycznego upodobania i idee mają czas gruntownie się zmienić, a sposób patrzenia na znaki dawniejsze zależy od tego, co przychodzi po nich, jednym słowem bałem się, że to, co mi się teraz wydaje znakiem doskonałym, za dwieście czy sześćset milionów lat marne o mnie wyda świadectwo. Natomiast mój nieodżałowany pierwszy znak, tak barbarzyńsko zniszczony przez Kgwgk, mógł opierać się zwycięsko odmianom czasu, jako że zrodził się przed początkiem wszelakich form i musiał zawierać w sobie coś, co przeżyłoby wszystkie możliwe formy – czyli fakt, że był po prostu znakiem i niczym więcej.

Robić znaki, które nie byłyby już tamtym znakiem, to mnie teraz ani trochę nie interesowało, a tamtego już od całych miliardów lat nie pamiętałem. Nie mogąc więc robić znaków prawdziwych, u chcąc jednakże dokuczyć niegodziwemu Kgwgk, zacząłem stawiać znaki fałszywe, żłobić w przestworzu zagłębienia, dziury, kłaść plamy – takie, ot, sztuczki, które tylko ignorant w rodzaju Kgwgk mógłby uważać za znaki. Mimo to on pracował nad ich niszczeniem (jak to mogłem stwierdzić w następnych okrążeniach) z zjadłością, która go musiała kosztować niemało wysiłku. (Zacząłem rozsiewać te fałszywe znaki gęsto w przestrzeni, chcąc się przekonać, do jakich granic może sięgnąć jego głupota).

Otóż, obserwując uważnie te zacierane znaki w kolejnych okrążeniach (obroty Galaktyki stały się dla mnie w owym czasie leniwym, nieco nudnym żeglowaniem bez celu i bez oczekiwania czegokolwiek), zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy: w miarę upływu lat galaktycznych bazgroły te stopniowo bladły, a spod nich wyłaniało się to, co ja przedtem w tym samym miejscu umieściłem, czyli moje, jak je nazywałem, niby-znaki. Odkrycie to wcale nie było mi przykre, przeciwnie, zbudziło we mnie nadzieję. Skoro bazgraniny Kgwgk zacierały się, to ta pierwsza, którą zrobił w tamtym moim miejscu, musiała już zupełnie zniknąć i mój znak jest wyraźny jak niegdyś!

Teraz więc oczekiwanie znowu wypełniło niepokojem moje dni. Galaktyka obracała się jak omlet na rozpalonej patelni, która sama skwierczała i złościła

się jak naleśnik, a ja z nią razem skwierczałem z niecierpliwości.

Ale z upływem lat galaktycznych przestwór utracił swoją dawną jednolitą, bezbarwną nagość. Pomysł oznaczania mijanych miejsc nawiedził nie tylko mnie i Kgwgk, ale także wielu innych, rozsianych po miliardach planet w innych układach słonecznych, i raz po raz napotykałem któryś z takich znaków, pojedynczy albo po dwa obok siebie, albo nawet całe tuziny zwykłych zakrętasów dwuwymiarowych bądź też trójwymiarowych (na przykład brył wielościennych), a nawet wytworów bardziej wymyślnych, z czwartym wymiarem i wszystkim, co trzeba. Faktem jest, że kiedy przybyłem do miejsca mojego pierwszego znaku, znalazłem ich aż pięć. I tego mojego nie potrafiłem rozpoznać. Ten? A może tamten? Ależ gdzie tam, ten wygląda zbyt nowocześnie, a jednak może to właśnie ten jest najstarszy, tu nie rozpoznaję śladu mojej ręki, skądże by mi przyszło do głowy zrobić go w ten sposób... A tymczasem Galaktyka mknęła naprzód, zostawiając za sobą w przestrzeni znaki stare i nowe, a ja swojego nie odnalazłem.

Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że lata galaktyczne, jakie potem nastąpiły, były w moim życiu najgorsze. Wędrowałem, nieustannie szukając, a znaki w przestrzeni mnożyły się, ze wszystkich światów, każdy, kto mógł, usiłował zaznaczyć w jakiś sposób swoją obecność w przestworzu; i w naszym świecie tak samo, ilekroć się odwróciłem, dostrzegałem coraz większy tłok, po prostu świat i przestwór wydawały się zwierciadłami odbijającymi się nawzajem, jeden i drugi równie gęsto pokłuty hieroglifami i ideogramami, a każdy z nich mógłby być znakiem albo nim nie być: wapienny nalot na bazalcie, grzebień usypany przez wiatr na piaskach pustyni, układ

„oczu” w upierzeniu pawia (stopniowo to życie wśród znaków kazało mi dopatrywać się znaków w niezliczonych rzeczach, które przedtem nie oznaczały niczego innego poza własną obecnością, przekształciło je w znaki samoistne i w całe serie znaków uczynionych przez kogoś rozmyślnie), siady ognia na spękanej ścianie skalnej, czterysta dwudziesty siódmy rowek trochę krzywo wyżłobiony na gzymsie frontonu jakiegoś mauzoleum, szereg smug przecinających ekran podczas burzy magnetycznej (serie znaków mnożyły się w serie serii znaków, znaków powtarzanych niezliczoną ilość razy, zawsze jednakowych, a zarazem w jakimś sensie różnych, bo znak zrobiony umyślnie sumował się ze znakiem, który pojawił się przypadkowo), źle nasyciona farbą nóżka litery R, która w egzemplarzu wieczornej gazety spotkała się z włoskowatą cząstką papieru, jedna z ośmiuset tysięcy rys na pokrytym smołą murze w dokach w Melbourne, jakaś krzywa statystyczna, siad gwałtownego zahamowania na asfalcie, jakiś chromosom... Raz po raz nagle wzdrygnięcie:

„To ten!” I przez sekundę byłem pewny, że oto odnalazłem swój znak, na ziemi czy w przestworzu, mniejsza o to, bo poprzez te znaki utrwaliła się ciągłość niemająca wyraźnych granic.

Wszechświat nie składał się teraz z tego, co zawiera, i tego, co jest zawarte; był już tylko zbiorowiskiem znaków nakładających się na siebie i pochłaniających się nawzajem, które zajmowało cały przestwór; był usiany drobnymi ukłuciami, pokryty cieniutką gęstą siateczką linii, zadrapań, wypukłości i nacięć – wszechświat ze wszystkich stron zagryzmołony, zabazgrany. Nie sposób już było znaleźć jakiś punkt zaczepienia, Galaktyka obracała się nadal, ale ja nie potrafiłem już liczyć obrotów. Każdy punkt mógł być tamtym punktem wyjściowym, każdy znak wciśnięty na inne znaki mógł być tym moim, ale gdybym go nawet odkrył, na nic by się to nie zdało, gdyż było jasne, że niezależnie od znaków przestrzeń nie istniała ani teraz, ani może nawet nigdy przedtem.

## Wszystko w jednym punkcie

Za pomocą obliczeń zapoczątkowanych przez Edwina P. Hubble'a, dotyczących prędkości oddalania się galaktyk, można ustalić moment, w którym cała materia wszechświata była skoncentrowana w jednym punkcie, zanim zaczęła się rozciągać w przestrzeni.

Rozumie się, że byliśmy wszyscy razem – *powiedział stary Qfwfq* – bo i jakże by inaczej? Nikt nawet nie miał pojęcia, że może istnieć jakaś przestrzeń. No, i czas tak samo. Na cóż mógłby się nam przydać czas, kiedy wszyscy byliśmy ściśnięci jak sardynki?

Powiedziałem „ściśnięci jak sardynki” ot tak, w sensie literackiego porównania, w rzeczywistości nie było miejsca nawet na to, żeby się ścisnąć. Każdy punkt każdego z nas zbiegał się z każdym punktem każdej innej osoby w tym jednym punkcie, w którym znajdowaliśmy się wszyscy. W gruncie rzeczy nawet nie przeszkadzaliśmy sobie, chyba tylko pod względem charakterów, bo kiedy nie ma miejsca, to mieć wciąż płaczącego się pod nogami takiego antypatycznego faceta, jakim był pan Pber<sup>1</sup> Pber<sup>4</sup>, jest rzeczą nad wyraz drażniącą.

Ilu nas było? Ach, z tego nie umiałem zdać sobie sprawy, nawet w przybliżeniu. Aby się policzyć, trzeba móc odsunąć się przynajmniej troszeczkę jeden od długiego, a my przecież zajmowaliśmy wszyscy jeden jedyny punkt. W przeciwieństwie do tego, co mogłoby się wydawać, nie była to sytuacja sprzyjająca życiu towarzyskiemu. Wiem, na przykład, że w innych epokach sąsiedzi zwykli się nawzajem odwiedzać, tam natomiast, wobec tego, że wszyscy byliśmy sąsiadami, nikt nie mówił innym nawet „dzień dobry” i „dobranoc’>

Każdy utrzymywał tylko stosunki z określoną liczbą znajomych. Ci, których najlepiej pamiętam, to pani Ph(i)Nko, jej przyjaciel De XuaeauX, pewna rodzina imigrantów, niejaki Z'zu, wreszcie pan Pber<sup>1</sup> Pber<sup>d</sup>, o którym już wspominałem. Była jeszcze sprzątaczką – „przydzielona do utrzymywania porządku”, jak to się o niej mówiło – jedna na cały wszechświat, zważywszy, że był taki mały. Prawdę mówiąc, po całych dniach nie miała nic do roboty, nawet kurzu do wycierania, bo do wnętrza punktu nawet mały pyłek się nie wciśnie, i spędzała czas na wiecznym plotkarstwie i wyżalaniu się.

Już z samymi tylko osobami, które wymieniłem, byłoby nam za ciasno, a cóż dopiero mówić o wszelkich manatkach, które musieliśmy trzymać spiętrzone jedne na drugich: cały materiał mający później posłużyć do utworzenia wszechświata, rozmontowany i skoncentrowany w taki sposób, że



nie mogłem rozróżnić w nim tego, co miało w przyszłości stanowić część astronomii (jak mgławica Andromedy), od tego, co było przeznaczone do geografii (na przykład Wogezy) albo do chemii (jak pewne izotopy berylu). W dodatku ciągle się wszyscy potykali o graty rodziny Z'zu: prycze, materace, koszyki. Ci Z'zu, jak im się tylko trochę pofolgowало, pod pozorem, że są rodziną bardzo liczną, zachowywali się tak, jakby byli sami jedni na świecie, próbowali nawet rozciągać przez punkt sznury, żeby na nich wieszać bieliznę.

Co prawda inni także nie zawsze byli w porządku wobec tych Z'zu, poczynając od określenia „imigranci”, opartego na twierdzeniu, jakoby oni zjawili się później, kiedy inni byli już na miejscu. Jasna rzecz, że była to pretensja zupełnie bezpodstawna, zważywszy, że nie istniało żadne „przedtem” ani „potem”, ani też żadne „gdzie indziej”, z którego można by przywędrować, niektórzy jednak utrzymywali, że pojęcie „imigranta” może być rozumiane w stanie czystym, czyli niezależnie od przestrzeni i czasu.

Nasza mentalność w owych czasach była, powiedzmy sobie szczerze, ograniczona i małostkowa. Była to niewątpliwie wina środowiska, które nas ukształtowało. I mentalność ta, zważcie, przetrwała w głębi każdego z nas; ujawnia się po dziś dzień, ilekroć dwóch spośród nas spotka się przypadkiem – na przystanku autobusowym, w kinie czy na międzynarodowym kongresie dentystów – i zacznie wspominać tamte czasy. Kłaniamy się – czasem ktoś poznaje mnie, czasem ja sobie przypomnę kogoś – i natychmiast zaczynamy się wypytywać o tych czy owych (nawet jeżeli jeden z nas mało kogo pamięta z tych, o których mówi ten drugi), wydobywając na wierzch bardzo stare sprzeczki, złośliwe plotki i oszczerstwa. Dopóki nie padnie imię pani Ph(i)Nk, bo wszystkie pogawędki zawsze ostatecznie ku temu zmierzają. Wtedy nagle cała małostkowość opada z nas, czujemy, jak ogarnia nas błogie, wzniósłe wzruszenie. Pani Ph(i)Nk<sub>o</sub>, jedyna, której nikt z nas nie zapomniał i którą wszyscy oplakujemy. Co się z nią stało? Od dawna już przestałem jej szukać; jej piersi, jej bioder, jej pomarańczowego szlafrocza nigdy już nie spotkamy, ani w tym układzie galaktycznym, ani w żadnym innym.

Postawmy sprawę jasno: co do mnie to teoria, że wszechświat, po osiągnięciu stanu maksymalnego rozrzedzenia, na powrót zacznie się zgęszczać i że kiedyś przyjdzie nam skupić się znowu w jednym punkcie i wszystko zaczynać od nowa, nigdy nie trafiała mi do przekonania. A przecież tak wielu z nas wciąż na to tylko liczy i nie przestaje snuć projektów na tę chwilę, kiedy znowu się tam znajdziemy. W zeszłym miesiącu, na przykład, wchodzę do kawiarni na rogu i kogóż widzę? Pana Pber' Pber<sup>d</sup>.

– Cóż pan tu porabia? Skąd się pan wziął w tych stronach?

I dowiaduję się, że ma przedstawicielstwo wyrobów z mas plastycznych na Pawie. Pozostał takusieńki jak był, ze swoim srebrnym zębem i szelkami w kwiatki.

– Kiedy tam wrócimy – powiada przyciszonym głosem – musimy być bardzo ostrożni, trzeba, żeby niektórzy pozostali na zewnątrz... Rozumiemy się, ci Z’zu...

Miałem ochotę mu odpowiedzieć, że już od niejednego z nas słyszałem podobną wypowiedź, kończącą się zazwyczaj: „...rozumiemy się, ten pan Pber’Pber”...” ‘

Aby nie ulec pokusie, zmieniłem spiesznie temat, pytając:

– A panią Ph(i)Nk<sub>o</sub> odnajdziemy, jak pan sądzi?

– Ach, tak... Ją na pewno – odpowiedział, czerwieniąc się.

Dla nas wszystkich nadzieja powrotu do jednego punktu to przede wszystkim nadzieja znalezienia się razem z panią Ph(i)Nk<sub>o</sub>. (Nawet i dla mnie, który przecież w to nie wierzę). I w tej kawiarni, jak się to zwykle dzieje, zaczęliśmy ją wspominać ze wzruszeniem, tak że nawet moja antypatia do pana Pber’ Pbeia bladła w obliczu tego wspomnienia.

Wielkim sekretem pani Ph(i)Nk<sub>o</sub> było, że nigdy nie budziła w nas zazdrości. Ani nie prowokowała do plotek. To, że „chodzi do łóżka” ze swoim przyjacielem, panem De XuaeauX, było rzeczą powszechnie znaną. Ale jeśli się przebywa w jednym punkcie, to łóżko, skoro jest, zajmuje cały ten punkt, a zatem nie może być mowy o „pójściu” do łóżka, lecz tylko o „byciu” w nim, gdyż ktokolwiek jest w tym punkcie, siłą rzeczy jest także w łóżku. W rezultacie było więc nieuniknione, żeby przebywała w łóżku również z każdym z nas. Gdyby to była inna osoba, nie wiadomo co by się o niej wygadawało. Sprzątaczką była zawsze pierwsza do tego, żeby odkręcać kran z obmową, a inni nie dawali się prosić, chętnie szli w jej siady. Ileż, na przykład, musieliśmy się zawsze nasłuchać o rodzinie Z’zu: ojciec i córki, bracia i siostry, ciotki – nie cofano się przed żadną brzydką insynuacją. A z nią było inaczej: szczęście, jakim napawała mnie jej obecność, polegało jednocześnie na tym, że sam będąc punktem, kryłem się w niej, i na tym, że ją, w postaci punktu, ochraniałem w sobie; było owo szczęście kontemplacją zdrożną (zważywszy, że podobnie mogli się w niej mieszać, w postaci punktów, wszyscy inni), a zarazem czystą (zważywszy jednopunktową niepodzielność pani Ph(i)Nk<sub>o</sub>). I ostatecznie czegoż mógłbym żądać więcej?

A wszystko to, jak było prawdziwe dla mnie, tak też było prawdziwe dla każdego z nas. I dla niej również: zawierała w sobie i była zawarta w innych z jednaką radością, przyjmowała nas i kochała, i zamieszkiwała nas wszystkich

jednakowo.

Dobrze nam było razem, tak dobrze, że coś niezwykłego musiało się przecież zdarzyć. I oto wystarczyło, że w jakiejś chwili powiedziała: „Dzieci, gdybym miała troszkę miejsca, jakże chętnie zrobiłabym wam krajane kluseczki!”, a natychmiast wszyscy pomyśleliśmy o przestrzeni, jaką zajęłyby jej krągłe ramiona, poruszające się tam i z powrotem z wałkiem nad płatem ciasta, o jej torsie, nachylonym nad górą mąki i jaj na rozległej stolnicy, podczas gdy jej ręce, białe i lśniące aż po łokcie, miesiłyby i miesiły ciasto; pomyśleliśmy o przestrzeni, jaką tyle mąki musiałyby zająć, i o zbożu, z którego mąkę się miele, i o polach, na których się to zboże uprawia, i o górach, z których spływają wody do nawodnienia tych pól, i o pastwiskach, gdzie pasą się stada cieląt, które dadzą swe mięso na sos do klusek, o przestrzeni koniecznej do tego, by Słońce swymi promieniami pomagało zbożu dojrzewać, i do tego, by w obłokach gazów gwiazdnych Słońce skondensowało się i rozplómiło; i o mnóstwie gwiazd, galaktyk i gromad galaktycznych mknących w przestworzu, koniecznych do tego, aby utrzymać w zawieszeniu każdą galaktykę, każdą mgławicę, każde słońce, każdą planetę; w tej samej chwili, kiedyśmy to wszystko myśleli, przestrzeń ta nieustannie się kształtowała, a kiedy pani Ph(i)Nk<sub>o</sub> wymawiała słowa: „...krajane kluseczki, co, dzieci?” – punkt, który zawierał ją i nas wszystkich, rozciągał się w niezmierną aureolę promieni długości wielu lat świetlnych, stuleci świetlnych, miliardów tysiącleci świetlnych i oto zostaliśmy odrzuceni w cztery kąty wszechświata (pan Pber” Pbeia aż do Pawii), a ona sama przeobraziła się w jakiś szczególny rodzaj energii świetlno-ciepłej, ona, pani Ph(i)Nk<sub>o</sub>, która zamknięta w naszym małym i małostkowym światku zdolna była do wielkodusznego porywu, pierwszego w świecie („Dzieci, jakimież kluseczkami rada bym was uraczyć!”), tego prawdziwego porywu wszechogarniającej miłości, dając w ten sposób początek i pojęciu przestrzeni, i samej przestrzeni, i czasowi, i powszechnemu ciężeniu, i grawitującemu wszechświatowi, i stwarzając możliwości istnienia miliardów i miliardów słońc, planet, pól zbożowych i nawet pań Ph(i)Nk<sub>o</sub> rozsianych po wszystkich kontynentach planet i wyrabiających ciasto umączonymi, tłustymi od oliwy rękami – ona sama z tą chwilą została dla nas stracona i możemy ją tylko oplakiwać.

## Bez kolorów

Zanim Ziemia wytworzyła swoją atmosferę i ukształtowała swoje oceany, musiała wyglądać jak wirująca w przestrzeni szara kula. Było z nią tak, jak teraz jest z Księżycem: tam, gdzie promienie pozafioletkowe, wysyłane przez Słońce, docierają bez przeszkód, barwy zostają unicestwione; dlatego skały powierzchni księżycowej nie są kolorowe, jak skały ziemskie, lecz powleczone martwą, jednolitą szarością. Ziemia ukazuje swoje różnobarwne oblicze dzięki atmosferze, która stanowi filtr dla tego zabójczego światła.

Było to nieco monotonne – *przyznał Qfwfq* – ale uspokajające. W swoich dalekich i szybkich wędrówkach – tam, gdzie nie ma oporu powietrza, mknie się szybko – widziałem dokoła siebie tylko szarość i szarość. Żadnych wyraźnych kontrastów; biel prawdziwie biała, jeżeli istniała, to chyba w środku Słońca, i nie sposób się było do niej zbliżyć spojrzeniem; czerni prawdziwie czarnej nie znała nawet ciemność nocy, ze względu na wielką ilość widzialnych gwiazd. Otwierały się przede mną nieprzerwane widnokregi łańcuchów górskich, które zaczynały dopiero wyrastać, szare, wokół szarych kamiennych równin; i choćbym przewędrował całe kontynenty, nigdy nie docierałem do żadnego brzegu, gdyż oceany i rzeki, i jeziora kryły się nie wiedzieć gdzie w podziemiach.

Spotkania rzadko się zdarzały w owych czasach; było nas tak mało! Żeby móc jakoś wytrzymać z tym całym ultrafioletem, trzeba było rezygnować z nadmiernych wymagań. Zwłaszcza brak atmosfery dawał się odczuć na różne sposoby; weźmy, na przykład, meteory: waliły ze wszystkich stron, nie było bowiem stratosfery, o którą teraz uderzają jak o dach i kruszą się na drobniejsze kawałki. A poza tym ta cisza! Choćby nie wiem jak krzyżeć, bez drgań powietrza byliśmy wszyscy niemi i głusi. A temperatura? Nie było dokoła nic, co by przechowało ciepło słoneczne, z zapadnięciem nocy przychodziło takie zimno, żeśmy sztywnieli na kość. Na szczęście skorupa ziemską nagrzewała się także od spodu dzięki tym wszystkim minerałom w stanie płynnym, które zgęszczały się w trzewiach planety. Noce zaś były krótkie (podobnie jak dni: Ziemia znacznie szybciej obracała się wówczas dokoła własnej osi), sypiałem obejmując ramionami nagrzane głązy; suchy mróz panujący dokoła był nawet przyjemny. Jednym słowem, co się tyczy klimatu, mogę szczerze powiedzieć, że byłem dosyć zadowolony.

Spośród tylu rzeczy, których było nam brak, sami rozumiecie, że brak kolorów był jednym z mniej ważnych problemów. Gdybyśmy nawet wiedzieli o ich istnieniu, uznalibyśmy je za niepotrzebny luksus. Jedyną niedogodność

stanowił wysiłek wzroku, kiedy się kogoś lub czegoś szukało, bo skoro wszystko było jednakowo bezbarwne, żaden kształt nie odróżniał się wyraźnie od tego, co było za nim i dokoła niego. Dawało się wyodrębnić – i to z trudem – jedynie to, co się poruszało: toczącą się cząstkę meteorytu, zygzakowatą szparę, która rozwierała się wskutek ruchów sejsmicznych, czy odskakujący od skały kamyk.

Tego dnia biegłem po naturalnym amfiteatrze skał, porowatych niby gąbka, podziurawionych łukowatymi otworami, za którymi ciągnęły się dalsze arkady. Jednym słowem było to miejsce urozmaicone, w którym brak barw zastępowały cienie wgłębień i wypukłości. Wśród filarów tych bezbarwnych łuków dojrzałem nagle błysk, również bezbarwny, ale mknący szybko, to znikający, to pojawiający się. Były to właściwie dwa zbliżone do siebie błyski, które znikwały i pojawiały się oba jednocześnie. Nim jeszcze zdałem sobie sprawę, co to jest, już biegłem za nimi, zakochany w oczach Ayl.

W tej pogoni zapuściłem się w piaszczystą pustynię. Biegłem coraz dalej wydmami, jednakowymi, a przecież w jakiś sposób różniącymi się pomiędzy sobą. W zależności do punktu, z którego się na nie patrzyło, grzbiety wydm przypominały kształty leżących ciał. Tu rysowało się ramię przerzucone przez pierś, z dłonią podpierającą policzek nachylonej twarzy; tam zdawała się wysuwać młodzieńcza stopa o smukłych palcach. Przystanąłem, obserwując te rozmaite możliwe podobieństwa, i długa chwila minęła, zanim zdałem sobie sprawę, że mam przed oczyma nie piaszczysty grzbiet wydmy, lecz właśnie przedmiot moich poszukiwań.

Leżała zmorzona snem, bezbarwna na bezbarwnym piasku. Usiadłem koło niej. Był to czas – teraz to wiem – kiedy era pozafiołkowa dla naszej planety dobiegała końca, i to, co miało się niebawem skończyć, roztaczało u schyłku całą pełnię swojego uroku. Nigdy nic równie pięknego nie chodziło po ziemi, jak ta istota, którą miałem przed oczyma.

Ayl otworzyła oczy. Zobaczyła mnie. W pierwszej chwili, przypuszczam, nie odróżniła mnie – podobnie jak przedtem ja jej – od reszty tego piaszczystego świata, potem wyczuła we mnie czyjąś nieznajomą obecność, poznała, że to ja ją ścigałem, i złękła się. Ale w końcu zdała sobie widać sprawę, że jesteśmy z tej samej gliny, i w spojrzeniu jej zabłysło coś nieśmiałego, ale roześmianego zarazem, co sprawiło, że wydałem bezgłośny okrzyk szczęścia.

Nawiązałem rozmowę przy pomocy gestów.

– Piasek. Nie piasek – powiedziałem, wskazując najpierw wszystko dokoła nas, a potem nas dwoje.

Zrobiła znak potakujący, że tak, że zrozumiała.

– Skala. Nie skala – ciągnąłem, po prostu, aby podtrzymać rozmowę. Była to epoka, w której nie dysponowaliśmy zbyt wieloma pojęciami.

Określić, na przykład, kim byliśmy my dwoje, co było nam wspólne, a co nas różniło, stanowiło niemały problem.

– Ja. Ty nie ja – próbowałem wyrazić gestami. Najwidoczniej zrobiło jej to przykrość.

– Tak. Ty jak ja, ale trochę – poprawiłem się. Wydawała się już trochę uspokożona, ale jeszcze nieufna.

– Ja, ty, razem, biegać, biegać – próbowałem powiedzieć. Roześmiała się i uciekła.

Biegliśmy po grzbietach wulkanów. W południowej szarości rozwiane włosy Ayl i język płomieni wznoszący się z kraterów mieszały się w bezbarwnym, jednakowym trzepotaniu.

– Ogień. Włosy – powiedziałem. – Ogień jak włosy. Zdawała się rozumieć.

– Czy to nie piękne? – spytałem.

– Piękne – przytaknęła.

Słońce zniżało się już ku białawemu zachodowi. Na matowych stromych ścianach skalnych jego ukośne promienie wzniecały błyski.

– Kamienie, tam, inne. Piękne – powiedziałem.

– Nie – odparła, odwracając wzrok.

– Kamienie, tam, piękne – nalegałem, wskazując połyskliwą szarość kamieni.

– Nie. – Uparcie nie chciała na nie patrzeć.

– Tobie, ja, tamte kamienie – zaproponowałem dar.

– Nie, te! – odparła Ayl, podnosząc garść szarych, matowych kamyków Ale ja już odbiegłem. Wróciłem z błyszczącymi kamykami, które zebrałem, ale musiałem bardzo nalegać, żeby je przyjęła.

– Piękne – usiłowałem ją przekonać.

– Nie! – protestowała, ale w końcu spojrzała na kamyki; pozbawione blasku słońca były matowe, jak wszystko dokoła. I dopiero wtedy powiedziała:  
– Piękne!

Zapadła noc, pierwsza, jaką spędziłem, trzymając w ramionach coś innego niż skalę, i może właśnie dlatego noc ta wydała mi się nielitościwie krótka. O ile światło mogło w każdej chwili zatrzeć obraz Ayl, każąc mi zwątpić w jej obecność, o tyle ciemność utwierdzała mnie w tym, że ona jest.

Powrócił dzień, zabarwiając Ziemię na szaro. Szukałem wzrokiem Ayl i nie widziałem jej.

– Ayl! – zawołałem bezgłośnie. – Dlaczego uciekłaś?

Ale ona była przy mnie i także mnie szukała, a nie widząc mnie, wołała niedosłyszalnie:

– Qfwfq! Gdzie jesteś? – dopóki wreszcie nasz wzrok nie oswoił się na nowo z szarą jasnością i nie nauczył się rozpoznawać w niej bądź zarysu brwi, bądź zgięcia łokcia czy wypukłości biodra.

Byłbym chciał obsypać Ayl podarunkami, ale nic nie wydawało mi się jej godne. Szukałem czegoś, co by się w jakiś sposób odcinało od jednostajnej powierzchni globu, czegoś, co by stanowiło jakąś ryseć, jakąś plamę. Ale bardzo prędko musiałem zdać sobie sprawę, że Ayl i ja mieliśmy upodobania bardzo odmienne, jeśli nie wręcz przeciwne. Ja doszukiwałem się innego świata poza pokrywającą wszystko mdłą patyną, śledziłem każdą najmniejszą jego oznakę, każdą szczelinę (w istocie coś się po prostu zmieniało, gdzieś gdzieś jakieś błyski zaczynały rozjaśniać tę bezbarwność). Ayl natomiast była szczęśliwą mieszkanką ciszy, jaka panuje tam, gdzie wykluczone jest jakiegokolwiek drganie; dla niej wszystko, co mogło rozbić absolutną nijakość wizualną, było krzyżącym dysonansem; dla niej tam dopiero zaczynało się piękno, gdzie szarość wyzbyła się najgłębiej nawet ukrytego dążenia do stania się czymś innym aniżeli szarością.

Jakże mogliśmy się porozumieć? Nic na świecie, takim, jaki przedstawiał się naszemu spojrzeniu, nie potrafiło wyrazić tego, co odczuwaliśmy jedno dla drugiego; ale podczas gdy ja starałem się dobywać z rzeczy nieznanego drgania, ona chciała sprowadzić je do bezbarwnych zaświatów leżących poza ich esencją.

Meteoryt przemknął po niebie, w pewnej chwili znalazł się na tle Słońca. Płynna, rozplamiona otoczka meteorytu na jedno mgnienie stała się filtrem dla słonecznych promieni i nagle świat zalało nigdy dotąd niewidziane światło. U stóp pomarańczowych skał rozwierały się purpurowe przepaście.

Wyciągnąłem fioletowe ręce ku zielono jaśniejącemu bolidowi, podczas gdy z mojej krtani usiłowała się wydrzeć myśl, dla której nie istniały jeszcze słowa:

– To dla ciebie! Ode mnie dla ciebie, teraz, kiedy jest takie piękne!

Jednocześnie odwróciłem się, pragnąc zobaczyć, w jaki to nowy, nieznan sposób jaśnieje piękność Ayl w tym powszechnym przeistoczeniu; ale nie zobaczyłem jej, jak gdyby w momencie roztrzaskania się tej bezbarwnej skorupy potrafiła się ukryć, wśliznąć w szczeliny mozaiki.

– Ayl! Nie bój się, Ayl! Pokaż się i spójrz!

Ale już łuk meteorytu minął Słońce i Ziemia znalazła się znowu we władzy swojej własnej szarości, jeszcze bardziej szarej przed moimi olśnionymi oczyma, mdłej i matowej – i nie było Ayl.

Zniknęła naprawdę. Szukałem jej przez wiele dni i nocy. Była to epoka, kiedy świat wypróbowywał niejako kształty, które miał później przybierać. Wypróbowywał je na takim materiale, jaki miał do dyspozycji, nawet jeżeli nie był to materiał najodpowiedniejszy, zresztą wszystko to nie było jeszcze ostateczne. Drzewa z lawy, koloru dymu, rozpościerały pokręcone gałęzie, z których gdzieniegdzie zwisały liście z cienkich płytek łupku. Motyle z popiołu polatywały nad glinianymi łąkami, zatrzymując się w locie nad margerytkami z matowego kryształu. Ayl mogła być bezbarwnym cieniem, który kołysał się na gałęzi w bezbarwnym lesie albo schylał się, szukając szarych grzybów w szarych zaroślach. Setki razy zdawało mi się, że ją dostrzegam, i setki razy ginęła mi z oczu. Z pustynnych równin przechodziłem w okolice zamieszkane. W owym czasie, w przewidywaniu zmian, jakie miały nastąpić, nieznani konstruktorzy modelowali odległe obrazy możliwej przyszłości. Wędrowałem przez miasto stożkowatych kamiennych wieżyc, przez góry podziurkowane drażonymi w nich jaskiniami, niby jakaś wielka pustelnia. Dotarłem do portu rozwierającego się na morze błota, wszedłem od ogrodu, gdzie na piaszczystych rabatach wznosiły się ku niebu wysokie menhiry.

Na szarym kamieniu tych menhirów zaznaczały się ledwo widoczne szare żyłki. Zatrzymałem się. Pośrodku tego ogrodu Ayl bawiła się z towarzyszkami. Podrzucały w górę kulistą bryłę kwarcu i chwytaly ją w locie.

Piłka zbyt mocno rzucona znalazła się w zasięgu moich rąk i chwyciłem ją. Towarzyszki Ayl rozbiegły się w poszukiwaniu piłki, a ja, widząc, że Ayl została sama, rzuciłem piłkę w górę i złapałem ją znowu. Ayl przybiegła, ja z ukrycia podrzucałem wciąż piłkę, wabiąc Ayl coraz dalej od tamtego miejsca. Wreszcie pokazałem się, Ayl skrzyczała mnie, potem się roześmiała, i tak biegaliśmy za piłką po nieznanym nam obszarach.

W tym czasie poszczególne warstwy naszej planety starały się utrzymać w równowadze przy pomocy trzęsień ziemi. Raz po raz nagły wstrząs unosił pękającą skorupę i między Ayl a mną rozwierała się szczelina, a my stojąc po jej dwóch stronach, nadal rzucaliśmy do siebie kwarcową piłkę. Elementy zamknięte w środku Ziemi wydobywały się przez te szczeliny na zewnątrz. Widzieliśmy, jak wyłaniają się stamtąd ostrza skalne, wypływają obłoki na pół płynnej materii i tryskają wrzące fontanny.

Wciąż bawiąc się z Ayl, spostrzegłem, że tuż nad skorupą ziemską gromadzi się i zgęszcza warstwa gazów, coś na kształt oparu ścielącego się najpierw nisko i po trochu unoszącego się coraz wyżej. Dopiero co ów opar sięgał nam do kostek, teraz jesteśmy w nim pogrążeni już niemal po kolana, za chwilę sięgnie nam do bioder... Na ten widok oczy Ayl zasnuł cień



niepewności czy lęku. Nie chciałem jej niepokoić, więc jakby nigdy nic nie przerywałem zabawy, ale i ja także czułem się nieswojo.

Czegoś takiego doprawdy nigdyśmy nie widzieli: olbrzymia płynna bania wzdymała się wokół Ziemi, spowijając ją całą. Jeszcze trochę, a okryje nas od stóp do głów i kto wie, jakie mogą być tego skutki.

Rzuciłem Ayl piłkę na drugą stronę rozwartej pomiędzy nami szczeliny, ale rzut okazał się z niezrozumiałej dla mnie przyczyny o wiele za krótki i piłka wpadła w szczelinę. Stała się nagle bardzo ciężka, a raczej nie, to szczelina rozszerzyła się, zmieniła w ogromną otchłań i Ayl była teraz bardzo daleko, po drugiej stronie falującego przestworu, który się między nami pojawił, rozkołysany, uderzający spienionymi falami o skalisty brzeg. Pochylałem się nad tym brzegiem wołając:

– Ayl! Ayl! – I głos mój, dźwięk, właśnie dźwięk mego głosu, rozlegał się tak mocno, jak nigdy sobie tego nawet nie wyobrażałem, a fale szumiały jeszcze głośniej. Jednym słowem, nie rozumiało się już nic a nic.

Podniosłem ręce do ogłuszonych hałasem uszu i w tejże chwili poczułem także potrzebę zaciśnięcia nosa i ust, żeby uchronić się przed wdychaniem tej mocnej mieszaniny tlenu i azotu, która mnie zewsząd otaczała. Ale najsilniejszy ze wszystkich był impuls, który kazał mi zasłonić oczy, bo czułem się tak, jakby się miały rozpęknąć.

Płynna masa rozlewająca się u moich stóp przybrała nagle nową, oślepiającą barwę i musiałem wyrzucić z siebie nieartykułowany krzyk, który od tamtej chwili miał nabrać ściśle sprecyzowanego sensu:

– Ayl! Morze jest błękitne!

Wielka zmiana, oczekiwana już od tak dawna, nareszcie oto nastąpiła. Na Ziemi było teraz powietrze i woda. A nad tym błękitnym, dopiero co zrodzonym morzem zachodziło Słońce, także już kolorowe, i to barwy zupełnie innej i jeszcze znacznie silniejszej. Toteż czułem nieodpartą potrzebę wydawania w dalszym ciągu bezsensownych okrzyków w rodzaju:

– Jakie czerwone jest Słońce, Ayl! Ayl, jak czerwono!

Zapadła noc. A teraz i ciemność była jakaś inna. Biegałem w poszukiwaniu Ayl, wydając raz po raz okrzyki bez ładu ni składu, chcąc wyrazić to, co myślałem:

– Gwiazdy są żółte! Ayl! Ayl!

Nie odnalazłem jej tamtej nocy ani też w ciągu dni i nocy, które po niej nastąpiły. Dokoła świat roztaczał kolory coraz to nowe, różowe obłoki zgęszczały się w sinawe cumulusy, strzelając złocistymi błyskawicami. Po burzach tęcze ukazywały barwy jeszcze nigdy nieoglądane, we wszystkich

możliwych kombinacjach. Rozpoczęło się także najście chlorofilu, mchy i paprocie zieleniły się w wąwozach, którymi pędziły strumienie. Oto była nareszcie sceneria godna piękności Ayl, a jej nie było! A bez niej cała ta wielobarwna wspaniałość wydawała mi się teraz marnotrawstwem.

Znów przebiegałem Ziemię, oglądałem to wszystko, co przedtem znałem jako szare, wciąż na nowo oszałamiany odkryciem, że płomień jest czerwony, lód biały, niebo niebieskie, ziemia brunatna i że rubiny miały barwę rubinową, topazy barwę topazu, a szmaragdy były szmaragdowe. A Ayl? Nie starczyło mi fantazji, żeby ją sobie wyobrazić taką, jaka mogłaby się ukazać moim oczom.

Odnalazłem ogród menhirów, teraz zieleniący się drzewami i trawą. W lśniących sadzawkach pływały czerwone, żółte i niebieskie ryby. Towarzyszki Ayl nadal bawiły się na łąkach, rzucając piłką o tęczyowych błyskach. Ale jakże były zmienione! Jedna była blondynką o białej cerze, inna brunetką o cerze oliwkowej, jeszcze inna kasztanowata i rumiana, a jedna zupełnie ruda, cała usiana mnóstwem zachwycających piegów.

– A Ayl! – zawołałem. – A Ayl? Gdzież ona? Jak wygląda? Dlaczego nie ma jej tu z wami?

Usta dziewcząt były czerwone, białe zęby, języki i dziąsła różowe. Różowe były także koniuszki piersi. Oczy – błękitne jak akwamaryna, czarne jak tarczki, orzechowe albo amarantowe.

– Ayl... – mówiły. – Jej już nie ma... Nie wiemy... – i wracały do swojej zabawy.

Usiłowałem wyobrazić sobie włosy Ayl i jej skórę we wszystkich możliwych kolorach, ale nie umiałem i przebiegałem powierzchnię globu nie przestając jej szukać.

Jeżeli tu na wierzchu jej nie ma, myślałem, to znaczy, że musi być pod spodem. I skorzystałem z pierwszego, jakie się trafiło, trzęsienia ziemi, żeby rzucić się w rozwierającą się szczelinę i zagłębić we wnętrzu Ziemi.

– Ayl! Ayl! – wołałem w ciemności. – Ayl! chodź, zobacz, jak pięknie jest na świecie!

Kiedy umilkłem, żeby nabrać tchu, odpowiedział mi głos Ayl, spokojny, przyciszony:

– Psst. Tu jestem. Czemu tak krzyczysz? Czego chcesz? Nic nie było widać.

– Ayl! Wyjdź ze mną! Żebyś wiedziała, tam na wierzchu...

– Nie podoba mi się tam.

– Ależ, dawniej...

– Dawniej było dawno. Teraz jest inaczej, odkąd nastąpiło to całe okropieństwo.

– Ależ nie – skłamałem – to była tylko chwilowa zmiana oświetlenia. Jak wtedy z meteorytem! Już się skończyło. Wszystko jest znowu tak samo, jak było. Chodź, nie bój się.

Jeżeli wyjdzie, pomyślałem, to po pierwszej chwili oszołomienia przywyknie do kolorów, będzie zadowolona i zrozumie, że kłamałem dla jej dobra.

– Mówisz prawdę?

– A czemu miałbym cię bujać? Chodź, daj się stąd wyprowadzić.

– Nie. Idź pierwszy. Ja pójdę za tobą.

– Ale ja nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę.

– Zobaczysz mnie wtedy, kiedy ja zechcę. Idź naprzód i nie oglądaj się.

Wstrząsy telluryczne otwierały przed nami drogę. Warstwy skaliste rozchyłały się wachlarzowato, a my posuwaliśmy się pomiędzy nimi. Słyszałem za sobą lekkie kroki Ayl. Jeszcze jeden wstrząs i już byliśmy na zewnątrz. Biegłem poprzez płyty bazaltowe i granitowe, które rozwierały się niby karty książki. Już dostrzegłem wyłom, który miał nas wyprowadzić na wolne powietrze, już za skalnym zrębem widać było skorupę ziemską, skąpaną w słońcu i zieleni, już światło zaczynało do nas docierać. Teraz, za chwilę, zobaczę, jak kolory zapalają się na twarzy Ayl... Odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć.

Usłyszałem jej krzyk, cofała się na powrót w ciemność, moje oczy oślepione światłem w pierwszej chwili nic nie mogły rozróżnić, potem grzmot towarzyszący trzęsieniu ziemi wszystko zagłuszył i nagle tuż obok spiętrzyła się pionowa skalna ściana, rozdzielając nas.

– Ayl! Gdzie jesteś? Próbuj przedostać się na tę stronę, prędko, zanim skała osiadzie!

I biegałem bezradnie wzdłuż skalnej ściany, szukając przejścia, ale szara skała stała gładka i lita, bez najmniejszej szczelinki.

Olbrzymi łańcuch górski ukształtował się w tym miejscu. Zostałem wyrzucony na zewnątrz, Ayl natomiast pozostała po tamtej stronie skalnej ściany, uwięziona w trzewiach Ziemi.

– Ayl! Gdzie jesteś, Ayl? Dlaczego nie ma cię tutaj?

Błądziłem spojrzeniem po krajobrazie rozciągającym się u moich stóp. I nagle wszystko to – łąki zielone jak groszek, na których rozkwitały pierwsze szkarłatne maki, pola kanarkowożółte i płowe pasmo wydm spadających ku morzu pełnemu turkusowych błysków – wszystko to wydało mi się tak mdłe, banalne, fałszywe, tak bardzo kontrastujące z osobą Ayl, ze światem Ayl, z jej pojęciem piękna, że zrozumiałem, iż jej miejsce nigdy nie mogłoby być po tej

stronie. Z bólem i trwogą zdałem sobie sprawę, że ja właśnie po tej stronie zostałem i nigdy już nie zdołam uciec od tych złotych i srebrnych błysków, od tych obłoczków, które z błękitnych stawały się różowe, od tych zielonych listków, co żółkną każdej jesieni, i że doskonały świat Ayl jest dla mnie stracony na zawsze. Teraz już nawet nie umiałem go sobie wyobrazić, nie pozostało mi nic, co by mi go mogło przypomnieć, choćby z daleka – nic prócz tej zimnej ściany z szarego kamienia.

## Zabawy bez końca

Kiedy galaktyki się oddalają, rozrzedzenie wszechświata kompensują nowe galaktyki, powstałe z materii, która trzyma się *de novo*. Dla utrzymania w stanie niezmiennym średniej gęstości materii we wszechświecie wystarczy, żeby na każde 250 milionów lat wytwarzał się jeden nowy atom wodoru na 40 cm<sup>3</sup> przestrzeni będącej w ekspansji. (Teoria ta, zwana „teorią stanu stacjonarnego”, przeciwstawia się innej hipotezie, jakoby wszechświat powstał w jakimś określonym momencie w wyniku gigantycznej eksplozji).

Byłem wtedy dzieckiem, a jednak zdawałem sobie z tego sprawę – *opowiadał Qfwfq*. – Atomy wodoru znałem dobrze, każdy z osobna, i kiedy wyskakiwał nowy, spostrzegałem go natychmiast. W czasach mego dzieciństwa w całym wszechświecie nie mieliśmy do zabawy nic innego prócz tych atomów wodoru, bawiliśmy się też nimi, ja i jeden chłopiec w moim wieku, który nazywał się Pfwfp.

Na czym polegała ta zabawa? To bardzo proste. Przestrzeń jest, jak wiadomo, krzywa i my po tej krzywiźnie puszczaliśmy atomy jak kulki do gry, i ten wygrywał, czyj atom doleciał dalej. Wyrzucając atom, trzeba było dobrze obliczyć wszystkie możliwe efekty, trajektorie, trzeba było umieć wykorzystywać pola magnetyczne i pola grawitacji, inaczej kulka wylatywała z toru i zostawała wyeliminowana z gry.

Reguły były takie jak zwykle: atomem mogłeś trącić inny swój atom i pchnąć go naprzód, mogłeś też trafić i wyeliminować atom przeciwnika. Oczywiście trzeba było uważać, żeby nie trącić zbyt mocno, bo ze zderzenia dwóch atomów wodoru, tik! – mógł się wytworzyć deuter albo nawet atom helu, a takie atomy były już dla gry stracone; nie dość na tym, jeżeli jeden z dwóch atomów należał do przeciwnika, musiałeś mu zwrócić za niego inny.

Wicie, jak to jest z krzywizną przestrzeni. Taka kuleczka obraca się i obraca, a w pewnej chwili zaczyna staczać się po pochyłości i już jej nie złapiesz. Toteż w toku gry ilość atomów do niej używanych stale się zmniejszała, a pierwszy z nas, który stracił je wszystkie, przegrywał partię.

Ale w krytycznym momencie zawsze wyskakiwały nowe atomy. Taki nowy atom różnił się oczywiście bardzo od atomu już zużytego. Nowe były lśniące, jasne, świeżutkie, wilgotne jakby od rosy. Ustaliliśmy nowe pravidła: że jeden nowy wart był trzy stare i że nowymi atomami, które zaledwie się wyklują, mieliśmy się dzielić sprawiedliwie.

Tak więc nasza zabawa nigdy się nie kończyła i nigdy nie byliśmy nią znudzeni, bo za każdym razem, kiedy stawaliśmy do gry z nowymi atomami,

wszystko zdawało nam się nowe i zaczynaliśmy zabawę z takim zapalem, jakbyśmy grali po raz pierwszy.

Potem, z biegiem czasu, tempo gry osłabło. Nowych atomów wcale jakoś nie było widać, straconych nie było czym zastąpić, nasze rzuty stawały się słabsze, niepewne, gdyż baliśmy się stracić resztę kulek, jeżeli potoczą się w ten gładki, nagi przestwór.

Pfwfp także się jakoś zmienił: uchylał się od gry, wędrował gdzieś samopas, znikał, kiedy przychodziła jego kolej, wołałem go, a on nie odpowiadał, pojawiał się ni stąd, ni zowąd po pół godzinie.

- No, co z tobą, twój rzut, nie chcesz już grać?
- Ależ tak, chcę, nie zrzedź, już strzelam.
- No, dobra. Ale jak będziesz tak odchodził, to koniec zabawy.
- Ech, złościsz się, bo przegrywasz.

I tak było; zostałem bez atomów, podczas gdy Pfwfp, nie wiadomo jakim sposobem, miał zawsze jeden w zapasie. Nie miałem już nadziei na odegranie się, chyba że wyskoczyłyby nowe atomy, które moglibyśmy między siebie rozdzielić.

Kiedy Pfwfp znowu się gdzieś oddalił, poszedłem za nim na palcach. Dopóki był nisko, zdawał się wałęsać bez celu, pogwizdując z roztargnieniem. Ale kiedy myślał, że już go nie widzę, ruszał w przestwór zdecydowanie, jak ktoś, kto ma w głowie gotowy plan. A jaki to był plan, a raczej jakie oszukaństwo, o czym się zaraz przekonacie, odkryłem bardzo szybko. Pfwfp znał wszystkie miejsca, w których tworzyły się nowe atomy, i obchodził je od czasu do czasu, zbierając świeżuteńkie atomy, które potem ukrywał. Dlatego nigdy nie brakowało mu ich do gry!

Ale zanim je użył do gry, ten niepoprawny oszust nadawał im wygląd atomów starych, drapał i pocierał błonkę elektronów, aż robiła się matowa i nieświeża, żeby móc przede mną udawać, że to jakiś jego stary atom, przypadkiem znaleziony w kieszeni.

Nie koniec na tym; przeliczywszy szybko w myśli ilość atomów użytych do gry, przekonałem się, że to tylko nieznaczna część tych wszystkich, które on kradł i chował. Czyżby chciał zmagazynować sobie większą ilość wodoru? W jakim celu? Jakie on miał zamysły?

Zacząłem podejrzewać, że Pfwfp chciał skonstruować sobie własny wszechświat, zupełnie nowy.

Od tej chwili nie zaznałem już spokoju. Musiałem odpłacić mu pięknym za nadobne. Mógłbym robić tak jak on, teraz, kiedy znałem miejsca, zjawiałbym się tam chwilę przed nim i zbierałbym dopiero co wyklute atomy, zanim on

położy na nich łapę! Ale to byłoby zbyt proste. Chciałem, żeby wpadł w pułapkę godną jego własnej perfidii. Przede wszystkim zacząłem fabrykować fałszywe atomy. Kiedy on wyruszał na swoje złodziejskie wyprawy, ja w mojej tajemnej kryjówce mieszałem, dozowałem i ugniatałem w kulki cały materiał, jaki miałem do dyspozycji. W gruncie rzeczy zasoby te były raczej skromne: promienie fotoelektryczne, opiłki pól magnetycznych, tu i ówdzie jakiś neutron zgubiony po drodze. Ale tak długo kręciłem z tego pigułki, zwilżając śliną, aż w końcu wszystko jakoś się razem trzymało. Krótko mówiąc, pitrasilem malusieńkie ciała, których po bliższym zbadaniu nikt nie mógłby uznać za wodór czy jakikolwiek inny znany pierwiastek, ale które w oczach kogoś, kto jak Pfwfp spiesznie i ukradkiem zbierał je i wrzucał do kieszeni, mogły uchodzić za najprawdziwszy świeżutki wodór.

No i podczas gdy on jeszcze nic nie podejrzewał, wyruszyłem przed nim w znaną mi już drogę. Miejsca zakarbowane sobie przedtem dobrze w pamięci.

Przestrzeń jest zakrzywiona wszędzie, ale są punkty, w których ta krzywizna jest wyraźniejsza niż gdzie indziej – rodzaj worków czy wąskich wgłębień, gdzie próżnia kuli się i owija wokół samej siebie. W tych właśnie wgłębieniach regularnie co dwieście pięćdziesiąt milionów lat tworzy się, brzęcząc cichutko jak perła w zacisznej skorupce ostrygi, lśniący atom wodoru. Przychodziłem, chowałem atom do kieszeni i na jego miejscu zostawiałem atom podrabiany. Pfwfp nic nie zauważał; zachłanny, nienasycony, napełniał kieszenie tym śmieciem, a ja tymczasem gromadziłem prawdziwe skarby, jakie wszechświat krył w swoim łonie.

W naszej grze role się odwróciły – ja miałem zawsze świeże atomy, a stare, zużyte atomy Pfwfp stale chybiały celu. Trzy razy próbował rzutu i trzy razy atom rozprysnął się w przestrzeni. Teraz Pfwfp szukał wszelkich możliwych wymówek, żeby się od gry wykręcić.

– No, dalej – nagliłem – jeżeli nie rzucasz, to wygrana jest moja. Aon:

– Nieprawda, jeżeli atom jest zepsuty, grę się unieważnia i zaczyna się od początku.

Była to oczywiście reguła, którą właśnie w tej chwili wymyślił. Ale ja nie dawałem mu spokoju, tańczyłem dokoła niego, wskakiwałem mu na grzbiet, podśpiewując:

– *Rzucajrzuczajrzucajrzuczaj*

*Jak nie rzucasz to cię wyrzucam*

*Ilu rzutów nie wyrzucisz*

*Tyle rzutów rzucę ja.*

- Mam tego dość – powiedział Pfwfp – bawmy się w co innego.
- Dobra – mówię na to – czemu nie mielibyśmy puszczać w górę galaktyk?
- Galaktyk? – Pfwfp rozpromienił się zadowolony. – Doskonale! Ale ty...

Ty przecież nie masz żadnej galaktyki!

- Owszem, mam.
- Ja także!
- No, to jazda! Kto puści wyżej!

I wyrzuciłem w przestrzeń wszystkie nowe atomy, które miałem schowane. W pierwszej chwili wyglądały, jakby się miały rozproszyć, potem zaczęły się skupiać, tworząc lekki obłoczek, obłoczek ten rósł, rósł, w jego wnętrzu pojawiły się rozplamione zgęszczone jądra, które wirowały, wirowały, aż wreszcie stały się spiralą nigdy niewidzianych konstelacji. Spirala tryskała w przestworze, uciekając coraz dalej i dalej, a ja pędziłem za nią, trzymając ją za ogon. Teraz to już nie ja puszczałem galaktykę w przestwór, to ona unosiła mnie uwieszona u swego ogona. A właściwie nie istniało już żadne „wyżej” i żadne „niżej”, tylko przestwór wciąż ogromniejący i galaktyka pośrodku przestworu, także coraz ogromniejsza, i ja, zawieszony na niej, strojący miny w kierunku Pfwfp, odległego już o tysiące lat świetlnych.

Pfwfp zaraz po moim rzucie czym prędzej wydobył całe swoje bogactwo i wyrzucił je w górę z szerokim rozmachem, jak ktoś, kto spodziewa się ujrzeć rozwierające się w niebie skręty bezkresnej galaktyki. Ale nic takiego się nie stało. Cichy syk, krótki błysk i koniec.

– To już wszystko? – krzyknąłem do Pfwfp, który wrzeszczał za mną, pozieleniały z wściekłości:

- Ja ci pokaże, ty psie Qfwfq!

Ale ja i moja galaktyka płynęliśmy już w przestworzu pośród tysięcy innych galaktyk, a moja była ze wszystkich najnowsza i cały firmament jej zazdrościł, tak iskrzyła się młodym wodorem, młodziutkim berylem i zupełnie dziecięcym węglem. Stare galaktyki uciekały przed nami spuchnięte z zawiści, my zaś, dumni i wzgardliwi, uciekaliśmy od nich, widząc, jakie są stare i ociężałe. W tej obustronnej ucieczce mknęliśmy poprzez przestworza coraz bardziej rozrzedzone i puste i oto nagle pośród pustki dostrzegłem niepewne błyski światła. Były to nowe galaktyki, utworzone z materii dopiero co zrodzonej, nowsze od mojej! I niebawem przestrzeń była już znowu zapełniona, jak winnica przed winobraniami, i mknęło się tak, uciekając od siebie nawzajem, moja galaktyka uciekała od młodszych i od starych, ale tamte – i te młodsze, i te stare – uciekały od nas. Uciekaliśmy wszyscy w puste nieba, ale i te puste wnet się zapełniały, i tak wciąż od nowa.



W jednym z takich momentów zapełniania się cóż ja słyszę: „Qfwfq, teraz mi zapłacisz, zdrajco!”, i widzę nowiuteńką galaktykę mknącą naszym śladem, a na samym koniuszku jej spirali, wychylony ku mnie, mój stary kompan Pfwfp obrzuca mnie gradem gróźb i obraźliwych epitetów.

Rozpoczął się pościg. Tam, gdzie przestrzeń wznosiła się do góry, galaktyka Pfwfp, młoda i chyża, nabierała większej szybkości, tam za to, gdzie przestwór opadał ku dołowi, moja galaktyka, cięższa, odzyskiwała przewagę.

Wiadomo, na czym polega sekret każdego wyścigów: wszystko zależy od tego, jak się bierze zakręty. Galaktyka Pfwfp miała skłonność do ścinania ich, moja natomiast do brania szerokich wiraży. Zbyt szerokich, bo raptem wyrzuciło nas poza obręb przestrzeni, Pfwfp zaś znalazł się za nami. Mkniemy więc dalej, stosując system ten sam, co zawsze w takich wypadkach, mianowicie stwarzając przestrzeń przed sobą w miarę posuwania się.

Tak więc przed sobą miałem nicość, a za sobą nienawistną gębę ścigającego mnie Pfwfp – jedno i drugie równie antypatyczne. Z dwojga złego wolałem patrzeć przed siebie. I cóż widzę? Pfwfp, którego dopiero co straciłem z oczu w tyle za sobą, mknął na swojej galaktyce przede mną.

– Ach! – krzyknąłem. – Teraz ja będę cię ścigał!

– Jak to? – odkrzyknął Pfwfp, sam nie wiem, za mną czy przede mną – to przecież ja ścigam ciebie!

Odwracam się: Pfwfp w dalszym ciągu depcze mi po piętach. Obracam się i patrzę przed siebie: najwyraźniej ucieka przede mną, widzę jego plecy. Ale wyteżywszy lepiej wzrok, dostrzegam przed jego galaktyką jeszcze inną, a ta inna to przecież moja, wyraźnie poznaję na niej siebie, nie sposób się omylić, chociaż widzę tylko plecy. Odwracam się i widzę Pfwfp, który mnie goni, a za nim, wyteżając wzrok, widzę, że jego galaktykę goni inna, moja, ze mną na czubku – ze mną, który właśnie w tej chwili odwracam się, żeby spojrzeć za siebie.

Tak więc za każdym razem Qfwfq był Pfwfp, a za każdym Pfwfp był Qfwfq i każdy Pfwfp gonił jakiegoś Qfwfq, i na odwrót. Odległości między nami to się trochę skracały, to znów wydłużały, ale teraz było już jasne, że żaden z nas nigdy tego drugiego nie dopędzi. Straciliśmy wszelką chęć do wyścigów, zresztą nie byliśmy już dziećmi, ale przecież nic innego nam nie pozostawało.

## Wuj ryba

Pierwsze kręgowce, które w okresie karbonu porzuciły życie wodne dla lądowego, pochodziły od ryb o kostniejącym szkielecie, zaopatrzonych w płuca oraz w płetwy dające się podwinąć pod korpus i mogące służyć na lądzie jako nogi.

Było już jasne, że czasy wodnego życia kończyły się – *wspominał stary Qfwfq* – coraz więcej było takich, którzy zdecydowali się uczynić wielki krok, nie było rodziny, która nie miałaby kogoś ze swoich bliskich na suchym lądzie, wszyscy opowiadali nadzwyczajne rzeczy o tym, co jest na lądzie do zrobienia, i starali się ściągnąć do siebie krewnych. Teraz rybiej młodzieży nie można było utrzymać, biła płetwami o przybrzeżny muł, żeby zobaczyć, czy dadzą się użyć jako łapy, jak to się już udało niektórym bardziej uzdolnionym. W tym też okresie zaczęły się zaznaczać między nami wyraźne różnice; była na przykład rodzina, od wielu pokoleń żyjąca na lądzie, w której młodzież ostentacyjnie okazywała sposób bycia już nawet nie ziemno-wodnych płazów, ale nieomal gadów; były też inne, uporczywie trwające w stadium ryb, można nawet powiedzieć, że ich członkowie stawali się jeszcze bardziej rybami niż dawniej, kiedy być rybą było w powszechnym zwyczaju.

Nasza rodzina, muszę to podkreślić, z dziadkami na czele, dreptała w komplecie po plaży, jak gdybyśmy nigdy innego życia nie znali. I gdyby nie upór wujecznego dziadka N'ba N'ga, nasze kontakty ze światem wodnym ustałyby od dawna.

Tak, mieliśmy wujecznego dziadka rybę, brata naszej babki ze strony ojca, pochodzącej z rodu dewońskich Celacantów (tych słodkowodnych; są to skądinąd kuzyni tamtych, ale nie chcę tu rozwodzić się zbyt długo nad koligacjami, za którymi i tak nikt nie trafi). Tak więc ten wuj zamieszkiwał płytkie, muliste wody, wśród korzeni roślin protoiglastych, w tej odnodze laguny, gdzie urodzili się wszyscy nasi starsi krewni. Nigdy się stamtąd nie ruszał; wystarczało o jakiegokolwiek porze posunąć się na skraj strefy roślinności wodnej, do miejsca, gdzie zaczynało się grzęznąć w mulistym dnie, żeby tuż blisko, o parę stóp od brzegu, zobaczyć słup banieczek, które on, sapiąc, wypuszczał w górę, jak to się często daje zauważyć u osobników w podeszłym wieku, albo zobaczyć rozplływający się w wodzie ciemny obłoczek mułu poruszonego jego wydłużonym pyszczkiem: rył tak ciągle, bardziej z przyzwyczajenia, niż żeby czegoś naprawdę szukał.

– Wuju N'ba N'ga! Przyszliśmy wujaszka odwiedzić! Czy się nas wuj spodziewał? – wołaliśmy, pluskając w wodzie nogami i ogonem, żeby zwrócić

na siebie jego uwagę. – Przynieśliśmy wujowi nowe owady, które u nas żyją! Czy wuj kiedy widział takie ogromne żuki? Proszę skosztować, będą wujaszkwowi smakowały...

– Możecie sobie swoimi śmierdzącymi żukami czyścić te obrzydliwe brodawki, co je macie na grzbietach!

Odpowiedzi wuja były zawsze w tym mniej więcej stylu albo jeszcze bardziej grubiańskie. Za każdym razem tak nas witał, ale nie przejmowaliśmy się tym, wiedząc, że niebawem się udobrucha, wdzięcznie przyjmie nasze dary i zacznie rozmowę w uprzejmym tonie.

– Ależ jakie tam brodawki, wuju N’ba N’ga? Kiedyż to wuj widział u nas jakieś brodawki?

Te brodawki stanowiły mocno zakorzenione uprzedzenie wszystkich starych ryb. Panowało wśród nich przekonanie, że my, którzy żyjemy na lądzie, mamy na całym ciele brodawki wydzielające jakąś ciecz. Była to prawda, ale tylko w odniesieniu do ropuch, z którymi nie mieliśmy nic wspólnego. Nasza skóra była, przeciwnie, gładka i śliska; równie gładkiej i śliskiej nie miała nigdy żadna ryba. Wuj wiedział o tym doskonale, mimo to jednak nie pomijał sposobności, by naszpikować swoje wypowiedzi wszystkimi kalumniami i uprzedzeniami, wśród których wyrósł.

Składaliśmy wujowi wizytę raz do roku, cała rodzina naraz. Była to dla nas jedyna okazja do spotkania, ponieważ na lądzie żyliśmy w rozproszeniu. Korzystaliśmy z niej, żeby podzielić się nowinami, poczęstować się nawzajem jadalnymi owadami oraz podyskutować o nigdy niedoprowadzonych do skutku interesach.

Wuj wypytywał nas o sprawy dalekie od niego o całe kilometry suchego lądu, jak na przykład podział terenów łowieckich – chodziło o polowanie na łątki – i przyznawał rację temu czy tamtemu wedle swoich własnych kryteriów, które były zawsze kryteriami istoty wodnej.

– Ależ czy nie wiesz, że kto poluje na dnie, ma zawsze przewagę nad tym, kto poluje na powierzchni? O cóż w takim razie tak się troszczysz?

– Ależ wuju, tu wcale nie wchodzi w grę powierzchnia czy dno. Ja stoję u podnóża pagórka, a on w połowie zbocza... Pagórki, rozumie wuj...

A on na to:

– U podnóża skał znajdują się zawsze najlepsze raki.

Nie było sposobu zmuszenia go, żeby przyjął do wiadomości rzeczywistość odmienną od jego własnej.

A jednak jego sądy nadal cieszyły się u nas wszystkich dużym autorytetem; zasięgaliśmy jego rady w kwestiach, na których się nic a nic nie znał, chociaż

wiedzieliśmy, że może się gruntownie mylić. Możliwe, że ten jego autorytet pochodził właśnie stąd, że wuj był niejako reliktem przeszłości i posługiwał się staroświeckimi wyrażeniami i porzekadłami w rodzaju: „Brawo, pletwy w dół!”, których właściwy sens nie bardzo rozumieliśmy.

Próbowaliśmy wielokrotnie i wytrwale sprowadzić go do nas na ląd, a nawet można powiedzieć, że na tym punkcie istniała niewygasająca rywalizacja między poszczególnymi odgałęzieniami rodziny, gdyż ten, komu udałoby się zainstalować wuja w domu, zdobyłby niewątpliwie przodującą pozycję w stosunku do wszystkich pozostałych krewnych. Ale rywalizacja ta nie miała żadnych widoków powodzenia, wujowi bowiem nawet się nie śniło porzucać lagunę.

– Wuju, wuj osiągnął już piękny wiek... nie ma wuj pojęcia, jak nam przykro pozostawiać go tak zawsze samego w tej wilgoci. Więc wpadliśmy na pomysł... – próbowaliśmy perswadować.

– No, byłem pewien, że wreszcie kiedyś to zrozumiecie – przerywał staruszek – znudziło wam się na koniec dreptać po suchym, słusznie postanowiliście wrócić do normalnego życia. Wody tu starczy dla wszystkich, a co się tyczy jedzenia, nigdy jeszcze nie było tak dobrego sezonu na dżdżownice. Możecie włączyć do kąpieli choćby zaraz i więcej o tym nie mówmy.

– Ależ nie, wuju N’ba N’ga, wuj nas źle zrozumiał... My chcieliśmy zabrać wujaszka do nas, na piękną łączkę... Zobacz wuj, jak mu tam będzie wygodnie, wykopimy wujowi wilgotny, chłodny rowek, będzie sobie wuj po nim pływał nie gorzej niż tutaj. A może popróbuje wuj też zrobić parę kroków na brzegu, na pewno się uda. W wuja wieku klimat lądowy jest bardziej wskazany. No więc, wuju N’ba N’ga, niechże wuj nie da się prosić. Idziemy?

– Nie! – odpowiedź była krótka i sucha, po czym wuj zanurkował pyszczkiem w wodę i zniknął nam z oczu.

– Ale dlaczego, wuju, nie możemy zrozumieć, co ma wuj przeciwko temu, skąd przy wuja szerokich horyzontach takie uprzedzenia...

Z potężnym sapnięciem doszła nas ostatnia odpowiedź wuja, zanim żwawym uderzeniem ogona odbił się i zanurzył głębiej:

– Niech szura brzuchem po błocie, kto ma pchły pod łuskami!

Było to zapewne jakieś stare porzekadło z jego czasów, odpowiednik naszego nowszego i bardziej związłego przysłowia: „Niech ten się drapie, kogo śwędzi”. Pogardliwego określenia „błoto” wuj używał w każdym wypadku, w którym my powiedzielibyśmy „ziemia”.

W tym to mniej więcej czasie zakochałem się. Całe dni spędzałem z LII na gonitwach; nikt nie mógł się z nią równać pod względem chyżości. Na

paprocie, które w owym czasie były wysokie jak drzewa, wbiegała z rozpędu na sam czubek; wtedy paproć chyliła się niemal do ziemi, a ona zeskakiwała i biegła dalej. A ja za nią, zawsze trochę wolniej i niezdarnie. Zapuszczaliśmy się na tereny w głębi łądu, gdzie niczyj ślad jeszcze nigdy nie zaznaczył się na suchej, spękanej ziemi. Czasem zatrzymywałem się przerażony, że tak daleko odbiegłem od wód laguny. Ale nic nie wydawało się równie odległe od życia w wodzie jak ona, LII. Jej światem były piaszczyste i kamieniste pustynie, gęstwiny leśne, skaliste wzniesienia, góry kwarcowe. Świat ten wydawał się stworzony specjalnie po to, by na niego spoglądała swoimi podłużnymi oczami i przebiegała go swoim tanecznym krokiem. Gdy się patrzyło na jej gładziutką skórę, można było zapomnieć, że jakieś łuski czy skorupy kiedykolwiek w ogóle istniały.

Krewni LII trochę mnie onieśmielali; stanowili jedną z tych rodzin, które, osiadłszy na łądzie już bardzo dawno, uwierzyły z czasem, że żyły na nim zawsze; jedną z tych rodzin, w których teraz nawet jajka, zabezpieczone mocną skorupką, składało się w miejscach suchych. Patrząc na LII, na jej podskoki, na zręczne i szybkie ruchy, łatwo było uwierzyć, że przyszła na świat w swojej obecnej postaci, wykluła się z jajka ogrzanego ciepłym piaskiem i promieniami słońca, przeskoczywszy fazę pływającej kijanki, fazę, która w naszych mniej zaawansowanych rodzinach była jeszcze obowiązująca.

Nadeszła pora, gdy wypadało, żeby LII poznała moją rodzinę, a że najstarszy i najbardziej szanowany spośród krewnych był wujeczny dziadek N'ba N'ga, nie mogłem zaniedbać złożenia mu wizyty i przedstawienia mu mojej narzeczonej. Ale ilekroć trafiała się okazja, tchórzyłem; znając poglądy, w jakich LII była wychowana, nigdy jeszcze nie odważyłem się jej powiedzieć, że brat mojej babki jest rybą.

Pewnego dnia zawędrowaliśmy aż na wilgotny wysoki brzeg nad laguną, gdzie grunt nie jest piaszczysty, lecz składa się w większej części ze splecionych korzeni i zbutwiałych szczątków roślin. LII swoim zwyczajem zaproponowała mi coś w rodzaju zawodów czy próby odwagi:

– Qfwfq, jak długo potrafisz utrzymać równowagę? Spróbujmy, kto będzie biegł bliżej krawędzi urwiska! – i pobiegła naprzód w podskokach, ale jakby z wahaniem.

Tym razem czułem się na siłach nie tylko jej dorównać, ale ją zwyciężyć, bo na wilgotnym gruncie moje łapy służyły mi dużo pewniej.

– Samiutką krawędzią, jeśli chcesz! – wykrzyknąłem. – Albo i poza nią!

– Nie mów głupstw! – ona na to. – Jak możesz biec za krawędzią? Tam przecież jest woda!

Była to doskonała okazja, żeby skierować rozmowę na wuja.

– No to co? – powiedziałem. – Jedni się poruszają po tej stronie, a inni po tamtej.

– Mówisz głupstwa bez ładu i składu!

– A ja ci mówię, że mój wujeczny dziadek N’ba N’ga mieszka w wodzie, jak my na łądzie, i nigdy z niej nie wychodzi!

– A jakże! Chciałabym zobaczyć tego N’ba N’ga!

Nie zdążyła jeszcze dopowiedzieć zdania do końca, kiedy mętna powierzchnia laguny zaroła się banieczkami, zawirowała i wyłonił się z niej pysk cały pokryty kolczastą łuską.

– No? To ja. O co chodzi? – odezwał się wuj, wpatrując się w LU swymi okrągłymi oczyma, tak pozbawionymi wyrazu, jakby były z kamienia; po obu stronach ogromnej gardzieli pulsowały mu skrzela. Nigdy jeszcze wuj nie wydawał mi się tak dalece odmienny od nas, po prostu monstualny.

– Wuju, proszę pozwolić, to jest... pragnąłbym przedstawić wujowi... moją narzeczoną, LU – mówiąc to, wskazałem moją ukochaną, która nie wiadomo dlaczego uniosła się na tylne łapki, przyjmując jedną ze swych póż najbardziej wyszukanych i z pewnością niemogących się spodobać temu grubianinowi.

– A więc, panienko, przyszłaś wykąpać sobie ogonek? – zagadnął wuj, i takie nawiązanie rozmowy uchodziło może za jego czasów za wyraz galanterii, ale dla naszych uszu brzmiało wręcz nieprzyzwoicie.

Spojrzałem na LII pewien, że się odwróci i ucieknie z pełnym zgorzienia piskiem. Ale nie wziąłem pod uwagę, jak silnie była w nią wpojona umiejętność ignorowania wszelkiej wulgarności otaczającego świata.

– A te roślinki tam – odezwała się z całą swobodą, wskazując kępę sitowia pośrodku laguny – proszę mi powiedzieć, gdzie też one zapuszczają korzenie?

Pytanie z gatunku tych, które służą jedynie do podtrzymania rozmowy, bo cóż ją mogły obchodzić korzenie sitowia? Ale wuj, zdawałoby się, tylko na to czekał, żeby zapuścić się w szczegółowe objaśnienia dotyczące korzeni roślin wodnych i sposobów pływania wśród nich; dodał nawet, że tam są właśnie najkorzystniejsze stanowiska łowieckie.

Zdawało się, że nigdy nie skończy. Sapałem, prychałem, usiłowałem mu przerwać. A tymczasem ta impertynentka jeszcze go podpuszcza:

– Ach tak, pan poluje wśród pływających korzeni? Bardzo interesujące! Wstydzilem się okropnie.

Aon:

– Ba, dżdżownic tam takie mnóstwo, że tylko jeść i jeść!

I nagle bez uprzedzenia nurkuje. I to nurkuje tak zwinnie, że nigdy czegoś

takiego u niego nie widziałem. Najpierw piękny skok w górę, wynurza się z wody na całą długość, migocząc łuską, z szeroko rozpostartymi kolczastymi wachlarzami płetw; w powietrzu zatacza wspaniały łuk, pogrąża się w wodę głową naprzód i znika, poruszając zakrzywionym ogonem jak śrubą.

Na ten widok mówka, którą sobie przygotowałem, żeby, korzystając z chwilowej nieobecności wuja, usprawiedliwić się przed LII („Widzisz, to trzeba zrozumieć, ta jego obsesja, że musi żyć po rybiemu, doprowadziła do tego, że w końcu naprawdę upodobił się do ryby...”), zamarła mi na ustach. Ja sam nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia brat mojej babki jest rybą. Wyjąkałem tylko:

– LII, już późno, idziemy... – I oto wuj wynurzył się znowu, przytrzymując silnymi jak u rekina wargami festony zabłoconych alg i dżdżownic.

Nie mogłem się doczekać chwili pożegnania z wujem i, drepcząc w milczeniu za LII, myślałem, że ona zaraz zacznie wypowiadać swoje uwagi, czyli że najgorsze mam jeszcze przed sobą. Ale oto LII, nie zatrzymując się, lekko tylko ku mnie zwrócona, rzuca od niechcienia:

– Sympatyczna osoba ten twój wuj!

Tak powiedziała, nie inaczej. Nieraz już czułem się wobec jej ironii całkowicie bezbronny, ale tym razem zmroziła mnie tak bardzo, że byłbym wolał raczej nigdy więcej jej nie zobaczyć, niż powrócić do tego tematu.

Jednakże nie przestaliśmy się widywać i nadal chodziliśmy razem, a o epizodzie nad laguną nie było więcej mowy. Czułem się jednak wciąż niepewnie, na próżno usiłowałem wmawiać sobie, że ona o wszystkim zapomniała; chwilami podejrzewałem, że milczy umyślnie, żeby móc mnie zawstydzić jakoś szczególnie dotkliwie wobec swojej rodziny albo też – i to była jeszcze bardziej przykra hipoteza – że tylko przez litość stara się mówić o czymś innym. Aż wreszcie ni stąd, ni zowąd, pewnego pięknego poranka, powiada:

– Słuchaj no, nie zabrałbyś mnie kiedy znowu do twego wuja? Zduszonym głosem wyjąkałem:

– ...Żartujesz?

Ale gdzie tam, mówiła całkiem serio, nie mogła się wprost doczekać okazji do nowej pogawędki ze starym N’ba N’ga. Nic już nie rozumiałem.

Tym razem odwiedziny nad laguną przeciągnęły się. Leżeliśmy na spadzistym brzegu wszyscy troje, wuj od strony wody, ale i my częściowo zanurzeni, tak że widząc nas z daleka, wyciągniętych obok siebie, nikt by nie poznał, kto jest stworzeniem lądowym, a kto wodnym.

Staruszek zaczął rozprawiać na swój ulubiony temat: o wyższości

oddychania pod wodą nad oddychaniem w powietrzu, przy czym zaprezentował cały asortyment zwykłych kalumnii. Teraz LII zerwie się i odpowie mu po swojemu! – myślałem. Ale okazało się, że tego dnia LII przyjęła specjalną taktykę – dyskutowała rzeczowo, broniąc naszych punktów widzenia, ale tak, jakby traktowała argumenty starego N’ba N’ga całkiem poważnie.

Lądy wyłonię z morza, zdaniem wuja, były zjawiskiem przejściowym, znikną tak, jak się ukazały, a co najmniej będą podlegały ciągłym kataklizmom: wulkany, zlodowacenia, trzęsienia ziemi, sfałdowania skorupy, zmiany zachodzące w klimacie i w świecie roślinnym. I nasze życie w tym wszystkim narażone będzie na nieustające przemiany, w których całe ludy będą ulegały zagładzie, a przetrwać zdoła tylko ten, kto gotów będzie tak dalece przekształcić podstawy własnej egzystencji, że to wszystko, co sprawia, że życie jest piękne, zostanie unicestwione i zapomniane.

Perspektywy te były w tak jawnej sprzeczności z optymizmem, w jakim my, dzieci wybrzeża, zostaliśmy wychowani, że musiałem zaprotestować zgorszony. Ale najprawdziwszym, żywym ich zaprzeczeniem była w moich oczach LII. Widziałem w niej kształt doskonały, ostateczny, zrodzony ze zdobycia terytoriów wyłonię z morza, była dla mnie niejako kwintesencją nowych, nieograniczonych możliwości, jakie się przed nami otwierały. Jakże wuj mógł negować rzeczywistość wcieloną w LII? Płonałem cały pasją polemiczną i uważałem, że moja towarzyszka okazuje naszemu oponentowi zbyt wiele cierpliwości i zrozumienia.

Nawet dla mnie, choć od dawna przywykłem do wysłuchiwanie obelżywego zrządzenia, obecna jego argumentacja brzmiała jak coś zupełnie nowego, mimo że była przyprawiona, jak zwykle, wyrażeniami przestarzałymi i nadmiernie emfatycznymi, a specyficzny ton i rytm jego wywodów czynił ją śmieszną i dziwaczną. Przy tym zdumiewała wręcz jego drobiazgowość, choć raczej zewnętrzna znajomość życia na lądzie.

Ale LII starała się swymi pytaniami wydobyć z niego jak najwięcej wiadomości o życiu w wodzie. W tej dziedzinie wypowiedzi wuja były bez wątpienia bardziej rzeczowe, wygłaszane ze szczerym przejęciem. W przeciwieństwie do niepewnych warunków lądu i powietrza laguny, morze i oceany zapewniały przyszłość bezpieczną. Tutaj zmiany mogą być jedynie minimalne, przestrzeni i żywności nie może zabraknąć, temperatura zachowa równowagę – jednym słowem życie będzie tu zawsze trwało takie jak dotychczas, w swoich formach pełnych i doskonałych, bez przekształceń czy dodatków wątpiwej wartości, i każdy będzie mógł się oddawać pogłębianiu



własnej natury, dotrzeć do sedna samego siebie i każdej rzeczy. Wuj mówił o przyszłości życia pod wodą bez upiększeń i złudzeń, nie ukrywał problemów, nawet poważnych, które mogły się pojawić (najbardziej niepokojącym ze wszystkich wydawał się problem wzrastającego zasolenia wód morskich); ale wszystkie te problemy nie zdołają obalić wartości i proporcji, w które wuj wierzył.

– Ale my teraz galopujemy po górach i dolinach, wuju! – wykrzyknąłem w imieniu nie tylko własnym, ale i w imieniu LII, która milczała.

– Ejże, kijanko, raz się tylko wykąp, a i ty powrócisz chętnie do siebie! – rzekł wuj, powracając do tonu, jakim zwykle do nas mówił.

– Czy wuj nie sądzi, że gdybyśmy chcieli nauczyć się oddychać pod wodą, teraz byłoby już dla nas za późno? – zapytała LII z powagą, a ja nie wiedziałem, czy powinienem się czuć mile polechtany tym, że nazwała mego starego krewniaka wujem, czy zdezorientowany, gdyż pewne kwestie (a przynajmniej tak przyzwyczyłem się myśleć) w ogóle nie wchodziły w rachubę.

– Jeżeli chcesz, gwiazdeczko – odparł staruszek – zaraz cię tego mogę nauczyć.

LII zaśmiała się jakoś dziwnie, a potem zaczęła biec i biegła tak szybko, że nie mogłem jej dogonić.

Szukałem jej na równinach i wzgórzach, wreszcie dotarłem na szczyt bazaltowej skały górującej nad okolicą, nad pustyniami i lasami oblanymi dokoła wodą. Tam ujrzałem LII. Byłem pewien, że zrozumiałem, co chciała mi powiedzieć, co miało znaczyć jej cierpliwe słuchanie N'ba N'ga, a potem jej ucieczka i to, że właśnie na tę skałę się schroniła: że trzeba się trzymać naszego świata, tak samo mocno jak mój wuj ryba trzyma się swojego.

– Będę tutaj, tak jak wuj tam! – zawołałem trochę co prawda zająkliwie i poprawiłem się zaraz: – My oboje, razem, tu będziemy! – bo, rzeczywiście, bez niej nie czułbym się niczego pewny.

I cóż mi na to LII odpowiedziała? Jeszcze teraz czerwienię się, ilekroć sobie to przypomnę, po upływie tylu geologicznych er. Odpowiedziała: „Ejże, kijanko, nie o to chodzi!”, i nie wiedziałem, czy kpi sobie z wuja, wyśmiewając jego i mnie razem, czy też naprawdę przejęła od starego ramola jego sposób odnoszenia się do ciotecznego wnuka; obie hipotezy były równie zniechęcające; obie oznaczały, że uważa mnie za jakieś ni to, ni owo, które zatrzymało się wpół drogi i nie jest na swoim miejscu ani w jednym świecie, ani w drugim.

Czyżbym ją utracił? Szarpany wątpliwościami robiłem wszystko, aby ją

zdobyć na nowo. Zacząłem popisywać się wyczynami: łowić owady w locie, skakać, kopać jamy, walczyć z najsilniejszymi krewniakami. Byłem dumny z siebie, ale, niestety, przy najwspanialszych moich wyczynach jej najczęściej nie było: wciąż teraz znikala, nie wiadomo było, gdzie się kryje.

Na koniec zrozumiałem – chodziła nad lagunę, gdzie mój wuj uczył ją pływać pod wodą. Zobaczyłem ich, jak wynurzyli się razem, płynęli z jednakową szybkością, można by ich wziąć za brata i siostrę.

– Wiesz – powiedziała wesoło, kiedy mnie spostrzegła – łapy doskonale zastępują płetwy!

– Ho, ho – powiedziałem, nie mogąc powstrzymać się od sarkastycznej uwagi – jakież wspaniały krok naprzód!

Dla niej to było zabawa, oczywiście. Ale zabawa ta wcale mi się nie podobała. Należało przywołać ją do rzeczywistości, przypomnieć jej, jaka przyszłość jest przed nami.

Pewnego dnia czekałem na nią w lesie wysokopiennych paproci, schodzących na brzeg wody.

– LII, muszę z tobą pomówić – odezwałem się, kiedy się ukazała. – Dostyc się już dziś bawiłaś. Mamy ważniejsze sprawy. Odkryłem przejście przez łańcuch gór, po tamtej stronie rozciąga się ogromna kamienista równina, z której niedawno spłynęły wody. Osiedlimy się tam pierwsi, zaludnimy bezkresne terytoria, my i nasze dzieci.

– Bezkresne jest morze – powiedziała LII.

– Przestań nareszcie powtarzać brednie tego starego ramola. Świat należy do tych, co mają nogi, nie do ryb, wiesz o tym dobrze.

– Wiem, że on jest kimś – rzekła LII. – A ja?

– Nikt z tych, co mają nogi, nie jest kimś tak bardzo jak on.

– A twoja rodzina?

– Pokłóciłam się z nimi. Nic nie rozumieją.

– Ależ to szaleństwo! Nie można się cofać!

– Ja mogę.

– I co ty będziesz robiła sama jedna z tą starą rybą?

– Wyjdę za niego. Stanę się rybą jak on. I będę wydawała na świat nowe ryby. Żegnaj.

Po raz ostatni wspięła się zręcznie na sam koniec wysokiej paproci, nachyliła się ku lagunie i zeskoczyła do wody. Wynurzyła się po chwili, już nie sama; potężny zakrzywiony ogon wuja N'ba N'ga mignął tuż obok jej ogonka i razem zaczęli pruć wodę.

Był to dla mnie ciężki cios. Ale cóż mogłem zrobić?

Szedłem dalej swoją drogą pośród przemian otaczającego mnie świata, sam także ulegając przemianom. Od czasu do czasu wśród rozlicznych form istot żywych spotykałem taką, która była kimś bardziej innym niż ja; kogoś, kto zwiastował przyszłość, na przykład dziobaka karmiącego mlekiem małe, które wylęło się z jajka, żyrafę wyciągniętą w górę pośród roślinności jeszcze niskopiennej; albo też kogoś, kto dawał świadectwo niepowrotnej przeszłości, jak dinozaur, który przetrwał jeszcze początek ery kenozoicznej, lub krokodyl – relikw przeszłości, który potrafił przechować się, niezmienny, po wszystkie czasy. Wszyscy inni mieli, wiem dobrze, coś, co ich w jakiś sposób wywyższało nade mnie, sublimowało ich, czyniąc mnie w porównaniu z nimi czymś przeciętnym. A jednak z żadnym z nich nie chciałbym się zamienić.

## O co zakład?

Logika cybernetyki, w zastosowaniu do dziejów wszechświata, jest na drodze do udowodnienia, że galaktyki, Układ Słoneczny, Ziemia i życie komórkowe powstać musiały. Według cybernetyki wszechświat kształtuje się w wyniku szeregu działań i przeciwdziałań, najpierw pod wpływem siły przyciągania, która koncentruje masy wodoru w pierwotny obłok, a następnie pod wpływem siły jądrowej i siły odśrodkowej, które równoważą się z tamtą pierwszą siłą. Z chwilą, kiedy proces się rozpocznie, nie może ustać, lecz musi się rozwijać zgodnie z logiką owych oddziaływań wzajemnych.

No tak, ale z początku to wcale nie było wiadome – *wyjaśnił Qfwfq* – a raczej można to było przewidzieć, ale niejako wężchem, na zgadywanego. Nie mówię, żeby się chwalić, ale zaraz na początku założyłem się, że wszechświat powstanie – i zgadłem; a nawet o to, jaki ten wszechświat będzie, wygrałem parę zakładów z Dziekanem (k)yK.

Wtedy, kiedy zaczęliśmy robić zakłady, nie było jeszcze nic pozwalającego przewidzieć cokolwiek, było tylko trochę cząstek wirujących w przestrzeni, elektrony rzucone tu i ówdzie, jak popadło, i gdzieś tam protony, kręcące się każdy na własną rękę. A ja coś czułem, sam nie wiedziałem co, coś jakby zmianę pogody (w rzeczywistości trochę się ochłodziło) i powiadam:

– Założmy się, że będziemy mieli atomy. A Dziekan (k)yK na to:

– Ależ co znowu, atomy! Założę się, że nie, założę się o wszystko, co chcesz.

A ja:

– Nawet o  $x$ ? Aon:

– O  $x$  do  $n$ -tej potęgi!

Jeszcze nie zdążył dopowiedzieć do końca, kiedy dokoła każdego protonu zaczął wirować, brzęcząc, jego elektron. Ogromna chmura wodoru zaczęła się kondensować w przestrzeni.

– Widziałeś? Pełno atomów!

– Takie to i atomy, wielkie rzeczy! – mamrotał (k)yK, który miał brzydki zwyczaj wyklócania się, zamiast po prostu przyznać, że przegrał zakład.

Stale robiliśmy zakłady, ja i Dziekan, ponieważ nic innego nie było do roboty, a także dlatego że jedynym dowodem mojego istnienia był fakt, że zakładałem się z nim, a jedynym dowodem jego istnienia był fakt, że zakładała się ze mną. Zakładaliśmy się co do wydarzeń mających albo niemających nastąpić; wybór był praktycznie nieograniczony, zważywszy, że aż do tamtej pory nie wydarzyło się absolutnie nic. Ale ponieważ nie było nawet sposobu wyobrażenia sobie, jakie to wydarzenie mogłoby być, określaliśmy je w sposób

umowny: wydarzenie A, wydarzenie B, wydarzenie C i tak dalej – po prostu, żeby je rozróżnić. Albo też, wobec tego, że nie istniały alfabety czy też inne serie znaków konwencjonalnych, najpierw zakładaliśmy się o to, jaka mogłaby taka seria znaków być, a następnie łączyliśmy te ewentualne znaki z ewentualnymi wydarzeniami, by móc w ten sposób określić z dostateczną precyzją sprawy, o których nie wiedzieliśmy nic a nic.

Właściwie i o stawkach zakładowych nie wiedzieliśmy, co to takiego, ponieważ nie istniało nic, co mogłoby taką stawkę stanowić. Zakładaliśmy się więc po prostu na słowo, notując w pamięci wygrane zakłady, by móc je potem podsumować. Były to bardzo trudne działania, zważywszy, że nie istniały liczby i nawet nie znaliśmy pojęcia liczby, nie mogliśmy zacząć rachować, gdyż nie sposób było oddzielić nic od niczego.

Sytuacja ta zaczęła ulegać zmianie, w miarę jak w Protogalaktykach kondensowały się Protogwiazdy, a ja zrozumiałem natychmiast, czym się to skończy przy tej wciąż wzrastającej temperaturze, i powiedziałem:

- Teraz się zapalą.
- Bzdura – Dziekan na to.
- Zakład?

– Jak chcesz – powiada on i oto paf! – ciemność rozdarła się i ukazały się płomienne kule, przybierające coraz większe rozmiary. – Ech, zapalać się to wcale nie to znaczy... – zaczynał (k)yK zgodnie ze swoim wypróbowanym systemem przedstawiania zagadnień istotnych na słowne. Aleja miałem także swój system, który zmuszał go do milczenia:

- Ach, tak? Więc cóż to znaczy według ciebie?

On milczał; wyobraźnię miał raczej ubogą i z chwilą, kiedy jakieś słowo nabrało wyraźnego znaczenia, nie potrafił sobie wyobrazić, że mogłoby ono znaczyć także coś innego.

Dziekan (k)yK, kiedy się z nim bliżej obcowało, okazywał się typem dość nudnym, pozbawionym polotu, który nigdy nic nie potrafił opowiedzieć. Co prawda i ja również niewiele byłbym mógł opowiedzieć, zważywszy, że żadne fakty godne opowiedzenia w ogóle się nie wydarzyły – tak się nam przynajmniej zdawało. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to stawiać hipotezy, a właściwie – stawiać hipotezy na temat możliwości stawiania hipotez. Otóż, co się tyczy hipotez na temat hipotez, ja miałem znacznie więcej wyobraźni niż Dziekan, co było dla mnie korzystne i niekorzystne zarazem, gdyż skłaniało mnie do zakładów bardziej ryzykownych, tak że ostatecznie, rzecz można, prawdopodobieństwo wygranej było dla obu stron jednakowe.

Na ogół ja stawiałem na to, że jakiś dany fakt nastąpi. Dziekan zaś prawie

zawsze twierdził, że nie nastąpi. Miał on poczucie rzeczywistości raczej statyczne, jeśli można się tak wyrazić, wobec tego, że między tym, co statyczne, a tym, co dynamiczne, nie było wówczas takiego wyraźnego zróżnicowania, jakie jest obecnie, a w każdym razie trzeba było skupić uwagę, jeśli się chciało tę różnicę uchwycić.

Na przykład gwiazdy powiększały się, a ja pytałem:

– O ile?

Staralem się wyrazić prognostyk w liczbach, bo w ten sposób on znajdował mniej pola do dyskusji.

W owym czasie znaleźliśmy tylko dwie liczby: liczbę *e* i liczbę *pi* greckie.

Dziekan oblicza na oko i powiada:

– Wzrasta o *e* do potęgi *pi*.

To ci spryciarz! Tyle każdy mógł powiedzieć. Ale sprawy nie były tak proste, rozumiałem to dobrze.

– Załóżmy się, że się zatrzyma w określonym punkcie.

– Dobra, załóżmy się. A gdzie się ma zatrzymać?

Na chybił trafił wystrzelam moim *pi* greckim. Udało się. A Dziekan zbaraniał. Od tej chwili zaczęliśmy robić zakłady w oparciu o *e* i o *pi* greckie.

– *Pi!* – wykrzykiwał Dziekan w ciemności przerywanej błyskami. Ale tym razem było właśnie *e*.

Robiliśmy to wszystko dla zabawy, oczywiście, bo jako zarobek wcale się to nie opłacało. W miarę powstawania pierwiastków zaczęliśmy oznaczać wartość wygranej w atomach co rzadszych pierwiastków – i tu właśnie popełniłem błąd. Stwierdziwszy, że najrzadszy ze wszystkich jest technet, zacząłem zakładać się o niego, wygrywać i inkasować wygrane. Zgromadziłem sobie kapitał w technecie. Ale nie przewidziałem, że jest to pierwiastek niestały i zużywa się cały w promieniowaniu; w pewnej chwili okazało się, że muszę zaczynać znowu od zera.

Oczywiście, mnie także zdarzały się pomyłki, ale potem odzyskiwałem przewagę i mogłem sobie pozwolić na jakiś bardziej ryzykowny prognostyk.

– Teraz pojawi się izotop bizmutu! – mówiłem spieszenie, patrząc, jak pierwiastki, dopiero co powstałe, wyskakują z tygla „supernowej” gwiazdy. – Zakładam się!

Ale gdzie tam; okazywało się, że to po prostu atom polonu.

W takich przypadkach (k)yK zaczynał śmiać się szyderczo, jak gdyby te zwycięstwa były jego nadzwyczajną zasługą, podczas gdy w rzeczywistości skorzystał tylko na moim nazbyt ryzykownym posunięciu. Ja natomiast, im dalej się posuwałem, tym lepiej pojmowałem ten mechanizm i w obliczu

każdego nowego zjawiska, po paru posunięciach dokonanych po omacku, obliczałem swoje prognozy rozumowo i trafnie. Zawsze wcześniej niż jemu udawało mi się odkryć prawo, które kazało danej galaktyce zatrzymać się w odległości tylu a tylu milionów lat świetlnych od innej galaktyki, ani mniej, ani więcej. Z czasem stało się to tak łatwe, że nawet już przestawało mnie bawić.

Zacząłem więc z danych, jakie miałem do dyspozycji, wyprowadzać w myśli inne dane, a z tych jeszcze inne, wysuwając w końcu takie ewentualności, które na pozór nie miały nic wspólnego z przedmiotem naszych dyskusji. Rzucałem je tak sobie, jakby nigdy nic.

Na przykład budowaliśmy hipotezy co do krzywizny spirali galaktycznych, a ja ni stąd, ni zowąd wyrywam się:

– Posłuchaj, (k)yK, według ciebie Asyryjczycy zawładną Mezopotamią czy nie?

Był zdezorientowany. – Że... co? Kiedy?

Zrobiłem pośpiesznie obliczenie i rzuciłem datę, oczywiście nie w latach czy stuleciach, bo wtedy jednostki pomiaru czasu nie dawały się sprowadzać do tego rodzaju wielkości, i chcąc oznaczyć dokładną datę, zmuszeni byliśmy posługiwać się wzorami tak skomplikowanymi, że gdyby je wypisać, nie starczyłoby miejsca na tablicy.

– A skąd to można wiedzieć?

– Prędko, (k)yK, zawładną nią czy nie? Według mnie tak; jeżeli nie, wygrywasz ty. Zgoda? No, nie marudź.

Znajdowaliśmy się jeszcze w pustce bezkresnej, poznaczonej gdzieniegdzie smugą wodom wokół wirów pierwszych konstelacji. Przyznaję, że potrzeba było bardzo skomplikowanych dedukcji, ażeby przewidzieć czerwieniejące na równinach Mezopotamii chmary ludzi i koni, strzały i trąby, ale nie mając nic innego do roboty, można było sobie z tym dać radę.

Ale Dziekan w podobnych wypadkach stawiał zawsze na „nie”, i to nie dlatego iż sądził, że Asyryjczycy tego nie zrobią, ale po prostu dlatego że nie przyjmował do wiadomości przyszłego istnienia Asyryjczyków, Mezopotamii, Ziemi i rodzaju ludzkiego.

Były to, oczywiście, zakłady bardziej od innych długoterminowe. Inaczej było w wypadkach, kiedy rezultat miał być zaraz wiadomy.

– Widzisz tam to Słońce, które się tworzy otoczone elipsoidą? Prędko, zanim zaczną powstawać planety, powiedz, w jakiej odległości będą orbity?

Ledwieśmy zdążyli to powiedzieć, a już w ciągu ośmiu czy dziewięciu, co mówię? Sześciu czy siedmiu setek milionów lat, planety zaczynały krążyć

każda po swojej orbicie, ani o włos węższej, ani o włos szerszej.

Znacznie większą satysfakcję dawały mi takie zakłady, które musieliśmy zachować w pamięci przez miliardy i miliardy lat, nie zapominając ani treści zakładu, ani stawki, a jednocześnie pamiętając zakłady krótkoterminowe oraz liczbę (zaczęła się już właśnie epoka pełnych liczb i to komplikowało nieco sprawy) zakładów wygranych po jednej i po drugiej stronie i sumę wygranych stawek (moja przewaga stale wzrastała: Dziekan był zadłużony po same uszy). A w dodatku musiałem obmyślać nowe zakłady, coraz dalej wybiegając w przyszłość w łańcuchu dedukcji.

– Ósmego lutego 1926 w Santhii, w prowincji Vercelli, uważasz? Przy via Garibaldi, numer 18, słuchasz mnie? Panna Giuseppina Pensotti, lat dwadzieścia dwa, wychodzi z domu kwadrans przed ósmą po południu. Skręci w prawo czy w lewo?

– Eeech... – bąknął (k)yK.

– No, jazda, szybko. Ja powiadam, że pójdzie w prawo.

I poprzez obłoki pyłu gwiazdnego przeorane orbitami konstelacji widziałem już przedwieczorną mgiełkę na ulicach Santhii i krąg wątego światła latarni, w którym ledwie się zaznaczała krawędź chodnika pod śniegiem i które na moment ukazało smukły cień Giuseppiny Pensotti skręcający na rogu ulicy za wagą urzędu celnego i zaraz znikający mi z oczu.

Co się tyczy dalszych losów ciał niebieskich, mogłem już nie zawracać sobie głowy wymyślaniem nowych zakładów i spokojnie czekać na moment inkasowania stawek przegranych przez (k)yK, w miarę jak moje przewidywania będą się sprawdzały. Ale pasja gry nie dawała mi spokoju, każąc przewidywać dalsze konsekwencje każdego możliwego wydarzenia, niekończące się szeregi faktów, aż do najbardziej ubocznych i przypadkowych. Zacząłem łączyć prognozyki dotyczące faktów bliskich i łatwych do przewidzenia z innymi, wymagającymi działań niesłychanie skomplikowanych.

– No, żywo, widzisz, jak planety się kondensują? Powiedz, dokoła której z nich utworzy się atmosfera: Merkurego? Wenus? Ziemi? Marsa? No, decyduj się; a potem, skoro już jesteśmy przy tym, oblicz mi wskaźnik przyrostu demograficznego na Półwyspie Indyjskim w okresie panowania angielskiego. No, cóż się tak długo namyślasz? Spiesz się.

Zapuściłem się w kanał, w szczelinę, za którą wydarzenia znaczyły się intensywną czernią, świadczącą o ich zagęszczeniu, mogłem zbierać je garściami i rzucać prosto w twarz memu współzawodnikowi, któremu możliwość ich istnienia nigdy nawet przez myśl nie przeszła. Raz, kiedy rzuciłem w roztargnieniu pytanie: „Arsenał – Real Madrid w półfinale, Arsenal



gra u siebie, kto zwycięży?” – zrozumiałem w nagłym olśnieniu, że w tym pozornie przypadkowym zestawie słów dotknąłem mimo woli niewyczerpanych zasobów nowych kombinacji znaków, którymi rzeczywistość, zwarta, ciemna i jednolita, miała się posłużyć do urozmaicenia swej monotonii, i że, być może, bieg w przyszłość, ów bieg, który ja pierwszy przewidziałem i zapoczątkowałem, do niczego innego nie dążył poprzez czas i przestrzeń, jak tylko do tego rozdrabniania się w niezliczonych alternatywach, aż po rozplynięcie się w geometrii niewidzialnych trójkątów i uskoków, niby przelot piłki pomiędzy białymi liniami placu gry, liniami, których zarys wyobrażałem sobie w głębi świetlistego wiru układu planetarnego, odcyfrowując numery wypisane na piersiach i plecach nocnych graczy, których z oddali nie sposób było rozpoznać.

Tak więc przerzuciłem się na ten nowy teren możliwości, ryzykując wszystkie moje poprzednie wygrane. Kto mnie mógł powstrzymać? Właściwe Dziekanowi bezradne niedowierzanie podniecało mnie tylko do hazardu. Kiedy spostrzegłem, że wpadłem w pułapkę, było już za późno. Miałem tylko tę jeszcze satysfakcję – dość mizerną tym razem – że pierwszy się zorientowałem w sytuacji: (k)yK najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy, że koło fortuny obróciło się ku niemu, ale ja liczyłem wybuchy jego drwiącego śmiechu, niegdyś tak rzadkie, a których częstotliwość teraz rosła i rosła...

– Qfwfq, no widzisz, faraon Amenhotep IV nie miał wcale męskich potomków! Wygrałem! Qfwfq, no widzisz, Pompejusz nie pokonał Cezara! A nie mówiłem?

A przecież ja swoje kalkulacje przeprowadzałem dogłębnie, nie lekceważyłem żadnego czynnika. Gdybym miał zacząć jeszcze raz od początku, nie mógłbym zakładać inaczej.

– Qfwfq, za cesarza Justyniana z Chin do Konstantynopola sprowadzono jedwabniki, nie proch strzelniczy... Czy też się może mylę?

– Ależ nie, wygrałeś, a jakże, wygrałeś...

To prawda, że dałem się wciągnąć w prognozy co do wydarzeń drobnych, wręcz nieuchwytnych, że nabudowałem ich mnóstwo i teraz nie mogłem się z nich wycofać, nie mogłem tego naprawić. A zresztą cóż tu mogłem naprawić? Na jakiej podstawie?

– A widzisz, Balzac nie uśmierca samobójczo Lucjana de Rubempręgo na końcu *Straconych złudzeń* – mówił Dziekan tym triumfalnym tonem, którego nabrał od pewnego czasu – ratuje go Carlos Harrera, alias Vautrin, wiesz, ten sam, który występował już w *Ojcu Goriot*... A więc, Qfwfq, jak stoimy?

Moja przewaga topniała. W swoim czasie zabezpieczyłem moje wygrane,

przeliczone na mocną walutę, w jednym z banków szwajcarskich; a teraz musiałem raz po raz wycofywać znaczne sumy, żeby regulować swoje przegrane. Nie znaczy to, żebym stale przegrywał, od czasu do czasu zdarzało mi się jeszcze wygrać sporą nawet stawkę, ale role odwróciły się; kiedy wygrywałem, nie miałem już pewności, czy to nie był tylko przypadek i czy następnym razem nie przekonam się znowu, że moje rachuby zawiodły.

W tym stanie rzeczy niezbędne stało się posiadanie biblioteki zaopatrzonej w dzieła, które mogliśmy konsultować, abonowanie specjalistycznych czasopism, wreszcie wyposażenie w maszyny matematyczne odpowiednie dla naszych celów; wszystko to, jak wiecie, dała nam do dyspozycji pewna Research Foundation, do której, po osiedleniu się na tej planecie, zwróciliśmy się z propozycją subwencjonowania naszych badań. Oczywiście nasze zakłady figurują jedynie jako niewinna zabawa i nikt nawet nie podejrzewa, jak ogromne sumy wchodzi tu w grę. Oficjalnie utrzymujemy się ze skromnych poborów miesięcznych, jakie otrzymuje personel naukowy Ośrodka Przewidywań Elektronicznych, prócz tego (k)yK korzysta z dodatku związanego z jego funkcją dziekańską, którą to funkcję uzyskał od Fakultetu na pozór, nie kiwnąwszy w tym celu nawet palcem. (Jego predylekcja do całkowitej bezczynności przybiera formy coraz bardziej niepokojące, tak dalece, że ostatnio odstawia paralytyka poruszającego się w fotelu na kółkach). Tytuł Dziekana, mówiąc nawiasem, nie ma nic wspólnego z podeszłym wiekiem, a zatem ja miałbym do niego prawo co najmniej równie dobre jak on, tylko że ja o to nie dbam.

Sytuacja tak więc teraz wygląda. Dziekan (k)yK, siedząc w loggii swego pałacyku w fotelu na kółkach, z całym stosem gazet na kolanach – gazet z całego świata, które nadeszły poranną pocztą – wrzeszczy na całe gardło, żebym go dosłyszał z drugiej strony dziedzińca.

– Qfwfq, traktat atomowy pomiędzy Turcją a Japonią nie został dziś podpisany, nawet nie wszczęto jeszcze pertraktacji, wiesz? Qfwfq, żonobójca z Termini Imerese został skazany na trzy lata, jak mówiłem, a nie na dożywocie!

I powiewa płachtami gazet; są czarno-białe jak przestwór w czasach, kiedy się formowały galaktyki, i upstrzone – jak wówczas przestrzeń – malusieńkimi znaczkami otoczonymi, każdy z osobna, pustką i niemającymi same przez się żadnego przeznaczenia ni sensu. A ja wspominam, jak to było pięknie kreślić w tej pustce proste i parabole, wyznaczać punkt przecięcia przestrzeni z czasem, w którym dane wydarzenie musi nastąpić – niezaprzeczone, niewątpliwe. Podczas gdy obecnie wydarzenia toczą się nieprzerwaną lawiną,

jak struga płynnego cementu, jedno na drugie, jedno wtłoczone w drugie, oddzielone czarnymi, niewspółmiernymi z ich wagą tytułami, dającymi się odczytać na różne sposoby, ale w gruncie rzeczy nieczytelnymi; istna papka wydarzeń bez kształtu i kierunku, która otacza, pogrąża i miażdży każdą próbę rozumowania.

– Wiesz, Qfwfq? Ostatnie notowania dziś na Wall Street spadły o dwa procent, nie o sześć! A wiesz, ten dom bezprawnie wybudowany przy Via Cassia ma dwanaście pięter, nie dziewięć! Nearco IV zwycięża w Longchamps o dwie długości. Jak stoimy, Qfwfq?

## Dinozaury

Niewyjaśnione są przyczyny szybkiego wyginięcia Dinozaurów, które rozwijały się i rosły przez cały okres triasu i jury, i przez 150 milionów lat były niezaprzeczalnymi władcami lądów. Może nie umiały się przystosować do wielkich przemian, jakie dokonały się w klimacie i w świecie roślinnym w okresie kredy.

Pod koniec tej epoki wszystkie Dinozaury wyginęły.

Wszystkie, oprócz mnie – *sprecyzował Qfwfq* – i ja byłem w pewnym okresie Dinozaurem, powiedzmy, przez jakieś pięćdziesiąt milionów lat, i nie żałuję tego. Wtedy być Dinozaurem znaczyło czuć się w swoim prawie i wymagać dla siebie szacunku.

Później sytuacja uległa zmianie, nie ma potrzeby opowiadać wam o tym ze szczegółami, zaczęły się wszelkiego rodzaju biedy, klęski, błędy, wątpliwości, zdrady, zarazy. Ziemia zaludniała się nowymi stworzeniami, które były nam wrogie. Naciskano na nas ze wszystkich stron, nie było dla nas wyjścia. Dzisiaj mówią niektórzy, że pragnienie przemijania i pasja ulegania zagładzie znacznie wcześniej jeszcze były cechą duchową nas, Dinozaurów. Nie wiem – ja w każdym razie podobnych uczuć nigdy nie doznawałem; jeżeli doznawali ich inni, to dlatego że już czuli się zgubieni.

Wolę nie wracać pamięcią do czasów wielkiej zagłady. Nigdy bym nie uwierzył, że sam zdołam jej uniknąć.

Długą wędrówkę, która mnie ocaliła, odbywałem poprzez cmentarzyska odartych z ciała szkieletów, na których tylko gdzieś jakiś grzebień czy róg, kawałek pancerza czy strzęp pokrytej łuską skóry przypominały o świetności tych istot za życia. Teraz nad szczątkami tymi pastwiły się dzioby, szpony, kły i ssawki nowych władców planety. Kiedy na koniec przestałem już napotykać ślady żywych czy martwych – zatrzymałem się.

Na pustynnych wyżynach spędziłem wiele, wiele lat. Przetrwałem wszystkie niebezpieczeństwa: epidemie, długotrwałe głody, zimno. Ale byłem samotny. Nie mogłem wiecznie tkwić tam wysoko. Ruszyłem w drogę, by zejść w dół.

Świat się bardzo zmienił, nie poznawałem już gór ani rzek, ani roślin. Kiedy pierwszy raz dostrzegłem jakieś żywe istoty, ukryłem się – była to gromada Nowych, osobników drobnych, lecz silnych.

– Hej, ty! – spostrzegli mnie, a ja byłem zaskoczony tak familiarnym sposobem zwracania się do mnie. Uciekałem; dogonili mnie. Od tysięcy lat przywykłem budzić wokół siebie strach, a zarazem lękać się reakcji innych na

ten strach, który wzbudzałem. A tu nic podobnego. – Hej, ty! – zbliżali się do mnie jakby nigdy nic, ani wrodoży, ani przerażeni. – Czemu uciekasz? Co ci przychodzi do głowy?

Chcieli tylko, żebym im wskazał drogę do czegoś tam. Wyjąkałem, że jestem nietutejszy.

– Ale czemuś uciekał? – rzekł któryś. – Myślałby kto, żeś zobaczył Dinosauria! – I wszyscy się roześmiali. Ale w tym śmiechu po raz pierwszy wyczułem akcent lęku. Śmieli się trochę nieszczerze. A jeden odezwał się poważnie:

– Nie mów tego nawet żartem. Ty nie wiesz, co to jest...

A więc lęk przed Dinosaurami trwał jeszcze u Nowych, choć pewnie od paru pokoleń już ich nie widzieli i nie umieliby rozpoznać. Poszedłem dalej, ostrożnie, ale z niecierpliwością wyczekując okazji do powtórzenia eksperymentu. Przy źródle piła wodę jakaś młoda Nowa; była sama. Zbliżyłem się z wolna, wyciągnąłem szyję ku wodzie, żeby się napić tuż obok niej. Z góry już wyobrażałem sobie jej rozpaczliwy krzyk, kiedy mnie zobaczy, jej gwałtowną ucieczkę. Zaraz narobi alarmu, Nowi zlecą się całą gromadą, urządzą na mnie obławę... Pożałowałem mego ryzykownego gestu; jeżeli chciałem ująć z życiem, należało ją natychmiast rozszarpać – zacząć od nowa... Ale ona obróciła się ku mnie i powiedziała:

– Prawda, jaka chłodna?

Zaczęła rozmawiać bardzo mile zdaniem okolicznościowymi, jak się zazwyczaj rozmawia z obcymi, pytała, czy z daleka przybywam i czy w drodze miałem ładną pogodę czy deszcz. Nigdy bym nie uwierzył, że można w ten sposób rozmawiać z nie-Dinosaurami, toteż trwałem w napięciu, nic prawie się nie odzywając.

– Zawsze przychodzę tutaj pić – powiedziała – do Dinosauria...  
Wzdrygnąłem się i wytrzeszczyłem oczy.

– Atak, tak je nazywamy. Źródło Dinosauria, od niepamiętnych czasów. Powiadają, że niegdyś krył się tutaj Dinosaur, jeden z ostatnich, i jak ktoś przychodził napić się ze źródła, rzucał się na niego i rozszarpał, o matko!

Byłbym się chętnie schował pod ziemię. Teraz już wie, kim jestem, myślałem, teraz mi się przygląda i rozpoznaje mnie! I jak robi ten, kto nie chce, żeby na niego patrzono, spuściłem oczy i kurczyłem, jak mogłem, ogon, chcąc go ukryć. Był to taki wysilek nerwów, że kiedy ona pożegnała mnie z uśmiechem i odeszła w swoją stronę, poczułem się wyczerpany, jak gdybym stoczył walkę, taką walkę z minionych czasów, kiedy się broniło zębami i pazurami. Uświadomiłem sobie po niewczasie, że nawet nie zdobyłem się na

to, by jej powiedzieć „do widzenia”.

Zaszedłem nad rzekę, gdzie Nowi mieli swoje jaskinie i żyli z rybołówstwa. Budowali właśnie zaporę z gałęzi, żeby stworzyć na rzece zbiornik spokojnej wody, skąd nurt nie unosiłby ryb tak prędko. Kiedy mnie spostrzegli, unieśli głowy, przerywając pracę; patrzyli na mnie, spoglądali po sobie pytająco, wciąż w milczeniu. Otóż to, pomyślałem sobie, nic mi teraz nie pozostaje, tylko drogo sprzedać skórę – i gotowałem się do skoku.

Na szczęście zdołałem na czas się powstrzymać. Ci rybacy nic przeciwko mnie nie mieli, widząc, że jestem silny, chcieli mnie spytać, czy nie zostałem z nimi, żeby im pomóc w noszeniu budulca.

– Miejsce jest bezpieczne – nalegali, widząc mój niepokój. – Dinozaurów się tu nie widziało od czasów dziadów naszych dziadów...

Nikommu nawet przez myślenie nie przechodziło podejrzenie, kim naprawdę byłem. Zostałem z nimi. Klimat był dobry, wikt może nie w naszym guście, ale obfity, a praca niezbyt ciężka jak na moją siłę. Nadali mi przydomek Brzydal – po prostu dlatego że byłem od nich inny. Ci Nowi, nie wiem, jak wy ich, u diabła, nazywacie, *Pantotheriidae* czy jakoś inaczej, stanowili formę trochę jeszcze niekształtną, z której później miała się wywieść cała reszta gatunków, i już w tym czasie były wśród nich osobniki bardzo zróżnicowane; można się tam było doszukać wszelkich możliwych podobieństw i niepodobieństw, doszedłem więc ostatecznie do przekonania, że i ja, choć przynależny do całkiem innego rodzaju, tak znów bardzo od nich nie odbijam.

Nie znaczy to, że bym miał się tak zupełnie do tej myśli przyzwyczaić, czułem się wciąż jeszcze Dinozaurem wśród nieprzyjaciół i wieczorami, ilekroć zaczynało się opowiadać historie o Dinozaurach, przekazywane z pokolenia na pokolenie, cofałem się nieco w cień i nerwy miałem napięte.

Były to przerażające historie. Pobladli słuchacze raz po raz przerywali opowieść okrzykami pełnymi grozy, łowili każde słowo opowiadającego, który ze swej strony zdradzał głosem nie mniejsze przejęcie. Niebawem przekonałem się, że te historie były wszystkim dobrze znane (jakkolwiek repertuar ich był bardzo bogaty), a mimo to za każdym razem budziły lęk. Dinozaury ukazane tam były w postaci potworów i opisywane ze szczegółami, które nigdy nie pozwoliłyby rozpoznać któregoś z nich naprawdę, a ich jedynym celem było szkoderstwo Nowym – jak gdyby ci Nowi od samego początku byli najważniejszymi mieszkańcami Ziemi, a my nie mielibyśmy nic lepszego do roboty niż uganiać się za nimi od rana do nocy. Dla mnie wspominać Dinozaury znaczyło powracać myślą do długiego szeregu nieszczęść, agonii, żałoby. Historie, które o nas opowiadali Nowi, były tak

dalekie od moich własnych przeżyć, że właściwie powinienem był się nimi wcale nie przejmować, tak jakby dotyczyły obcych, nieznanymi mi stworzeń. A jednak słuchając tych opowieści, spostrzegłem się, że nigdy nie myślałem o tym, jak wyglądaliśmy w oczach innych, i że obok mnóstwa bredni zawierały one pewne szczegóły, z punktu widzenia Nowych prawdziwe. W moim umyśle lęk, jaki budziłyśmy, mieszał się ze wspomnieniem lęków doznawanych i im więcej dowiadywałem się o tym, jak drżeli przed nami inni, tym więcej drżałem sam.

Opowiadali te historie wszyscy kolejno i pewnego razu ktoś zagadnął:

– A Brzydala co nam powie? Nie znasz żadnych historii, które byś mógł nam opowiedzieć? Czy w twojej rodzinie nie było nigdy żadnych przygód z Dinozaurami?

– Owszem, ale... – jękałem się – upłynęło już tyle czasu... ech, gdybyście wiedzieli...

W tych trudnych chwilach przychodziła mi z pomocą Kwiat Paproci, ta dziewczyna, którą spotkałem przy źródle.

– Dajcież mu spokój... Obcy jest, jeszcze się nie oswoił, nie nauczył się dobrze naszej mowy...

Wreszcie zaczęli mówić o czym innym. Oddychałem z ulgą.

Pomiędzy mną a Kwiatem Paproci nawiązała się pewnego rodzaju zażyłość. Nic tak znów intymnego, nigdy nie ośmieliłem się jej dotknąć. Ale wiedliśmy długie rozmowy. A raczej ona opowiadała mi mnóstwo rzeczy ze swego życia; ja, z obawy, żeby się czymś nie zdradzić, nie budzić w niej podejrzeń, trzymałem się raczej tematów ogólnych. Kwiat Paproci opowiadała mi swoje sny:

– Dziś w nocy widziałam Dinozaura, był ogromny, straszliwy, z nozdrzy buchały mu płomienie. Zbliżyła się, chwytła mnie za kark, unosi, chce mnie żywcem pożreć. To był okropny, okropny sen, aleja, dziwna rzecz, wcale się nie bałam, a nawet – jakby ci to powiedzieć? – było mi przyjemnie...

Z tego snu powinienem był zrozumieć wiele rzeczy, a przede wszystkim jedną: że Kwiat Paproci niczego tak nie pragnie, jak zostać napadniętą. To była odpowiednia chwila, żeby ją wziąć w ramiona, ale Dinozaury w ich wyobrażeniu zbyt się różniły ode mnie i ta świadomość sprawiała, że czułem się jeszcze bardziej inny i bardziej nieśmiały. Krótko mówiąc, zmarnowałem okazję. A potem brat Kwiatu Paproci wrócił z sezonowych połowów na równinie, dziewczyna była teraz pilniej strzeżona i znacznie rzadziej mogliśmy z sobą rozmawiać.

Ten jej brat, Ząb, od pierwszej chwili odnosił się do mnie podejrzliwie.

– Co to za jeden? Skąd się wziął? – wypytywał, wskazując na mnie.

– To Brzydala, obcy, który pracuje przy drewnie – objaśniono go. – A bo co? Co w nim widzisz niezwykłego?

– O to chciałbym jego zapytać – odparł Ząb z groźną miną. – Ej, ty, co masz w sobie niezwykłego?

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? – Ja? Nic...

– A co, może uważasz, że jesteś zwyczajny? – I roześmiał się. Chwilowo na tym się skończyło, ale ja spodziewałem się wszystkiego, co najgorsze.

Ten Ząb był jednym z najbardziej rezolutnych mieszkańców wioski. Dużo świata zwędrował i widać było, że wie mnóstwo rzeczy, których inni nie wiedzą. Kiedy słuchał niekończących się gadek o Dinozaurach, ogarniało go zniecierpliwienie.

– Bajki – powiedział kiedyś – pleciecie bajki. Chciałbym was widzieć, gdyby się tu pojawił prawdziwy Dinozaur.

– Od dawna już ich przecież nie ma – odparł jeden z rybaków.

– Nie tak znów od dawna... – zachichotał Ząb – i nie jest wcale powiedziane, czy gdzieś jeszcze nie grasuje jakieś ich stado... Na równinach nasi trzymają straż dniem i nocą. Ale tam przynajmniej mogą ufać każdemu spośród siebie, nie przygarniają jakichś bliżej nieznanym osobnikom... – i zatrzymał na mnie znaczące spojrzenie.

Na nic by się nie zdało przeciągać sytuację. Lepiej było, żeby wypluł tę swoją żabę od razu. Postąpiłem krok naprzód.

– Co masz przeciwko mnie? – zapytałem.

– Mam coś<sup>c</sup> przeciwko każdemu, o którym nie wiadomo, kto go rodzi ani skąd przyszedł, a chciałby nas objadać i zalecać się do naszych sióstr...

Niektórzy z rybaków próbowali stawać w mojej obronie:

– Brzydala sam zarabia na życie, pracuje jak mało kto...

– Do dźwigania kłoców na grzbiecie może on się i nadaje, nie przeczę – upierał się Ząb – ale w chwili niebezpieczeństwa, kiedy trzeba się będzie bronić zębami i pazurami, kto nam zaręczy, że on się zachowa, jak trzeba?

Rozpętała się wielka dyskusja. Co najdziwniejsze, możliwość, że bym ja był Dinozaurem, nie była wcale brana pod uwagę; obwiniano mnie tylko o to, że jestem Inny, Obcy, a więc Niewierny; punktem spornym była kwestia, czy i o ile moja obecność zwiększa niebezpieczeństwo powrotu Dinozaurów.

– Chciałbym go widzieć w walce, z tym jego pyszczusiem jaszczurki... – nie przestawał mnie wzgardliwie prowokować Ząb.

Doskoczyłem do niego, staliśmy naprzeciw siebie, nos w nos.

– Możesz to zobaczyć, choćby w tej chwili, jeżeli nie drapniesz.



Nie spodziewał się tego. Rozejrzał się. Inni otoczyli nas kołem. Nic nam nie pozostawało, tylko się bić.

Ruszyłem do ataku, uniknąłem jego ukąszenia, wykręciwszy szyję, wyrznąłem go łapą, aż runął na ziemię brzuchem do góry, i już byłem na nim. Był to błąd. Jak gdybym nie wiedział, jak gdybym na własne oczy nie widział Dinozaurów umierających z brzuchem rozdartym kłami i pazurami wroga, którego w swoim mniemaniu unieruchomiły, przycisnąwszy grzbietem do ziemi. Ale umiałem jeszcze posługiwać się ogonem, wsparty na nim mocno, nie dawałem się przewrócić. Dobywałem wszystkich sił, czułem jednak, że słabnę.

W tej chwili ktoś z widzów krzyknął:

– Wal go, a mocno, Dinozaurze!

Zrozumiałem, że mnie zdemaskowano, i w jednej chwili stałem się tym, kim byłem niegdyś: skoro i tak wszystko przepadło, niech przynajmniej wzbudzę w nich raz jeszcze dawny strach. I zacząłem walić Zęba, raz, drugi, trzeci...

Rozdzielono nas.

– A widzisz, Zębie, mówiliśmy, co? Brzydala ma mięśnie! Nie ma żartów z Brzydalem.

Śmieli się i gratulowali mi zwycięstwa, poklepywali po ramieniu, a ja, który byłem już pewny, że mnie odkryli, nie mogłem się w tym połapać. Później dopiero zrozumiałem, że okrzyk „Dinozaurze!” był ich starym sposobem zagrzewania do walki zawodników, oznaczał coś w rodzaju: „Wal go, jesteś mocniejszy!” – i nie wiadomo nawet, czy krzyczeli tak do mnie, czy do Zęba.

Od tej pory zyskałem sobie powszechny szacunek. Ząb nie odstępował mnie, wciąż mnie zachęcał do popisywania się swą siłą. Mogę powiedzieć, że nawet ich wieczne opowiadki o Dinozaurach zmieniły trochę ton, jak to bywa, kiedy osądzanie czegoś wciąż w ten sam niezmienny sposób zacznie w końcu nużyć i moda poczyną się odmieniać. Teraz, jeśli chciano skrytykować coś, co się dzieje w wiosce, mówiło się, że u Dinozaurów nie podobnego nie mogłoby się wydarzyć, że Dinozaury w takiej to a takiej rzeczy mogły służyć za przykład do naśladowania, że postępowaniu Dinozaurów w jakiejś sytuacji (nade wszystko w życiu prywatnym) nic nie dałoby się zarzucić, i tak dalej. Krótko mówiąc, wyglądało na to, że budzi się jakieś pośmiertne uwielbienie dla Dinozaurów, o których nikt nic bliższego nie wiedział.

– Nie przesadzajmy – wyrwało mi się kiedyś – co to był w gruncie rzeczy Dinozaur, jak myślicie?

Zakrzyczeli mnie:

– Cicho bądź, co ty o tym możesz wiedzieć, skoroś ich nigdy nie widział? Był to może odpowiedni moment, żeby wyłożyć kawę na ławę.

– Pewnie, że je widziałem! – wykrzyknąłem – i jeśli chcecie, mogę wam dokładnie opowiedzieć, jakie one były.

Nie uwierzyli mi, myśleli, że chcę sobie z nich zakpić. Dla mnie ten ich nowy sposób mówienia o Dinozaurach był niemal równie nienawistny, jak ten dawny. Bo niezależnie od bólu, jakim mnie przejmował okrutny los, który dotknął cały mój ród, ja przecież życie Dinozaurów znałem od środka, wiedziałem, jak dalece nasza mentalność była ograniczona, pełna przesądów, niezdolna do dotrzymania kroku przemianom. I teraz musiałem znosić to, że oni biorą za wzór ten nasz światek, taki ciasny i zacofany, taki, rzec można, nudny! Musiałem silić się na jakąś zbożną cześć dla mego rodu, której nigdy nie czułem, a którą oni teraz starali mi się narzucić! Ale w gruncie rzeczy to było słuszne i zrozumiałe: w czymże ci Nowi tak znów dalece różnili się od Dinozaurów z dawnych dobrych czasów? Bezpieczni w swojej wiosce z groblami i stawami rybnymi, oni także nabierali stopniowo pychy i zarozumiałstwa... Chwilami irytowali mnie tak samo, jak niegdyś irytowali mnie moi własni krewniacy, i im więcej słyszałem, jak Nowi wychwalali Dinozaurów, tym silniej nienawidziłem i ich, i Dinozaurów razem wziętych.

– Wiesz, dzisiejszej nocy śniło mi się, że koło mego domu miał przechodzić Dinozaur – powiedziała mi Kwiat Paproci – wspaniały Dinozaur, po prostu księżę czy król Dinozaurów. Przystroiłam się pięknie, zawiązałam wstążkę dokoła głowy i stanęłam w oknie. Starłam się zwrócić na siebie jego uwagę, kłaniałam mu się, ale Dinozaur zdawał się wcale mnie nie dostrzegać, nie zaszczycił nawet spojrzeniem...

Ten sen dał mi nowy klucz do zrozumienia stanu duszy Kwiatu Paproci, jeśli chodzi o jej stosunek do mnie: dziewczyna uznała widocznie moją nieśmiałość za wzgardliwą pychę. Teraz, kiedy o tym myślę, rozumiem, że wystarczyłoby mi wytrwać jeszcze trochę w tej postawie, ostentacyjnie utrzymać wyniosły dystans, a byłbym całkowicie podbił jej serce. Tymczasem ja tak byłem tym odkryciem wstrząśnięty, że padłem dziewczynie do stóp ze łzami w oczach, mówiąc:

– Nie, nie, Kwiecie Paproci, nie jest tak, jak myślisz, jesteś lepsza od każdego Dinozaura, sto razy lepsza, a ja czuję się tak niegodny ciebie...

Kwiat Paproci zeszywniała, cofnęła się o krok.

– Och, cóż ty mówisz?

Nie tego się po mnie spodziewała, była speszona i scena wydała jej się raczej niesmaczna. Zrozumiałem to za późno. Czym prędzej wzięłam się

w garść, ale nastrój pewnego skrepowania pozostał i ciążył nam.

Nie miałem jednak czasu długo nad tym rozmyślać wobec tego, co się zaraz potem wydarzyło. Do wioski przybiegli zdyszani posłańcy.

– Wracają Dinozaury.

Na równinie dostrzeżono stado nieznanych potworów, pędzące przed siebie, rozjuszone. Waląc w takim tempie, nazajutrz o świcie mogło już zaatakować wioskę. Wszczęto alarm.

Możecie sobie wyobrazić, jaką nawałnicę uczuć rozpętała we mnie ta wiadomość – a więc mój ród nie wygasł, mogłem przyłączyć się do współbraci, rozpocząć na nowo dawne życie! Ale wspomnienie tego dawnego życia, które powracało mi na myśl, było niekończącym się szeregiem klęsk, ucieczek, niebezpieczeństw. Rozpoczęcie tego życia na nowo oznaczałoby zapewne tylko przedłużenie konania, byłoby powrotem do fazy, która, łudziłem się, była już poza mną. Teraz tu, w wiosce, osiągnąłem jakiś nowy rodzaj spokoju i żal mi było go utracić.

Również Nowymi targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony paniczny lęk, z drugiej pragnienie zatryumfowania nad odwiecznym wrogiem, a z jeszcze innej – myśl, że skoro Dinozaury przetrwały i teraz oto ruszają, by wziąć odwet, to znaczy, że nikt nie zdoła się im oprzeć, a w takim razie ich zwycięstwo, choćby nawet krwawe i okrutne, może w końcu okazać się dla wszystkich dobre. Jednym słowem, Nowi pragnęli jednocześnie bronić się i uciekać, zniszczyć wroga i zostać przez niego pokonani; i te rozterki dawały się wyczuć w chaotycznych przygotowaniach do obrony.

– Chwileczkę! – zawołał Ząb. – Jest wśród nas tylko jeden zdolny do objęcia dowództwa. Najsilniejszy z nas wszystkich. Brzydal!

– To prawda! Brzydal niech nami dowodzi! – podniosły się głosy. – Tak, tak, powierzyć dowództwo Brzydalowi! – i oddawali się pod moje rozkazy.

– Ależ nie, skądże, jakże chcecie, żebym ja, obcy... nie potrafię... – wzbraniałem się. Ale nie sposób było ich przekonać.

Jak powinienem był postąpić? Tej nocy nie mogłem zmrużyć oka. Zew krwi nakazywał mi uciec i przyłączyć się do moich braci; lojalność wobec Nowych, którzy mnie przyjęli za swego i zaufali, kazała mi stanąć po ich stronie; a przy tym wiedziałem doskonale, że ani Dinozaury, ani Nowi nie zasługują na to, żeby dla nich bodaj palcem kiwnąć. Jeżeli Dinozaury próbowały odbudować swoje władztwo drogą najść i rzezi, był to znak, że doświadczenie niczego ich nie nauczyło, i przetrwały tylko przez omyłkę. A co do Nowych, jasne było, że powierzając mi nad sobą dowództwo znaleźli najdogodniejsze wyjście: złożyć całą odpowiedzialność na barki obcego, który

mógł równie dobrze stać się zbawcą, jak, w razie niepowodzenia, posłużyć za kozła ofiarnego, którego można by wydać wrogowi, aby go udobruchać, a wreszcie mógł okazać się zdrajcą, który oddałby ich w ręce wroga, spełniając w ten sposób utajone, niemożliwe do wyznania pragnienie przejścia pod panowanie Dinozaurów. Nie chciałem nic wiedzieć ani o jednych, ani o drugich; niechże się nawzajem mordują, nic mnie to nie obchodziło. Trzeba było uciekać jak najprędzej, pozwolić im się dusić we własnym sosie, odzegnać się od tych starych dziejów raz na zawsze.

Tejże nocy, czołgając się w ciemności, opuściłem wioskę. Moim pierwszym odruchem było odejść jak najdalej od pola walki, wrócić do moich tajemnych kryjówek; ale ciekawość okazała się silniejsza – zobaczyć moich krewniaków, przekonać się, kto zwycięży. Ukryłem się na szczycie skał wznoszących się nad zakrętem rzeki i czekałem świtu.

Wraz ze słońcem na widnokręgu ukazały się jakieś postacie. Parły naprzód jak do ataku. Zanim jeszcze mogłem je dokładnie rozróżnić, wiedziałem jedno: przynigdy Dinozaury nie mogłyby biec tak niezdarnie. Kiedy je wreszcie rozpoznałem, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy wstydzić. To były nosorożce, całe stado, jedno z pierwszych nosorożców, wielkie, niezdarne i z gruba ciosane, zaopatrzone już w rogowe wyrostki, ale w zasadzie nieszkodliwe, łase tylko na trawkę do skubania; i takie to stworzenia wzięto za dawnych Królów Ziemi!

Stado nosorożców przygalopowało z hukiem grzmotu, zatrzymało się, żeby pokosztować jakichś zielsk, i pomknęło z tupotem dalej, nie spostrzegłszy stanowisk rybackich.

Wróciłem pędem do wioski.

– Wszystko wam się pomyliło! To wcale nie Dinozaury! – oznajmiłem. – To nosorożce. Zresztą już odeszły! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa! – I dodałem, chcąc wytłumaczyć moją nocną ucieczkę: – Poszedłem na zwiady! Żeby ich wyśledzić i was powiadomić!

– Mogliśmy się pomylić co do tego, czy to były Dinozaury – rzekł spokojnie Ząb – ale co do tego, że z ciebie żaden bohater, na pewno się nie mylimy – i odwrócił się do mnie plecami.

Pewnie, byli bardzo rozczarowani – zawiedli się na Dinozaurach i na mnie. Teraz ich historie o Dinozaurach zmieniły się w żartobliwe anegdotki, w których groźne potwory okazywały się postaciami śmiesznymi. Ja nie czułem się już dotknięty tymi głupimi dowcipami. Doceniłem teraz dumę moich przodków, która kazała im raczej zniknąć niż zamieszkiwać świat tak już nam obcy. A ja tylko po to przetrwałem, aby choć jeden Dinozaur zachował

świadomość swego pochodzenia pośród tej całej hołoty, maskującej ordynarnymi kpinami strach, który wciąż jeszcze trzymał ich w swej władzy. Bo cóż innego pozostawało Nowym niż drwina albo strach?

Kwiat Paproci objawiła mi swe nowe nastawienie, opowiadając jeszcze jeden sen:

– Był sobie Dinozaur, śmieszny, zieloniutki, i wszyscy sobie z niego kpili, i ciągnęli go za ogon. A ja podeszłam do niego i obroniłam go, zabrałam stamtąd i głaskałam. I spostrzegłam, że chociaż taki śmieszny, to jest najsmutniejszy ze wszystkich stworzeń, a z jego żółtoczerwonych oczu płynęły strugi łez.

Co ja właściwie czułam, słysząc te słowa? Odrazę do utożsamiania się z tymi jej sennymi majakami, bunt przeciwko temu uczuciu, które teraz zmieniło się w litość, protest wobec takiego pomniejszania pojęcia (dinozaurze) godności? W porywie nagle zbudzonej dumy wyprostowałam się sztywno i powiedziałam jej wzdorczywie tylko tyle:

– Po co mnie zanudzasz tymi swoimi coraz bardziej dziecinnymi snami! Nie potrafisz śnić o niczym innym, tylko o takich głupstwach?!

Kwiat Paproci wybuchnęła płaczem, a ja odszedłem, wzruszając ramionami.

Wydarzyło się to na grobli, byliśmy sami; rybacy nie dosłyszeli naszej rozmowy, ale widzieli mój gniewny gest i łzy dziewczyny.

Ząb uznał, że powinien się wtrącić.

– Za kogóż ty się masz – powiedział ze złością – żeby ubliżyć mojej siostrze?

Zatrzymałem się bez słowa. Jeżeli chciał się bić, ja byłem gotów. Ale w ostatnich czasach styl życia w wiosce bardzo się zmienił.” wszystko obracano w żart. Z gromadki rybaków wyrwał się piskliwy okrzyk:

– Dalej, bij go, Dinozaurze!

Było to, wiedziałem dobrze, żartobliwe powiedzonko, będące ostatnio w częstym użyciu, które oznaczało mniej więcej: „Przymknij się, nie przeszkadzaj”. Ale we mnie krew zawrzała.

– A tak, jestem nim, jeżeli chcecie wiedzieć – krzychałem – jestem Dinozaurem, właśnie że tak! Jeśliście nigdy Dinozaura nie widzieli, to macie go przed sobą, przyjrzyjcie mu się!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Widziałem jednego wczoraj – przemówił nagle któryś ze starców – wyszedł ze śniegu.

Dokoła momentalnie zapadła cisza.

Stary właśnie wrócił z dalekiej wędrówki przez góry. Odwilż stopiła częściowo odwieczny lodowiec, ukazując zamknięty w nim szkielet Dinozaura.

Wioskę ogarnęło podniecenie.

– Idziemy zobaczyć Dinozaura! – I wszyscy ruszyli w góry, a ja z nimi.

Po przebyciu kamienistej moreny, pni wyrwanych drzew, bagniska z tkwiącymi w nim szkieletami ptaków, otworzyła się przed nami wielka kotlina. Przejrzysty nalot pierwszych mchów zielenił już nieco uwolnione od lodów skały. PosYodku, wyciągnięty, jakby spał, z szyją wydłużoną wskutek rozpadu kręgów, z ogonem rozsypanym w długi, wijący się ślad, leżał szkielet olbrzymiego Dinozaura. Sklepiona łukowato klatka piersiowa przypominała wzdęty żagiel, a kiedy wiatr głaskał spłaszczone pręty żeber, zdawało się, że wewnątrz pulsuje jeszcze niewidzialne serce. Czaszka skręcona była w bok, usta otwarte jak w krzyku ostatecznym.

Nowi aż do tego miejsca biegli, wesoło pokrzykując. Teraz w obliczu tej czaszki poczuli się tak, jakby te puste oczodoły w nich się wpatrywały. Zatrzymali się w odległości paru kroków, milcząc. Ale zaraz odwrócili się i znów podjęli swoje głupie żarty. Wystarczyłoby, żeby ktoś z nich przeniósł wzrok ze szkieletu na mnie, kiedy tak stałem przed nim w kontemplacji, a musiałby dostrzec, że jesteśmy identyczni. Ale nikt tego nie zrobił. Te kości, te kły, te mordercze szpony przemawiały językiem już niezrozumiałym, nic już nikomu z nich nie mówiły prócz owego imienia, które pozostało oderwane od jakiegokolwiek realnego doświadczenia.

Długo wpatrywałem się w szkielet, w Ojca, Brata, w podobnego do mnie, we Mnie Samego; rozpoznawałem moje własne członki odarte z ciała, mój zarys wyżłobiony w skale, to wszystko, czym byliśmy niegdyś i czym przestaliśmy być, nasze dostojeństwo, nasze winy, nasz upadek.

Teraz te szczątki miały posłużyć nowym, bezmyślnym mieszkańcom planety do oznaczenia jakiegoś punktu w krajobrazie, miał je spotkać ten sam los, jaki stał się udziałem imienia Dinozaur, które zmieniło się z czasem w niezrozumiały dźwięk bez treści. Nie mogłem na to pozwolić. Wszystko, co wiązało się z prawdziwą naturą Dinozaurów, powinno było pozostać otoczone tajemnicą. Nocą, kiedy Nowi zasnęli wokół przystrojonego świątecznie szkieletu, przeniosłem skrupulatnie, aż do ostatniej kostki, mego Zmarłego w inne miejsce i pogrzebałem go.

Rankiem Nowi nie zastali ani śladu szkieletu, ale nie zastanawiali się nad tym zbyt długo. Po prostu przybyła jeszcze jedna tajemnica do tych wielu, jakie wiązały się z Dinozaurami. Niebawem doszczętnie wymietli tę myśl ze swoich głów.

Odkrycie szkieletu nie pozostawało jednak bez śladu. Teraz z pojęciem Dinozaurów wiązało się pojęcie żalostnego końca i w opowieściach o nich zaczął dominować akcent żalu, współczucia dla naszych cierpień. Z tą ich litością także nie mogłem się pogodzić. Cóż tu zasługiwało na litość? Jeżeli jakiś gatunek osiągnął kiedyś pełnię swego rozwoju, długie i szczęśliwe władztwo na ziemi – to właśnie my. Wygaśnięcie naszego rodu stało się wspaniałym epilogiem, godnym naszej przeszłości. Cóż mogli z tego zrozumieć ci głupcy? Ilekroć słuchałem ich sentymentalnych uzaleń nad biednymi Dinozaurami, miałem ochotę sobie z nich zakpić, opowiadać im historie zmyślane i nieprawdopodobne, tak, żeby prawdy o Dinozaurach nikt już nie był w stanie zrozumieć, żeby pozostała sekretem strzeżonym tylko przeze mnie i tylko dla siebie.

Do wioski zawitała raz gromada wędrowców. Była wśród nich jedna młódka, na której widok zadrżałem. Jeśli mnie oczy nie myliły, musiała płynąć w jej żyłach krew nie tylko samych Nowych. Była Mulatką, miała z pewnością domieszkę krwi Dinozaurów. Czy zdawała sobie z tego sprawę? Na pewno nie, wnosząc z jej swobodnego zachowania. Jeżeli nie ojciec lub matka, to któreś z jej dziadków, pradiadków czy praprapradziadków musiało być Dinozaurem. Pewne rysy, pewne odruchy naszych przodków przejawiały się u niej zuchwale, trudne zresztą do rozpoznania dla nich wszystkich, nie wyłączając jej samej. Była wesołym, pełnym wdzięku stworzeniem; natychmiast zaczęła chodzić za nią gromada zalotników, a najwytrwalszy z nich i najbardziej zakochany był Ząb. Był początek lata. Młodzież urządziła zabawę na rzece.

– Chodź z nami! – zachęcał mnie Ząb, który po tylu awanturach teraz najwidoczniej szukał mojej przyjaźni; a po chwili pływał już obok Mulatki.

Zbliżyłem się do Kwiatu Paproci. Może to była okazja do wzajemnych wyjaśnień, do pojednania.

– Co ci się śniło tej nocy? – zagadnąłem, żeby nawiązać rozmowę. Stała z nisko zwieszoną głową.

– Widziałam we śnie rannego Dinozaura, który wił się w agonii. Pochylał swoją szlachetną, delikatną głowę i cierpiał, cierpiał... Patrzyłam na niego, nie mogłam oderwać od niego oczu i spostrzegłam, że odczuwam jakąś dziwną przyjemność, patrząc na jego cierpienie...

Usta Kwiatu Paproci przybrały jakiś zły wyraz, jakiego nigdy u niej nie widziałem. Zapragnąłem okazać jej, że ja z takiej dwuznacznej i ponurą grą uczuć nie chcę mieć nic wspólnego; byłem kimś, kto umie cieszyć się życiem, byłem potomkiem szczęśliwej rasy. Zacząłem płaść dokoła niej, uderzając ogonem o wodę i opryskując ją.

– Umiesz tylko mówić o smutnych rzeczach! – powiedziałem beztrąsko. – Daj temu spokój, chodź tańczyć.

Nie zrozumiała mnie. Skrzywiła się niechętnie.

– A jeżeli nie chcesz ze mną tańczyć, zatańczę z inną! – zawołałem. Ująłem za łapę Mulatkę i odprowadziłem sprzed samego nosa Zęba, który przez chwilę patrzył za nią, odchodzącą, nie rozumiejąc, tak bardzo był pochłonięty swoją miłosną kontemplacją, a potem zerwał się gwałtownie, ukłuty zazdrością. Za późno: ja i Mulatka, zanurzywszy się w rzece, płynęliśmy ku drugiemu brzegowi, żeby tam ukryć się w zaroślach.

Możliwe, że chciałem tylko pokazać Kwiatowi Paproci, kim naprawdę jestem, sprostować błędne pojęcie, jakie sobie o mnie wytworzyła. A może powodowała mnie również dawna uraza do Zęba, może chciałem w tak jaskrawy sposób odepchnąć jego próby zawarcia przyjaźni. Ale nade wszystko pociągały mnie dziwnie swojskie, choć niezwykle kształty Mulatki, pragnąłem jakiegoś naturalnego, bezpośredniego zbliżenia, bez ukrywania się, bez wspomnień.

Karawana wędrowców miała wyruszyć w dalszą drogę nazajutrz rano. Mulatka zgodziła się spędzić tę noc w zaroślach. Igrałem z nią miłośnie aż do świtu.

Były to tylko przelotne epizody życia skądinąd spokojnego i nieobfitującego w wydarzenia. Pozwoliłem zatonać w milczeniu prawdzie o mnie i o dawnych czasach naszego panowania. Teraz o Dinozaurach prawie nigdy się nie wspominało, może nawet nikt już nie wierzył, że one kiedyś istniały. Nawet w snach Kwiatu Paproci przestały się pojawiać.

Kiedy raz opowiedziała mi: „Śniło mi się, że w pewnej jaskini żył ostatni potomek rodu, którego imienia nikt nie pamiętał, i ja poszłam go o nie zapytać, i było ciemno, i wiedziałam, że on tam jest, ale go nie widziałam, i dobrze wiedziałam, kto on jest i jak wygląda, ale nie umiałabym tego powiedzieć i nie wiedziałam, czy to on odpowiada na moje pytania, czy też ja odpowiadam jemu...”, był to dla mnie znak, że nareszcie nastaje między nami miłosne porozumienie, którego pragnąłem już od pierwszej chwili, kiedy spotkałem ją przy źródle i nie wiedziałem jeszcze, czy będzie mi dane zachować życie.

Od tamtej pory wiele się nauczyłem, a przede wszystkim zrozumiałem, w jaki sposób Dinozaury odnoszą zwycięstwo. Dawniej myślałem, że to zniknięcie oznaczało ze strony moich braci wielkoduszne uznanie swej klęski; teraz wiedziałem już, że Dinozaury im bardziej znikają, tym bardziej rozszerzają swoje władztwo, ogarniając nim puszcze o ileż rozleglejsze od tych,



które porastają kontynenty – trwają mianowicie w myślach tych, którzy zostali. Z mroku lęków i wątpliwości nic niewiedzących pokoleń Dinozaury nadal wyciągały swe długie szyje, unosiły szponiaste łapy, a nawet kiedy zatarł się ostatni, mglisty zarys ich obrazu, imię ich trwało, przybierając najróżniejsze znaczenia i uwieczniając ich obecność wśród istot żyjących. A teraz, kiedy już nawet ich imię zostało wykreślone z pamięci, miały stopić się w jedno z niemymi, bezimiennymi znaczkami myśli, za których pośrednictwem nabierają kształtu i treści rzeczy pomyślane – pomyślane przez Nowych i przez tych, którzy przyjdą po Nowych, i tych, co przyjdą później jeszcze.

Rozejrzałem się dokoła; wioskę, do której przybyłem niegdyś jako obcy, mogłem teraz nazwać moją i moją mogłem też nazwać Kwiat Paproci – o tyle, o ile Dinozaur może tak powiedzieć. Dlatego bez słowa skłoniłem się i tak pożegnałem Kwiat Paproci i wioskę, odchodząc na zawsze.

Idąc, przyglądałem się drzewom, rzekom i górcom i nie potrafiłem już odróżnić tych, które istniały w czasach Dinozaurów, od tych, które zjawyły się później. Napotkałem jakieś jaskinie i przy nich obozowisko wędrowców. Z daleka już rozpoznałem Mulatkę, wciąż jeszcze powabną, choć nieco tęższą niż dawniej. Nie chcąc, żeby mnie spostrzegła, ukryłem się w gęstwinie i stamtąd przyglądałem się jej ukradkiem. Kręcił się przy niej malec ledwo umiejący się utrzymać na nóżkach i wesoło merdający ogonkiem. Jakże dawno nie widziałem małego Dinozaura tak doskonałego, tak wspaniale wcielającego samą istotę dinozaurzej natury i tak całkowicie nieświadomego, co słowo Dinozaur oznacza!

Czekałem na niego na leśnej polance, patrzyłem, jak się bawi, jak goni motyla, jak uderza szyszką o kamień, żeby wytrząsnąć z niej ziarenka. Zbliżyłem się. Był przecież moim synem. Spojrzał na mnie zaciekawiony.

– Kto ty jesteś? – zapytał.

– Nikt – odpowiedziałem. – A ty wiesz, kto ty jesteś?

– No chyba! Każdy wie: jestem Nowy – rzekł.

To właśnie spodziewałem się usłyszeć, pogłaskałem go po łebku, powiedziałem: „Doskonale”, i poszedłem sobie.

Przewędrowałem doliny i równiny. Wreszcie zaszedłem na stację, wsiadłem w pociąg i zmieszałem się z tłumem.

## Kształt przestrzeni

Równania pola grawitacyjnego, wyznaczające stosunek między krzywizną przestrzeni a rozkładem materii, 'zaczynają już stopniowo należeć do pojęć najbardziej zasadniczych.

Nikt z was nie może mieć pojęcia, co to znaczy spadać w pustkę, tak jak ja spadałem. Dla was spaść znaczy zwalić się chociażby z dwudziestego piętra drapacza czy też samolotu, który zepsuł się w czasie lotu: leci się głową na dół z zapartym tchem i oto ziemia już jest tuż, i zaraz potężnie cię kopnie. Ja natomiast mam na myśli takie spadanie, kiedy pod spodem nie ma żadnej ziemi ani niczego innego twardego, nawet żadnego ciała niebieskiego w dali, które mogłoby cię wciągnąć w swoją orbitę. Spadało się tak w sposób nieokreślony i przez nieokreślony czas. Leciałem w dół, w pustce, aż do najdalszych jej granic, poza którymi dalsze spadanie było już nie do pomyślenia, a skoro już tam dotarłem, widziałem, że ta ostatnia granica musi być jeszcze o wiele, wiele niżej, okropnie daleko, i spadałem w dalszym ciągu, ażeby jej dosięgnąć. Z braku jakiegokolwiek skali porównawczej nie miałem wyobrażenia, czy spadam prędko, czy powoli. Właściwie nie jest nawet pewne, czy to było rzeczywiście spadanie, może tkwiłem nieruchomo w tym samym wciąż punkcie, a może poruszałem się w odwrotnym kierunku, w górę. Zważywszy, że nie istniało żadne „nad” ani „pod”, była to wyłącznie kwestia terminologii, więc równie dobrze mogłem dalej myśleć, że spadam, co było zgodne ze zdrowym rozsądkiem.

Przyjąwszy więc, że to było spadanie, spadali wszyscy z tą samą prędkością i przyspieszeniem; rzeczywiście znajdowaliśmy się stale na tej samej mniej więcej wysokości – ja, Urszula H'x i Porucznik Fenimore. Nie spuszczałem wzroku z Urszuli H'x, gdyż przedstawiała bardzo piękny widok, zachowując w spadaniu pozycję swobodną i odprężoną; miałem wciąż nadzieję, że uda mi się kiedyś pochwycić jej spojrzenie, ale Urszula H'x w trakcie spadania była nieustannie zajęta opiłowywaniem i polerowaniem paznokci – chyba że akurat przeciągała grzebieniem po swych długich, gładkich włosach – i nigdy nie zwracała oczu w moją stronę. W stronę Porucznika Fenimore'a też nie, muszę przyznać, mimo że on robił wszystko, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

Pewnego razu zaskoczyłem go – myślał, że ja tego nie widzę – jak dawał Urszuli H'x jakieś znaki. Najpierw uderzał końcem jednego wskazującego palca o koniec drugiego, potem robił ręką gest obrotowy, wreszcie wskazywał w dół. Jednym słowem, zdawał się robić aluzje do jakiegoś z nią porozumienia, jakiegoś spotkania umówionego na przyszłość, w jakimś miejscu tam w dole.

Wszystko to bzdury, wiedziałem doskonale, nie do pomyślenia były dla nas jakiegokolwiek spotkania, gdyż spadaliśmy równolegle i odległość między nami utrzymywała się zawsze taka sama. Ale już samo to, że Porucznik Fenimore w ogóle dopuszczał sobie takie myśli do głowy i usiłował je przekazać Urszuli H'x, wystarczało, żeby mnie zdenerwować; choć ona właściwie nie zważała wcale na niego, a nawet wydymała pogardliwie usta w rodzaj ryjka, zwracając go – to zdawało się nie ulegać wątpliwości – właśnie ku niemu. (Urszula H'x spadała, obracając się leniwym ruchem dokoła własnej osi, jak gdyby przewracała się na łóżku, i trudno było orzec, czy jej gesty przeznaczone były dla tego, czy raczej dla innego, czy po prostu swoim zwyczajem zabawiała się sama, jak umiała).

Ja także, oczywiście, o niczym tak nie marzyłem, jak o spotkaniu z Urszulą H'x, ale ponieważ wiedziałem, że spadam wzdłuż prostej absolutnie równoległej do tej, wzdłuż której spadała ona, wydawało mi się rzeczą nie na miejscu zdradzać się z pragnieniem niemożliwym do urzeczywistnienia. Zapewne, siląc się na optymizm, mogłem sobie wmawiać, że zawsze pozostaje możliwość spotkania się naszych dwóch równoległych w jakimś punkcie nieskończoności. Ta ewentualność dawała mi trochę nadziei, a nawet utrzymywała w stanie pewnego podniecenia. Powiem nawet więcej: o tym spotkaniu naszych równoległych tak wiele marzyłem, wyobrażałem je sobie tak szczegółowo, że w końcu stało się ono niejako częścią moich realnych doświadczeń, jak gdybym już je przeżył. Wszystko mogło nastąpić lada chwila, w sposób prosty i naturalny: po tak długiej wędrówce z dala od siebie, bez możliwości przybliżenia się bodaj o piędź, po tym nieskończeniu długim czasie, kiedy czułem, że jest mi obca, że jest uwięziona w swym równoległym biegu, oto nagle konsystencja przestrzeni, z niewyczuwalnej, jaką zawsze była, staje się bardziej napięta, a jednocześnie bardziej miękka, następuje zgęszczenie pustki pochodzące nie z zewnątrz, lecz jak gdyby z naszego wnętrza, i obejmuje nas oboje, mnie i Urszulę H'x (wystarczało mi zamknąć oczy, żeby ją ujrzeć w pozie, która mogłaby być jej pozą, mimo że odmienna od wszystkich jej zwykłych póz: ramiona wyciągnięte w dół, przylegające do boków, ręce skręcone w przegubach, jakby się przeciągała, a jednocześnie wyswobadzała z jakichś więzów, jakimś wężowym ruchem podając się naprzód), i oto niewidzialna linia, wzdłuż której przebiegałem, i ta druga, jej linia, stają się jedną linią, po której sunie jak gdyby mieszanina jej i mnie; i to, co w niej było miękkie i tajemne, zostaje przeniknięte, a raczej może to ono właśnie otacza i niejako wsysa w siebie to, co we mnie było pełne napięcia i co aż do tej chwili cierpiało, że jest samotne, odosobnione i suche.

Zdarza się, że najpiękniejsze sny zmieniają się nagle w koszmary; i tak właśnie nawiedzała mnie myśl, że ów punkt spotkania się naszych dwóch równoległych mógl być tym, w którym spotykają się wszystkie równoległe istniejące w przestrzeni, a zatem będzie to spotkanie nie tylko moje z Urszulą H'x, ale również – ohydna perspektywa! – z Porucznikiem Fenimore. W tym samym momencie, kiedy Urszula H'x przestanie być mi obca, ktoś właśnie obcy – ze swoim małym czarnym wąsikiem – znajdzie się tam i wedrze nieuchronnie w intymność naszego spotkania. Myśl ta wystarczała, żeby mnie pogrążyć w najstraszliwsze majaki zazdrości: słyszałem, jak okrzyk, wrywający się z naszych piersi w chwili spotkania, stapia się w jedno radosne unisono, aby zaraz – o mrożące krew w żyłach przecucie! – zmienić się w rozdzierający krzyk jej, gwałconej – tak mi się to w moim zawistnym uprzedzeniu przedstawiało – i w tryumfalny ryk Porucznika, a może nawet – i tutaj moja zazdrość sięgała granic szaleństwa – te ich dwa krzyki nie byłyby tak bardzo odmienne, nie stanowiłyby dysonansu: mogły przejść również w unisono i stopić się w jeden wspólny krzyk rozkoszy, zagłuszając pełen rozpaczy jęk, jaki wydarłby się z moich ust.

Wśród tych zmiennych nastrojów nadziei i lęku spadałem nadal, nie przestając wypatrywać w głębi przestrzeni, czy nie dostrzegę tam czegoś, co by zwiastowało jakąś zmianę w naszym położeniu, bądź zaraz, bądź w przyszłości. Parę razy mignął mi gdzieś jakiś wszechświat, ale bardzo daleko, wydawał się malutki i nie na wprost nas, tylko z lewej albo z prawej strony. Ledwie zdążyłem rozróżnić pewną ilość galaktyk w postaci świetlistych punkcików zbitych w gromadki, spiętrzone jedne na drugich i wirujące z cichym brzęczeniem, a już wszystko zniknęło tak, jak się pojawiło, odpływało ku górze albo na boki, tak że nawet nie miało się pewności, czy nie było to tylko przywidzenie.

– Tam! Patrz! Widać wszechświat! Tam, popatrz! Tam coś jest! – krzychałem do Urszuli H'x, wskazując kierunek, ale ona, przygryzając zębami koniuszek języka, z uwagą gładziła napiętą, gładką skórę nóg w poszukiwaniu bardzo nielicznych i prawie niewidzialnych włosków, które ścisnęła spiczastymi paznokciami i wrywała ostrym szarpnięciem, a jedyną oznaką, że dosłyszała moje wołanie, był ruch, jakim unosiła nogę do góry, jakby chciała dla swojej metodycznej inspekcji wykorzystać tę odrobinę światła, widną na dalekim firmamencie.

Łatwo sobie wyobrazić, ile pogardy Porucznik Fenimore okazywał wobec każdego z tych moich możliwych odkryć. Wzruszał ramionami, aż podskakiwały mu epolety, pas ładownicy i ordery, którymi był całkiem

niepotrzebnie obwieszony, i odwracał się w drugą stronę, prychając śmiechem. Chyba że to przypadkiem on (kiedy był pewny, że patrzę w inną stronę), próbując obudzić ciekawość Urszuli (w takich razach na mnie przychodziła kolej się pośmiać, bo widziałem, jak ona, za całą odpowiedź, wywija coś w rodzaju koziołka, obracając się do niego siedzeniem; była to pozycja niewątpliwie obraźliwa, ale niepozbawiona uroku, toteż ja, radując się nią jako upokarzającą dla mego rywala, chwytalem się jednocześnie na tym, że mu jej zazdroszczę, jak pewnego swoistego przywileju), ukazywał jakiś ledwo dostrzegalny punkcik mknący w przestworzu, wrzeszcząc:

– Tam! Tam! Wszechświat! Taki duży! Widziałem! To wszechświat! Nie mówię, że kłamał; takie twierdzenia mogły być, o ile się na tym znam, równie dobrze prawdziwe, jak fałszywe. Że od czasu do czasu mijaliśmy z daleka jakiś wszechświat, było rzeczą dowiedzioną (względnie, że jakiś wszechświat nas mijał z daleka), ale trudno się było zorientować, czy są to różne wszechświaty rozsiane w przestrzeni, czy też zawsze ten sam, krążący po jakimś tajemnym szlaku, wszechświat, który spotykaliśmy na swej drodze, czy wreszcie nie było tam żadnego wszechświata, a to, cośmy widzieli, było po prostu mirażem jakiegoś istniejącego może niegdyś wszechświata, którego obraz odbijał się jeszcze teraz od ścian przestrzeni niczym echo. A mogło być i tak, że wszechświaty zawsze tkwiły nieruchome wokół nas i ani im w głowie było ruszać się z miejsca, a my nie poruszaliśmy się także i wszystko było na zawsze nieruchome, bez czasu, w ciemności przerywanej tylko krótkimi błyskami, ilekroć czemuś lub komuś udało się na chwilę wyrwać z tej otępiałej beczasowości i przejawić jakiś zaczątek ruchu.

Są to wszystko hipotezy w równej mierze zasługujące na to, by je brać pod uwagę, ale mnie interesowało w nich to jedynie, co dotyczyło naszego spadania i tego, czy uda mi się, czy też nie, połączyć się z Urszulą H'x. Krótko mówiąc, nikt nic nie wiedział. A w takim razie dlaczego ten zarozumialec Fenimore przybierał raz po raz ton wyższości, jak ktoś, kto jest pewien zwycięstwa? Dawno już spostrzegł, że jeśli chciał mnie doprowadzić do wściekłości, najbardziej niezawodnym sposobem było udawać, że łączy go z Urszulą H'x stara zażyłość.

Czasami Urszula zaczynała się w tym spadaniu kołysać ze złączonymi kolanami, przenosząc ciężar ciała to na jedną, to na drugą stronę i wprawiając się w coraz szerszy ruch wahadłowy – po prostu, żeby urozmaicić monotonię tego niekończącego się spadania. A wówczas Porucznik także zaczynał się kołysać, przy czym starał się utrzymać w tym samym rytmie co ona, jak gdyby posuwał się tym samym niewidzialnym torem albo jakby tańczył przy

dźwiękach tej samej muzyki, dochodzącej tylko do uszu ich dwojga, a nawet udawał, że pogwizduje tę jakąś melodię, podkładając pod nią pewną domyślną treść, jakieś aluzje do wspólnych zabaw starych kumpli od hulanek. Wszystko to był blef, oczywiście wiedziałem o tym, ale wystarczyło, że przemknęła mi przez głowę myśl o ewentualnym spotkaniu Urszuli H'x z Porucznikiem Fenimore'em, spotkaniu, które mogło nastąpić już nie wiedzieć jak dawno, u samego początku linii ich spadania, abym poczuł bolesne ukąszenie doznanej krzywdy. A przecież, jeśli się nad tym zastanowić, gdyby Urszula i Porucznik znajdowali się kiedyś w przeszłości w tym samym punkcie przestrzeni, znaczyłoby to, że ich linie spadania oddaliły się później od siebie, a zatem przypuszczalnie oddalają się w dalszym ciągu. W takim razie byłoby wielce prawdopodobne, że Urszula, powoli, lecz stale oddalając się od Porucznika, przybliży się do mnie, a wobec tego Porucznik nie miał co tak się znów przechwalać swoimi poprzednimi sukcesami – przyszłość uśmiechała się raczej do mnie.

Jednakże rozumowanie, które doprowadzało mnie do takiej konkluzji, nie wystarczało, żeby mnie wewnętrznie uspokoić; możliwość, że Urszula H'x spotkała się już kiedyś z Porucznikiem, sama przez się była dla mnie krzywdą, której, o ile rzeczywiście została mi wyrządzona, nic już nie mogło okupić. Muszę jeszcze dodać, że przeszłość i przyszłość były dla mnie pojęciami raczej mętными, których nie umiałem wyraźnie odróżnić. Moja pamięć nie sięgała poza niekończącą się terażniejszość naszego równoległego spadania i to, co mogło być przedtem, skoro nie potrafiłem tego zapamiętać, mogło równie dobrze przynależć do imaginacyjnego świata przyszłości i z nim się mieszało. Mogłem więc tak samo przypuszczać, że jeśli kiedykolwiek dwie równoległe wyszły z tego samego punktu, były to właśnie linie, wzdłuż których posuwaliśmy się my dwoje, ja i Urszula H'x (w takim razie tęsknota za utraconym zbliżeniem byłaby tym, co pobudzało we mnie pragnienie spotkania z nią); jednakże tej hipotezie niechętnie dawałem wiarę, gdyż mogła implikować nasze nieustanne oddalanie się i może, ostatecznie, wylądowanie Urszuli w wygalonowanych ramionach Porucznika Fenimore'a, ale przede wszystkim dlatego że nie umiałem wyjść poza terażniejszość inaczej, niż wyobrażając sobie jakąś inną terażniejszość, a cała reszta się nie liczyła.

Może na tym właśnie polegał sekret: utożsamić się tak dalece z własnym stanem spadania, by móc zrozumieć, że linia, po której się spada, nie jest tą, jaką się wydawała, lecz inną; albo też zmienić tę linię w jedyny sposób, w jaki mogła zostać zmieniona, czyli czyniąc ją taką, jaką rzeczywiście zawsze była. Ale ta myśl nasza mnie nie wtedy, kiedy się koncentrowałem na sobie samym,

tylko wtedy, kiedy rozmiłowanym wzrokiem wpatrywałem się w Urszulę H'x, tak piękną, nawet gdy się ją widziało od tyłu, i kiedy w momencie mijania jakiegoś widocznego w oddali układu konstelacji dostrzegłem, jak grzbiet jej wygina się w lekki łuk, a siedzenie lekko drga; może nie tyle samo siedzenie drga, ile coś z zewnątrz ociera się o nie, wywołując reakcję raczej przychylną ze strony tego siedzenia. To przelotne wrażenie wystarczyło, żeby ukazać mi sytuację w sposób całkiem nowy. Jeżeli prawdą jest, że przestrzeń z czymś wewnątrz różni się od przestrzeni pustej, gdyż znajdująca się tam materia wywołuje krzywiznę lub napięcie, zmuszające wszystkie linie zawarte w przestrzeni do skrzywienia względnie do napięcia, w takim razie linia, wzdłuż której każde z nas spadało, jest prosta w tym jedynie sensie, w jakim prosta może być prosta, czyli deformując się o tyle, o ile przejrzysta harmonia powszechnej pustki deformuje się wskutek nagromadzenia materii, to znaczy owijając się wokół owej kluski, brodawki czy też narośli, jaką wszechświat tworzy w przestrzeni.

Moim punktem odniesienia była zawsze Urszula i rzeczywiście jej ruch, jak gdyby obrotowy, pomógł mi oswoić się z myślą, że nasze spadanie jest właściwie ciągłym zwijaniem się i rozwijaniem pewnego rodzaju spirali, która na przemian to się zacieśnia, to rozluźnia. Ale jeśli się przyjrzało baczniej, okazywało się, że Urszula wychyla się to na jedną, to na drugą stronę, a więc ślad naszej drogi był znacznie bardziej zawily. Wszechświat należało zatem uważać nie za jakieś niezdarne wydęcie tkwiące w przestrzeni na kształt rzepy, ale za pełną kantów i ostrzy figurę, której każdemu wgłębieniu, wypukłości czy ściętej płaszczyźnie odpowiadało wgłębienie, wypukłość czy ząbkowanie przestrzeni i tras naszego przelotu. I to zresztą był zaledwie obraz schematyczny: jak gdybyśmy mieli do czynienia z gładką twardością ścian, wzajemnym przenikaniem się wieloboków, zespołem kryształów.

W rzeczywistości przestrzeń, w której poruszaliśmy się, tworzyła zębate blanki i otwory, z iglicami i wieżami sterczącymi ze wszystkich stron, z kopułami, balustradami i perystylami, z biforiami, triforiami i rozetami, my zaś, chociaż wydawało nam się, że spadamy prosto w dół, w rzeczywistości sunęliśmy śladem jakichś niewidzialnych meandrów, niczym mrówki, które przechodząc przez miasto, trzymają się szlaków wytyczonych nie prosto, na bruku ulic, lecz zawile, wzdłuż ścian, sklepień, gzymsów i lamp. Otóż mówiąc „miasto”, ma się na myśli figury poniekąd regularne, o kątach prostych i proporcjach symetrycznych, podczas gdy właściwie powinniśmy sobie stale uświadamiać, że przestrzeń spowija każdy pień wiśni, każdy liść, każdą gałązkę poruszaną wiatrem, każdy ząbek na krawędzi liścia i kształtuje się zgodnie z unerwieniem

liścia, z siateczką żyłek w jego wnętrzu, z otworami, jakie w nich drażą bezustannie strzały światła – wszystko to odbija się na zasadzie negatywu w kluchowatej masie pustki i nie ma takiej rzeczy, która nie pozostawiłaby w niej odcisku swego kształtu, każdego możliwego odcisku każdej możliwej rzeczy, a zarazem śladu przekształceń, jakie się bezustannie dokonują, tak że każda brodawka wyrastająca na nosie jakiegoś kalifa, każda bańka mydlana, która osiadła na piersi praczki, zmieniają ogólny kształt przestrzeni we wszystkich jej wymiarach.

Wystarczyło mi zrozumieć, że przestrzeń jest właśnie taka, aby spostrzec, że tworzą się w niej pewne zagłębienia miękkie i zachęcające niczym hamaki, w których mogłem połączyć się z Urszulą H'x, i mogliśmy się w nich razem kołysać, gryząc się nawzajem po całym ciełe. Właściwości przestrzeni były w istocie tego rodzaju, że jedna z równoległych mogła ulegać przyciąganiu w jedną, a druga w drugą stronę, tak że na przykład ja wpadałem w jakąś krętą czeluść, podczas gdy Urszulę H'x wsysał jakiś korytarz połączony z tą samą czeluścią i w rezultacie oboje razem turlaliśmy się po kobiercu alg, na czymś w rodzaju wyspy podprzestrzennej, splatając się z sobą na wszelkie możliwe sposoby, aż tu nagle nasze dwie proste odzyskiwały swój poprzedni dystans, zawsze jednakowy i mknęliśmy dalej przed siebie jakby nigdy nic.

Powłoka przestrzeni była porowata, usiana wydmami i szczelinami. Śledząc rzecz uważnie, mogłem zaobserwować, kiedy trasa Porucznika Fenimore'a przebiegać będzie dnem wąskiego, krętego kanionu. Zaczaję się wtedy na krawędzi urwiska i w odpowiedniej chwili spadałem na niego, starając się zwalić całym ciężarem na jego kręgi szyjne. Dno tych rozpadlin próżni było kamieniste jak łożysko wyschniętego potoku i trzymałem tam Porucznika Fenimore'a rozciągniętego, z głową wciśniętą pomiędzy dwa wystające złomy skalne, przyciskając mu żołądek kolanem. Ale on wtedy zaczynał przebijać mi palce, przygniatając je do kolczastego kaktusa – czy może do grzbietu jeża? – (w każdym razie były to kolce odpowiadające pewnym bardzo ostrym skurczom przestrzeni), żebym nie mógł uchwycić pistoletu, który wytrąciłem mu przy pomocy kopniaka. Sam nie wiem, jakim sposobem znalazłem się po chwili z głową tkwiącą w duszącej ziarnistej substancji warstw, w których przestrzeń ustępuje, fałdując się jak piasek. Plułem, oszołomiony i na pół oślepy, Fenimore tymczasem zdołał uchwycić swój pistolet; kulka gwizdnęła mi koło ucha, chybiwszy dzięki dewiacji wywołanej wybrzuszeniem próżni w kształcie termitiery. I znowu byłem na nim i rękami ścisnąłem go za gardło, gdy nagle moje dłonie uderzyły o siebie z głośnym plaśnięciem: to nasze drogi znowu stały się równoległe. Obaj



z Porucznikiem Fenimore'em spadaliśmy teraz w zwykłej odległości, odwróceniu ostentacyjnie do siebie plecami, jak tacy dwaj, co udają, że się nie znają i nigdy w życiu nie widzieli.

To, co można by uważać za linie proste jednowymiarowe, było więc w rezultacie podobne do linijek ukośnego pisma, kreślonego na białej karcie piórem, które przerzuca słowa i urywki zdań z jednych wierszy do drugich, z dodatkami i odnośnikami, spiesząc się, aby doprowadzić do końca jakiś wywód klecony z kolejnych przybliżeń, wciąż niewystarczających, i tak to mknęliśmy każdy swoją drogą, ja i Porucznik Fenimore, kryjąc się za pętliczkami liter, zwłaszcza liter „l” w słowie „równoległe”, by móc stamtąd strzelać i chronić się przed kulami przeciwnika, i udawać zabitych; czekałem więc na moment przelotu Fenimore'a, żeby podstawić mu nogę i potaszczyć go za nogi, tak aby obijał się twarzą o wszystkie „v” i „u”, i „m”, i „n”, które pisane skośnie jednym ciągiem stają się niejako szeregiem zdradzieckich dziur w bruku, na przykład w wyrażeniu *universo unidimensionale* – wszechświat jednowymiarowy – by wreszcie zostawić go poturbowanego, stratowanego przez te wszystkie podkreślenia, a samemu podnieść się z grudkami zaschłego atramentu i biec do Urszuli H'x, która próbowałaaby się chytrze wśliznąć w zakrętasy litery „f, wydłużone i cieniutkie jak niteczki, ale ja już chwytam ją za włosy i przyciskam do litery „d” czy „t”, takiej, jaką kreślę teraz w pośpiechu, nachylonej tak, że się można na niej położyć, a potem wygrzebujemy sobie jamkę w literze „g”, taką podziemną norkę dającą się dowolnie albo przystosowywać do naszych wymiarów, albo bardziej skurczyć, uczynić prawie niewidoczną, czy też wreszcie rozciągnąć w kierunku poziomym, żebyśYny mogli się tam wygodnie ułożyć. Te same zresztą linijki pisma, te same szeregi liter i słów można doskonale rozwinąć w jedną czarną nitkę, a następnie rozciągnąć ją, mocno naprężoną, w szereg prostych równoległych, które nie oznaczają nic oprócz siebie samych i bieżą tak, bieżą bez końca, nigdy się nie spotykając, tak jak my nie spotkamy się w naszym wiecznym spadaniu – ja, Urszula H'x, Porucznik Fenimore i wszyscy inni.

## Lata świetlne

Im bardziej jakaś galaktyka jest odległa, tym szybciej się od nas oddala. Galaktyka, która by się znajdowała o 10 miliardów lat świetlnych od nas, uciekałaby z prędkością równą prędkości światła – 300 tysięcy kilometrów na sekundę. Niedawno odkryte quasi-gwiazdy są zapewne bliskie tego progu.

Pewnej nocy obserwowałem, jak zwykle, niebo za pomocą mego teleskopu. Zauważyłem, że na galaktyce odległej o sto milionów lat świetlnych sterczy jakiś plakat. Było na nim napisane: Widziałem cię. Zrobiłem w myśli szybkie obliczenie: światło z galaktyki potrzebowało stu milionów lat, aby do mnie dotrzeć, a ponieważ to, co się tu działo, tam widziano z opóźnieniem stu milionów lat, chwila, w której mnie widziano, musiała sięgać dwustu milionów lat wstecz.

Nim jeszcze zajrzałem do terminarza, żeby sprawdzić, co takiego robiłem owego dnia, ogarnęło mnie mrozące krew w żyłach przecucie: właśnie przed dwustu milionami lat, ani o dzień wcześniej i ani o dzień później, przydarzyło mi się coś, co zawsze starałem się trzymać w tajemnicy. Miałem nadzieję, że z biegiem czasu epizod ten ulegnie zapomnieniu; był on w jaskrawej sprzeczności – tak mi się przynajmniej wydawało – z moim postępowaniem sprzed tej daty i po niej; toteż gdyby nawet ktoś próbował odgrzebać tę starą historię, czułem się w prawie zaprzeczyć jej z całym spokojem sumienia, nie tylko dlatego że nikt nie zdołałby mi tego udowodnić, ale i dlatego że fakt wywołany okolicznościami tak dalece wyjątkowymi, nawet jeśli wydarzył się rzeczywiście, był w gruncie rzeczy tak nieprawdopodobny, że ja sam w najlepszej wierze mogłem go uznać za niebyły. A tymczasem okazuje się, że ktoś mnie wtedy dojrzał z jakiegoś dalekiego ciała niebieskiego, i cała historia ni stąd, ni zowąd ma wyjść na jaw. Oczywiście mogłem wytłumaczyć to wszystko, co się wtedy stało, i w jaki sposób mogło do tego dojść, mogłem mój postępek, jeśli nie usprawiedliwić, to przynajmniej uczynić zrozumiałym. Pomyślałem, żeby natychmiast odpowiedzieć, także za pomocą plakatu zawierającego jakąś formułę obronną, w rodzaju: „Pozwólcie sobie wytłumaczyć” albo: „Chciałbym was widzieć na moim miejscu”, ale to nie byłoby wystarczające i trzeba by było napisać więcej niż krótką, syntetyczną wypowiedź, dającą się odczytać z tak wielkiej odległości. A przede wszystkim musiałem być ostrożny, nie zrobić fałszywego kroku, nie podkreślać jawnym przyznaniem się do słusznego zarzutu, do którego owo: Widziałem cię, czyniło zaledwie aluzję. Zanim zdecydowałbym się na jakie bądź deklaracje, należało dowiedzieć się dokładnie, co mianowicie z tamtej galaktyki widziano, a czego

nie widziano. W tym celu trzeba było wystawić plakat z zapytaniem: „Ale czy widziałeś wszystko czy tylko trochę?” albo: „Przekonajmy się, czy mówisz prawdę: co ja robiłem?” – a potem odczekać czas potrzebny na to, by stamtąd zobaczono mój plakat, a potem drugie tyle, żeby przeczytać odpowiedź i przystąpić do koniecznych sprostowań. Wszystko to zabrałoby dalszych dwieście milionów lat, a nawet kilka milionów więcej, skoro podczas przeprowadzania tej korespondencji, przesyłanej z szybkością światła, galaktyki nie przestawały się od siebie oddalać, a więc i tamta konstelacja nie znajdowała się już tam, gdzie ją widziałem, tylko trochę dalej, a obraz mojego plakatu musiałby ją gonić. Jednym słowem była to procedura bardzo powolna, zmuszająca mnie do odgrzebywania incydentu sprzed przeszło czterystu milionów lat – incydentu, o którym pragnąłem jak najprędzej i jak najzupełniej zapomnieć.

Najlepszym wyjściem z sytuacji było udawać, że nic nie zaszło, bagatelizować znaczenie tego, co mogli o mnie wiedzieć. Toteż nie tracąc czasu, umieściłem dobrze na widoku plakat, na którym napisałem po prostu: I co z tego? Jeżeli ci z tamtej galaktyki liczyli, że mnie wprawia w zakłopotanie swoim: Widziałem cię, mój spokój powinien zbić ich z tropu i powinni dojść do przekonania, że nie ma co się nad tym incydemem zbytnio rozwodzić. A w razie, gdyby tamci mieli w rękę jakieś dowody obciążające, to takie niezobowiązujące zapytanie: I co z tego? spełniłoby rolę ostrożnego sondażu co do rozciągłości ich stwierdzenia: Widziałem cię. Dzieląca nas odległość (od tamtego miejsca odległego o sto milionów lat świetlnych galaktyka musiała już odsunąć się o jakiś milion stuleci, pogrążając się w ciemność) mogłaby uczynić mniej oczywistym związek mojego pytania: I co z tego? z ich oświadczeniem: Widziałem cię sprzed dwustu milionów lat, ale nie wydawało mi się wskazane umieszczanie na plakacie bardziej szczegółowych wyjaśnień. Bo jeżeli pamięć tamtego dnia po upływie trzech milionów wieków nieco już przybladła, to nie zależało mi wcale na tym, by ją odświeżyć.

W gruncie rzeczy opinia, jaką mogli sobie o mnie wyrobić przy tamtej szczególnej okazji, nie powinna mnie była tak znów bardzo obchodzić. Późniejsze fakty z mojego życia na przestrzeni lat, stuleci i tysiącleci, przemawiały – przynajmniej w znacznej większości – na moją korzyść, mogłem więc śmiało pozwolić, by fakty mówiły same za siebie. Jeżeli ktoś z tego dalekiego ciała niebieskiego widział, co robiłem przed dwustu milionami lat, to zapewne widział mnie także nazajutrz i przez szereg innych dni i przypuszczalnie stopniowo zmienił tę negatywną opinię, jaką sobie mógł o mnie wytworzyć, osądzając mnie pochopnie na podstawie jednego

odosobnionego epizodu. Wystarczało pomyśleć o tej ogromnej liczbie lat, jakie upłynęły, odkąd słowa: Widziałem cię zostały napisane, aby nabrać pewności, że tamto ujemne wrażenie dawno już się zatarło, ustępując miejsca ocenie według wszelkiego prawdopodobieństwa pozytywnej, a zarazem bardziej odpowiadającej prawdzie. Jednakże ta wyrozumowana pewność nie wystarczała, żeby przynieść mi prawdziwą ulgę. Czułem, że dopóki nie będę miał dowodu zmiany tej opinii na moją korzyść, nie pozbędę się nieprzyjemnego poczucia, że zaskoczono mnie w żenującej sytuacji i niejako do niej przygwożdżono.

Powiecie mi, że doskonale mogłem gwizdać na to, co o mnie myślą nieznani mi mieszkańcy odosobnionej konstelacji. Rzeczywiście, przedmiotem mojej troski była nie tyle opinia o mnie, krążąca w zasięgu tego czy owego ciała niebieskiego, ile podejrzenie, iż konsekwencje faktu, że mnie stamtąd dostrzeżono, mogą wręcz nie mieć granic. Dokoła tamtej galaktyki istniało wiele innych, niektóre z nich w odległości mniejszej niż sto milionów lat świetlnych, i wszędzie tam mogli czuwać obserwatorzy z dobrze otwartymi oczyma. Napis: Widziałem cię, zanim jeszcze ja go dostrzegłem, został z pewnością odczytany przez mieszkańców innych ciał niebieskich, a później stopniowo to samo mogło następować na innych, bardziej odległych konstelacjach. Nawet jeżeli nikt nie mógł wiedzieć dokładnie, do jakiej szczególnej sytuacji ta uwaga się odnosiła, niejasność ta na pewno nie była dla mnie korzystna. A nawet, jako że ludzie skłonni są zawsze dawać wiarę wersjiom najgorszym, to, co w rzeczywistości udało im się zauważyć z odległości stu milionów lat świetlnych, było niczym w porównaniu z tym wszystkim, co na ten temat sobie zmyślili. Ujemne wrażenie, jakie mogłem na kimś wywrzeć w owej chwili nierozwagi sprzed dwóch milionów stuleci, rozrastało się, olbrzymiało, odbijając się we wszystkich galaktykach wszechświata, i nie mogłem go zdementować, jeśli nie chciałem pogorszyć sytuacji, gdyż nie mając pojęcia, do jakich krańcowo oszczerczych dedukcji mogli dojść ci, którzy mnie bezpośrednio nie widzieli, nie wiedziałem, od czego powinienem rozpocząć i na czym zakończyć swoją obronę.

W tym stanie ducha każdej nocy niezamordowanie rozglądałem się wokoło przez teleskop. I trzeciej z kolei nocy spostrzegłem, że i na innej jeszcze galaktyce, odległej o sto milionów lat i jeden dzień świetlny, ktoś wystawił plakat: Widziałem cię. Nie miałem cienia wątpliwości, że napis ten odnosił się do tego samego epizodu – to, co zawsze starałem się utrzymać w tajemnicy, zostało odkryte nie tylko przez jedno ciało niebieskie, ale i przez drugie, usytuowane w zupełnie innej strefie przestrzeni. I nie na tym koniec, w ciągu

następnych nocy zobaczyłem dalsze plakaty z napisem: Widziałem cię, ukazujące się na coraz to nowych konstelacjach. Z obliczeń wynikało, że ów moment, w którym mnie widziano, był zawsze ten sam. Na każde z tych oświadczeń odpowiadałem nowym plakatem, nacechowanym wzgardliwą nonszalancją w rodzaju: Ach, tak? to bardzo miło, albo: Dużo mnie to obchodzi, a nawet w tonie prowokacyjnie aroganckim, jak: Tant pis, czy: A kuku, to ja! zawsze jednak z pewną ostrożnością, nie chcąc się zbyt zagalopować.

Jakkolwiek logika faktów kazała mi patrzeć w przyszłość z uzasadnionym optymizmem, to jednak zbieganie się tych wszystkich: Widziałem cię w jednym jedynym punkcie mojego życia – niewątpliwie przypadkowe, wywołane specyficznymi warunkami międzygwiazdnej widoczności (jedynym wyjątkiem było pewne ciało niebieskie, na którym wciąż w odniesieniu do tejże daty ukazał się napis: Ni cholery nie widać) – sprawiało, że siedziałem jak na szpilkach.

Było to tak, jak gdyby w przestrzeni zawierającej wszystkie galaktyki obraz tego, co zrobiłem tamtego dawno minionego dnia, padał na wewnętrzną stronę kuli rozszerzającej się nieustannie z szybkością światła: obserwatorzy ciał niebieskich pojawiających się kolejno w promieniu kuli mogli więc widzieć to, co się wówczas stało. Z kolei każdy z tych obserwatorów znajdował się także niejako w centrum kuli, również rozszerzającej się z szybkością światła i rzucającej odbicie plakatu z napisem: Widziałem cię na wszystkie strony. Jednocześnie wszystkie te ciała niebieskie wchodziły w skład galaktyk, które oddalały się od siebie w przestrzeni z szybkością proporcjonalną do odległości, każdy więc obserwator, który dawał znak, że wiadomość otrzymał, zanim mógłby otrzymać następną, był już w zupełnie innym punkcie przestrzeni, oddalając się wciąż z rosnącą prędkością. W pewnym momencie najdalsze z tych galaktyk, które mnie widziały (bądź też widziały napis: Widziałem cię, na którejś z bliższych nam galaktyk, względnie napis: Widziałem twoje „Widziałem cię”, na którejś z bardziej oddalonych), miały osiągnąć granice dziesięciu miliardów lat świetlnych, a z chwilą jej przekroczenia zaczęłyby się oddalać z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, czyli szybciej niż światło, i żaden obraz nie mógłby ich dogonić. Istniało więc niebezpieczeństwo, że pozostaną przy swojej początkowej mylnej opinii o mnie, opinii, która z tą chwilą stałaby się ostateczna, niemożliwa do sprostowania, bezapelacyjna, a tym samym, w pewnym sensie, słuszna i odpowiadająca prawdziwemu stanowi rzeczy.

Konieczne więc było niezwłoczne wyjaśnienie tego nieporozumienia.

A nadzieję, że zostanie wyjaśnione, mogłem pokładać w jednej jedynej okoliczności: że po tamtym fatalnym dniu widziano mnie jeszcze niejednokrotnie w momentach ukazujących mój zupełnie inny obraz, obraz – nie wątpię w to – prawdziwy. Takich okazji nie brak było na przestrzeni ostatnich dwustu milionów lat, a mnie wystarczyłaby nawet jedna, byle naprawdę jasna i niedająca pola do nieporozumień. Pamiętałem na przykład dzień, w którym byłem naprawdę sobą, czyli byłem sobą w taki sposób, w jaki chciałem, aby mnie inni widzieli. Dzień ten – obliczyłem to sobie szybko – wypadł najdokładniej sto milionów lat temu. A więc z galaktyki odległej o sto milionów lat świetlnych właśnie teraz można mnie było widzieć w owej sytuacji tak pochlebnie o mnie świadczącej i opinia tamtejszych mieszkańców na mój temat musiała się zmieniać, prostując czy wręcz dementując tamto przelotne wrażenie. Właśnie teraz albo prawie teraz, bo odległość, jaka nas dzieliła, wynosić musiała już nie sto milionów lat świetlnych, lecz co najmniej sto jeden; nie pozostawało mi więc nic innego, tylko odczekać taką ilość lat, aby pozwolić światłu stamtąd dotrzeć do nas (dokładną datę można bez trudu obliczyć, posługując się tak zwaną „stałą Hubble’a”), a byłbym mógł zapoznać się z ich reakcją.

Ten, kto mógł mnie zobaczyć w momencie X, według wszelkiego prawdopodobieństwa widział mnie także w momencie Y; a zważywszy, że mój obraz w momencie Y był znacznie bardziej przekonujący niż w momencie X – powiedziałbym nawet sugestywny, taki, który raz ujrany pozostaje w pamięci – powinienem być zapamiętany właśnie w momencie Y, to zaś, co widziano w momencie X, powinno zostać natychmiast zapomniane, wymazane po przelotnym, pożegnalnym niejako pojawieniu się w pamięci, które mogłoby oznaczać taką mniej więcej refleksję: „Pomyślcie tylko, komuś, kto jest tak bardzo Y, może się zdarzyć, że się go zobaczy w momencie, kiedy jest jak X, i uwierzy się, że jest on właśnie X, chociaż przecież jasne jest, że jest on absolutnie jak Y”.

I niemal cieszyła mnie ta ogromna ilość napisów: Widziałem cię, ukazująca się wszędzie dokoła, gdyż dowodziła, że powszechna uwaga jest wciąż na mnie skupiona i że nie ujdzie jej również mój dzień najbardziej świetlany. Dzień ów miałby – a raczej musiał już mieć, bez mojej wiedzy – rezonans bez porównania szerszy aniżeli tamten, zamykający się w środowisku ograniczonym i raczej peryferyjnym, rezonans, jakiego w mojej skromności nigdy nie mógłbym się spodziewać.

Trzeba również wziąć pod uwagę te ciała niebieskie, z których – wskutek nieuwagi, a może złego położenia – nie widziano mnie samego, tylko plakat:

Widziałem cię, gdzieś w pobliżu i wystawiano na własną rękę plakaty z napisami: Podobno cię widziano albo: Stamtąd cię widzieli, a jakże! (W sformułowaniach tych wyczuwałem bądź ciekawość, bądź też sarkazm). Tam także były jakieś oczy wytyczające wzrok w moim kierunku, które, przepuściwszy jedną okazję, nie chciały zmarnować drugiej, a mając o X jedynie wiadomość pośrednią i opartą na przypuszczeniu, były zapewne tym bardziej skłonne przyjąć Y jako jedyną i realną prawdę o mnie.

Tak więc echo momentu Y mogło się rozszerzać w czasie i przestrzeni, dosięgnąć najodleglejszych i najszybszych galaktyk, które następnie, mknąc z prędkością światła, znalazłyby się poza zasięgiem jakichkolwiek późniejszych obrazów i unosiłyby z sobą mój obraz teraz już ostateczny, poza czasem i przestrzenią; i obraz ten stałby się prawdą, która zawiera w swej nieskończoności wszystkie inne prawdy częściowe i sprzeczne.

Sto milionów stuleci to nie wieczność, ale mnie się wydawało, że nigdy nie doczekam się ich końca. Wreszcie jednak właściwa noc nadeszła. Zawczasu już nastawiłem teleskop na tamtą galaktykę, tę samą co za pierwszym razem. Przybliżyłem prawe oko do okulara, trzymając powiekę przymkniętą, unoszę powiekę powolutku i oto konstelacja doskonale widoczna w soczewce z plakatem sterczącym pośrodku, trudno odczytać, nastawiam lepiej soczewkę... Napisane: Tra-la-la-la. Tylko tyle: Tra-la-la-la. W chwili kiedy ja wypowiedziałem całą istotę mojej osobowości w sposób absolutnie oczywisty, bez ryzyka jakiegokolwiek nieporozumienia, w chwili kiedy dałem klucz pozwalający zinterpretować każdy gest mego życia, przeszły i przyszły, i wysnuć z nich wszystkich sąd wszechstronny i sprawiedliwy – ten, kto miał nie tylko możność, ale i obowiązek moralny obserwowania i zapamiętywania, co ja robię, cóż oto zobaczył? Nic a nic nie zauważył i nie zapamiętał niczego. Odkrycie, że lwia część mojej reputacji była na łasce i niełasce jakiegoś typu, budzącego tak mało zaufania, przygnębiło mnie. A więc ten dowód, że jestem taki, jaki naprawdę jestem, ten dowód, który wobec wielu sprzyjających okoliczności, jakie mu towarzyszyły, mogłem uważać za jedyny i niepowtarzalny, przeszedł ot tak sobie, niedostrzeżony, zmarnowany i ostatecznie stracony dla całej jednej strefy firmamentu, tylko dlatego że ten pan pozwolił sobie na pięć minut roztargnienia, zabawy, powiedzmy nawet, nieodpowiedzialności, gapiąc się z nosem zadartym w górę jak głupek, może w euforii, jaka ogarnia tego, kto wypił o jedną szklankę za dużo. I nic lepszego nie potrafił wymyślić do wypisania na swoim plakacie, tylko te głoski bez sensu, może pogwizdywał przy tym jakąś melodyjkę, niepomny swoich obowiązków, Tra-la-la-la.

Jedna tylko myśl była mi pewnym pokrzepieniem: że na innych galaktykach nie mogło zabraknąć skrupulatniej szych obserwatorów. Bardziej niż kiedykolwiek rad byłem, że ów niemiły epizod z mojej przeszłości miał tak wielu widzów, którzy teraz niechybnie zwrócą uwagę na zmianę sytuacji. Znów zacząłem ślęczeć co noc przy teleskopie. I którejs z następnych nocy ujrzałem, akurat w odpowiedniej odległości, jakąś galaktykę w całej swojej krasie. Plakat był, a jakże. A na nim wypisane słowa: Masz sweter wełniany.

Plącząc ze złości, szukałem w myśli jakiegoś wyjaśnienia tych słów. Może tam z biegiem czasu tak bardzo udoskonalono teleskopy, że teraz zabawiano się obserwowaniem nic nieznaczących szczegółów – na przykład dociekaniem, czy sweter, który miałem na sobie, był wełniany czy bawełniany – a cała reszta ich nie obchodziła, na nic więcej nie zwracali uwagi. I z mego chwalebego uczynku – uczynku, powiedzmy sobie, wielkodusznego – nie zapamiętali nic prócz wełnianego swetra; sweter był wysokiej klasy, nie ma co mówić, w innych okolicznościach byłoby mi nawet przyjemnie, że zwrócono na to uwagę, ale nie wtedy, nie wtedy.

Ale przecież oczekiwałem jeszcze tylu innych odpowiedzi, było więc rzeczą naturalną, że w tak wielkiej ich liczbie niektóre mogły sprawić mi zawód; a ja nie dałem się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Rzeczywiście, z jednej trochę dalszej galaktyki uzyskałem niebawem potwierdzenie, że ktoś widział mnie tak, jak powinien mnie widzieć, i ocenił moje zachowanie słusznie, czyli entuzjastycznie. Na swoim plakacie ów ktoś napisał: Ten facet to zuch. Przyjąłem to oświadczenie do wiadomości z całkowitym zadowoleniem. Zważcie, że potwierdzało ono jedynie to, czego się mogłem spodziewać, a raczej czego byłem pewny, że mianowicie uznany zostałem wedle zasług. Nagle jednak zastanowiło mnie określenie „ten facet”. Dlaczego mówił o mnie „ten facet”, jeżeli już mnie widział przedtem, przypuśćmy nawet, że w tamtej niekorzystnej sytuacji, ale bądź co bądź musiałem mu już być dobrze znany? Wyregulowałem starannie soczewki teleskopu i odkryłem u dołu tego samego plakatu linijkę wypisaną literami trochę mniejszymi: Kto taki? Licho go wie. Czy podobna sobie wyobrazić gorszego pecha? Ci, którzy mieli w ręku elementy pozwalające im zrozumieć, kim naprawdę byłem, nie rozpoznali mnie. Nie kojarzyli tego chwalebego epizodu z tamtym, niezbyt chwalebnym, który wydarzył się dwieście milionów lat wcześniej; a zatem epizod zasługujący na potępienie w dalszym ciągu przypisywano mnie, podczas gdy ten drugi znany był jako bezosobowa, anonimowa anegdota, niewchodząca w skład niczyjego życiorysu.

Pod wpływem pierwszego impulsu chciałem wywiesić plakat: „Ależ to ja!”



Rozmyśliłem się jednak, na cóż by się to zdało? Ktoś zobaczyłby to za przeszło sto milionów lat, a jak do tego dodać tamte trzysta z hakiem, które upłynęły od momentu X, to byłoby już bez mała pół miliarda lat; chcąc mieć pewność, że zostaną zrozumiany, musiałbym wyjaśniać, wyciągnąć znowu tę starą historię, a właśnie tego wolałem uniknąć.

Teraz nie byłem już tak bardzo pewny siebie. Obawiałem się, czy wieści z innych galaktyk nie okażą się równie mało krzepiące. Ci, którzy mnie widzieli, dostrzegli mnie tylko częściowo, fragmentarycznie, w roztargnieniu, i może tylko do pewnego stopnia zrozumieli, co widzą, nie chwytając istoty rzeczy, nie analizując elementów mojej osobowości, uwydatniających się stopniowo, od przypadku do przypadku.

Jeden jedyny napis wyrażał to, czego w istocie oczekiwałem: Wiesz, naprawdę zuch z ciebie! Szybko zacząłem przerzucać kartki mego notatnika, aby sobie przypomnieć, jakie reakcje z tej galaktyki odnotowałem w odniesieniu do momentu X. Okazało się, dziwnym zbiegiem okoliczności, że to właśnie tam dojrzałem kiedyś plakat z napisem: Nic nie widać, do licha. W tej strefie wszechświata cieszyłem się największym uznaniem, nie ma co mówić, powinienem być wreszcie zadowolony, a jednak nie, nie odczuwałem najmniejszej satysfakcji. Zrozumiałem, że ponieważ ci moi admiratorzy nie należeli do tych, którzy przedtem mogli sobie o mnie wytworzyć mylną opinię, nic a nic mnie nie obchodzą. Oni przecież nie mogli dać mi dowodu, że moment Y dementuje i przekreśla moment X. Toteż moja niepewność trwała nadal, a im dłużej trwała, tym była gorsza, zwłaszcza że nie wiedziałem, czy jej przyczyny zostały albo mogły zostać usunięte.

Oczywiście, dla obserwatorów rozsianych po wszechświecie moment X i moment Y były to tylko dwa spośród niezliczonego mnóstwa momentów, jakie mogli zauważyć. Rzeczywiście każdej nocy na konstelacjach rozmieszczonych w bardzo rozmaitych odległościach pojawiały się plakaty, które odnosiły się do całkiem innych epizodów i które głosiły: Tylko tak dalej, albo: Jeszcze tam jesteś, albo: Uważaj, co robisz, albo: A nie mówiłem? Dla każdego z nich mogłem bez trudu obliczać lata świetlne stąd tam i stamtąd tu i ustalić w ten sposób, do jakiego epizodu się dany napis odnosi. Każdy najbliższy uczynek w moim życiu, każdy raz, kiedy, dajmy na to, wsadziłem palec do nosa albo wyskoczyłem z tramwaju w biegu – wszystko to wędrowało od mojej galaktyki do następnej, wszystko było brane pod uwagę, komentowane, osądzone. Komentarze i sądy nie zawsze wydawały się sensowne, napis: Też coś odnosił się do momentu, kiedy trzecią część moich poborów przeznaczyłem na cel dobroczynny; słowa: To mi się podoba – kiedy przez zapomnienie zostawiłem

w pociągu rękopis rozprawy, która mnie kosztowała całe lata badań; a mój słynny wykład inauguracyjny na uniwersytecie w Getyndze doczekał się komentarza: Uwaga na przeciagi.

W pewnym sensie mogłem być spokojny, nic z tego, co robiłem, dobrego czy złego, nie ginęło bez śladu. Zawsze pozostawało jakieś echo, a nawet wiele różnych ech, zmieniających się w wędrówce z jednego końca wszechświata w drugi, poprzez strefę, która rozszerzała się, rodząc inne z kolei strefy, ale wszystko to były wiadomości nieciągłe, niezharmonizowane, nieistotne; nie wynikało z nich żadne logiczne powiązanie moich uczynków i żaden uczynek późniejszy nie tłumaczył ani nie korygował wcześniejszego, tak że można je było jedynie dodawać do siebie ze znakiem dodatnim, w postaci niezmiernie długiego wielomianu, którego nie da się zredukować do wyrażenia prostszego.

Cóż mogłem w tej sytuacji zrobić? Zajmować się nadal przeszłością nie miałyby sensu. Jak było, tak było – teraz należało się postarać, żeby na przyszłość poszło lepiej. Ważne było zwłaszcza, ażeby we wszystkim, co robię, uwypuklić istotę rzeczy, aby nie było wątpliwości, na co powinien być położony akcent, co należy zapamiętać, a czego nie. Zaopatrzyłem się w ogromny plakat z rysunkiem oznaczającym kierunek, w rodzaju tych, na których widnieje ręka z wyciągniętym palcem wskazującym. Kiedy robiłem coś, na co pragnąłem skierować uwagę, wystarczyło mi unieść plakat do góry w ten sposób, aby wyciągnięty palec wskazywał to, co mi się wydawało w tym fakcie najważniejsze. Natomiast na te chwile, kiedy wolałbym pozostać niezauważony, przygotowałem sobie inny plakat, z ręką, której palec wskazujący wyciągnięty był w kierunku odwrotnym do tego, w którym ja się udawałem, aby w ten sposób odwrócić od siebie uwagę.

Postanowiłem nosić z sobą stale oba te plakaty i podnosić jeden lub drugi zależnie od okoliczności. Było to działanie długodystansowe, rzecz jasna; obserwatorzy, oddaleni o setki tysięcy tysiącleci świetlnych, mieli dopiero po upływie setek tysięcy tysiącleci ujrzeć to, co właśnie robiłem, a ja poznałbym ich reakcje po dalszych setkach tysięcy tysiącleci. Ale to było opóźnienie nieuniknione, a prócz tego był jeszcze pewien szkopał, którego nie przewidziałem zawczasu: co powinienem był uczynić w wypadku, gdybym spostrzegł się, że podniosłem nie ten plakat, co trzeba?

Na przykład w pewnej chwili wydało mi się, że to, co mam właśnie zrobić, przysporzy mi godności i prestiżu: czym prędzej więc wystawiam plakat, na którym widnieje palec wycelowany we mnie, i w tej samej chwili pogrążam się w jakąś niefortunną sytuację, popełniam jakąś niewybaczalną gafę, objawiam samo dno ludzkiej nędzy, takiej, że chciałoby się pod ziemię schować ze

wstydu. Ale jest już za późno, obraz mojego uczynku, wraz z ręką na plakacie wskazującą na mnie, płynie już w przestworzu, nikt go nie może powstrzymać, pochłania lata świetlne, mknie od galaktyki do galaktyki, wznieca przez miliony przyszłych stuleci komentarze, śmiechy albo marszczenie nosów, które z głębi tysiącleci miały powrócić kiedyś do mnie, zmuszając do jeszcze bardziej niezręcznych usprawiedliwień, do nieśmiałych prób wyjaśnień...

Innym znów razem musiałem stawić czoło jakiejś niemilej sytuacji – był to jeden z takich życiowych wypadków, przez które musi się przebrnąć, wiedząc z góry, że tak czy siak dobrze to nie wyjdzie. Osłoniłem się jak tarczą owym plakatem, na którym palec wskazujący wyciągnięty był w kierunku przeciwnym, i przystąpiłem do akcji. Wbrew przewidywaniom, w tej sytuacji tak delikatnej i drażliwej dałem dowody przytomności umysłu, zrównowazenia, grzeczności i zdecydowania zarazem, jakich nikt – nie wyłączając mnie samego – nigdy by u mnie nie podejrzewał. Ujawniłem nieoczekiwane zasoby duchowe, które pozwalały wierzyć w długotrwałe i pomyślne dojrzewanie mojego charakteru, a tymczasem plakat odwracał wzrok obserwatorów, kierując go na przykład na stojący w pobliżu wazon z bukietem peonii.

Tego rodzaju wypadki, które początkowo uważałem za wyjątkowe, wynikłe po prostu z braku doświadczenia, zdarzały mi się coraz to częściej. Zbyt późno spostrzegłem się, że powinienem był uwydatnić coś, co właśnie starannie ukryłem, albo ukryć coś, na co skierowałem uwagę widzów; nie było sposobu dotrzeć do nich wcześniej niż obraz i uprzedzić ich, żeby nie zwracali uwagi na to, co mówi plakat.

Spróbowałem sporządzić sobie trzeci plakat z napisem: Nieważne i podnosić go, kiedy trzeba było zdementować poprzedni, ale i tak na wszystkich galaktykach byłoby to widoczne dopiero po tamtym, który miałyby być skorygowany. A więc kiedy zło już się stało i mogłem się tylko ośmieszyć, na nic by się nie zdały próby neutralizowania tej gafy przez wystawienie jeszcze jednego plakatu: „Nieważne” jest nieważne.

Żyłem więc dalej w oczekiwaniu tego momentu odległej przyszłości, kiedy z galaktyk dotrą do mnie komentarze na temat nowych epizodów, żenujące i niesmaczne, i kiedy będę mógł polemizować z nimi, wysyłając w przestrzeń riposty, które już sobie zawczasu obmyślałem, stopniując ich wymowę zależnie od okoliczności. A w tym czasie galaktyki, na terenie których najbardziej byłem skompromitowany, przetaczały się przez progi kolejnych miliardów lat świetlnych, i to z taką szybkością, że aby je dopędzić, moje wypowiedzi musiałyby szybować w przestworzu, uczone one ich szaleńczego przyspieszenia.

Jedna po drugiej znikająby za ostatnim widnokretem dziesięciu miliardów lat świetlnych, spoza którego żaden przedmiot widzialny nie może być już dostrzeżony, unosząc z sobą sąd, już teraz nieodwołalny.

I na myśl o tym sędzie, którego w żaden sposób nie będę już mógł odmienić, doznałem uczucia ulgi, jak gdyby uspokojenie mogło spłynąć na mnie dopiero z chwilą, kiedy do tego przypadkowego rejestru nieporozumień nic już nie będzie można dodać ani z niego ująć, a uciekające galaktyki pozostawiają po sobie już tylko świetlistą smugę, niby ogon widoczny jeszcze poza sferą ciemności, unosząc z sobą jedyną możliwą prawdę o mnie. I nie mogłem doczekać się chwili, kiedy, jedna za drugą, wszystkie odejdą w tę drogę.

## Spirala

U większości mięczaków wygląd zewnętrzny nie odgrywa większej roli w życiu osobników tego samego gatunku, zważywszy, że nie mogą one widzieć się nawzajem i mają tylko bardzo mgliste pojęcie o wyglądzie innych osobników i w ogóle otoczenia. Prześliczne żywe barwy i kształty, jakimi odznaczają się muszle niektórych brzuchonogów, istnieją niezależnie od jakichkolwiek względów wizualnych.

### 1

Jak to było, chcecie wiedzieć, kiedy byłem przyczepiony do skały – *zapytał Qfwfq* – a fale wznosiły się i opadały, podczas gdy ja tkwiłem nieruchomo, płąsciutko przywarty i wysysałem to, co było do wyssania, i nic tylko wciąż nad tym medytowałem? Jeżeli o to chodzi, niewiele mogę wam powiedzieć. Kształtu nie miałem, to znaczy, nie wiedziałem, że go mam, a nawet nie wiedziałem, że w ogóle można mieć kształt. Rosłem trochę na wszystkie strony, jak leci; jeżeli to właśnie nazywacie symetrią gwiazdzistą, no to miałem symetrię gwiazdzistą, ale szczerze mówiąc, nigdy na to nie zwróciłem uwagi. Dlaczego miałbym rosnąć bardziej z jednej strony niż z drugiej? Nie miałem ani oczu, ani głowy, ani żadnej części ciała, która by się różniła od jakiegokolwiek innej. Teraz chcą we mnie wmówić, że z tych dwóch otworów, które miałem, jeden był jamą ustną, a drugi odbytem, że więc już wtedy miałem tę swoją symetrię dwustronną, ni mniej, ni więcej, tylko jak trylobity i jak wy wszyscy, ale ja, o ile pamiętam, nie widziałem jeszcze między tymi otworami żadnej różnicy, przepuszczałem przez nie pokarm, jak się zdarzyło, do środka czy na zewnątrz, było mi wszystko jedno, zróżnicowanie i w ogóle pojęcie obrzydliwości przyszło dopiero znacznie później. Od czasu do czasu nachodziły mnie jakieś zachcianki, to prawda; na przykład, żeby się podrapać pod łopatką albo założyć nogę na nogę, kiedyś nawet miałem ochotę zapuścić przystrzyżone na szczoteczkę wąsiki. Używam tych określeń teraz tu z wami, żebyście mogli mnie zrozumieć; wtedy oczywiście podobnych szczegółów nie mogłem przewidzieć, moje komórki były prawie całkiem jednakowe i spełniały zawsze tę samą pracę – skurcz i rozkurcz. Ale zważywszy, że nie miałem kształtu, czułem w sobie wszelkie możliwe kształty, wszelkie gesty i miny, i możliwość wydawania odgłosów, nawet takich nieprzystojnych. Krótko mówiąc, nie było granic dla moich myśli, które nie były właściwie myślami, gdyż nie miałem mózgu do myślenia, każda z moich komórek myślała na własną rękę wszystko, co było do myślenia, i wszystko naraz, nie za pomocą

obrazów, gdyż nic w rodzaju obrazów nie mieliśmy do dyspozycji, ale w jakiś nieokreślony sposób, czując po prostu, że istniejemy, co nie wykluczało wcale możliwości czucia, że się istnieje w jakikolwiek inny sposób.

Moje życie było w owym czasie bogate, wolne i dawało mi zadowolenie na przekór temu, co moglibyście o tym sądzić. Byłem kawalerem (ówczesny system reprodukcji nie wymagał chwilowego nawet łączenia się w pary), byłem zdrowy, bez nadmiernych wymagań. Kiedy jesteś młody, masz jeszcze przed sobą cały proces ewolucji, wszystkie drogi otwarte, a jednocześnie możesz cieszyć się tym, że tak siedzisz na skale w postaci płaskiego, wilgotnego, szczęśliwego mięczaka. Jeśli to porównać z ograniczeniami, jakie przysły później – pomyśleć chociażby o tym, że posiadanie kształtu wyklucza inne kształty, o tym monotonnym życiu bez niespodzianek, ciągnącym się aż do chwili, kiedy poczujesz, że już dalej ani rusz, że to koniec – no cóż, mogę powiedzieć, że wtedy dobre było życie.

Oczywiście, żyłem trochę zamknięty w sobie, to prawda, nie ma porównania z tym życiem towarzyskim, jakie teraz się prowadzi; przyznaję też, że miałem w sobie – to kwestia wieku, a trochę i wpływ otoczenia – pewne cechy narcyzmu; bez przerwy obserwowałem siebie, widziałem wszystkie swoje zalety i wszystkie wady i podobałem się sobie, lubiłem nie tylko swoje zalety, ale i swoje wady; żadnej skali porównawczej nie miałem i to także trzeba wziąć pod uwagę.

Ale nie byłem bynajmniej tak tępy, żeby nie zdawać sobie sprawy, że oprócz mnie coś jeszcze istnieje. Przede wszystkim, oczywiście, skała, do której byłem przyczepiony, no i woda, której każda kolejna fala mnie oblewała, ale nie tylko to, również i inne rzeczy, bardziej oddalone, czyli po prostu świat. Woda stanowiła środek informacji cenny i precyzyjny, przynosiła mi substancje jadalne, które wchłaniałem całą powierzchnią mego ciała, i inne, niejadalne, które dawały mi pewne pojęcie o tym, co jest dokoła. Procedura była taka; nadchodziła fala, a ja, przyczepiony do skały, unosiłem się odrobinę, prawie niedostrzegalnie, wystarczało zwolnić mi troszkę ucisk i już – slaff – woda przepływała pode mną pełna różnorodnych substancji, odczuć i bodźców. Te bodźce działały w różny sposób, nigdy nie wiedziałeś jak, czasem łaskocząc, i mogłeś wtedy pęknąć ze śmiechu, czasem w postaci dreszczu, pieczenia, swędzenia, tak że były nieustającym źródłem zabawy i emocji. Nie myślcie jednak, że przyjmowałem je biernie, otwartą gębą chłonąc wszystko, co się trafiło; szybko nabrałem doświadczenia, nauczyłem się rozróżniać, z czym mam do czynienia, wiedziałem, jak się zachować, aby wykorzystywać to jak najlepiej lub aby uniknąć niemiłych konsekwencji. Wszystko polegało na

grze skurczów każdej poszczególniej komórki i na odprężaniu się w odpowiednich momentach. Mogłem dokonywać wyboru, odrzucać, przyciągać, a nawet wypluwać.

W ten sposób dowiedziałem się, że istnieją inni, otaczający mnie żywioł pełen był ich śladów, inni odmienni i wrodzy albo wręcz nieprzyjemnie podobni. Ale nie, z tego, co mówię, może wam się wydawać, że byłem dziwakiem i odludkiem, a to nieprawda. Pewnie, każdy troszczył się o własne sprawy, jednakże obecność innych dodawała mi ducha, zakreślała wokół mnie przestrzeń zamieszkaną, uwalniała mnie od podejrzenia, że jestem jakimś niepokojącym wyjątkiem, że tylko ja jeden istnieję, co odczuwałbym jak wygnanie.

No i były też inne. Woda przekazywała mi pewne szczególne drgania, jakieś bezgłośnie frin, frin, frin, dobrze pamiętam, kiedy je po raz pierwszy spostrzegłem, a raczej kiedy pojąłem, że spostrzegam te drgania jak coś dobrze od dawna mi znanego. Od chwili, kiedy odkryłem ich istnienie, ogarnęła mnie gwałtowna ciekawość, chodziło mi nie tyle o to, żeby je zobaczyć, ani nawet, żeby one mnie zobaczyły – zważywszy, że po pierwsze nie mieliśmy wzroku, a po drugie płci nie były jeszcze zróżnicowane, każdy osobnik był identyczny z każdym osobnikiem, a więc patrzenie na kogoś innego nie było ciekawsze od patrzenia na samego siebie – ale ciekaw byłem, czy między nimi a mną coś się będzie działo. Zapragnąłem czegoś, nie tego, żeby uczynić coś szczególnego – o tym nie mogło być mowy, bo przecież nie tylko nic szczególnego, ale w ogóle nic nie było do zrobienia – ale żeby w jakiś sposób odpowiedzieć na tę wibrację odpowiadającą jej wibracją, a raczej moją wibracją osobistą, gdyż w tym właśnie przejawiałoby się coś, co nie było dokładnie takie samo jak u innych. Wy powiedzielibyście teraz, że to sprawa hormonów, ale dla mnie to było coś naprawdę pięknego.

Krótko mówiąc, jedna z nich mięciutko, sflif, sflif, sflif, składała jajeczka, a ja, sfluff, sfluff, sfluff, zapładniałem je. Wszystko odbywało się w morzu, pomieszane w ciepłej, nagrzanej słońcem wodzie, zapomniałem wam powiedzieć, że ja czułem słońce, pod jego wpływem woda stawała się ciepła, a skała gorąca.

Jedna z nich, powiedziałem. Bo wśród tych wszystkich żeńskich darów, przynoszonych mi przez morze i zmieszanych na podobieństwo zupy, której każdy składnik jednakowo mi smakował i w której buszowałem łakomie, nie dopatrując się jakichkolwiek różnic, oto w pewnej chwili odkryłem coś, co najbardziej odpowiadało moim gustom – gustom, o których do tej pory nie miałem pojęcia. Mówiąc po prostu – zakochałem się. Znaczy to, że zacząłem

rozpoznawać, wyodrębniać cechy jednej spośród wszystkich pozostałych, czekałem na sygnały, które nauczyłem się rozróżniać, szukałem ich, odpowiadałem na nie moimi sygnałami, a nawet starałem się sprowokować, aby móc na nie odpowiedzieć moimi – jednym słowem, byłem w niej zakochany, a ona we mnie, i czegoż więcej mógłbym pragnąć, cóż lepszego mogłoby mi przynieść życie?

Dzisiaj obyczaje się zmieniły i wydaje się wam niepojęte, żeby się tak w kimś zakochać, bez bliższej znajomości. A jednak przez to coś, co było jej własne, co różniło ją od wszystkich innych i unosiło się w wodzie morskiej, którą przynosiły mi fale, docierało do mnie mnóstwo informacji o niej, takich, jakich sobie nawet nie potraficie wyobrazić. Nie powierzchowne, ogólnikowe informacje, jakie się teraz uzyskuje za pomocą wzroku, węchu, dotyku i słuchu, ale te najważniejsze, na podstawie których mogła pracować moja wyobraźnia. Mogłem o niej myśleć nieomylnie i precyzyjnie, nie tyle o tym, jaka ona jest, co byłoby myśleniem prymitywnym i banalnym, ile myśleć o niej takiej, jaką by się stała, gdyby – istota nieobdarzona żadnym kształtem – przybrała jedną z nieprzeliczonych możliwych form zewnętrznych, pozostając jednakże sobą. A raczej wyobrażałem sobie nie formy, jakie mogłaby przyjąć, tylko pewien specyficzny charakter, który by przyjętej przez siebie formie nadała.

Znałem ją w końcu dobrze. A nie byłem jej pewien. Raz po raz nachodziły mnie podejrzania, niepokoje, niecierpliwość. Nie dawałem tego poznać po sobie, znacie przecież mój charakter, ale pod tą niewzruszoną maską kłębiły się przypuszczenia, które nawet teraz niełatwo mi wyznać. Wielekroć podejrzewałem, że ona mnie zdradza, że wysyła swoje sygnały nie tylko do mnie, ale i do innych, nieraz już byłem pewien, że taki sygnał przejąłem, albo odkrywałem w tych, które do mnie były skierowane, jakieś akcenty nieszczerze. Byłem zazdrosny, teraz mogę to powiedzieć, i wynikało to nie tyle z braku zaufania do niej, ile stąd, że nie byłem pewny samego siebie: jakąż miałem gwarancję, że ona dobrze zrozumiała, kto ja jestem? A choćby, że jest pewna mojego istnienia? To, co się między nami dwojgiem dokonywało za pośrednictwem wody morskiej – spełnienie całkowite, czegoż mogłem pragnąć więcej? – dla mnie było czymś absolutnie intymnym, czymś, co się dzieje między dwiema odrębnymi indywidualnościami. Ale dla niej? Jakąż miałem gwarancję, że tego, co mogła znaleźć we mnie, nie znajduje również w innym, w dwóch, trzech, dziesięciu czy stu takich jak ja? Skąd mogłem mieć pewność, że to oddanie, z jakim uczestniczyła w naszych stosunkach, nie było oddaniem bez wyboru, uciechą beztroską i niewybredną, dzieloną z kim popadnie, wręcz kolektywną?



O tym, że te podejrzenia nie odpowiadały prawdzie, świadczyło nieśmiałość, intymne, wstydlive drżenie towarzyszące naszym kontaktom; cóż z tego jednak, jeżeli ona właśnie przez nieśmiałość, właśnie z braku doświadczenia nie dość uważnie śledziła cechy indywidualne moich sygnałów, a inni postępowanie to wykorzystywali? A ona naiwnie wierzyła, że to zawsze ja, nie odróżniała mnie od innych i w ten sposób nasze intymne igraszki rozciągały się na cały krąg nieznajomych?

Wtedy to więc zacząłem wydzielać substancję wapienną. Chciałem zrobić coś, co by zaznaczyło moją osobowość w sposób wykluczający nieporozumienia, co by broniło mojego indywidualnego istnienia przed roztopianiem się w masie. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad nowatorstwem tego mojego zamierzenia, pierwsze użyte przeze mnie słowo wystarczy aż nadto: zrobić, chciałem zrobić, a zważywszy, że do tamtej pory nigdy nic nie robiłem i nawet nie pomyślałem, że można by coś zrobić, był to już doniosły krok naprzód. Tak to zacząłem robić pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy, mianowicie muszle. Z krawędzi tej mięsistej powłoki, jaką miałem na grzbiecie, zacząłem przy pomocy pewnych gruczołów wydzielać substancję, która rozprzestrzeniała się, zaokrąglala i wkrótce okryła mnie twardą, poznaną kolorowymi paskami skorupą, zbrudzoną z zewnątrz, a gładką i lśniącą wewnątrz. Oczywiście nie miałem możliwości skontrolować, jaki kształt przybiera to, co wytwarzam. Trwałem wciąż skulony, zamknięty w sobie, milczący i nieruchawy, i wydzielałem, wydzielałem... Nie zaprzestałem tego wydzielania, nawet kiedy muszla okryła mnie już całego, zacząłem po prostu drugie okrążenie, w rezultacie wyszła z tego muszla w rodzaju tych skręconych spiralnie, co to, kiedy się na nie patrzy, wydają się takie trudne do zrobienia, a tymczasem trzeba tylko wydzielać pomalutku wciąż ten sam materiał, bez ustanku, i tak wyrastają te zwoje jeden po drugim.

Z chwilą kiedy już ją miałem, muszla ta stała się dla mnie niezbędnym pomieszczeniem, osłoną konieczną do życia, i biada mi, gdybym jej nie zrobił; ale dopóki ją tworzyłem, robiłem to wcale nie po to, żeby mi do czegoś służyła, przeciwnie, robiłem ją tak jak ktoś, kto wydaje okrzyk, którego mógłby wcale nie wydawać, a jednak go wydaje, po prostu, jak ktoś, kto mówi „ba!” czy „och!”, robiłem tę moją muszlę tylko po to, żeby się jakoś wypowiedzieć. I w tę wypowiedź wkładałem wszystkie moje myśli o niej, dawałem folę swojej wściekłości, wyrażałem moje miłosne o niej myślenie, pragnienie istnienia dla niej, bycia sobą w sposób niezaprzeczone i żeby ona była sobą; wypowiadałem moją miłość własną, którą wkładałem w miłość do niej, wszystko, co tylko może być wypowiedziane, wypowiadałem za pośrednictwem muszli, tej

skorupki zwiniętej w spiralę.

Wydzielana przeze mnie wapienna substancja w równych odstępach czasu zabarwiała się, tworząc w ten sposób piękne kolorowe smużki, ciągnące się równiutko poprzez skręty spirali, i ta moja muszla stawała się czymś odmiennym ode mnie, będąc zarazem najprawdziwszą częścią mojej istoty, pozwalając zrozumieć, kim jestem, ukazywała mój wizerunek przetransponowany na rytmiczny układ brył, smug, barw i faktury, a zarazem była jej wizerunkiem przetransponowanym na taki właśnie układ, będąc także prawdziwym, identycznym jej obrazem, takiej, jaką była, gdyż jednocześnie ona konstruowała sobie muszlę identyczną z moją muszlą, i ja bezwiednie kopiowałem to, co ona robiła, a ona bezwiednie kopiowała to, co robiłem ja, i wszyscy wokół nas kopiowali to, co robili inni, budując sobie jednakowusieńkie muszle, tak że w rezultacie pozostalibyśmy wszyscy w punkcie wyjścia, gdyby nie to, że z tymi muszlami to jest tak: mówi się, że jednakowe, ale jak się uważnie przyjrzeć, odkrywa się mnóstwo drobnych różnic, które w przyszłości mogą się stać ogromne.

Mogę więc powiedzieć, że moja muszla tworzyła się sama, ja nie starałem się specjalnie o to, żeby wyszła właśnie taka, a nie inna, co nie znaczy, żebym ten czas spędzał beczynn timer bezmyślnie; byłem całkowicie pochłonięty czynnością wydzielania, ani na chwilę jej nie przerywając i nie myśląc o niczym innym, chociaż nie, należałoby raczej powiedzieć: myśląc wciąż o czymś innym, zważywszy, że o muszli nie umiałem myśleć, tak samo zresztą, jak nie umiałem myśleć o czymś innym; po prostu wysiłkowi tworzenia muszli towarzyszył nieustanny wysiłek myślenia o tym, żeby zrobić jakąś rzecz, jakąkolwiek, a może raczej wszystkie rzeczy, jakie mogły w ogóle być zrobione. Nie była to więc praca monotonna, gdyż wysiłek myśli, jaki jej towarzyszył, rozgałęział się w niezliczoną ilość rodzajów myślenia, z których każdy rozgałęział się w niezliczone rodzaje czynności, a każdy z nich mógł z kolei posłużyć do zrobienia niezliczonej ilości rzeczy, a więc zrobienie każdej z tych rzeczy tkwiło już w zarodku w czynności budowania muszli, skręt po skręcie...

## 2

*(Toteż kiedy teraz, po upływie pięciuset milionów lat, rozglądam się dokoła i widzę nad skalistym brzegiem nasyp kolejowy i przejeżdżający pociąg z wycieczką holenderskich dziewcząt tłoczących się do okien, a w ostatnim przedziale samotnego mężczyznę, który czyta Herodota w dwujęzycznym wydaniu, i pociąg znika w tunelu, nad którym przebiega szosa, i stoi wielka tablica reklamowa z widokiem piramid i napisem:*

Zwiedzajcie ZRA, a na szosie mała motofurgonetka z lodami usiłuje wyprzedzić ciężarówkę załadowaną egzemplarzami zeszytów „Rh-Stijl”, wychodzącej w zeszytach encyklopedii, ale zaraz potem motofurgonetka hamuje i umieszcza się za ciężarówką, gdyż chmara pszczół przelatująca w poprzek szosy przesłoniła widoczność, pszczół pochodzących z uli ustawionych rzędami na polu po drugiej stronie szosy, skąd zapewne wyleciała królowa, wiodąc za sobą cały rój w kierunku przeciwnym kierunkowi, w którym wleczę się ogon dymu lokomotywy, wylaniającej się właśnie z tunelu na drugim jego końcu, tak że przez tę podwójną chmurę, pszczół i dymu węglowego, nic a nic nie widać, dopiero wysoko ponad szosą można dojrzeć wieśniaka, jak dziobie ziemię motyką, i nic o tym nie wiedząc, wydobywa na światło dzienne, a potem na nowo zagrzebuje, kawałek motyki neolitycznej, bardzo podobnej do jego własnej motyki, a dzieje się to w sadzie otaczającym obserwatorium astronomiczne z teleskopami skierowanymi w niebo, a na progu obserwatorium siedzi córka dozorca, czytając horoskopy w tygodniku z podobizną bohaterki fdmu Kleopatry na okładce – widzę to wszystko i nic mnie nie dziwi, bo przecież budowanie muszli implikowało już i składanie miodu w woskowych plastrach, i węgiel, i teleskopy, i panowanie Kleopatry, i film o Kleopatrze, i piramidy, i znaki zodiaku rysowane przez, chaldejskich astrologów, i woję **ix** ny, i imperia, o których mówi Herodot, i słowa spisane przez Herodota, i dzieła napisane we wszystkich językach łącznie z dziełami Spinozy w języku holenderskim i z czternastowierszowym streszczeniem życia i dzieł Spinozy w zeszycie „Rh-Stijl”, encyklopedii w ciężarówce, którą wyprzedziła motofurgonetka z lodami, tak więc, skoro zrobiłem muszlę, to tak, jakbym zrobił całą resztę.

Rozglądam się dokoła i kogóż szukam? Zawsze i jedynie jej szukam, zakochany od pięciuset milionów lat, i widzę na plaży młodą Holenderkę, której dozorca ze złotym łańcuszkiem na szyi pokazuje, chcąc ją nastraszyć, rój pszczół na niebie, i poznaję ją, to ona, poznaję ją nieomylnie po sposobie, w jaki unosi jeden bark, dotykając nim niemal policzka, jestem prawie pewien, powiedziałbym absolutnie pewien, gdyby nie to, że podobieństwo takie odnajduję także w córce stróża obserwatorium astronomicznego i w fotosie aktorki ucharakteryzowanej na Kleopatrze, i może w samej Kleopatrze, takiej, jaką była w rzeczywistości, bo jednak coś z prawdziwej Kleopatry tkwi podobno w każdym odtworzonym obrazie Kleopatry, i w królowej pszczół lecącej na czele roju, a to z powodu wspaniałego jej lotu, i w papierowej kobiecie wyciętej z ilustracji i naklejonej na plastikowej szybie motofurgonetki z lodami, kobiecie w kostiumie kąpielowym podobnym do

*kostiumu tamtej Holenderki na plaży, która teraz, słucha kobiecego śpiewu z malutkiego tranzystora, ten sam głos kobiecy słyszy kierowca ciężarówki załadowanej encyklopedią, a teraz, i ja jestem pewien, że słuchałem tego głosu przez pięćset milionów lat, to z pewnością ona, to ją słyszę śpiewającą i szukam wokół siebie jej obrazu, ale widzę tylko mewy szybujące nad powierzchnią morza, w którym iskrzy się srebrzyście ławica sardynek, i przez jedną chwilę jestem przekonany, że ją rozpoznam w jednej mowie samicy, a po chwili nachodzi mnie wątpliwość, czy nie jest nią raczej jedna z tych sardynek, ale równie dobrze mogłaby nią być którakolwiek z królowych czy niewolnic wymienionych przez Herodota, a może tylko bezimiennie wspomnianych na kartkach książki, którą czytający zostawił dla zaznaczenia, że to miejsce zajęte, kiedy wychodził z przedziału na korytarz, aby nawiązać rozmowę z holenderskimi turystkami, i tak samo może być jedną z tych holenderskich turystek, z których o każdej mógłbym powiedzieć, że jestem w niej zakochany, choć jednocześnie jestem niezachwianie pewien, że zawsze kocham tylko ją jedną.*

*I im silniej płonę miłością do każdej z nich, tym trudniej mi się zdecydować na powiedzenie: „To ja!” – gdyż boję się, że się omylę, i boję się jeszcze bardziej, że to ona gotowa się pomylić, wziąć mnie za kogoś innego, kogoś, kogo na podstawie tego, co o mnie wie, mogła ze mną pomylić, na przykład dozorcę plaży w złotym łańcuszku na szyi albo dyrektora obserwatorium astronomicznego, albo mewę, albo sardynkę samczyka, albo czytelnika Herodota lub samego Herodota czy łodźiarza motocyklistę, który oto właśnie zjechał na plażę połączyć dróżką między krzakami fig indyjskich i stoi otoczony gromadką holenderskich turystek w kostiumach kąpielowych, albo Spinozę, albo kierowcę ciężarówki naładowanej życiem i dziełami Spinozy, streszczonymi i powtórzonymi dwa tysiące razy, czy wreszcie jednego z trutni, które leżą w agonii na dnio ula po spełnieniu swego obowiązku przedłużenia gatunku).*

### **3**

...Co jednak nie znaczy, iżby muszla nie była przede wszystkim muszlą, razem ze swoim specyficznym kształtem, który nie mógł być inny, gdyż właśnie taki mojej muszli nadałem – jedyny, jaki umiałem i chciałem jej dać. A kiedy muszla miała już kształt, zmienił się także kształt świata, w tym sensie, że teraz obejmował on kształt świata takiego, jakim był bez muszli, plus kształt muszli.

Pociągnęło to za sobą doniosłe skutki, gdyż drgania fal świetlnych, uderzając o ciała, wydobywają z nich pewne specjalne efekty, przede

wszystkim kolor; to znaczy, że materiał użyty przeze mnie na kolorowe paski dawał drgania inne niż reszta. Ale wiązały się też z tym zjawiska, których istnienia nawet sobie nie wyobrażałem, mianowicie że między różnymi masami może zachodzić bardzo różnorakie oddziaływanie.

Muszla mogła wywoływać obrazy muszel, bardzo podobne – o ile można coś o tym wiedzieć – do samej muszli, tylko że podczas gdy muszla jest tutaj, obrazy tworzą się po drugiej stronie, prawdopodobnie na siatkówce. Obraz zakładał więc istnienie siatkówki, ta zaś z kolei zakładała skomplikowany system, będący zaczątkiem mózgu. A zatem ja, tworząc muszlę, tworzyłem także jej obraz – a nawet nie jeden obraz, lecz niezliczoną ich ilość, gdyż za pomocą jednej muszli można stworzyć tyle obrazów muszli, ile się tylko chce – ale tylko obrazy potencjalne, gdyż do stworzenia obrazu potrzebny jest, jak już mówiłem, mózg z odpowiednimi zwojami nerwów wzrokowych i nerw przenoszący drgania z zewnątrz do środka, który to nerw drugim swoim końcem dochodziłby do czegoś stworzonego umyślnie po to, żeby widzieć, co się dzieje na zewnątrz, czyli do czegoś, co byłoby okiem. Otóż śmiesznie byłoby myśleć, żeby ktoś posiadający mózg wysuwał z niego nerw, niby wędkę zarzuconą w ciemno, i nie wiedział, dopóki nie wyrosną mu oczy, czy na zewnątrz jest coś do oglądania, czy nie. Ja z tych narządów nie posiadałem nic a nic, byłem więc najmniej uprawniony do rozprawiania na te tematy; wytworzyłem sobie jednak pewien na nie pogląd, a mianowicie że najważniejsze to stworzyć jakieś obrazy, a potem zjawia się i oczy. Staralem się więc robić tak, żeby zewnętrzna część mojej istoty (łącznie z tym, co wewnątrz mnie warunkowało postać zewnętrzną) mogła stanowić obraz, i to obraz taki, który w przyszłości określałoby się jako piękny (przyrównując go do innych obrazów uznanych za mniej piękne, brzydkie czy wręcz obrzydliwe).

Jeżeli jakieś ciało potrafi wysyłać lub odbijać drgania świetlne wyodrębnione i dające się rozpoznać, myślałem, cóż ono z tymi drganiami robi? Czy chowa je sobie w kieszeń? Nie, ono je wyładowuje na pierwsze stworzenie, jakie się znajdzie w pobliżu. A jak się zachowa ta druga istota wobec owych drgań, których nie potrafi zużytkować i które, przyjęte w ten sposób, sprawiać jej będą raczej kłopot? Czy schowa głowę w dziurę? Nie, będzie ją wysuwała w tamtą stronę tak długo, aż wreszcie punkt najsilniej poddany drganiom optycznym wyczuli się i rozwinie w organ zdolny wykorzystywać owe drgania w postaci obrazu. Krótko mówiąc, połączenie oko-mózg wyobrażałem sobie jako tunel, żłobiony bardziej od zewnątrz siłą tego, co gotowe było stać się obrazem, niż od środka, czyli siłą intencji pochwycenia jakiegokolwiek obrazu.

I nie myliłem się, po dziś dzień jestem pewien, że schemat był w ogólnych zarysach dobrze pomyślany. Błąd mój polegał na tym, że wyobrażałem sobie, iż wzrok stanie się naszym udziałem, czyli udziałem jej i moim.

Wypracowywałem mój własny obraz, harmonijny i barwny, aby móc przeniknąć do jej organów percepcji wizualnej, usadowić się w ich środku tak, aby mogła cieszyć się mną stale, nie tylko wzrokiem, ale marzeniem, wspomnieniem i myślą. I czułem, że jednocześnie ona wypromieniowuje z siebie swój własny obraz, tak doskonały, że narzuci się on moim zmysłom, mglistym jeszcze i zapóźnionym, a rozwinięty we mnie wewnętrzne pole widzenia, w nim dopiero rozbłyśnie w całej pełni.

Tak to nasze wysiłki prowadziły do tego, by uczynić z nas obiekt zmysłu, o którym nie było jeszcze dobrze wiadomo, czym właściwie będzie, i który następnie udoskonalił się właśnie wskutek doskonałości swojego obiektu, którym byliśmy my. Mówię o wzroku, mówię o oczach; jednej tylko rzeczy nie przewidziałem: że oczy, które wreszcie kiedyś się otworzą, aby nas oglądać, nie będą naszymi oczyma, tylko oczyma innych.

Istoty bez kształtu i barwy, worki wnętrzości sklecone byle jak, roily się wokół nas, nie troszcząc się ani trochę o to, co mają z sobą zrobić ani jak wyrazić siebie w kształcie trwałym i skończonym, takim, który by wzbogacił doznania wzrokowe tych, którzy go ujrzą. Snują się tu i tam, to zanurzają się, to wynurzają na powierzchnię, krążą między powietrzem, wodą i skałą, kręcąc się bezmyślnie, obracając na boki; a my tymczasem, ona i ja, i my wszyscy, którzy staraliśmy się wydobyć z siebie jakąś formę, ślęczymy nad swoją mozolną pracą. Dzięki nam owa niezróżnicowana przestrzeń staje się polem widzenia. A kto z tego korzysta? Właśnie ci intruzi, którym możliwość widzenia nigdy nawet przez myśl nie przeszła (zresztą tacy brzydali nic by nie zyskali, mogąc się wzajemnie oglądać), ci, którzy byli najmniej wrażliwi na zewnętrzny kształt. Podczas gdy my odwalaliśmy gros roboty, pracując nad tym, żeby w ogóle było na co patrzeć, oni chyłkiem, ciszką wzięli sobie najłatwiejszą rolę: przystosowania swoich leniwych, embrionalnych organów percepcyjnych do tego, co było do percypowania, czyli obrazu nas samych. I niech mi nikt nie mówi, że ich praca była równie ciężka; z tej lepkiej papki, którą wypełnione były ich głowy, wszystko można było zrobić i nie potrzeba było wiele pracy, żeby z niej wydobyć narząd światłoczuły. Ale udoskonić go, w tym sęk! Jakże to zrobisz, jeżeli nie masz przedmiotów widzialnych, i to okazałych, takich, które się wzrokowi narzucają? Jednym słowem, oczy powstały naszym kosztem.

A zatem wzrok, nasz wzrok, na który czekaliśmy w ciemności, dostali od

nas i zamiast nas inni. Ale tak czy inaczej wielki przewrót stał się faktem. Nagłe wokół nas pootwierały się oczy, rogówki, tęczówki, źrenice. Blade, opuchłe oczy ośmiornic i mątw, zdziwione, galaretowate oczy barwen i dorad, wyrastające, jakby osadzone na łodyżkach oczy raków i homarów, wypukłe, oszlifowane wielobocznie oczy much i mrówek. Sunie foka, czarna i lśniąca, mrugając oczkami maleńkimi jak łebki szpilek. Ślimak wysuwa kuliste oczka na końcu długich czułków. Pozbawione wyrazu oczy mewy śledzą powierzchnię wody. Tam znów, za szklami maski podwodnej, badają uważnie dno morskie wyteżone oczy rybaka płetwonurka. Przez soczewki lunety oczy kapitana dalekomorskiej żeglugi i przez ciemne szkła przeciwsłonecznych okularów oczy plażującej kobiety kierują wzrok na moją muszlę, a potem krzyżują spojrzenia i zapominają o mnie. Czuję na sobie przez soczewki okularów wzrok zoologa dalekowidza, który usiłuje mnie złapać w obiektyw rolleifleksa. W tej samej chwili ławica mikroskopijnych, dopiero co wyklutych sardynek przesuwa się przede mną – są tak maleńkie, że każda taka biała rybka wydaje się jedynie miejscem osadzenia czarnej kropeczki oka – mrowie samych oczu płynie przez morze.

Wszystkie te oczy były moje. Ja sprawilem, że stały się możliwe, brałem w ich powstaniu czynny udział, ja dostarczyłem surowca, czyli obrazu. W ślad za oczyma przyszła cała reszta, a więc wszystko to, czym stali się ci inni, obdarzeni oczyma, ich postać, ich funkcje, wszystkie rzeczy, jakich dzięki posiadaniu oczu dokonali, i rzeczy tych postaci, i funkcje, wszystko to wywodziło się z tego, czego dokonałem ja. Nie na próżno tkwiło to wszystko implicite w moim istnieniu, w moich stosunkach z innymi, w moim budowaniu muszli i tak dalej. Ja wszystko to przewidziałem.

W głębi każdego z tych oczu mieszkalem ja sam albo jakiś drugi ja, jeden z moich obrazów, i ten mój obraz spotykał się z jej obrazem, najwierniejszym ze wszystkich jej obrazów, w owym ultraświecie, który się otwiera za półpłynną półkulą tęczówki, za czernią źrenicy, za zwierciadlanym pałacem siatkówki, w naszym prawdziwym żywiole, który nie ma brzegów ani granic.

Jeżeli  $t = 0$

Przekład Anna Wasilewska



Część 1  
Inni Qfwfq

## Miękki Księżyc

Według obliczeń H. Gerstenkorna, rozwiniętych potem przez H. Alfvena, ziemskie kontynenty nie są niczym innym jak odłamkami Księżyca, które spadły na naszą planetę. Początkowo także Księżyc był planetą krążącą wokół Słońca, aż do chwili, kiedy bliskość Ziemi nie wyrzuciła go z orbity. Księżyc, złowiony przez ziemską siłę grawitacji, zbliżał się coraz bardziej, zacieśniając wokół nas swoją orbitę. W pewnej chwili wzajemne przyciąganie zaczęło odkształcać powierzchnie obu ciał niebieskich, a wysokie fale spowodowały odrywanie się odłamków, które wirowały w przestrzeni między Ziemią i Księżycem; były to głównie odłamki materii księżycowej, które potem spadły na Ziemię. Ulegając oddziaływaniu naszych przyływów i odpływów, Księżyc zaczął się oddalać, aż wreszcie wszedł na swoją dzisiejszą orbitę. Jednakże część księżycowej masy, może nawet połowa, została na Ziemi i utworzyła kontynenty.

Był coraz bliżej – *wspominał Qfwfq* – spostrzegłem to w czasie powrotu do domu, kiedy spomiędzy ścian ze szkła i stali powędrowałem spojrzeniem wzwyż i zobaczyłem go; nie był już jednym z wielu wieczornych światel, jakie zapalają się na Ziemi, kiedy o właściwej porze ktoś w elektrowni opuści dźwignię, ani też nie było to jedno z tych światel niebieskich, dalekich, lecz niezbyt odmiennych, które w każdym razie nie odbiegają stylem od całej reszty – używam czasu teraźniejszego, ale odwołuję się do tamtych zamierzchłych czasów – ujrzałem, jak on odrywa się od pozostałych światel niebieskich i drogowych, i uwydatnia się na wklęsłej mapie mroku, i nie jest już punktem, choćby tak dużym, jak Mars czy Wenus, nie jest otworem, przez który rozchodzi się światło, lecz zajmuje pokaźny wycinek przestrzeni i nabiera kształtu, kształtu niezbyt określonego, ponieważ oczy jeszcze do niego nie przywykły, ale także dlatego, że kontury, niezbyt wyraziste, nie pozwalały wykreślić regularnej figury, słowem, ujrzałem, że Księżyc staje się czymś.

Byłem pod wrażeniem. Jakkolwiek trudno mi było określić, z czego to jest zrobione, a może właśnie dlatego, nie przypominało to żadnej rzeczy, które towarzyszą naszemu życiu, żadnego z naszych pocziwych przedmiotów z plastiku, z nylonu, z chromowanej stali, z laminatu, z żywicy syntetycznej, z pleksiglasu, z aluminium, z winylu, z akrylu, z cynku, z asfaltu, z amiantu, z cementu, wszystkich tych starych rzeczy, pośród których przyszliśmy na świat i wyrosliśmy. Było w tym coś z innej bajki, coś obcego. Widziałem, jak to się zbliża, jakby zamierzało nawlec na nić wieżowce na Madison Avenue (mówię o Alei z tamtych czasów, nieporównywalnej z dzisiejszą Madison

Avenue), w korytarzu nocnego nieba, rozjarzonym światłami za geometrycznie połamaną linią gzymsów; i widziałem, jak się rozrasta, nie tylko oblewając tak dobrze znany nam pejzaż swoim światłem niestosownej barwy, ale też narzucając nam swoją objętość, swój ciężar, swoją nedorzeczną substancję. I wówczas poczułem, że cały obszar Ziemi – blaszane powierzchnie, żelazne armatury, gumowe podłogi, kryształowe kopuły, wszystko, co nas uzewnętrznia, przebiega dreszcz.

Tak szybko, jak tylko na to pozwalał uliczny ruch, wjechałem w tunel, zmierzając w kierunku Obserwatorium. Sibyl tam była, z okiem przyklejonym do teleskopu. Zwykle nie życzyła sobie, żebym ją odwiedzał w godzinach pracy, i witała mnie z zagniewaną miną; ale tego wieczoru było inaczej, nie podniosła nawet głowy, wyraźnie spodziewała się moich odwiedzin. Głupio zabrzmiałoby pytanie „Czy widziałaś?”, ale musiałem ugryźć się w język, żeby go nie zadać, tak bardzo chciałem wiedzieć, co o tym sądzi.

– Tak, planeta Księżyc jest coraz bliżej – odezwała się Sibyl, nim zdążyłem o cokolwiek zapytać – zgodnie z prognozami.

Poczułem ulgę.

– Czy prognozy przewidują, że wkrótce znowu zaczniesz się oddalać? – spytałem.

Sibyl nadal wpatrywała się w teleskop, mrużąc oko.

– Nie – odparła – już się nie oddali. Nic nie rozumiałem.

– Czy chcesz powiedzieć, że Ziemia i Księżyc stały się planetami bliźniaczymi?

– Chcę powiedzieć, że Księżyc nie jest już planetą i że Ziemia ma swój Księżyc.

Sibyl miała zwyczaj stawiać sprawy w taki sposób, że za każdym razem wprawiała mnie w irytację.

– Co to za wymysł? – zaprotestowałem. – Wszystkie planety są do siebie podobne. Może nie?

– A nazwałbyś to coś planetą? Taką samą jak Ziemia? Patrz! – I Sibyl oderwała się od teleskopu, dając mi znak, żebym się przysunął. – Księżyc nigdy nie zdoła stać się taką samą planetą jak nasza.

Nie słuchałem jej wyjaśnień: w teleskopowym powiększeniu Księżyc ukazywał mi się z wszystkimi szczegółami, czyli widziałem wiele szczegółów naraz, tak wymieszanych, że im usilniej się wpatrywałem, tym mniej byłem pewien, jak Księżyc jest zbudowany, i mogę tylko powiedzieć, jakie uczucie wywołał we mnie ten widok, a było to zarazem uczucie fascynacji i odrazy. W pierwszej kolejności mógłbym zaświadczyć o zielonych żyłkach,

gdzieniegdzie zagęszczających się w sieć, ale prawdę mówiąc, był to szczególnie najbardziej błahy, najmniej wpadający w oko, ponieważ ogólne właściwości Księżyca wymykały się spojrzeniu, być może wskutek dosyć lepkiego migotania, jakie dobywało się z niezliczonej ilości porów lub osłon, czy też, jakie punktowo rozbłyskiwało z rozległych obrzeżeń powierzchniowych, przypominających dymienice lub przyssawki. Znowu upieram się przy tych szczegółach, jest to na pozór metoda najbardziej sugestywna, ale ograniczenie skuteczna, ponieważ tylko ogarniając spojrzeniem całość – w tym przypadku obrzęk miazgi podksiężycowej, która napinała swoje blade zewnętrzne tkanki, albo też, pofałdowana, tworzyła garby czy zgrubienia, coś jakby blizny (tym samym Księżyc mógł się składać ze ściśniętych kawałków, nieudolnie zespolonych) – otóż tylko ogarniając spojrzeniem całość, tak jak jednym spojrzeniem ogarnia się chory narząd, można dojrzeć pojedyncze szczegóły: na przykład gęsty las, coś jakby czarną sierść, która wystaje z rozdarcia.

– I wydaje ci się to w porządku, że on może się obracać wokół Słońca tak samo jak my? – pytała Sibyl. – Ziemia jest dużo potężniejsza: skończy się na tym, że wypchnie Księżyc z orbity i zmusi go do krążenia wokół siebie. Zdobędziemy satelitę.

Pilnowałem się, żeby się nie zdradzić ze swoim lękiem. Znałem reakcje Sibyl: w takich przypadkach dawała mi odczuć swoją wyższość lub też emanowała cynizmem, jak ktoś, kto niczemu się nie dziwi. Robiła to, jak myślę, żeby mnie sprowokować (to znaczy, mam taką nadzieję, bo mój lęk spotęgowałby się, gdybym sądził, że powoduje nią czysta obojętność).

– I... i... – zacząłem mówić, starając się tak sformułować pytanie, żeby ujawnić wyłącznie obiektywną ciekawość i zobowiązać Sibyl do powiedzenia czegoś, co uśmierzyłoby mój lęk (jeszcze wciąż tego oczekiwałem, miałem nadzieję, że jej spokój doda mi otuchy) – i zawsze będziemy go mieli na widoku?

– To jeszcze nic – odparła. – Zbliży się jeszcze bardziej – I po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Nie cieszysz się? A jednak, kiedy na niego patrzę i widzę, jak bardzo się różni od wszystkich znajomych nam kształtów, i wiem, że do nas należy, że Ziemia go złowiła i trzyma na uwięzi, to on mi się podoba, wydaje mi się piękny.

Tym razem nie dbałem już o ukrycie swojego stanu ducha.

– Ale czy nie ma tu dla nas żadnego ryzyka? – spytałem. Sibyl wyduła wargi, robiąc grymas, który najmniej lubiłem.

– My jesteśmy na Ziemi, a Ziemia ma taką siłę, że podobnie jak Słońce może mieć własne planety, które wokół niej krążą. A co może jej przeciwstawić

Księżyc pod względem masy, pola grawitacji, zasięgu orbity, spoistości? Chyba nie zamierzasz ich porównywać? Księżyc jest miękki, Ziemia jest twarda, mocna, wytrzymała.

– A jeśli Księżyc się nie utrzyma?

– Och, siła Ziemi nie da mu się ruszyć z miejsca.

Poczekalem, aż Sibyl skończy obchód Obserwatorium, żeby odwieźć ją do domu. Zaraz za miastem jest ten drogowy węzeł, skąd autostrady się rozchodzą, wpadając na mosty, które się spiralnie przeplatają, podtrzymywane przez cementowe filary różnych wysokości, i nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku poprowadzą nas białe strzałki wymalowane na asfalcie, a chwilami bywa i tak, że miasto, które zostawiłeś za plecami, wyrasta nagle przed tobą i zbliża się, wypunktowane światłami w obramieniu filarów i spiralnie skręconych ślimacznic. Księżyc wisiał tuż nad nami: i nagle miasto wydało mi się kruche, zawieszony w powietrzu niczym pajęczyna, z tymi swoimi dźwięczącymi szkiełkami, pośród filigranowych haftów światła, pod tą naroślą, która wypełniała niebo.

Użyłem teraz słowa „narośl” na określenie Księżyca, ale muszę odwołać się do tego samego wyrazu, żeby nazwać nowość, którą właśnie w tej chwili odkryłem: na Księżycu-narośli pojawiła się następna narośl i zawisała nad Ziemią jak sople ze stearyny.

– Co to jest? Co się dzieje? – spytałem, ale właśnie kolejny zakręt wyrzucił nasz samochód prosto w ciemność.

– Ziemskie przyciąganie wywołuje silne pływy na powierzchni Księżyca – odparła Sibyl. – Mówiłam ci: mamy dobrą spoistość!

Zjazd z autostrady jeszcze raz nasunął nam Księżyc przed oczy; sople, podkreśniony na końcu jak wąs, jeszcze bardziej się wydłużył, ciężąc ku Ziemi, i teraz zwężając się u nasady niczym szypułka, nadawał Księżycowi wygląd grzyba.

Mieszkaliśmy w małym cottage’u, ustawionym w szeregu wzdłuż jednej z wielu ulic bezkresnego Pasa Zieleni. Usiedliśmy, jak zawsze, w bujanych fotelach na werandzie wychodzącej na backyard, ale tym razem nie wpatrywaliśmy się w pół akra szklanych płytek, które stanowiły naszą działkę zieleni; siedzieliśmy ze wzrokiem utkwionym w górze, zahipnotyzowani przez tę niby-ośmiornicę, która nad nami zawisała. Sople Księżyca, obecnie rozmnożone, wysuwały ku Ziemi swoje lepkie macki, a każda z nich zdawała się wydzielać substancję złożoną z żelatyny i z sierści, i z pleśni, i ze śliny.

– Sam powiedz, czy ciało niebieskie może się po prostu rozpaść? – pytała Sibyl. – Teraz już rozumiesz, na czym polega wyższość naszej planety. Księżyc

może się dalej zniżać: i tak nadejdzie chwila, kiedy się zatrzyma. Ziemskie pole grawitacji potrafi go przyciągnąć, sprowadzić nam tę planetę niemal na głowę, ale potem ją wyhamuje, odsunie na właściwą odległość i utrzyma w górze, każąc jej się obracać, redukując ją do spoistej piłki. Księżyc powinien nam dziękować za to, że nie zamieni się w papkę!

Rozumowanie Sibyl wydało mi się przekonujące, ponieważ ja także uznałem, że Księżyc jest czymś pośledniejszym i odrażającym; mimo to jej argumenty nie zdołały uśmierzyć mojego lęku. Widziałem, jak księżycowe odnogi wyginają się na niebie pokrętnymi ruchami, jak gdyby próbowały coś pochwycić lub owinąć się dokoła; tam poniżej widniało miasto, spowite świetlną luną, która wylaniała się na horyzoncie ząbkowanym cieniem *skyline*. Czy naprawdę Księżyc zatrzyma się w porę, jak twierdziła Sibyl, nim jedna z jego macek zdoła porwać iglicę wieżowca? A jeżeli jeden z tych stalaktytów, które wciąż się wydłużają i zwężają, oderwie się przedtem i runie prosto na nas?

– Może się zdarzyć, że coś spadnie – przyznała Sibyl, nie czekając na moje pytanie. – Ale czy to ważne? Ziemię w całości pokrywają substancje nieprzepuszczalne, nieulegające odkształceniu, zmywalne; nawet gdyby teraz skapnęło nam coś z tej księżycowej papki, szybko ją usuniemy.

Zupełnie jakby zapewnienie Sibyl pozwoliło mi dojrzeć coś, co niewątpliwie od jakiegoś czasu się dokonywało, zawołałem:

– Patrz, coś leci! – i uniosłem ramię, żeby wskazać zawisłe nad nami gęste krople śmietankowej papki.

Ale właśnie w tej samej chwili Ziemia zadrżała, rozległo się brzęczenie: i w kierunku przeciwnym do spiekających pokładów planetarnej wydzieliny uniósł się w górę wir drobnych szczątków ciał stałych, rozkruszonych odłamków ziemskiej skorupy: nietłukące szyby, stalowe blachy, materiały termoizolacyjne, wessane przyciąganiem Księżyca, tworzyły coś na kształt karuzeli ziarenek piasku.

– Niewielkie straty – oświadczyła Sibyl – i tylko powierzchniowe. Zdołamy załatać ubytki w krótkim czasie. To zrozumiałe, że złowienie satelity ma swoje koszty, ale jest opłacalne, bez dwóch zdań.

Właśnie wtedy dobiegł nas pierwszy odgłos spadających na Ziemię księżycowych meteorytów: rozległo się głośnie „plask!”; był to huk ogłuszający, a zarazem paskudnie miękki, i nie pozostał odosobniony, lecz zapoczątkował całą serię eksplodujących klaśnień, miodowych, ostrych strumieni, które zewsząd spływały. Zanim oczy nauczyły się postrzegać to wszystko, upłynęło trochę czasu: a prawdę powiedziawszy, ja sam się ociągałem, spodziewając się,

że odłamki Księżyca będą się świecić; tymczasem Sibyl już je dostrzegła i komentowała tym swoim lekceważącym tonem, ale zarazem z niezwykle pobłażliwością:

– Miękkie meteoryty, zastanawiam się, czy kiedykolwiek coś takiego widziano, księżycowe wydzieliny... ale to ciekawe... na swój sposób...

Jeden z meteorytów zawisł na metalowej siatce ogrodzenia, która ugięła się pod jego ciężarem, i rozlał się na ziemi, z miejsca się z nią zespalając, a ja zacząłem pojmować, co się dzieje, czyli zacząłem łowić doznania, które pozwoliłyby mi zobrazować to, co miałem przed oczami, i wtedy dostrzegłem inne, mniejsze plamy, rozsiane na kafelkach podłogi: było to coś jakby błoto z kwaśnego śluzu, który wnikał w warstwy gleby, czy coś w rodzaju roślinnego pasożyta, którego klejowata miazga przyswajała wszystko, czego on dotknął, czy też była to surowica, w której gromadziły się kolonie wirujących i żarłocznych mikroorganizmów, albo trzustka pocięta na kawałki, która chciała się zrosnąć, otwierając niczym przyssawki komórki swoich rozkrojonych brzegów, albo...

Miałem ochotę zamknąć oczy i nie mogłem; ale kiedy usłyszałem głos Sibyl, która mówiła:

– Pewnie, dla mnie to też ohyda, ale jeżeli pomyślisz, że nareszcie nie ma wątpliwości, że Ziemia jest inna i jest górą, a my jesteśmy po właściwej stronie, sądzę, że na chwilę możemy się w tym czymś pogrążyć, bo przecież... – odwróciłem się do niej gwałtownie. Miała usta otwarte w uśmiechu, jakiego nigdy dotąd u niej nie widziałem: uśmiechu zwilgotniałym, trochę zwierzęcym...

Uczucie, jakiego doznałem, widząc ją taką, zmieszało się ze strachem, wywołanym niemal równocześnie przez upadek wielkiej księżycowej pości, tej, która zatopiła i pochłonęła nasz cottage i całą ulicę, i willowe przedmieście, i wielką część hrabstwa, ogłuszając je w jednym gorącym i miodowym uścisku. Drażąc przez całą noc księżycową masę, zdołaliśmy na powrót ujrzeć jasność. Świtało; nawałnica meteorytów ustala; Ziemia wokół nas była nie do poznania, pokryta grubą warstwą błota, rojną od zielonych drobnoustrojów i wykluwających się organizmów. Po naszych dawnych ziemskich substancjach nie został nawet ślad. Księżyc oddalał się na niebie, blady, on także nierozpoznawalny: wyteżywszy oczy, można go było dostrzec, jak sunie, pokryty gęstą warstwą skorup i odłamków, i okruchów, lśniących, ostrych, nieskazitelnym.

Dalszy ciąg jest dobrze znany. Po upływie setek tysięcy stuleci próbujemy przywrócić Ziemi jej niegdysiejszy naturalny wygląd, odbudowując jej

pierwotną ziemską skorupę z plastiku i z cementu, i z blachy, i ze szkła, i z emalii, i z dermy. Ale daleko nam do tego. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będziemy skazani na nurzanie się w odchodach Księżyca, przegniłych od chlorofilu i soków gastrycznych, i rosy, i tłuszczu nawozów azotowych, i śmietany, i łez. Tyle nam jeszcze brakuje do zespolenia gładkich i prostych płyt pierwotnego pancerza Ziemi, które miałyby służyć usunięciu – a przynajmniej ukryciu – obcych i wrogich substancji narzutowych. Obecne materiały, produkty skażonej Ziemi, byle jak scalone, daremnie usiłują naśladować tamte niezrównane substancje.

Mówi się, że niezawodne, ówczesne surowce można znaleźć tylko na Księżycu, bezużyteczne i leżące odłogiem, i że warto by się tam wybrać choćby po to, aby je odzyskać. Nie chciałbym odgrywać roli tego, kto zawsze mówi rzeczy przykre, ale dobrze wiemy, w jakim stanie jest obecnie Księżyc, narażony na kosmiczne burze, całkiem dziurawy, skorodowany, zużyty. I jadąc tam, doznalibyśmy tylko zawodu, widząc, że także i nasze ówczesne surowce – przyczyna i dowód ziemskiej wyższości – to rzeczy pośledniego gatunku, nietrwałe, niezdatne nawet na złom. Dawniej bym się pilnował, żeby ukrywać przed Sibyl podejrzenia tego rodzaju. Ale co takiego mogłaby mi powiedzieć teraz Sibyl – gruba, rozczochrana, leniwa, łasa na ciasteczka z kremem?



## Pochodzenie ptaków

W historii ewolucji ptaki pojawiły się względnie późno, kiedy istniały już wszystkie pozostałe grupy królestwa zwierząt. Przodek Ptaków – a przynajmniej pierwszy ptak, po którym paleontologowie odnaleźli ślady – Archaeopteryx (odznaczający się jeszcze właściwościami Gadów, od których pochodzi), sięga korzeniami czasów jury, epoki, która nastąpiła dziesiątki milionów lat po pojawieniu się pierwszych Ssaków. To absolutny wyjątek w trybie pojawiania się grup zwierząt, których kolejność odpowiadała etapom ewolucji.

W tamtych dniach nie oczekiwaliśmy żadnych niespodzianek – *mówił Ofwfq* – było jasne, jak sprawy potoczą się dalej. Kto był, ten był, musieliśmy to załatwić między sobą: kto z nas zajdzie najdalej, kto zostanie tam, gdzie jest, kto nie zdoła przetrwać. Wybór miał się dokonać w obrębie ograniczonej liczby możliwości.

Tymczasem pewnego ranka słyszę śpiew, dobiegający z zewnątrz, dotychczas niczego takiego nie słyszałem. A raczej (skoro wówczas nie było jeszcze wiadomo, czym jest śpiew), słyszę jakiś głos, jakiego nikt do tej pory z siebie nie wydał. Wychylam się. Widzę nieznanego stwora, który śpiewa, przycupnięty na gałęzi. Miał skrzydła, łapy, ogon, pazury, ostrogi, pióra, puch, płetwy, kolce, dziób, zęby, wole, rogi, grzebień, korale i gwiazdę na czole. To był ptak; już to pojęliście; ja nie; wtedy jeszcze nigdy takich nie widziano. Zaśpiewał: „Koaxpf... Koaxpf... Koaacch...”, zatrzepotał żłobkowanymi skrzydłami o zmiennym ubarwieniu, wzleciał w górę, przysiadł trochę dalej, znów zaczął śpiewać.

Teraz takie historie opowiada się lepiej za pośrednictwem komiksów niż sekwencji kolejnych zdań. Ale żeby narysować obrazek, a na nim ptaka na gałęzi i siebie, jak się wychylam, i wszystkich innych z głowami zadartymi do góry, powinienem lepiej pamiętać, jak wyglądały elementy, o których dawno zapomniałem: po pierwsze to, co teraz nazywam ptakiem, po drugie to, co teraz nazywam sobą, po trzecie gałąź, po czwarte miejsce, z którego się wychylałem, po piąte wszystkich innych. Pamiętam tylko tyle, że te elementy wyglądały zupełnie inaczej, niż obecnie byśmy je przedstawili. Lepiej sami spróbujcie sobie wyobrazić serię sugestywnie narysowanych obrazków z figurkami postaci na jakimś tle, ale zarazem nie starajcie się wyobrażać sobie tych figurek ani tego tła. Każdej postaci będzie towarzyszyła chmurka ze słowami, które ta postać wypowiada lub z dźwiękami, które wydaje, ale nie ma potrzeby czytać po kolei tego, co tam jest napisane, wystarczy odebrać ogólne

wrażenie, według zasad, o których zaraz wam opowiem.

Z początku dostrzeżecie mnóstwo wykrzykników i znaków zapytania, które wyskakują nam z głowy, a to znaczy, że patrzyliśmy na ptaka z podziwem, z radosnym podziwem, mając także ochotę śpiewać, naśladować ten pierwszy trel, i skakać, kiedy on zrywał się do lotu, ale byliśmy także pełni niepokoju, ponieważ istnienie ptaków burzyło sposób myślenia, w jakim nas wychowano.

Na następnych obrazkach widać postać najmędrszego z nas, starego U(h), który odłączył się od reszty towarzystwa i mówi:

– Nie patrzcie na niego! To pomyłka! – I wyciąga ręce, jakby chciał zasłonić nam oczy. – Zaraz go wymażę! – mówi lub myśli, i żeby przedstawić to jego pragnienie, można by go nakłonić, aby wytyczył kreskę po przekątnej obrazka. Ptak uderza skrzydłami, omija przekątną i chroni się w przeciwległym rogu. U(h) się cieszy, ponieważ dzięki tej linii już go nie widzi. Ptak uderza dziobem w kreskę, rozbijają ją i leci prosto na starego U(h). Chcąc ptaka wymazać, stary U(h) próbuje przekreślić go dwiema kreskami na krzyż. W punkcie przecięcia obu kresek ptak składa jajo. Stary U(h) wyciąga spod niego to jajo, jajo spada, ptak odlatuje. Następny obrazek jest upaprany żółtkiem.

Bardzo lubię opowiadać za pośrednictwem komiksów, ale chciałbym obrazki akcji przeplatać obrazkami ideologicznymi, i na przykład wyjaśnić, dlaczego U(h) tak bardzo się upiera przy tym, żeby nie uznać istnienia ptaka. Wyobraźcie sobie teraz taką ramkę, typową dla wszystkich napisów, które w skrócie informują o tym, co poprzedziło rozwój akcji: Po wygaśnięciu Pterozaurów na miliony lat zaginął wszelki ślad po skrzydlatych stworzeniach. („Z wyjątkiem Owadów”, mógłby uściślić przypis u dołu).

Latające stworzenia uznano za rozdział zamknięty. Czyż nie ustalono raz na zawsze, że wszystko, co mogło się zrodzić z Gadów, już się narodziło? Przez miliony lat nie było takiej formy życia, która nie miałaby się okazji pojawić, zapełnić ziemię, a potem – w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto – wynaturzyć się i wygasnąć. Pod tym względem wszyscy byliśmy zgodni: przetrwały tylko te gatunki, które sobie na to zasłużyły i których przeznaczeniem było dać życie potomstwu coraz bardziej doborowemu i coraz lepiej przystosowanemu do środowiska. Przez długi czas dręczyła nas wątpliwość w kwestii tego, kto jest, a kto nie jest potworem, ale problem ten od dawna wydawał się rozwiązany: niepotwory to my, ponieważ my jesteśmy, a potwory to wszyscy ci, którzy mogli być, ale ich nie ma, ponieważ następstwo przyczyn i skutków w sposób oczywisty uprzywilejowało nas, niepotwory, a nie ich.

Ale skoro teraz znowu zaczęły się pojawiać dziwaczne zwierzęta, skoro Gady, tak anachroniczne, wymieniają kończyny i skórę na całkiem nowe, jakich nigdy wcześniej nie potrzebowały, skoro stworzenie z samej definicji równie nieprawdopodobne jak ten ptak, stało się możliwe (i w dodatku może być równie pięknym ptakiem, na którego przyjemnie się patrzy, kiedy on utrzymuje równowagę na liściach paproci, i którego przyjemnie się słucha, kiedy wydaje te swoje trele), to wówczas bariera między potworami a niepotworami zostaje zniesiona i wszystko staje się na powrót możliwe.

Ptak odleciał daleko. (Na obrazku widać, jak czarny cień odcina się od chmur: nie dlatego że ptak jest czarny, ale dlatego że ptaki z oddali tak się właśnie przedstawia). Podążyłem za nim. (Widać mnie od tyłu, jak zapuszczam się w bezkresny pejzaż gór i lasów). Stary U(h) krzyczy za mną:

– Wracaj, Qfwfq!

Wędrowałem przez nieznanne krainy. Wielokrotnie zdawało mi się, że zbłądziłem (na obrazku wystarczy przedstawić to jeden raz), ale słyszałem „Koaxpf...” i unosząc w górę oczy, dostrzegałem ptaka siedzącego na jakiejś roślinie, jakby na mnie czekał.

Idąc tak za nim, doszedłem do miejsca, w którym krzaki zasłoniły mi widok. Utorowałem sobie przejście: pod stopami rozwarła mi się pustka. Ziemia tam się kończyła; utrzymywałem równowagę na krawędzi. (Spiralna linia, biegnąca nade mną, wyobraża zawrót głowy). Poniżej nic nie było widać; może jakąś chmurę. I w tej pustce ptak oddalał się, ulatując, od czasu do czasu wyginając szyję w moją stronę, jakby mnie zapraszał, żebym za nim podążył. Gdzie miałem iść, jeżeli tam dalej nic nie było?

I oto z dalekiej bieli wynurzył się cień, coś jakby zamglony horyzont, który powoli przyjmował coraz wyraźniejsze kontury. Z pustki wyłaniał się kontynent: widać było brzegi, doliny, wzniesienia, a ptak właśnie nad nimi przelatował. Ale jaki znów ptak? Nie był już sam, całe niebo tam w górze było furkotem skrzydeł wszelkiej barwy i wszelkich kształtów.

Wychylając się sponad krawędzi naszej ziemi, patrzyłem, jak zbliża się dryfujący kontynent.

– Płynie prosto na nas! – krzyknąłem, a w tej samej chwili ziemia zadrżała. (Pojawia się napis bang!, wielkimi literami). Oba światy zetknęły się z sobą, a potem się od siebie odbiły i zaczęły się oddalać, i znów się połączyły i jeszcze raz się oderwały. W wyniku jednego z takich zderzeń zostałem wyrzucony na tamtą stronę, a tymczasem ponownie rozwierała się już pusta otchłań, oddzielając mnie od mojego świata.

Rozejrzałem się dokoła: niczego nie można już było poznać. Drzewa,

kryształy, zwierzęta, trawy, wszystko wyglądało inaczej. Gałęzie pokrywały nie tylko ptaki, ale i ryby (mówię tak, żeby mówić) o pajęczych odnóżach albo (powiedzmy) upierzone robaki. Wcale nie zamierzam wam opisywać tamtejszych form życia; wyobraźcie je sobie, jak wam się podoba, jako mniej lub bardziej dziwaczne. Liczy się to, że wokół mnie rożyły się wszystkie kształty, jakie tylko świat mógł przybrać w czasie swoich przeobrażeń, a jednak ich nie przybrał, wskutek jakiegoś przygodnego powodu lub jakiejś fundamentalnej nieprzystawalności: były to formy odrzucone, zmarnowane, nie do odzyskania.

(Sekwencję obrazków, która miałyby oddać tę myśl, powinno się przedstawić w negatywie: postaci nie różnią się od poprzednich, ale występują w bieli na czerni; albo też są odwrócone, jeśli można by ustalić, gdzie jest góra, a gdzie dół).

Przerażenie przesywało mnie do szpiku kości (na rysunku widać krople zimnego potu zraszające moją postać) na widok tych obrazów do pewnego stopnia znajomych i w pewnej mierze zakłóconych w proporcjach czy w zestawieniach (moja mała postać w bieli przeciwstawia się czarnym cieniom, które wypełniają cały obrazek), ale nic nie mogło mnie powstrzymać przed zachłannym zgłębianiem wszystkiego dokoła. Można by powiedzieć, że moje spojrzenie, zamiast unikać widoku tych potworów, szuka ich, jakby chciało się przekonać, że one tak naprawdę nie są do końca potworami i że w pewnej chwili groza ustępuje miejsca doznaniu nie tak znowu przykreemu (na rysunku pojawiają się świetliste promienie, przesywające ciemne tło): piękno istnieje wszędzie tam, gdzie potrafimy je rozpoznać.

Ta ciekawość kazała mi się oddalić od wybrzeża i wejść pomiędzy kolczaste pagórki, coś jakby olbrzymie jeżowce. Znalazłem się w samym sercu nieznanego kontynentu. (Moja postać zrobiła się mała). Widok ptaków, do tej pory dziwny, staje się coraz bardziej oswojony. Było ich tak dużo, że utworzyły wokół mnie coś na kształt kopuły, rozpościerając i składając skrzydła (na obrazku rojno od ptaków; moja sylwetka jest ledwie dostrzegalna). Pozostałe przycupnęły na ziemi, obsiadły krzewy i rozstępowały się przede mną. Czy byłem ich więźniem? Obróciłem się, żeby rzucić się do ucieczki, ale ptaki otaczały mnie murem, nie zostawiając mi innego przejścia poza upatrzonym kierunkiem. Popychały mnie wyraźnie tam, gdzie chciały, żebym poszedł, do z góry wyznaczonego celu. Co takiego było tam w głębi? Zdołałem dojrzeć tylko coś w rodzaju olbrzymiego, leżącego jaja, które odmykało się powoli niczym muszla.

Nagle otwarło się na oścież. Uśmiechnąłem się. Ze wzruszenia oczy napełniły mi się łzami. (Jestem narysowany sam, z profilu; patrzę na coś, co

jest poza obrazkiem). Miałem przed sobą stworzenie niezwyklej piękności. Piękności odmiennej, nieporównywalnej z innymi formami, z jakimi zwykliśmy kojarzyć piękno (na obrazku stworzenie nadal jest wyobrażone w taki sposób, że tylko ja mam je przed oczami, nigdy czytelnik), a jednak naszej, w takim sensie, w jakim coś jest jak najbardziej nasze na naszym świecie (można by się uciec do przedstawienia symbolicznego: kobiecej dłoni, stopy lub piersi, które wylaniają się z obfitego płaszcza piór), bez której nasz świat byłby zawsze niezupełny. Czułem, że doszedłem do punktu, w którym wszystkie rzeczy się zbiegają (można by narysować oko o długich, promienistych rzęsach, oko przeobrażone w wir) i który miał mnie właśnie pochłonąć (albo można naszkicować usta, rozchylone wargi, zręcznie narysowane, równie duże jak ja, a ja zostaję wciągnięty do środka i lecę w kierunku języka, który wylania się z mroku).

Dokoła same ptaki: trzaskanie dziobów, roztrzepotane skrzydła, wyciągnięte szpony, i ten krzyk: „Koaxpf... Koaxpf... Kooaacch...”

– Kim jesteś? – zapytałem.

Napis wyjaśnia: Qfwfq przed piękną Org-Onir-Ornit-Or i udaremnia moje pytanie; nad chmurką z tym napisem pojawia się następna chmurka, wypuszczona z moich z ust, ze słowami: Kocham cię! – jest to oświadczenie równie zbyteczne, natychmiast doścignięte przez inną chmurkę z pytaniem: Czy jesteś uwięziona? – nie oczekuję na nie odpowiedzi, a w czwartej chmurce, która wyrasta nad tamtymi, dodaję: Ocalę cię. Dziś w nocy uciekniemy razem.

Kolejne pasmo obrazków jest poświęcone wyłącznie przygotowaniom do ucieczki, usypianiu ptaków i potworów podczas tej nocy rozświetlonej blaskiem nieznanego sklepienia. Ciemny kwadracik i mój głos:

– Idziesz za mną?

Głos Or odpowiada:

– Idę.

Tutaj możecie sobie wyobrazić ciąg sensacyjnych obrazków: Qfwfq i Or podczas ucieczki przez Kontynent Ptaków. Alarm, pościgi, niebezpieczeństwa: pozostawiam to wszystko wam. Żeby dalej opowiadać, powinienem w jakiś sposób opisać Or i nie potrafię. Wyobraźcie sobie postać, która mnie w pewien sposób przerasta, ale którą na swój sposób ukrywam i osłaniam.

Dotarliśmy do krawędzi otchłani. Był świt. Słońce wstawało, blade, żeby odsłonić w oddali nasz kontynent. Jak tam dotrzeć? Odwróciłem się do Or: Or rozwarła skrzydła. (Na wcześniejszych obrazkach nie spostrzeżliście, że ona ma dwa skrzydła, szerokie niczym żagle). Uczepiłem się jej płaszcza z piór. Or odleciała.

Na kolejnych obrazkach widać Or, lecącą pośród chmur, i moją głowę, która wychyla się z jej łona. Potem na niebie pojawia się trójkąt utworzony z czarnych trójkącików: to stado ścigających nas ptaków. Wciąż jeszcze szybujemy w pustce, nasz kontynent się zbliża, ale stado jest szybsze. To drapieżne ptaki, mają zakrzywione dzioby, płomienne oczy. Jeżeli Or zdoła dotrzeć na ziemię, znajdziemy się wśród swoich, zanim ptaki nas dopadną. Pośpiesz się, Or, jeszcze parę uderzeń skrzydłami, a na kolejnym obrazku będziemy ocaleni.

Ale nic z tego: stado nas okrąża. Or leci pośród drapieżników (biały trójkącik wpisany w inny trójkąt pełen czarnych trójkącików). Lecimy nad moją krainą: wystarczy, jeśli Or zamknie skrzydła i pozwoli nam spaść, a będziemy wolni. Krzyknąłem:

– Or, zjedź niżej! – Ona rozwarła swój płaszcz i pozwoliła mi runąć w dół. (Splash!) Stado z Or pośrodku zakręca na niebie i zawraca, niknąc na horyzoncie. Znalazłem się rozciągnięty na ziemi, sam.

(Didaskalia: Podczas nieobecności Or zaszły wielkie zmiany). Odkąd odkryto istnienie ptaków, idee, które porządkowały nasz świat, weszły w fazę kryzysu. To, co przedtem wszystkim wydawało się zrozumiałe, proste i uporządkowane, sposób myślenia, dzięki któremu rzeczy miały się tak, jak się miały, nic już nie znaczył, a raczej przedstawiał wyłącznie jedną z niezliczonych możliwości; nikt nie wykluczał, że sprawy mogły się potoczyć na wiele innych sposobów. Można by powiedzieć, że teraz każdy się wstydził, że wygląda tak, jak się tego po nim spodziewano, i stara się przybrać wygląd osobliwy, zaskakujący: trochę ptasi, a jeśli niezupełnie ptasi, to taki, który by nie raził wobec dziwaczności ptaków. Nie poznawałem już własnych sąsiadów. Tak bardzo się nie zmienili, ale każdy, kto miał jakąś niepojętą cechę, zamiast ją skrywać jak dawniej, wystawiał ją na widok publiczny. I wszyscy sprawiali wrażenie, jakby w każdej chwili spodziewali się już nie prawidłowego następstwa przyczyn i skutków, jak przedtem, lecz czegoś nieoczekiwanego.

Nie mogłem się w tym odnaleźć. Wszyscy uważali, że upieram się przy dawnych ideach, z czasów poprzedzających pojawienie się ptaków; nie rozumieli, że śmieszą mnie te ich ptasie ambicje: ja widziałem już coś więcej, zwiedziłem świat, który mógłby istnieć, i nie potrafiłem usunąć go z pamięci. I w samym sercu tego świata poznałem uwięzioną piękność, piękność utraconą dla mnie i dla nas wszystkich, i straciłem dla niej głowę.

Dni spędzałem na szczycie wzgórza, ze wzrokiem utkwionym w niebo, wypatrując nadlatujących ptaków. Na wierzchołku sąsiedniej góry usadowił się stary U(h) i także wpatrywał się w niebo. Stary U(h) nadal cieszył się reputacją

najmędrszego z nas, ale jego stosunek do ptaków całkiem się zmienił. Teraz U (h) uważał ptaki już nie za pomyłkę, lecz za prawdę, jedyną prawdę świata. Zajął się wyjaśnianiem lotu ptaków, próbując odczytać przyszłość.

– Widziałeś coś? – wołał ze swojego wzgórza.

– Nic nie widać – odpowiadałem.

– O, jeden leci! – wołaliśmy czasem, on albo ja.

– Skąd nadleciał? Nie zdążyłem dostrzec, skąd się wynurzył. Powiedz: skąd? – pytał U(h) zatroskany. Uzależniał swoje wróżby od kierunku lotu.

Albo też sam stawiałem pytania:

– Dokąd poleciał? Nie widziałem! Gdzie zniknął? – miałem nadzieję, że ptaki wskażą mi drogę do Or.

Nie ma potrzeby, bym szczegółowo opowiedział, dzięki jakiemu podstępowi zdołałem wrócić na Kontynent Ptaków. W komiksie wykorzystano by jedną z tych sztuczek, które dobrze wychodzą tylko na rysunku. (Ramka jest pusta. Zjawiam sieja. Pokrywam klejem górny prawy róg. Siadam w dolnym lewym rogu. Z lewej strony, od góry, nadlatuje ptak. Kiedy ptak próbuje opuścić ramkę, ogon się przykleja. Ptak nie przerywa lotu i ciągnie za sobą cały obrazek, przylepiony do ogona, ze mną siedzącym w głębi. Tym sposobem docieram do Krainy Ptaków. Jeżeli ta opowieść wam się nie podoba, możecie wymyślić inną: ważne jest, bym się tam znalazł).

Przybyłem na miejsce i od razu poczułem, że czyjeś szpony chwytają mnie za ręce i nogi. Byłem w potrzasku, jeden z ptaków siadł mi na głowie, inny dziobał mnie w szyję.

– Qfwfq, jesteś aresztowany! Nareszcie cię dorwaliśmy! – Zamknięto mnie w celi.

– Czy mnie zabiją? – zapytałem ptasiego strażnika.

– Jutro zostaniesz osądzony i wszystkiego się dowiesz – odparł, przysiadając na prętach.

– Kto mnie będzie sądził?

– Królowa Ptaków.

Następnego dnia wprowadzono mnie do sali tronowej. Ale przecież ja już kiedyś widziałem to ogromne jajo w kształcie muszli, które się odmykało. Zadrzałem.

– A więc ptaki cię nie uwięziły! – wykrzyknąłem. Poczulem dziobnięcie w szyję.

– Pokłoń się przed królową Org-Onir-Ornit-Or!

Or dała znak. Ptaki znieruchomiały. (Na rysunku pojawia się upierścieniona, szczupła dłoń, która wylania się pomiędzy piór jakiegoś

trofeum).

– Poślub mnie, a będziesz ocalony – mówi Or.

Wyprawiono ślub. O tym też nic nie potrafię powiedzieć: w pamięci zostały mi tylko lecące pióra zmiennych obrazów. Być może przyszło mi opłacić szczęście odmową zrozumienia tego, co przeżywałem.

Zapytałem o to Or.

– Chciałbym zrozumieć.

– Co takiego?

– To wszystko. – Zatoczyłem ręką krąg dokoła.

– Zrozumiesz, kiedy zapomnisz o wszystkim, co rozumiałeś przedtem.

Nadeszła noc. Jajo w kształcie muszli służyło za tron i za weselne łożo.

– Czy już zapomniałeś?

– Tak. Co takiego? O niczym nie wiem, niczego nie pamiętam. (Dymek zawierający myśl Qfwfq: Nie, jeszcze nie pamiętam, zaczynam wszystko zapominać, ale staram się pamiętać!)

– Chodź!

Położyliśmy się obok siebie.

(Dymek zawierający myśl Qfwfq: Zapominam... Jak dobrze jest zapominać... Nie, chcę pamiętać... Chcę jednocześnie zapominać i pamiętać... Jeszcze chwila, a czuję, że zapomnę... Poczekaj... Och! Błysk zapowiedziany napisem Flash! albo Eureka!, dużymi literami).

W ułamku sekundy pomiędzy utratą tego, co wiedziałem przedtem i nabyciem tego, co miałbym wiedzieć potem, jedną myślą zdołałem objąć świat rzeczy w ich stanie obecnym oraz świat rzeczy w stanie prawdopodobnym, i pojąłem, że tylko jeden system zdolny jest pomieścić to wszystko. Świat ptaków, potworów, urody Or był tym samym światem, w którym zawsze żyłem i którego nikt z nas dogłębnie nie zrozumiał.

– Or! Teraz rozumiem! I ciebie też! Hurra! Niech żyje! – zawołałem i siadłem na łożku. Moja oblubienica wydała okrzyk. – Zaraz ci wyjaśnię! – Nie posiadałem się z radości. – Zaraz wszystkim wszystko wyjaśnię!

– Milcz! – krzyknęła Or. – Masz milczeć!

– Świat jest niepodzielny, a tego, co jest, nie można objaśnić bez... – obwieszczałem.

Or rzuciła się na mnie, usiłowała mnie przydusić (na rysunku widać pierś, która mnie przygniata):

– Milcz! Milcz!

Setki dziobów i szpon darło baldachim ślubnego łoża. Ptaki rzucały się na mnie, ale pomiędzy ich skrzydeł wylał się mój rodzinny pejzaż, który



stapiał się z obcym kontynentem.

– Nie ma żadnej różnicy! Potwory i niepotwory zawsze były sobie bliskie! To, czego nie było, nadal jest... – przemawiałem nie tylko do ptaków i do potworów, ale także do tych, których zawsze znałem i którzy teraz zewsząd nadbiegali.

– Qfwfq! Utraciłeś mnie! Ptaki! Jest wasz! – Królowa mnie odepchnęła. Zbyt późno dostrzegłem, że dzioby ptaków próbują rozdzielić oba światy, złączone moim wyjawieniem.

– Nie, Or, czekaj, nie odchodź, my dwoje musimy być razem, gdzie jesteś, Or! – ale już staczałem się w otchłań, lecąc pomiędzy strzępami kartek i piór.

(Uderzeniami dziobów i drapaniem ptaki rozdierają zarysowaną stronę. Odlatują, każdy trzyma w dziobie skrawek zadrukowanego papieru. Stronę pod spodem również pokrywają obrazki; przedstawiony jest na nich świat sprzed pojawienia się ptaków i kolejne prawdopodobne etapy rozwoju tego świata. Jestem tam pośród innych, dosyć zagubiony. Na niebie nadal widać ptaki, ale teraz już nikt nie zwraca na nie uwagi).

Z tego, co wówczas zrozumiałem, nic już nie pamiętam. Opowiedziałem wam o wszystkim, co potrafiłem odtworzyć, wspomagając się domysłami w brakujących ustępach. Nigdy nie straciłem nadziei na to, że ptaki zanoszą mnie któregoś dnia do królowej Or. Ale czy będą to jeszcze prawdziwe ptaki, takie, które zostały z nami? Im dłużej im się przyglądam, tym mniej przypominają mi to, o czym chciałbym pamiętać. (Ostatnie pasmo komiksu zawiera wyłącznie fotografie: widać ptaka, dalej tego samego ptaka na pierwszym planie, głowę ptaka w powiększeniu, jakiś szczegół głowy, oko...).

## Kryształy

Gdyby substancje, które tworzyły kulę ziemską, kiedy Ziemia była rozpalona, miały do dyspozycji dostatecznie długi czas, żeby ostygnąć, i dostateczną swobodę ruchu, każda z nich oddzieliłaby się od pozostałych pod postacią ogromnego kryształu.

Wszystko mogło być inne, wiem – *wyjaśnił Qfwfq* – nie musicie mi mówić: tak bardzo wierzyłem w kryształowy świat, który miał się wyłonić, że nie mogłem się pogodzić z tym bezkształtnym i rozdrobnionym, i gumowatym światem, w którym przyszło nam żyć. Ja także, jak wszyscy, jestem w wiecznym biegu, każdego ranka wsiadam do pociągu (mieszkam w New Jersey), żeby wejść w skupisko graniastosłupów, które wyłaniają się po drugiej stronie Hudsonu i prężą spiczaste iglice; spędzam tam całe dni, poruszając się w górę i w dół wzdłuż pionowych i poziomych osi, które wytyczają tę zwartą bryłę, lub wzdłuż nieodwołalnych szlaków, opasujących jej boki i krawędzie. Ale nie dam się wciągnąć w pułapkę: wiem, że każą mi gnać pośród przejrzystych ścian i symetrycznych narożników, abym uwierzył, że jestem we wnętrzu kryształu, abym rozpoznał regularną formę, oś obrotu, niezmiennosc kątów dwuściennych, podczas gdy nic takiego nie istnieje. Istnieje coś wręcz przeciwnego: wszędzie jest szkło; to szklane, a nie kryształowe bryły ciągną się wzdłuż ulic; masa bezładnych cząsteczek oświadczyła światem i go scementowała, tworząc skorupę pośpiesznie ostygłej lawy, stwardniałej w formach narzuconych z zewnątrz, chociaż w środku magma wciąż jest taka sama jak w czasach, kiedy Ziemia była rozpalona.

Z pewnością nie jest mi żal tamtych czasów; jeśli sądzicie, że z nostalgią wspominam przeszłość, bo odczuwam niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy, to jesteście w błędzie. Straszna była Ziemia bez skorupy, ta wiecznie rozpalona zima, mineralne bagno, z czarnymi kraterami żelaza i niklu, metali, które każdą szczeliną spływały w głąb globu, i z bryzgami rtęci, które tryskały wysokimi strumieniami. Vug i ja torowaliśmy sobie przejście w kipiących oparach i nigdy nie udawało nam się dotknąć żadnego stałego punktu. Wyrastająca przed nami zaporę z ciekłych skał niespodziewanie parowała, przechodziła w kwaśną chmurę; rzucaliśmy się, żeby ją wyprzedzić, i już widzieliśmy, jak się zagęszcza i naciera na nas niczym metaliczna nawałnica, napędzająca obfite fale oceanu aluminium. Rzeczy zmieniały swoją substancję z minuty na minutę, inaczej mówiąc, atomy przechodziły z jednego stanu chaosu w drugi, czyli w praktyce nic się nie zmieniało. Jedyna prawdziwa zmiana mogłaby polegać na ułożeniu się atomów w jakimś porządku: właśnie

tego szukaliśmy oboje z Vug, poruszając się w mieszaninie rozmaitych elementów, bez punktów odniesienia, bez żadnego przedtem ani potem.

Obecnie sytuacja przedstawia się inaczej, przyznaję: na ręce mam zegarek, porównuję kąt rozwarcia jego wskazówek z kątem rozwarcia wszystkich wskazówek, jakie dostrzegam; mam kalendarz, w którym zaznaczam rozkład zajęć; mam książeczkę z czekami, na ich odcinkach odejmuję i dodaję cyfry. Na Penn Station wysiadam z pociągu, wsiadam w subway, jedną ręką chwytam się poręczy, w drugiej trzymam złożoną gazetę i przebiegam wzrokiem notowania giełdowe: jednym słowem, podejmuję grę, grę w udawanie, że w każdym pyłku jest jakiś ład, w każdym systemie jakaś prawidłowość, czy też, że istnieje wzajemne przenikanie się systemów odrębnych, lecz zawsze wymiernych, jakkolwiek niespójnych, że ziarenka nieładu ściśle przylegają do fasetowanych ścianek ładu, który natychmiast się rozpada.

Przedtem było gorzej, to jasne. Świat był roztworem substancji, substancji rozpuszczonych i rozpuszczalnych. Vug i ja nadal gubiliśmy się w tym wszystkim, gubiliśmy się jako istoty zagubione, od zawsze zagubione, nie mając nawet wyobrażenia o tym, co takiego moglibyśmy znaleźć (albo też, co takiego mogłoby znaleźć nas), żeby nie być zagubionymi.

Spostrzeżliśmy to nagle. Vug powiedziała:

– Tam!

Pokazywała coś, co w strumieniu lawy nabierało już kształtu. Była to bryła o ścianach regularnych i gładkich, o ostrych krawędziach: i te ściany, i krawędzie powoli się rozrastały, jakby kosztem dookolnej materii, i bryła także zmieniała kształt, nadal zachowując symetrię proporcji... Wyróżniał ją nie tylko kształt, ale także sposób, w jaki wchodziło w nią światło, przenikając ją i załamując się pod różnymi kątami.

– Błyszczą! Jest ich tak dużo! – powiedziała Vug.

Nie była to jedyna bryła. Na rozpalonej przestrzeni, gdzie wcześniej pojawiały się tylko ulotne pęcherze gazu, wyrzucane z wnętrza ziemi, teraz wyłaniały się sześciiany, ośmiościany, graniastosłupy, figury przejrzyste, niemal zwiewne, puste w środku, które, jak szybko się okazało, odznaczały się niewiarygodną gęstością i twardością. Rozkwit tej migotliwej kanciastości zalewał Ziemię i Vug powiedziała:

– Jest wiosna! – Ucałowałem ją.

Teraz już wiecie: moje umiłowanie ładu nie jest, jak dla wielu innych, przejawem usposobienia poddanego wewnętrznej dyscyplinie, oznaką stłumienia popędów. Wyobrażenie świata bezwzględnie uporządkowanego, symetrycznego, metodycznego, kojarzy mi się z tym pierwszym impetem i z

rozkwitem natury, z miłosnym napięciem, z tym, co wy nazywacie erosem, podczas gdy wszystkie inne wasze wyobrażenia, które według was kojarzą się z namiętnością i z nieładem, z miłością i z niepohamowanym zalewem – obrazy rzeki, ognia, wiru, wulkanu – dla mnie są wspomnieniami pustki i braku łaknienia, i nudy.

Mylilem się, niewiele mi było trzeba, abym to zrozumiał. Oto znajdujemy się w punkcie dojścia: Vug jest utracona; eros diamentu zamienił się w popiół; domniemany kryształ, który mnie więzi, jest zwykłym szkłem. Podążam za kierunkiem strzałek na asfalcie, ustawiam się w kolumnie pojazdów przed światłami i ruszam (dzisiaj przyjechałem do Nowego Jorku samochodem), kiedy zapala się zielone (jak w każdą środę, gdy służę za kierowcę), skręcam w pierwszą ulicę (odwożę Dorothy do psychoanalityka), staram się utrzymać stałą prędkość, która pozwoli mi wjechać w Second Avenue na zielonym. To, co wy nazywacie ładem, jest ledwie zgrzebnym łataniem rozpadu; znalazłem miejsce do zaparkowania, ale za dwie godziny będę musiał zejść i wsunąć następną monetę do parkomatu; inaczej wywiozą mi mój samochód.

W tamtych czasach marzył mi się świat utworzony z kryształów: on mi się nie marzył, ja go ujrzałem jako niezniszczalną, lodowatą wiosnę z kwarcu. Zewsząd wyrastały wielościanny, wysokie niczym góry, przejrzyste, a w ich wnętrzu, po drugiej stronie szyby majaczyły cienie.

– Vug, to jesteś ty!

Chcąc do niej dotrzeć, wspinałem się po ścianach gładkich jak lustro, ześlizgiwałem się w dół, kaleczyłem, chwytając się krawędzi; biegłem wzdłuż zwodniczych obrzeży, a na każdym zakręcie witało mnie odmienne światło – jaskrawe, mleczone, matowe – wnętrza tej góry.

– Gdzie jesteś?

– Jestem w lesie!

Srebrne kryształy były drzewami z filigranu, które wypuszczały konary pod kątem prostym. Szkieletowe liściaste gałęzie z cyny i ołowiu zagęszczały las geometryczną roślinnością.

Tam w środku biegła Vug.

– Qfwfq! Tutaj jest inaczej! – krzyknęła. – Tutaj jest złoto, zieleń, błękit! Na otwartej przestrzeni otwierała się dolina z berylu, opasana łańcuchem górskim wszelkich barw, od akwamaryny po szmaragd. Biegłem za Vug z duszą rozdartą szczęściem i niepokojem: szczęściem, gdyż widziałem, że każda substancja, która tworzy świat, przybiera ostateczny i trwały kształt, a niepokojem, jeszcze nieokreślonym, dlatego że ten triumf ładu występujący w tak różnych odmianach mógłby w innej skali odtworzyć nieład, przed chwilą

porzucony. Marzyłem o kryształach totalnym, o świecie pod postacią topazu, który niczemu nie pozwoliłby się wymknąć: niecierpliwie czekałem, żeby nasza Ziemia odłączyła się od kręgu gazu i pyłu, w którym wirują wszystkie ciała niebieskie, żeby jako pierwsza wymknęła się temu bezużytecznemu marnotrawstwu, jakim jest wszechświat.

Pewnie, na upartego każdy może doszukiwać się ładu w gwiazdach, w galaktykach, w oświetlonych oknach pustych wieżowców, gdzie od godziny dziewiątej do północy personel porządkowy sprząta biurowe pomieszczenia. Objasnianie – to ważne zadanie, objaśniajcie, jeśli nie chcecie, żeby wszystko się rozpadło. Dziś wieczór jemy kolację na mieście, w restauracji na dwudziestym czwartym piętrze, na tarasie. To kolacja w interesach; jest nas sześcioro, są także Dorothy i żona Dicka Bemberga. Jem ostrygi, wpatruję się w gwiazdę, która się nazywa (jeśli to ona) Betelgeuse. Rozmawiamy: my o produkcji, panie o konsumpcji. Zresztą oglądanie firmamentu nie jest łatwe: światła Manhattanu rozrastają się w aureolę, która stapia się z jasnością nieba.

Cudowność kryształów polega na tym, że tworzą sieć powtarzalnych atomów: właśnie tego Vug nie chciała zrozumieć. Lubiła – jak szybko pojąłem – doszukiwać się w kryształach choćby najdrobniejszych różnic, nieregularności, defektów.

– Ale jakie znaczenie może mieć atom nie na swoim miejscu, jakaś drobna skaza – mówiłem – dla bryły, której przeznaczeniem jest nieskończony rozrost według regularnego wzorca? Kryształ jedyny, kryształ gigant, oto, do czego zmierzamy...

– Ja lubię widzieć dużo małych kryształków – mówiła.

Z pewnością chciała mi się przeciwstawić, ale to fakt, że naraz wyrosły tysiące kryształów, które przenikały się wzajemnie, wstrzymując swój rozrost w miejscach styku i nigdy nie udawało im się do końca zawładnąć płynną skałą, która nadawała im kształt: świat nie zmierzał do prostoty, lecz zastygał w szklaną masę, w której graniastosłupy i ośmiościany, i sześciiany zdawały się walczyć, żeby się uwolnić i przyciągnąć do siebie całą materię...

Nastąpił wybuch jakiegoś wulkanu: diamenty wylewały się kaskadą.

– Patrz! Są takie duże! – wykrzyknęła Vug.

Z każdej strony widać było erupcje wulkanów: diamentowy kontynent załamywał światło słoneczne, tworząc tęczową mozaikę.

– Czy nie mówiłaś, że im są mniejsze, tym bardziej ci się podobają?

– Nie! Chcę mieć te! Takie wielkie! – I Vug rzuciła się do przodu.

– Tam są jeszcze większe! – Wyciągnąłem rękę ku górze. Iskrzenie oślepiło: dostrzegłem już diamentowy masyw, fasetowane i migotliwe

pasmo, klejnot płaskowyżu, Himalaje – Ko-i-nor.

– Na co mi one? Podobają mi się te, które można wziąć do ręki! Chcę je mieć! – I Vug ogarnęła żądza posiadania.

– To raczej my padniemy łupem diamentu: jest silniejszy! – odparłem. Myliłem się, jak zwykle: diament utracił niezależność, ale nie dostał się nam. Kiedy przechodzę obok Tiffany’ego, przystaję, żeby obejrzeć witryny, przyglądam się ujarzmionym diamentom, odłamkom naszego utraconego królestwa. Diamenty spoczywają na katafalkach wyściełanych aksamitem, uwięzione w srebrze i platynie; wyolbrzymiam je, uruchamiając pamięć i wyobraźnię, przywracam im rozmiary skały, ogrodu, jeziora, wyobrażam sobie błękitnawy cień Vug, która się w nim przegląda. Nie muszę sobie wyobrażać: pośród diamentów przechadza się właśnie Vug. Odwracam się: to dziewczyna, która ogląda witrynę za moimi plecami, patrząc spod ukośnej grzywki.

– Vug! – wołam. – Nasze diamenty! Ona się śmieje.

– Czy to ty? – pytam. – Jak się nazywasz? Podaje mi swój telefon.

Stoimy między płytami ze szkła: żyję w świecie sztucznego ładu, miałbym jej ochotę powiedzieć, mam biuro na East-Side, mieszkam w New Jersey, na weekend Dorothy zaprosiła Bembergów, sztuczny nieład nie może się przeciwstawić sztucznemu ładowi, tu potrzebny jest diament, i nie my powinniśmy nim zawładnąć, lecz to on powinien zawładnąć nami, wolny diament, który zostawiał wolność Vug i mnie...

– Zadzwoń – mówię, tylko dlatego że znów mam ochotę się z nią pospierać.

Tam, gdzie atomy chromu trafiają przypadkiem do kryształu z aluminium, tam przejrzystość zabarwia się ciemną czerwienią: pod stopami wyrastały nam rubiny.

– Widziałeś? – pytała Vug. – Czyż nie są piękne?

Nie potrafiliśmy spacerować rubinową doliną, nie wznawiając sprzeczki.

– Tak – mówiłem ja – dlatego że regularność sześciokąta...

– Uf! – mówiła ona. – Sam powiedz, czy bez wtargnięcia obcych atomów patrzylibyśmy na rubiny!

Złościłem się. Ładniejszy czy brzydszy – mogliśmy rozprawiać o tym w nieskończoność. Pewne było tylko to, że obecnie Ziemia wychodziła naprzeciw upodobaniom Vug. Światem Vug były szczeliny, pęknięcia, przez które dobywa się lava, roztopiając skałę i scalając minerały w nieprzewidywalne konkracje. Kiedy patrzyłem, jak ona gładzi ściany z granitu, żał mi było, że ta skała tak wiele utraciła z precyzji skaleni, miki,

kwarców. Wydawało się, że Vug cieszy owo niepomierne zróżnicowanie oblicza świata. Jak mieliśmy się porozumieć? Ja upatrywałem wartość wyłącznie w tym, co było jednorodnym wzrastaniem, nierozzerwalnością, osiągniętym spokojem, ona w tym, co było rozłączeniem i wymieszaniem, jedną z tych rzeczy albo obiema naraz. My dwoje także powinniśmy przyjąć jakiś wygląd (nie mieliśmy jeszcze ani kształtu, ani przyszłości): ja wyobrażałem sobie powolny, jednostajny rozwój, wzorowany na rozwoju kryształów, aż do momentu, kiedy ja-jako-kryształ wymieszałbym się i stopił z nią-jako-kryształem i może razem osiągnęlibyśmy jedność ze światem-kryształem; ona zdawała się już wiedzieć, że prawo materii ożywionej nakazywało elementom rozłączać się i ponownie scalać, i tak w nieskończoność. Czyżby ostatecznie Vug miała rację?

Poniedziałek; dzwonię do niej. Jest prawie lato. Spędzamy dzień razem, na Staten Island, wyciągnięci na plaży. Vug przygląda się ziarenkom piasku, które przesypuje między palcami.

– Tyle drobnutkich kryształków... – mówi.

Rozdrobniony świat wokół nas jest nadal tym samym światem, który zgodnie z naszymi oczekiwaniami miał się narodzić ze świata w stanie wrzenia. Z pewnością kryształy nadają mu jeszcze kształt, rozkruszając się, rozpadając na niemal niedostrzegalne drobiny, pędzone falami, pokryte masą innych elementów, rozdrobnionych przez morze, które je teraz przerabia na strome urwiska, na piaszkowe skały, po tysiącokrotnie niszczone i odtwarzane, na łupki palne, na łupki węglowe, na marmury o gładkiej bieli, na pozory tego, co mogło być, a czego już nigdy nie będzie.

I trwam w uporze tym usilniej, odkąd stało się jasne, że gra jest skończona, że skorupa Ziemi przeradza się w zlepek najróżniejszych form, a ja nie chcę się z tym pogodzić, i na widok każdej nierówności porfiru, jaką pokazywała mi olśniona Vug, na widok każdej szklanej drobinki dostrzeżonej na bazalcie, chciałem sobie dowieść, że te pozorne nieregularności są częścią dużo potężniejszej regularnej struktury, w której każdej wypatrzonej asymetrii odpowiada sieć tak skomplikowanych symetrii, że trudno nam je pojąć, i starałem się obliczyć, ile miliardów boków i kątów dwuściennych musiał mieć ten labiryntowy kryształ, ten hiperkryształ, który zawiera w sobie kryształy i niekryształy.

Vug zabrała na plażę mały tranzystor.

– Wszystko pochodzi od kryształów – mówię – nawet muzyka, której słuchamy. – Ale dobrze wiem, że kryształ tranzystora jest niekompletny, skażony, pełen zanieczyszczeń i ubytków w ogniwach atomów.

Ona mówi:

– Masz obsesję. – I nadal trwa nasz stary spór: Vug chce, bym przyznał, że prawdziwy ład niesie z sobą zanieczyszczenia, destrukcję.

Statek przybija do nabrzeża w Battery, jest wieczór, w rozświetlonej siatce graniastosłupów-wieżowców wypatruję tylko ciemnych rozstępów, szczelin. Odwożę Vug do domu; wchodzę na górę. Mieszka w Downtown, ma studio fotograficzne. Kiedy rozglądam się wokół, dostrzegam wyłącznie zakłócenia w porządku atomów: świecące tuby, wideo, skupisko srebrzystych kryształków na kliszach. Otwieram lodówkę, wydaję lód do whisky. Z tranzystora dobiega dźwięk saksofonu. Kryształ, który zdołał przeobrazić się w świat, który zdołał sprawić, że świat stał się przejrzysty dla samego siebie, który zdołał rozbić go na nieskończoną ilość lustrzanych odbić, nie jest moim kryształem: to kryształ skorodowany, splamiony, wymieszany. Zwycięstwo kryształów (i Vug) jest równoznaczne z ich klęską (i z moją). Teraz poczekam, aż skończy się płyta Theloniousa Mońka i powiem jej o tym.



## Krew, morze

Warunki naturalne z czasów, kiedy życie nie wyszło jeszcze poza ocean, nie zmieniły się tak bardzo dla komórek ludzkiego ciała, obmywanych pierwotną falą, która nadal płynie w tętnicach. Skład chemiczny naszej krwi jest pokrewny składowi chemicznemu morza z początków świata, morza, z którego pierwsze żywe komórki i pierwsze wielokomórkowce czerpały tlen i inne elementy potrzebne do życia. Wraz z ewolucją organizmów bardziej złożonych, problemu utrzymywania w styczności z płynnym środowiskiem jak największej ilości komórek nie rozwiązywała sama ekspansja powierzchni zewnętrznej: skorzystały na tym organizmy wyposażone w zatoki, przez które mogła przepływać morską wodą. Ale dopiero rozgałęzienie tych zatok w układ krwionośny zapewniło dostarczanie tlenu wszystkim komórkom, umożliwiając tym samym życie na Ziemi. Morze, które swego czasu opływało żywe istoty, zamknięte jest obecnie w ich ciałach.

W gruncie rzeczy nic się tak bardzo nie zmieniło: nadal pływam w tym samym ciepłym morzu – *powiedział Qfwfq* – to znaczy, nie zmieniło się wewnątrz, czyli pierwotne zewnątrz, w którym dawniej pływałem pod światłem słońca, i w którym teraz pływam w ciemnościach, odkąd jest w środku; tym, co się zmieniło, jest zewnątrz, obecne zewnątrz, które przedtem było wewnątrz, ale to nie jest takie ważne. Powiedziałem: nie jest takie ważne, a wy z miejsca: jak to zewnątrz nie jest ważne? Chciałem powiedzieć, że gdyby uważnie to rozpatrzeć, to z punktu widzenia pierwotnego zewnątrz, czyli z punktu widzenia obecnego wewnątrz, powstaje pytanie, czym jest dzisiejsze zewnątrz? Znajduje się tam, gdzie jest sucho, nic ponadto, tam, gdzie nie dochodzą przyływy ani odpływy, i nie ulega wątpliwości, że jest ważne, w tym sensie, że zewnątrz, odkąd jest zewnątrz, odkąd jest na zewnątrz i jest uważane za coś bardziej godnego uwagi niż wewnątrz, ale ostatecznie nawet kiedy było w środku, liczyło się, jakkolwiek jego środowisko – tak się wówczas wydawało – było ciaśniejsze, to właśnie chciałem powiedzieć, mniej godne uwagi. Krótko mówiąc, pomówmy o innych, o tych, którzy nie są mną, czyli o bliźnich, skoro już tak stawiacie sprawę: każdy wie, że bliźni istnieje, ponieważ jest na zewnątrz, zgoda, według dzisiejszego rozumienia zewnątrz, ale wcześniej, kiedy zewnątrz było to, w czym pływaliśmy, gęsty i ciepły ocean, wtedy inni także istnieli, trzepotali się w tym zewnątrz, a więc uznajmy, że do wiedzy o istnieniu innych można dojść dzięki wiedzy o istnieniu zewnątrz, takiego samego, jak poprzednie zewnątrz, czyli jak obecne wewnątrz, toteż teraz, kiedy z doktorem Cecere zamieniliśmy się miejscami przy kierownicy, na stacji

obsługi w Codogno, i obok niego usiadła Jenny Fumagalli, a ja zostałem z tyłu z Zylphią, czym będzie zewnątrz? Suchym środowiskiem, skąpym w znaczenia, trochę zatłoczonym (w volkswagenie jest nas czworo), gdzie wszystko jest obojętne i wymienne, Jenny Fumagalli, Codogno, doktor Cecere, stacja obsługi, a co do Zylphii, to w chwili, kiedy położyłem jej rękę na kolanie, w odległości około piętnastu kilometrów od Casalpusterlengo, albo też, kiedy ona zaczęła mnie dotykać, już nie pamiętam, tak bardzo zewnątrz fakty mieszają się ze sobą, muszę przyznać, że doznanie, które pochodziło z zewnątrz, było niezwykle mizerne w porównaniu z tym, co kipiało mi we krwi i co czułem od czasów, kiedy pływaliśmy razem w gorącym i ognistym oceanie, Zylphią i ja.

Podmorskie głębiny miały barwę czerwieni, taką, jaką obecnie widzimy tylko wówczas, kiedy zaciskamy powieki, a słoneczne promienie docierały do nich w krótkich przebłyskach lub w panoramicznych najazdach. Unosiliśmy się na falach, nie potrafiąc ustalić kierunku, popychani prądem głębinowym, lecz lekkim, wręcz nieuchwytnym, a zarazem silnym, który wynosił nas na szczyty wysokich fal i spychał w morskie głębiny. Zylphia raz pikowała prosto w dół, zapadając się w fioletowy wir, niemal czarny, raz szybowała nade mną, zmierzając w stronę szkarłatnych smug, które sunęły pod jaskrawym sklepieniem. Wszystkie te doznania dochodziły do nas poprzez rozwarstwienia naszej powierzchni, której rozciągnięcie pozwalało utrzymać jak najściślejszy kontakt z tym życiodajnym morzem, toteż z każdym przypiływem i odpływem fal w nasze wnętrza wnikały substancje zewnętrzne, substancje wszelkiego rodzaju, także żelazo, słowem, samo zdrowie, i jeszcze nigdy przedtem nie czułem się równie wspaniale. Albo, żeby wyrazić się lepiej: czułem się tak wspaniale, gdyż zwiększając powierzchnię własnego ciała, poszerzałem możliwości kontaktu z tym tak cennym zewnętrzem, ale zarazem w miarę jak rozciągały się strefy mojego ciała, nasycone morskim roztworem, moja objętość także wzrastała, a zarazem jedna ze stref, potężniejąc, stawała się nieosiągalna dla zewnętrznego żywiołu, nieczuła, głucha, a ciężar tej bezwładnej i odrętwiałej wypukłości kładł się jedynym cieniem na moim szczęściu, na naszym szczęściu, Zylphii i moim, ponieważ im okazalsze miejsce Zylphia zajmowała w morzu, tym silniej narastała w niej bezwolna i nieprzejrzysta objętość, nawet niezwilżona życiowymi przepływami, niedostępna im, nieosiągalna dla impulsów, jakie jej wysyłałem poprzez wibrację fał. Mógłbym nareszcie powiedzieć, że teraz czuję się lepiej niż przedtem, teraz, kiedy warstwy pierwotnej powierzchni, wówczas zwrócone na zewnątrz, zwinęły się do środka, na podobieństwo wywijanej rękawiczki, teraz,

kiedy całe zewnątrz znalazło się w środku i nawilżało nas dzięki układowi filigranowych rozgałęzień, tak, z pewnością mógłbym tak powiedzieć, gdyby nie to, że zduszona strefa wydostała się na zewnątrz, rozrosła się, pokonując dystans, jaki dzieli mój tweedowy garnitur i umykający pejzaż niziny wokół Lodi, i spowija mnie, brzemienna w niepożądane obecności, jaką jest na przykład obecność doktora Cecere, a przy tym wypełnia przestrzeń, którą przedtem doktor Cecere zdołałby w sobie pomieścić – na swój bezsensowny sposób rozrastając się jednostajnie, niczym nadmuchiwana piłka – uobecniony teraz przede mną pod postacią powierzchni niewytłumaczalnie nierównomiernej i uszczegółowionej, mam na myśli zwłaszcza jego pełny kark, usiany krostami, opięty na wpół sztywnym kołnierzykiem, a w tej samej chwili, kiedy on mówiąc: – Ejże, wy tam z tyłu! – poprawił nieznacznie tylne lustro i z pewnością dostrzegł to, co robią nasze ręce, moje i Zylphii, nasze wątle zewnętrzne ręce, nasze wątle uwrażliwione ręce, które ścigają wspomnienie nas obojga pływających, czyli wspomnienie pływania, czyli obecność tej części mnie i Zylphii, która nadal pływa lub jest obmywana, tak jak wtedy.

Mógłbym wprowadzić taki dualizm, żeby lepiej oddać wyobrażenie o tym, co było przedtem i co jest teraz: przedtem pływaliśmy, teraz jesteśmy opływani, ale jak się nad tym zastanawiam, wolę nie robić z tego użytku, ponieważ w gruncie rzeczy nawet wtedy, gdy morze było na zewnątrz, ja pływałem w nim tak samo, jak teraz, bez własnej woli, to znaczy także wtedy byłem opływany, w takim samym stopniu, jak teraz spowijał mnie prąd i unosił to tu, to tam, łagodny i zmienny nurt, w którym Zylphia i ja wygrzewaliśmy się, koziołkując, balansując na krawędzi otchłani barwy rubinu, kryjąc się pośród jakichś glonów barwy turkusowej, które odrywały się od dna, ale to wrażenie ruchu wynikało tylko – pozwólcie, że wam wyjaśnię – wynikało tylko z czego? Wynikało tylko z jakiegoś powszechnego pulsowania, nie, nie chciałbym niczego mylić z tym, jak jest teraz, ponieważ odkąd zamknęliśmy morze w sobie, jest rzeczą całkiem naturalną, że mamy wrażenie, jakby pracował w nas jakiś tłok, ale w tamtych czasach nie mogło być mowy o żadnym tłoku, ponieważ trzeba by sobie wyobrazić tłok bez ścian, komorę spalania o nieskończonej pojemności, podobnie jak nieskończone wydawało nam się morze, a raczej ocean, w którym byliśmy zanurzeni, podczas gdy teraz wszystko jest pulsowaniem, biciem, szumem, trzaskiem we wnętrzu tętnic i na zewnątrz; w tętnicach morze przyspiesza bieg, ledwie czuję rękę Zylphii, która mnie szuka (oba ruchy są znów tym samym ruchem tego samego morza i odnajdują się w chwili, kiedy stykają się ze sobą zachłanne opuszki naszych palców); i także na zewnątrz zachłanne, matowe zewnątrz stara się głucho

naśladować wewnętrzne bicie, szum i trzask, i wibruje pod stopą doktora Cecere, który naciska pedał gazu, i również cała kolumna samochodów ustawiona przy zjeździe z autostrady stara się naśladować pulsowanie oceanu, obecnie w nas pogrzebanego, czerwonego oceanu, który pod niegdysiejszym słońcem był pozbawiony brzegów.

Kolumna stojących samochodów, które warczą, daje sztuczne wrażenie ruchu; potem kolumna rusza i jest tak, jakby stała, to ruch fikcyjny, powiela tylko reklamy, białe strzałki i kruszywo; cała podróż była tylko sztucznym ruchem w bezruchu i w zobojętnieniu na wszystko, co jest na zewnątrz. Tylko morze poruszało się i nadal się porusza, wewnątrz i na zewnątrz, tylko w tym ruchu Zylphia i ja zdawaliśmy sobie sprawę z naszej wzajemnej obecności, jakkolwiek się nawet nie musnęliśmy, chociaż podlegaliśmy falowaniu, ale wystarczyło, żeby morze przyspieszyło rytm, a ja już wyczuwałem obecność Zylphii, obecność tak różną od obecności doktora Cecere, który wszakże był tam wtedy i ja go wyczuwałem, czując przyspieszenie tego samego rodzaju, ale o przeciwnym ładunku, czyli przyspieszenie morza (a teraz krwi) w odniesieniu do Zylphii było (J<sup>est</sup>) czymś jakby wypłynięciem jej naprzeciw albo ściganiem się dla zabawy, podczas gdy przyspieszenie (morza, a obecnie krwi) w odniesieniu do doktora Cecere było (i jest) jakby odpłynięciem, które pozwoliłoby go uniknąć, albo wypłynięciem mu naprzeciw, żeby go odstraszyć, ale to wszystko niczego nie zmieniało w relacjach między naszymi odległościami.

Teraz doktor Cecere przyspiesza (słowa są te same, ale ich znaczenie się zmienia), bierze zakręt na via Flaminia, i przyspiesza z myślą o Zylphii, chce odwrócić jej uwagę ryzykownym manewrem – pozornie ryzykownym manewrem – od prawdziwego pływania, które łączy ją ze mną: mówiąc o pozorności, mam na myśli manewr, a nie ryzyko, ponieważ ryzyko jest może i prawdziwe, gdyż dotyczy naszego wnętrza, które mogłoby z nas wytrysnąć wskutek zderzenia; tymczasem sam manewr niczego nie zmienia, odległości między via Flaminia, zakrętem, volkswagenem mogą mieć inną wymowę i powiązania, i nic istotnego się nie wydarzy, tak jak nic istotnego nie przydarza się Zylphii, bo nic jej nie obchodzi wyczyny doktora Cecere, najwyżej Fumagalli Jenny wpadnie w zachwyty:

– Ale boskie auteczko! – i jej zachwyty, wynikający z przekonania, że samochodowe popisy doktora Cecere są przeznaczone dla niej, jest podwójnie bezzasadny, po pierwsze, dlatego że jej wnętrze nie wysyła żadnych sygnałów, które by uzasadniały ów zachwyty, po drugie, dlatego że ona mylnie odczytuje intencje doktora Cecere, który także jest w błędzie, sądząc, że Bóg wie co

wskóra, zgrywając chojraka, tak jak wcześniej Fumagalli Jenny błędnie odczytywała moje intencje, kiedy ja siedziałem za kierownicą, a ona była u mojego boku, i z tyłu u boku Zylphii doktor Cecere także był w błędzie, oboje skoncentrowani – Fumagalli i on – na zwodniczym ułożeniu suchych warstw, nie mieli świadomości – rozrośnięci na kształt kuli – że naprawdę wydarza się tylko to, co dotyczy tej części nas, która jest zanurzona podczas pływania; toteż ta idiotyczna historia o nic nieznaczących wyprzedzeniach, równie błaha, jak wyprzedzanie stałych, nieruchomych, przygwożdżonych przedmiotów nakłada się na historię o naszym swobodnym i prawdziwym pływaniu, i stara się nadać jej znaczenie, wtrącając się w nią w jedyny znany sobie sposób, idiotycznie ryzykując krwią, ryzykując, że nasza krew znów stanie się morzem krwi, zwodniczym powrotem do morza krwi, które nie będzie już ani krwią, ani morzem.

Tutaj należy pośpiesznie określić, zanim nierozważnym manewrem wyprzedzania tira z przyczepą doktor Cecere nie udaremni wszelkiego uszczegółowienia, w jaki sposób dawna wspólnota krwi-jako-morza była wspólna, a zarazem indywidualna dla każdego z nas, w jaki sposób nadal można w tym morzu pływać, i przeciwnie, dlaczego pływać w nim nie można: nie wiem, czy takie pośpieszne wyjaśnienie może być udane, ponieważ zawsze, kiedy jest mowa o tej wspólnej wszystkim substancji, nie można używać pojęć ogólnych, lecz trzeba je różnicować, w zależności od rodzaju powiązań istniejących między jednostką a innymi, toteż lepiej zacząć wszystko od początku. A zatem: to pięknie, że łączył nas wspólny żywotny element, gdyż odstęp pomiędzy mną a Zylphią został, by tak rzec, wypełniony, i mogliśmy się poczuć dwojgiem odrębnych jednostek, a zarazem całkowitą jednością, co zawsze ma swoje dobre strony, ale kiedy się wie, że ta całkowita jedność zawiera także obecności bezwzględnie nijakie, jak Fumagalli Jenny, czy jeszcze gorzej, obecności nieznośne, jak doktor Cecere, no to wielkie dzięki, rzecz traci na wartości. I właśnie w tej chwili do akcji wkracza popęd rozrodczy: Zylphie i mnie nachodziła ochota, a przynajmniej mnie nachodziła ochota, i sądzę, że ją także, skoro na to przyzwalała, zwielokrotnienia naszej obecności w morzu-jako-krwi, w taki sposób, aby korzyść z tego przypadła bardziej nam niż doktorowi Cecere, a ponieważ nasze komórki rozrodcze były już właśnie do tego przysposobione, z wielką gorliwością przystąpiliśmy do zapładniania, to znaczy ja zapładniałem wszystko, co można w niej było zapłodnić, i nasza obecność rosła w wartościach bezwzględnych i procentowych, a doktor Cecere – jakkolwiek on także niezdarnie sposobił się do aktu rozmnażania – pozostał w mniejszości – to było jak sen, niemal jak majaczenie – w mniejszości coraz

mizerniej szej, nieznaczącej, zero przecinek zero zero i tak dalej, aż do zaniku w gęstniejącej chmurze naszego potomstwa, niczym w ławicy zachłannych i szybkich sardeli, które pożarłyby go po kawałeczku, również po kawałeczku grzebiąc go we wnętrzu naszych suchych wewnętrznych warstw, tam, gdzie morski prąd nie powinien go już dosięgnąć, a wtedy morze-jako-krew scalałoby się z nami, to znaczy cała krew stałaby się nareszcie naszą krwią.

Odczuwam właśnie takie tajemne pragnienie, wpatrując się w kark doktora Cecere: chciałbym sprawić, żeby zniknął, pożreć go, to znaczy sam nie chciałbym go pożerać, bo budzi we mnie odrazę (z powodu krost), ale chciałbym wypuścić, wyrzucić z siebie (z całości, jaką tworzymy z Zylphią) ławicę zachłannych sardeli (sardynek-jako-siebie i Zylphię-sardynki-jako-siebie) i pożreć doktora Cecere, pozbawić go korzystania z układu krwionośnego (także ze spalinowego silnika, a także pozbawić go złudnego użytkowania silnika tak idiotycznie spalinowego), a skoro już do tego doszło, chciałbym też pożreć tę natrętną Fumagalii, która z powodu tego, że przedtem siedziała obok, wbiła sobie do głowy, że ja okazy wałem jej Bóg wie jakie względy, chociaż ja w ogóle nie zwracałem na nią uwagi, i teraz mówi tym swoim głosikiem: – Uważaj, Zylphio... (chce wszystko popsuć) – dobrze znam tego pana... – po to, żeby zasugerować, że ja teraz z Zylphią tak jak z nią przedtem, ale co ona może wiedzieć o tym, co naprawdę dzieje się między mną a Zylphią, w jaki sposób ja i Zylphia nadal pływamy w pradawnych szkarłatnych otchłaniach?

Wracam do przerwanej wątku, bo mam wrażenie, że powstało niejaki zamieszanie: pożreć doktora Cecere, połknąć go, to był najlepszy sposób na odseparowanie go od krwi-jako-morza, kiedy krew była jeszcze morzem, kiedy dzisiejsze wnętrze było na zewnątrz, a zewnątrz we wnętrzu; ale teraz moim tajemnym pragnieniem jest przetworzenie doktora Cecere na czyste zewnątrz, pozbawienie go wnętrza, z którego bezprawnie korzysta, usunięcie morza zagubionego w jego pleonastycznej postaci, słowem, moim marzeniem jest wysłanie przeciwko niemu już nie ławicy sardeli-jako-mnie, lecz serii pocisków-jako-mnie, ta-ta-ta, które by go podziurawiły od stóp do głów, aż trysnęłaby czarna krew i aż by się wykrwawił do ostatniej kropli, co także wiąże się z myślą o moim rozmnożeniu się z Zylphią, o zwielokrotnieniu wraz z Zylphią naszego obiegu krwi aż do utworzenia plutonu czy batalionu potomków mścicieli, uzbrojonych w automaty, które by podziurawiły doktora Cecere, właśnie takie pomysły podsuwa mi teraz mój krwiożerczy instynkt (w całej skrytości ducha, jeśli weźmiemy pod uwagę moje zachowanie osoby ucywilizowanej i grzecznej, takiej jak wy), instynkt krwiożerczy związany

z odczuwaniem krwi jako „naszej krwi”, który istnieje we mnie, tak jak i w was, na sposób ucywilizowany i grzeczny.

Aż do tej chwili wszystko może się wydawać jasne, ale musicie mieć też na uwadze, że dla uzyskania tego efektu uciekłem się do tak wielkiego uproszczenia, że nie mam już pewności, czy ten krok do przodu jest naprawdę krokiem do przodu. Ponieważ w chwili, kiedy krew staje się „naszą krwią”, zmienia się nasz stosunek do krwi, to znaczy liczy się tylko krew jako „nasza”, a cała reszta, włącznie z nami, liczy się mniej. Toteż w moim pociągu do Zylphii, poza impulsem, żeby mieć cały ocean dla siebie, był także impuls, żeby go utracić, żeby zatracić się w oceanie, unicestwić się, rozszarpać, czyli – zaczniemy od tego – rozszarpać moją ukochaną Zylphię, rozerwać ją na kawałki, pożreć. Ona także chciała mnie rozszarpać, pożreć, połknąć, nic poza tym. Pomarańczowa plama słońca widziana z podmorskich głębin falowała niczym meduza, a Zylphia wiała się pośród świetlistych włókien, trawiona żądzą pożarcia mnie, ja zaś skręcałem się pośród splotów ciemności, dobywających się z dna na kształt podłużnych glonów, które odblaski indygo skręcały w pierścienie, i trawiła mnie żądza kłosa. I wreszcie korzystając z ostrego zakrętu, rzuciłem się na nią na tylnym siedzeniu volkswagena i zatopiłem zęby w jej skórze, w miejscu, gdzie „amerykański” krój rękawa odsłania ramię, a ona wbiła mi długie paznokcie między guziki koszuli, bo na tym zawsze polega pierwotny impuls, który próbuje wykluczyć ją (lub mnie) ze wspólnoty mieszkańców morza, a teraz próbuje wykluczyć morze z jej ciała, z mojego, a w każdym razie opuścić płomienny żywioł życia i włączyć się w ten żywioł bładny i nieprzejrzysty, który potwierdza nieobecność nas w oceanie i nieobecność oceanu w nas.

Jednakowy impuls rządzi miłosną zjadłością, która łączy ją i mnie, i rządzi wrogą zjadłością zwróconą przeciwko doktorowi Cecere: dla żadnego z nas nie ma innego sposobu nawiązania kontaktu z innymi, chcę powiedzieć, że zawsze ten sam impuls karmi związki z innymi, przybierając najrozmaitsze i najbardziej nierozpoznawalne formy, jak wtedy, gdy doktor Cecere wyprzedza samochody o większej pojemności niż jego samochód, wyprzedza także porsche'a, powodowany chęcią odegrania się na tych lepszych markach, a także powodowany nierozważnie miłosnymi zamiarami wobec Zylphii, mściwymi zamiarami wobec mnie, a zarazem autodestrukcyjnymi wobec siebie. Tym sposobem, za pośrednictwem ryzyka nijakość zewnątrz potrafi wpłynąć na żywioł zasadniczy, na morze, w którym Zylphia i ja nadal odprawiamy nasze weselne gody płodności i destrukcji; ponieważ ryzyko godzi bezpośrednio w krew, w naszą krew, bo gdyby chodziło tylko o krew doktora

Cecere (kierowcy, który nie przestrzega kodeksu drogowego), można by mu życzyć, żeby co najmniej wypadł z szosy, ale tutaj chodzi o nas wszystkich, o ryzyko powrotu naszej krwi z mroku na światło słońca, od stanu rozłączenia do wymieszania, o ryzyko zwodniczego powrotu, jakkolwiek wszyscy, prowadząc podwójną grę, udajemy, że o tym nie pamiętamy, ponieważ kiedy nasze obecne wnętrze się z nas wyleje, stanie się obecnym zewnętrzem i nie zdoła już powrócić do stanu dawnego zewnątrz.

Toteż w momencie, kiedy Zylphia i ja rzucamy się na siebie na zakrętach, prowadzimy grę, która ma wprowadzić w wibrację naszą krew, czyli ma pozwolić, żeby pozorne dreszcze mdłego zewnątrz zsumowały się z tymi, które wibrują dobywając się z głębi tysiącleci i z morskich otchłani, właśnie wtedy doktor Cecere powiedział:

– Jedziemy na zimną zupę do knajpy dla kierowców tirów – skrywając pod pozorami wspaniałomyślnej miłości życia swoją uporczywą i odrętwiałą gwałtowność, a Jenny Fumagalli chytrze odpowiedziała:

– Ale musimy zdążyć na tę zupę przed kierowcami, bo nic nam nie zostawią – jak zawsze oddając swoją chytrość na usługi czarnej destrukcji, i oto wyrósł przed nami czarny tir z tablicą rejestracyjną Udine 38 96 21, napełniając krętą szosę warkotem swoich sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, i wtedy doktor Cecere pomyślał (i może nawet powiedział): dam radę, zjechał na lewy pas, a my wszyscy pomyśleliśmy (nie wypowiadając tego na głos): nie da rady, i faktycznie zza zakrętu wypadło na nas DS, a chcąc go uniknąć, volkswagen musnął kamienny murek i rykoszetem otarł się bokiem o łukowatą, chromowaną barierę, a potem znów rykoszetem wpadł na platan, przekoziołkował i runął w przepaść, i teraz morze wspólnej krwi, które zalewa pogiętą blachę, nie jest już pierwotną krwią-jako-morzem, lecz tylko nieskończenie małym detalem zewnątrz, banalnego i jałowego zewnątrz, kolejną liczbą w statystyce weekendowych wypadków.



## Część 2

### Priscilla

*W reprodukcji bezpłciowej prosty organizm, jakim jest komórka, dzieli się w pewnym momencie swego rozwoju. Tworzą się dwa jądra i z jednego organizmu powstają dwa. Nie możemy jednak powiedzieć, że organizm pierwszy zrodził organizm drugi. Dwa nowe organizmy są w jednaki sposób twórcami pierwszego. Pierwszy znikł: faktycznie umarł, gdyż nie przetrwał w żadnym ze stworzonych przez siebie organizmów. Nie ulega on rozkładowi, jak to się dzieje u zwierząt obdarzonych płcią, kiedy umierają, lecz przestaje istnieć. Przestaje istnieć, ponieważ jest nieciągły. Tylko że w pewnym momencie reprodukcji ciągłość istnieje. Jest taki punkt, w którym pierwotny jeden staje się dwoma. A kiedy są dwa, na nowo pojawia się nieciągłość każdego. W tym przejściu z jednego w dwa jest moment ciągłości między dwoma. Pierwszy umiera, ale w jego śmierci objawia się fundamentalny moment ciągłości dwu istot.*

Georges Bataille *Erotyzm* (ze Wstępu)\*

*Komórki rozrodcze są nieśmiertelne, komórki somatyczne mają ograniczony czas trwania. Dzięki ciągłości komórek rozrodczych dzisiejsze organizmy są przedłużeniem dawniejszych żywych form, których ciała są już martwe. [...] Wczesny podział komórek rozrodczych – oogonium i spermogonium – dokonuje się za pośrednictwem kariokinezy. Na tym etapie każda komórka ma podwójny zespół chromosomów i przy podziale każdego chromosomu rozszczepia się wzdłuż na dwie równe części, które się rozłączają i przechodzą do komórek potomnych. Po zwykłych podziałach komórki te*

\* Georges Bataille *Erotyzm*, przeł. Maryna Ochab, słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 1999, s<sup>-</sup> 17 (przyp. tłum.). *podlegają dwóm specyficznym podziałom, a podczas jednego z nich liczba chromosomów dzieli się na pół. Podziały te są nazywane podziałami redukcyjnymi lub mejozą, w odróżnieniu od mitozy, czyli procesu zwykłego podziału. [...] Tuż przed podziałem redukcyjnym komórek rozrodczych chromosomy występują pod postacią cienkich nitek, które rozwijają się w nabrzmiałym jądrze; jedne z nich przybierają kształt pętelek, inne pręcików. Przylegają do siebie wzdłuż, jakby się ze sobą łączyły, ale doświadczenia genetyczne dowodzą, że tak się nie dzieje. Jest prawdopodobne, że na tym etapie chromosomy zawarte w komórkach jajowych albo w spermatozoidach, albo w nich obu, wymieniają odcinki*

cząstek doskonale równorzędnych. Proces ten nosi nazwę crossing-over. [...] Podczas podziałów redukcyjnych zarówno w komórkach jajowych, jak i w plemnikach dokonuje się ponowne rozdanie chromosomów pochodzących od ojca i od matki.

T.H. Morgan *Embriology and Genetics*, roz. III

*...au milieu des Enees quiportent sur le dos leurs Anchises, je passe d'une rive a l'autre seul et detestant ces geniteurs invisibles d cheval sur leurs fils pour toute la vie...*

J.P. Sartre *Les mots*\*

*Ale w jaki sposób jeden z elementóW komórki, kwas nukleinowy, wytwarza proteinę, element tak całkowicie odmienny pod względem struktury i funkcji? Odkrycie Avery 'ego, które można przedstawić za pomocą symbolu DNA – informacja dziedziczenia, zrewolucjonizowało biologię. [...] Zanim dokona się podział, komórka musi podwoić swoją zawartość DNA, tak żeby obie komórki potomne otrzymały dwie dokładne kopie całościowego materiału genetycznego. DNA utworzone przez dwa identyczne zwoje, zespolone „wiązaniami wodoru „, jest doskonałym modelem owego podwojenia. Skoro oba włókna się rozłączają, niczym dwie połówki zamka błyskawicznego, i każda spirala służy za model powstawania spirali dopełniającej, mamy oto gwarancję podwojenia DNA, a zatem podwojenia pojedynczego genu.*

Ernest Borek *The Code of Life*

*Tout nous appelle a la mort; la nature, comme si elle etait presque envieuse du bien qu 'elle nous afait, nous declare souvent et nousfait signifier qu 'elle*

*\*...wśród Eneaszów obarczonych Anchizesami przechodzę na drugi brzeg sam, nienawidząc tych niewidzialnych rodzicicli, którzy dosiedli okrakiem grzbietów swoich synów, na całe życie... (J.P. Sartre *Słowa*, przel. Julian Rogoziński, PIW, Warszawa 1965, s. 13). ne peutpas nous laisser longtemps ce peu de matiere qu 'elle nous prete, qui ne doit pas demeurer dans les memes mains, et qui doit etre eternellement dans le commerce: elle en a besoin pour d'autres formes, elle le redemande pour d'autres ouvrages.*

Bossuet *Sermon sur la mort*\*

*Nie ma potrzeby łamać sobie głowy nad tym, w jaki sposób automat tego rodzaju może wyprodukować następne automat}', okazalsze i bardziej skomplikowane. Większe rozmiary – i większa złożoność przyszłego modelu znajdują odbicie w pokazniejszej objętości instrukcji I, jaką należy dostarczyć. [...] W następstwie tego, wszystkie automaty skonstruowane przez automat*

typu A, będą dzielić z A tę właściwość. Odpowiednio wyposażone, zdolają przyjąć instrukcję I. [...] Jest oczywiste, że instrukcja I pełni, z grubsza biorąc, funkcje genu. Jest też oczywiste, że mechanizm kopii B spełnia fundamentalny akt reprodukcji, czyli podwaja materiał genetyczny, co jest bez wątpienia podstawową operacją w akcie pomnażania żywych komórek.

Johann von Neumann *The General and Logical Theory of Automata*  
Ci, którzy tak egzaltują się niezniszczalnością, niezmiennością itd., dochodzą, jak sądzę, do wypowiedzania podobnych twierdzeń, jedynie dlatego że w obawie przed śmiercią pragną przetrwać jak najdłużej. Nie biorą przy tym pod uwagę, że jeśli ludzie mieli być nieśmiertelni, to nie przypadłoby im w udziale przyjście na świat. Tacy ludzie zasługiwali na zmierzenie się wzrokiem z głową Meduzy, która przeobraziłaby ich w posągi z jaspisu czy diamentu, by stali się doskonalszymi niż są. /.../ Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Ziemia jest znacznie doskonalszą, będąc taką, jaką jest w istocie, a więc przeobrażającą się, zmienną itd., niż gdyby była masą z kamienia, choćby nawet jednym wielkim diamentem, najbardziej twardym i niezmiennym.

Galileo Galilei *Dialog o dwu najważniejszych układach świata*, dzień I\*\*

\* Wszystko nas wzywa ku śmierci; natura, niemal zazdrosna o dobro, jakie nam wyświadcza, często daje znać, że nic może nam powierzyć na okres zbyt długi materii, która nic powinna wciąż pozostawać w tych samych rękach, i musi być w nieustannym ruchu: natura potrzebuje jej do powołania następnych form życia, domaga się jej zwrotu do stworzenia swoich kolejnych dzieł (Bossuet „Kazanie o śmierci”).

\*\* Galileo Galilei *Dialog o dwu najważniejszych układach świata, Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, przeł. Edward Ligocki, PWN, Warszawa 1953, s. 61-62 (przyp. tłum.).

I. Mitoza

...A kiedy mówię „śmiertelnie zakochany” – *ciągnął Qfwfq* – mam na uwadze coś, o czym wy nie macie pojęcia, bo myślicie, że kiedy jest mowa o zakochaniu, to siłą rzeczy trzeba zakochać się w innej osobie albo w rzeczy, czy diabli wiedzą w czym, słowem, ja jestem tutaj, a obiekt mojego zakochania jest tam, myślicie o relacji mającej związek z życiem, które polega na wchodzeniu w relacje, tymczasem ja wam mówię o chwili sprzed wejścia w jakąkolwiek relację; czyli była sobie komórka, a tą komórką byłem ja, i na tym koniec, na razie nie rozglądamy się, czy wokół nas są jakieś inne komórki, to nieważne, istniała ta komórka, którą byłem ja, i to już dużo, starczy z nawiązką, żeby wypełnić sobie życie, chciałem właśnie powiedzieć o tym

poczuciu pełni, a mówiąc o pełni, nie mam na myśli protoplazmy, bo skoro urosłem do sporych rozmiarów, nie jest to niczym nadzwyczajnym, wiadomo, że komórki są pełne protoplazmy, bo cóż innego mogłoby je wypełniać, ja mówię o poczuciu pełni, jeśli wolno mi użyć tego słowa, otwieram cudzysłów, duchowej, zamykam cudzysłów, czyli miałem świadomość, że tą komórką byłem ja, pełnia była tą świadomością, świadomość była tą pełnią, po czymś takim aż trudno zasnąć, po czymś takim aż trudno nie wyjść ze skóry, jednym słowem była to sytuacja sprzed „śmiertelnego zakochania”.

Wiem, że teraz zrobicie z tego aferę, dlatego że zakochanie zakłada nie tylko świadomość siebie, ale także świadomość innego, i tak dalej, i tak dalej, a ja wam odpowiem, wielkie dzięki, ale tyle to i ja wiem, a jeśli nie okażecie choć odrobinę cierpliwości, nie ma sensu, żebym wam to objaśniał, a przede wszystkim musicie na chwilę zapomnieć, w jaki sposób się teraz zakochujecie, w jaki sposób obecnie ja sam – jeśli wolno mi sobie pozwolić na tego rodzaju zwierzenia – się zakochuję, mówię o zwierzeniach, ponieważ dobrze wiem, że gdybym wam opowiedział o moim obecnym zakochaniu, moglibyście odrzec, że brak mi dyskrecji, podczas gdy tamtym okresie, kiedy byłem organizmem jednokomórkowym, mogę mówić bez obaw albo też mogę mówić, by tak rzec, obiektywnie, bo teraz to już przeszłość, chociaż i tak dobrze, że coś z tego pamiętam, ale to, co pamiętam, wystarczy, żebym dał się ponieść wzburzeniu, toteż mówiąc o obiektywizmie, mówiłem tak, żeby mówić, bo kiedy się mówi niby obiektywnie, potem i tak zawsze kończy się na tym, że uderza się w ton subiektywizmu, i dlatego to, o czym chcę wam powiedzieć, jest takie trudne, bo jest zaprawione subiektywizmem, i to ówczesnym subiektywizmem, a z tego, co pamiętam, jest to uczucie równie wstrząsające, jak obecny subiektywizm, i dlatego użyłem słów, które mogą, co prawda, wprowadzić zamieszanie i pomylić cechy dzisiaj odmienne, ale mają też tę zaletę, że wydobywają na jaw cechy wspólne.

Po pierwsze, muszę uściślić to, co mówiłem o niedostatku pamięci, czyli uprzedzić, że jeśli jedne fragmenty mojej opowieści będą bardziej rozwinięte od innych, nie znaczy to, że są mniej ważne, ale że mniej mi się utrwały w pamięci, ponieważ tym, co dobrze pamiętam, jest faza, nazwijmy ją, początkowa, mojej miłosnej historii, miałbym niemal ochotę powiedzieć, faza uprzednia, czyli że w fazie kulminacyjnej owej miłosnej historii pamięć pęka, rwie się i kruszy, i nie sposób już sobie przypomnieć, co było dalej, ale mówiąc o tym, nie roszczę sobie pretensji, by was nakłonić do wysłuchania historii miłosnej, której nawet nie pamiętam, chcę tylko wyjaśnić, że sam fakt niepamięci jest koniecznym etapem, żeby owa historia była taka, a nie inna,

i jakkolwiek zwykle każda historia bierze się ze wspomnienia, jakie budzi, w tym przypadku niepamięć o historii tworzy historię.

A zatem mówię o początkowej fazie miłosnej historii, która prawdopodobnie powtarza się w nieskończonym zwielokrotnieniu faz początkowych, tożsamyh z fazą pierwszą, w zwielokrotnieniu czy też w podniesieniu do kwadratu, w wykładniczym wzroście historii, ponieważ jest zawsze tak, jakby chodziło o tę samą historię, aleja nie mam całkowitej pewności, wyobrażam to sobie na podobieństwo tego, co sami możecie sobie wyobrażać, odwołuję się do fazy początkowej, poprzedzającej inne fazy początkowe, do pierwszej fazy, która musiała przecież istnieć, po pierwsze dlatego, że to całkiem sensowne oczekiwać, że ona istniała, a po drugie, ponieważ świetnie ją pamiętam, a kiedy mówię, że jest pierwsza, nie mam na myśli tego, że jest pierwsza w sensie absolutnym, wam by się to podobało, a tymczasem nic z tego, mówię, że jest pierwsza w tym sensie, że każdą z początkowych faz, całkiem jednakowych, możemy uważać za pierwszą, a ta, do której się odwołuję, jest fazą, którą zapamiętałem, a zapamiętałem ją jako pierwszą w tym sensie, że przed nią nic nie pamiętam, a fazy pierwszej w sensie absolutnym niechaj każdy sobie szuka na własną rękę, mnie to mało wzrusza.

Zacznijmy od tego: jest sobie komórka, i ta komórka jest organizmem jednokomórkowym, a tak się składa, że tym organizmem jednokomórkowym jestem ja, wiem, i bardzo mnie to cieszy. Aż do tej chwili nic nadzwyczajnego. Teraz spróbujmy przedstawić sobie tę sytuację w czasie i w przestrzeni. Mija czas, i ja, coraz bardziej zadowolony z tego, że jestem i że jestem sobą, coraz bardziej się cieszę, że istnieje czas i że w tym czasie istnieję ja sam, to znaczy, że czas upływa i że ja płynę w czasie, i że czas mnie opływa, jestem zadowolony, że czas mnie zawiera, że jestem zawartością czasu, a nawet jego pojemnikiem, słowem, że swoim istnieniem odnotowuję upływ czasu, a sami przyznacie, że to daje wrażenie oczekiwania, radosnego oczekiwania wypełnionego nadzieją, albo wręcz wrażenie niecierpliwości, radosnej niecierpliwości, radosnej, pobudzonej, młodzieńczej niecierpliwości, a zarazem lęku, młodzieńczego, pobudzonego lęku, a w gruncie rzeczy bolesnego napięcia wywołanego niecierpliwością. Należy też pamiętać, że bycie oznacza także istnienie w przestrzeni, a ja faktycznie wylałem w przestrzeń całą swoją objętość, dokoła mnie istniała nieznaną mi przestrzeń, i nie warto się teraz zastanawiać, co innego zawierała, ja trwałem zamknięty w samym sobie i zajmowałem się własnymi sprawami, i nie miałem nawet nosa, żeby wystawić nos na zewnątrz, ani oka, żeby zainteresować się tym, co

jest na zewnątrz, co tam było i czego tam nie było, miałem jednak poczucie, że wypełniam przestrzeń, że się w niej wyleguję, że moja protoplazma rozrasta się w różnych kierunkach, ale jak już mówiłem, nie chcę podkreślać ilościowego i materialnego aspektu, chcę mówić przede wszystkim o satysfakcji i o żądzy dokonania czegoś w przestrzeni, o chęci dysponowania czasem, żeby nacieszyć się przestrzenią, o chęci dysponowania przestrzenią, żeby w upływającym czasie spowodować jakieś wydarzenie.

Aż do tej chwili rozdzielałem czas i przestrzeń, abyście mogli mnie lepiej zrozumieć, albo też, żeby sam lepiej zrozumiał, co miałbym dać wam do zrozumienia, ale w tamtym czasie nie bardzo rozróżniałem, czym jest jedno, a czym drugie: w danym miejscu i w danej chwili byłem ja, rozumiecie? – a dalej było jakieś zewnątrz, i jawiło mi się jako pustka, którą mógłbym wypełnić w innej chwili czy miejscu, w całym ciągu miejsc czy chwil, słowem, potencjalna projekcja mnie, w której mnie jednak nie było, a zatem pustka jako świat i przyszłość, ale ja o tym jeszcze nie wiedziałem, była to pustka, ponieważ nie wykształciłem w sobie jeszcze zdolności postrzegania, a w kwestii wyobraźni byłem tym bardziej opóźniony, kategorie pojęciowe to była zupełna katastrofa, ale przepełniała mnie radość z powodu tego, że na zewnątrz istnieje ta pustka, która nie jest tożsama ze mną, która może mogłaby być mną, ponieważ nie było mi znane inne słowo poza zaimkiem ja, tylko to jedyne słowo potrafiłem odmienić, a więc pustka, która mogłaby być mną, nie była mną i nigdy nie będzie, było to odkrycie czegoś innego, co jeszcze niczym nie było, a w każdym razie nie było mną, albo lepiej, nie było mną w tym momencie i w tym miejscu, a więc było czymś innym, i to odkrycie napełniło mnie upajającym entuzjazmem, chociaż nie, napełniło mnie rozdzierającą, zawrotną udręką, zawrotną pustką, która była wszystkim, co możliwe, jakimś gdzie indziej, innym razem, inaczej możliwym, była dopełnieniem tego wszystkiego, czym było dla mnie wszystko, i oto teraz ginąłem z miłości do tego gdzie indziej, innym razem, inaczej pustym i milczącym.

Widzicie sami, że mówiąc o „zakochaniu”, nie mówiłem tak całkiem od rzeczy, a chociaż wy nieustannie przerywaliście mi słowami: „zakochany w sobie samym, ho, ho, zakochany w sobie samym”, dobrze zrobiłem, nie zwracając na was uwagi i nie posługując się ani też pozwalając wam się posłużyć tym wyrażeniem, sami teraz widzicie, że stan zakochania już wtedy był rozdzierającym uczuciem zwróconym na zewnątrz, konwulsyjnym spazmem kogoś, kto za wszelką cenę chce uciec od siebie, tak jak ja wówczas chciałem, tarzając się w czasie i w przestrzeni, śmiertelnie zakochany.

Ażeby właściwie opowiedzieć, jak to wszystko potoczyło się dalej, muszę

wam przypomnieć, jak wyglądałem, a byłem masą protoplazmy, taką kulką miąższu z jądrem pośrodku. Nie chciałbym się przechwalać, ale wówczas wewnątrz jądra prowadziłem bardzo intensywne życie. Pod względem fizycznym byłem jednostką w pełni rozkwitu, i dobrze, ale nietaktem byłoby zwracanie na to uwagi: byłem młody, zdrowy, u szczytu sił, ale wcale nie zamierzam wykluczyć, że ktoś inny, kto miał gorsze warunki, mizerniejszą lub bardziej rozwodnioną cytoplazmę, nie mógł się odznaczać jeszcze większymi zaletami. W mojej opowieści liczy się to, w jakiej mierze jądro stanowiło odbicie mojego życia fizycznego; mówię o fizyczności, nie żeby miała istnieć jakaś różnica między życiem fizycznym a życiem w jakiejś innej formie, ale chcę wam wyjaśnić, jak bardzo życie fizyczne skupiało się w jądrze, które było miejscem największego skupienia, wrażliwości i napięcia, i tak, kiedy ja czułem się całkiem spokojny i radosny w mojej białawej masie, jądro uczestniczyło w tym cytoplazmatycznym spokoju i radości na swój nukleinowy sposób, czyli uwydatniając i zagęszczając splątana ziarnistość i ozdobną pstrokaciznę, a ja skrywałem mózół nukleinowej harówki, która przekładała się później na moje zewnętrzne dobre samopoczucie, toteż im bardziej byłem zadowolony z tego, że jestem sobą, tym bardziej moje jądro gromadziło pokłady zniecierpliwienia, i wszystko, czym byłem, wszystko, czym się stawałem, trafiało do jądra, i z miejsca było wchłaniane, utrwalane, gromadzone w wężowym skręcie spirali, zwijało się w kłębek i rozwijało z uwzględnieniem różnic, mógłbym wręcz powiedzieć, że cała moja wiedza skupiała się w jądrze, gdyby nie ryzyko, że uwierzycie, iż jądro pełni jakąś osobną czy przeciwstawną funkcję, a przecież jeżeli w ogóle istnieje bystry i popędliwy organizm, który nie podlega takiemu zróżnicowaniu, to jest nim właśnie organizm jednokomórkowy, ale nie chciałbym też przesadzić w drugą stronę, abyście nie odnieśli wrażenia, że mowa jest o chemicznej jednorodności przypadkowej, nieorganicznej kropli, przecież lepiej ode mnie wiecie, jak bardzo zróżnicowane jest wewnątrz komórki, a także wewnątrz jądra, które ja usiałem cętkami, wewnątrz piegowate, pokryte mnogością nitek, pałeczek, pręcików czy chromosomów, a każda z tych nitek, pałeczek, pręcików czy chromosomów miała ścisły związek z jakąś moją cechą. Teraz mógłbym zaryzykować i powiedzieć, że nie jestem niczym innym, jak sumą tych nitek, wykałaczek czy pręcików, a można to stwierdzenie podważyć, ponieważ ja jestem całością, a nie częścią siebie, chociaż można je też podtrzymać, uściślając, że te pręciki są mną w przełożeniu na pręciki, to znaczy są tym, co daje się ze mnie przełożyć na pręciki, a potem ewentualnie przełożyć je ponownie na mnie. Toteż, kiedy mówię o intensywnym życiu

jądra, mam na myśli nie tyle szelest czy skwierczenie tych wszystkich pręcików wewnątrz jądra, ile nerwowość jednostki, która wie, że ma te wszystkie pręciki, że jest tożsama z tymi wszystkimi pręcikami, ale wie też, że istnieje coś, czego nie można przedstawić za pośrednictwem tych wszystkich pręcików, jakaś pustka, po której te pręciki dają tylko poczucie pustki. To znaczy dają odczuć tylko napięcie zwrócone w kierunku zewnątrz jakiegoś gdzie indziej, inaczej, co jest później nazywane stanem pożądania.

Na temat stanu pożądania lepiej od razu coś uściślić: stan pożądania można rozpoznać wówczas, kiedy stan zaspokojenia przechodzi w stan rosnącego zaspokojenia, a tuż potem w stan niezaspokojonego zaspokojenia, czyli pożądania. Nie jest prawdą, że stan pożądania pojawia się, kiedy odczuwamy jakiś brak; jeżeli czegoś nam brakuje, trudno, trzeba się bez tego obyć, a jeżeli jest to rzecz niezbędna, obywając się bez niej, pozbawiamy się jakiejś życiowej funkcji, zmierzając w linii prostej do zaniku. Chcę powiedzieć, że ze stanu czystego braku nic nie może się narodzić, nic dobrego ani też nic złego, mogą objawić się wyłącznie inne braki, aż do braku samego życia, stanu, który nie jest ani dobry, ani zły. Ale taki stan czystego braku, o ile mi wiadomo, w naturze nie występuje: stanu braku doświadcza się zawsze poprzez kontrast z uprzednim stanem zaspokojenia, i ze stanu zaspokojenia wyrasta wszystko, co tylko może wyrosnąć. Nie jest też prawdą, że stan pożądania koniecznie implikuje jakiś przedmiot pożądania; przedmiot pożądania zaczyna istnieć dopiero wówczas, kiedy pojawia się stan pożądania; nie żeby przedtem ten przedmiot nie był pożądany, ale kto przedtem wiedział cokolwiek o jego istnieniu?, toteż kiedy pojawia się stan pożądania, to coś zaczyna istnieć, coś, co jeśli wszystko dobrze pójdzie, stanie się przedmiotem pożądania, ale też może pozostać byle czym i basta, z powodu braku podmiotu pożądania, który w akcie pożądania mógłby nawet przestać istnieć, jak w przypadku „zakochanego na śmierć”, i nawet jeszcze nie wiadomo, czym to się skończy. A zatem, by powrócić do punktu, na którym zakończyliśmy, powiem, że mój stan pożądania zmierzał po prostu do jakiegoś gdzie indziej, innym razem, inaczej, które mogło nawet zawierać coś (albo, powiedzmy, świat) lub zawierać tylko mnie samego, lub też mnie samego w powiązaniu do czegoś (lub do świata) albo zawierać coś (świat) beze mnie.

Widzę, że dla skonkretyzowania tego punktu znów zacząłem posługiwać się ogólnikami, tracąc grunt uzyskany dzięki wcześniejszym uściśleniom, jak to często bywa w historiach miłosnych. Opowiadałem o tym, co działo się ze mną, za pośrednictwem tego, co działo się z jądrem, a zwłaszcza co działo się z chromosomami wewnątrz jądra, zyskiwałem świadomość, która za ich



pośrednictwem nabierała kształtu pustki poza mną i poza nimi, była to dręcząca świadomość, która mnie do czegoś zmuszała, stan pożądania, który, o ile w ogóle możliwy jest jakiś ruch, natychmiast przeradza się w odruch pożądania. Ów odruch pożądania pozostawał w gruncie rzeczy pożądaniem odruchu, jak to bywa, kiedy nie można wyruszyć do jakiegoś miejsca, ponieważ świata nie ma albo też nie wiemy, że jest, i w takich przypadkach pożądanie nakłania nas do zrobienia czegoś, czegokolwiek, czyli do zrobienia czegokolwiek bądź. Ale kiedy nie można nic zrobić z powodu braku zewnętrznego świata, jedyne, co można zrobić, mając do dyspozycji tak skromne środki, to podjąć specyficzną odmianę działania, jaką jest mówienie. Jednym słowem, miałem przymus mówienia; mój stan pożądania, mój stan-odruchu-pożądania skierowany w stronę odruchu-pożądania-miłości nakazywał mi mówić, a ponieważ jedyną rzeczą, o której mogłem mówić, byłem ja sam, byłem zmuszony mówić o sobie, czyli się wypowiadać. Wyrażę się precyzyjniej: przedtem, kiedy powiedziałem, że wystarczają skromne środki, żeby mówić, byłem niezupełnie bliski prawdy, a zatem wnoszę poprawkę: do mówienia potrzebny jest język, a to, za przeproszeniem, nie jest mało. Rolę języka pełniły te wszystkie pestki z dyni czy wykałaczkki, zwane chromosomami, i wystarczyło powielić te pestki z dyni i te wykałaczkki, aby powielić samego siebie, to znaczy, powielić samego siebie pod postacią języka, co, jak się okaże, jest pierwszym krokiem do powielenia siebie jako takiego, co, jak się okaże, nie jest wcale powieleniem. Ale lepiej się o tym przekonać w swoim czasie, ponieważ jeżeli będę się starał uściślać w ramach innych uściśleń, nigdy się z tym nie uporam.

To prawda, że tutaj trzeba wielkiej koncentracji, aby nie popaść w nieścisłości. Cała ta sytuacja, którą starałem się przedstawić, i którą na początku nazwałem stanem „zakochania”, wyjaśniając następnie, jak należy rozumieć to słowo, wszystko to znajdowało odbicie we wnętrzu jądra, w energetycznym i ilościowym wzbogaceniu chromosomów, w ich radosnym podwojeniu, ponieważ każdy z chromosomów powielał się w drugim chromosomie. Kiedy mowa jest o jądrze, wydaje się naturalna pokusa utożsamienia go ze świadomością, co jest tylko nieco grubiańskim uproszczeniem, ale nawet gdyby rzeczy tak się miały, wcale by to nie znaczyło, że zyskamy świadomość posiadania podwójnej ilości pręcików, ponieważ skoro każdy pręcik ma jakąś funkcję, skoro jest, żeby znów powrócić do metafory języka, słowem, to sam fakt, że jedno słowo figuruje tam dwa razy, nie zmienia tego, że ja jestem sobą, skoro ja składam się z asortymentu czy ze zbioru rozmaitych słów lub funkcji, jakie miałem do dyspozycji, i fakt, że

miałem podwójne słowa, znajdował odbicie w tym poczuciu pełni, którą najpierw nazwałem, otwieram cudzysłów, pełnią duchową, zamykam cudzysłów, a teraz widać, jak bardzo cudzysłów nawiązywał do faktu, że chodzi w gruncie rzeczy o sprawę całkiem materialną, złożoną z nitek, z pręcików czy z wykałaczek, ale nie mniej przez to radosną i pobudzającą.

Aż dotąd pamiętam wszystko świetnie, ponieważ wspomnienia jądra, niezależnie od świadomości bądź jej braku, zachowują większą moc. Ale napięcie, o jakim wam mówiłem, w miarę upływu czasu udzieliło się cytoplazmie: odczuwałem potrzebę przeciągania się z całych sił, aż do spazmatycznego zeszywnienia nerwów, których nie miałem; i tym sposobem cytoplazma się wydłużyła, przybierając kształt wrzeciona – zupełnie jakby oba końce chciały od siebie uciec – w wiązce włóknistej materii, która była rozedrgana nie mniej niż jądro. A wręcz trudno było odróżnić jądro od cytoplazmy: jądro się jakby rozpuściło, a pręciki zawieszony pośrodku tego wrzeciona z napiętych i rozedrganych włókien nie rozpraszały się, obracając się wokół własnej osi jak na karuzeli.

Pęknięcia jądra, prawdę powiedziawszy, niemal nie zauważyłem: czułem się sobą w sposób bardziej niż kiedykolwiek totalny, a zarazem czułem, że już nie jestem sobą, że ten cały ja to miejsce, w którym było wszystko, tylko nie ja sam: to znaczy, miałem poczucie, że jestem zamieszkanym, nie: że ja sam siebie zamieszkuję, nie: że zamieszkuję siebie, chociaż mieszkają we mnie inni, nie: miałem wrażenie, że to jest ktoś inny, zamieszkanym przez innych. Tymczasem dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z faktu podwojenia, ponieważ wcześniej, jak już mówiłem, nie było to dla mnie jasne: z miejsca liczba chromosomów wzrosła we mnie niepomiarowo, i wszystkie chromosomy były wymieszane, ponieważ bliźniacze pary odkleiły się od siebie i nic już z tego nie rozumiałem. Czyli: wobec tej pustki milczącej, nieznannej, w której się miłośnie zanurzałem, czułem potrzebę powiedzenia czegoś, co by przywróciło moją obecność, ale w tamtej chwili słowa, jakie miałem do dyspozycji, wydawały mi się mnogie, nazbyt mnogie, abym mógł je uporządkować w wypowiedź, która byłaby jeszcze mną, moim imieniem, moim nowym imieniem.

Pamiętam coś jeszcze: jak ze stanu chaotycznego natłoku zdołałem przejść, w daremnym poszukiwaniu ulgi, do natłoku bardziej wyważonego i uporządkowanego, tak, aby jeden pełny zestaw chromosomów znalazł się z jednej strony, a drugi z drugiej, i tym sposobem jądro, czyli karuzela pałeczek, która zajęła miejsce pękniętego jądra, w pewnej chwili przybrała kształt symetryczny i lustrzany, nieomal rozdzielając własne siły, żeby poskromić wyzwanie pustki milczącej, nieznannej, toteż podwojenie, które

przedtem dotyczyło pojedynczych pręcików, teraz obejmowało jądro w całej jego złożoności, czyli to, co ja nadal uznawałem za jedyne jądro i jako takiemu zapewniałem ruch, chociaż to był tylko nieokreślony wir, który rozdzielał się na dwa odrębne wiry.

Należy w tym miejscu uściślić, że ten podział nie polegał na umieszczeniu starych chromosomów z jednej strony, a nowych z drugiej, ponieważ jeśli nie wyjaśniłem wam tego wcześniej, to wyjaśniam teraz, każdy pręcik po spęcznieniu podzielił się wzdłuż, toteż wszystkie pręciki były równie stare i równie nowe. To jest ważne, ponieważ wcześniej użyłem czasownika powielać, który jak zwykle był trochę niedokładny i mógł dać fałszywe wyobrażenie, że jest jakiś pręcik pierwotny i jest jego kopia, i nawet czasownik „mówić” był nie na miejscu, w tym sensie, że jakkolwiek zdanie, w którym mówię o sobie samym, dobrze mi wyszło, było o tyle nie na miejscu, o ile do mówienia potrzebny jest ktoś, kto mówi, i coś, o czym jest mowa, a w tym przypadku naprawdę tak nie było.

Trudno jest precyzyjnie nazwać nieokreśloność miłosnych stanów ducha, czyli odczuwania radosnej niecierpliwości, chęci zawładnięcia pustką, zachłannego czekania na to, co może wyniknąć dla mnie z pustki, a także ból, ponieważ jestem jeszcze pozbawiony tego, co wywołuje moje niecierpliwe, zachłanne oczekiwanie, rozdzierający ból, ponieważ czuję się już potencjalnie podwojony z racji tego, że potencjalnie posiadam coś potencjalnie mojego, a jestem jeszcze zmuszony do stanu nieposiadania, do uznania za nie swoje, a zatem za potencjalnie czyjeś to, co potencjalnie należy do mnie. Ból, ponieważ muszę znosić fakt, że to, co jest potencjalnie moje, należy potencjalnie do innego, albo też z tego, co wiem, należy rzeczywiście do innego, i ten zachłanny, zazdrosny ból jest stanem takiej pełni, że można uwierzyć, iż zakochanie polega tylko na bólu, czyli że zachłanna niecierpliwość nie jest niczym innym, jak zazdrosną rozpaczą, a odruch zniecierpliwienia nie jest niczym innym jak odruchem rozpacz, która wkręca się w samą siebie, coraz bardziej napędzając własną rozpacz, a przy tym każda cząsteczka rozpacz potrafi się rozdzielić i ułożyć symetrycznie wobec analogicznej cząsteczki, zmierzać do wyjścia ze swojego stanu, żeby wejść w inny stan, choćby i gorszy, byleby potrafił rozsadzić i obrócić w niwecz stan obecny.

Z tego aktu przeciągania liny, między dwoma wirami powstawał odstęp i właśnie w tej chwili stał się dla mnie jasny mój własny stan rozdwojenia, najpierw było to rozszczepienie świadomości, swego rodzaju rozdwojenie obecności, poczucia obecności całego siebie, ponieważ te zjawiska zaprzętały nie tylko jądro, bo jak wiecie, wszystko, co tam zachodziło, w pręcikach jądra,

wpływało na wydłużanie się mojej wrzecionowatej osoby fizycznej, sterowanej przez te pręciki. Także włókna mojej cytoplazmy zmierzały w dwóch przeciwnych kierunkach, ścieśniając się pośrodku, aż odnosiło się wrażenie, że mam dwa jednakowe ciała, jedno z jednej, drugie z drugiej strony, połączone przewężeniem, które tak bardzo się wyciągało, aż robiło się nitkowate, i w tej samej chwili po raz pierwszy miałem poczucie mnogości, po raz pierwszy i ostatni, ponieważ było już późno, poczułem w sobie mnogość, która była obrazem i przeznaczeniem mnogości świata, i poczułem, że jestem częścią świata, że jestem zagubiony w niepoliczalnym świecie, a zarazem miałem przenikliwe poczucie, że jestem sobą; mówię o poczuciu, ale już nie o świadomości, ponieważ skoro ustaliliśmy, że będziemy nazywać świadomością to, co czułem, będąc jeszcze w jądrze, to teraz jądra były dwa, i każde z nich zrywało ostatnie włókna wiążące go z tym drugim, działając już teraz na własny rachunek, a właściwie na mój, na mój rachunek w sposób powtarzalny, każde niezależnie od tego drugiego, a świadomość, niemal bełkotliwa, zrywała ostatnie włókna, pamięć, wspomnienia.

Mówię, że wrażenie bycia sobą nie pochodziło już od jąder komórki, ale od tej odrobiny ściśniętej i wyciśniętej plazmy tam w środku, było to coś jakby poczucie pełni uwięzione na nitkowanym wierzchołku, jakby majaczenie, a ja dostrzegałem w tym majaczeniu całą różnorodność mnogiego świata, który moja pierwotna i pojedyncza ciągłość filtrowała przez swoje nitkowane promienie. I w tej samej chwili spostrzegałem, że moje wychodzenie z samego siebie jest wyjściem bezpowrotnym, bez możliwości przywrócenia mi tego ja, które jak widać, odrzucam i nigdy nie zdołam go odzyskać, a wówczas wkraczała triumfalnie agonia, ponieważ życie jest już gdzie indziej, i już rozbłyski innej pamięci, rozdwojone, nienakładające się na siebie rozbłyski innej komórki zapoczątkowują relacje nowej komórki, jej relacje z samą sobą i z całą resztą.

Dalszy ciąg gubi się w pamięci rozbitej i zwielokrotnionej, niczym występowanie i powtarzalność jednostek śmiertelnych i pozbawionych pamięci, ale chwilę przedtem, nim zaczął się dalszy ciąg, zrozumiałem wszystko, co miało się wydarzyć, całą przyszłość lub domknięcie pierścienia, do czego dochodzi już teraz albo doszło już wtedy lub też ma rozpaczliwie dojść, zrozumiałem, że ten akt zebrania się w sobie i wyjścia z siebie, który jest narodzinami-śmiercią, zatoczył koło, i ze stanu pęknięcia i uwięzienia przeobraził się we wzajemną penetrację i wymieszanie asymetrycznych komórek, które sumują informacje powtórzone w trylionach trylionów śmiertelnych stanów zakochania, zobaczyłem, że mój stan śmiertelnego

zakochania domaga się początkowego lub końcowego zespolenia, i wszystkie słowa, które w mojej miłosnej historii nie były dotąd precyzyjne, stały się precyzyjne, ale ich sens pozostał pierwotnym, dokładnym sensem, a akty zakochania zapłonęły w lesie mnogości płci, osobników i gatunków, i zobaczyłem, że zawrotna pustka wypełnia się odmianami gatunków, osobników i płci, a jednak zawsze powtarzał się ten gest oderwania się od samego siebie, zebrania się w sobie i wyjścia, zebrania się w sobie samym i wyjścia z samego siebie, powtarzało się szaleństwo tego niemożliwego aktu, które prowadzi do mówienia, do tej niemożliwej mowy, która prowadzi do mówienia o sobie, także wtedy, gdy owo ja rozdzieli się na ja, które mówi, i na ja, które jest przedmiotem mówienia, na ja, które mówi i z pewnością umrze, i na ja, które jest przedmiotem mówienia i czasami udaje mu się żyć, na ja wielokomórkowe i jedyne, a ono pośród innych komórek przechowuje tę, która powielając się, powieliła sekretne słowa ze słownika, jakim jesteśmy, i na ja jednokomórkowe, i nieskończenie mnogie, które może się powielić w nieskończonej ilości komórek-słów, z jakich tylko ta, która napotka dopełniającą komórkę-słowo, czyli asymetryczne drugie ja, próbuje kontynuować tę ciągłą i fragmentaryczną historię, ale jeżeli jej nie spotka, to nic się nie stanie, a nawet w przypadku, o którym wam mówię, nie było przewidziane, że naprawdę ją spotka, a nawet z początku próbuje uniknąć tego spotkania, bo tym, co jest ważne, jest faza początkowa, czyli poprzednia, która powtarza każdą fazę początkową, czyli poprzednią, liczy się spotkanie samych siebie, zakochanych i śmiertelnych, w najlepszym razie zakochanych, a w każdym razie śmiertelnych, i ważny jest moment, w którym odrywając się od samego siebie, wyczuwa się w przeblysku chwili związek jednoczący przeszłość i przyszłość, tak jak ja w akcie odrywania się od samego siebie, o czym wam właśnie opowiedziałem, ujrzałem to, co miało się wydarzyć i wprawić mnie dzisiaj w stan zakochania, w dniu, który należy może do przyszłości a może do przeszłości, ale jest też z pewnością równoczesny z tym ostatnim mgnieniem życia jednokomórkowca w nim zamkniętego, ujrzałem, jak wychodzi mi naprzeciw, wynurzając się z pustki tego gdzie indziej, innym razem, inaczej i ma imię, nazwisko, adres, czerwony płaszcz, czarne botki, grzywkę, piegi: *Priscilla Langwood, chez Madame Lebras, cent quatre-vingt-treize, Rue Yaugirard, Paris quinzieme.*

## II. Mejoza

Opowiadanie o tym, jak się rzeczy mają, oznacza, że trzeba opowiedzieć o nich od początku, ale nawet, jeżeli rozpoczyna się historię od punktu, w którym postacie są organizmami wielokomórkowymi, to na przykład w historii moich stosunków z Priscillą trzeba od razu określić, co mam na myśli, mówiąc: ja, i co mam na myśli, mówiąc: Priscillą, a dopiero potem przejść do tego, jakie to były stosunki. Powiem więc, że Priscillą jest osobnikiem należącym do mojego gatunku, płci przeciwnej, wielokomórkowym, takim, jakim sam obecnie jestem; ale powiedziawszy to, nic jeszcze nie powiedziałem, ponieważ muszę sprecyzować, że pod pojęciem osobnika wielokomórkowego kryje się ogół blisko pięćdziesięciu trylionów komórek bardzo między sobą zróżnicowanych, ale w chromosomach każdej komórki każdego osobnika występują łańcuchy identycznych kwasów – kwasów, które determinują rozmaite procesy, zachodzące w białkach tych samych komórek.

Opowiedzenie historii mojej i Priscilli oznacza przede wszystkim to, że trzeba określić, w jakie związki wchodzi moje proteiny i proteiny Priscilli, rozpatrywane osobno bądź razem, a zarówno moje, jak i jej są sterowane łańcuchami kwasów nukleinowych rozmieszczonych w identycznych ciągach w każdej z jej i moich komórek. A zatem opowiedzenie tej naszej historii okazuje się jeszcze bardziej skomplikowane, niż kiedy w grę wchodziłaby jedna komórka, nie tylko dlatego że opis stosunków musi uwzględniać wielość rzeczy, które się wydarzają w tym samym czasie, ale przede wszystkim dlatego, że trzeba ustalić, kto ma z kim stosunki, zanim się uściśli, o jakie stosunki chodzi. A nawet, jeśli się dobrze zastanowić, określenie rodzaju stosunków nie jest aż tak ważne, jak się wydaje, ponieważ powiedzenie, że utrzymujemy stosunki na przykład mentalne albo też stosunki fizyczne niewiele tu zmienia, skoro stosunek mentalny dotyczy paru miliardów specjalnych komórek, zwanych neuronami, które jednakże funkcjonują, odbierając bodźce od tak wielkiej liczby innych komórek, że kiedy jest mowa o stosunku fizycznym, należy wziąć pod uwagę wszystkie tryliony komórek organizmu.

Mówiąc, że trudno jest ustalić, kto ma z kim stosunki, musimy pominąć argument, który często pojawia się w rozmowie: to znaczy, że w jednej chwili ja przestaję być tym samym ja, i Priscilla nie jest już tą samą Priscillą, wskutek nieustannego odnawiania się molekuł białka w naszych komórkach poprzez na przykład trawienie albo też oddychanie, które dostarcza tlen do krwi. Ten typ rozumowania wprowadza w błąd, bo jakkolwiek to prawda, że komórki się

odnawiają, to odnawiając się, wypełniają program ustalony przez komórki wcześniejsze, a zatem w tym sensie można utrzymywać, że ja wciąż jestem sobą, a Priscilla Priscillą. Problem nie polega więc na tym, ale poruszenie go nie było może bezużyteczne, gdyż pozwoliło nam zrozumieć, że sprawy nie są tak proste, jak się zdaje, i tym sposobem zbliżamy się powoli do punktu, w którym pojmemy, jak bardzo są złożone.

A więc kiedy mówię: ja lub kiedy mówię: Priscilla, co mam na myśli? Mam na myśli szczególną konfigurację, jaką tworzą moje komórki i jej komórki wskutek szczególnej relacji, w jaką wchodzi ze środowiskiem szczególne dziedzictwo genetyczne, które od początku wydawało się istnieć po to, żeby moje komórki stały się moimi komórkami, a komórki Priscilli komórkami Priscilli. Przekonamy się dalej, że nic z tego nie jest umyślne, że nikt tam niczego nie umieścił, że tak naprawdę nikogo nie obchodzi wygląd mój ani Priscilli: dziedzictwo genetyczne ma tylko przekazać to, co zostało mu przekazane do przekazania, gwizdząc na to, jak to będzie przyjęte. Na razie jednak ograniczmy się do odpowiedzi na pytanie, czy ja, w cudzysłowie, i czy Priscilla, w cudzysłowie, jesteśmy naszym dziedzictwem genetycznym, w cudzysłowie, czy też naszą formą, w cudzysłowie. A mówiąc o formie, mam na myśli zarówno to, co widać, jak i to, czego nie widać, inaczej mówiąc, mam na myśli cały sposób istnienia Priscilli, to, że do twarzy jej w kolorze fuksji czy pomarańczy, liczy się także zapach jej skóry, który jest taki a nie inny, nie tylko dlatego że budowa jej gruczołów od urodzenia wytwarza właśnie ten zapach, ale także z powodu tego, co w swoim życiu zjadła i jakich używała mydeł, czyli tego wszystkiego, co się nazywa, cudzysłów, kulturą, liczy się także jej sposób chodzenia i siadania, wynikający z tego, w jaki sposób się poruszała wśród tych, którzy się poruszają w miastach, w znajomych domach i na ulicach, liczy się to wszystko, ale liczą się także rzeczy, które ona ma w pamięci, nawet jeżeli widziała je tylko raz i może tylko w kinie, a także liczą się rzeczy zapomniane, zmagazynowane gdzieś w zakamarkach neuronów, podobnie jak wszystkie psychiczne urazy, które każdy łyka od dzieciństwa.

A teraz, czy to w formie widocznej i niewidocznej, czy to w dziedzictwie genetycznym, ja i Priscilla mamy jednakowe, wręcz identyczne elementy – wspólne nam dwojgu lub środowisku czy gatunkowi – oraz elementy, które wprowadzają różnice. Wówczas pojawia się problem, czy relacja moja i Priscilli jest relacją tylko między elementami zróżnicowanymi, gdyż elementy wspólne można pominąć tak z jednej, jak z drugiej strony – to znaczy, czy pod pojęciem „Priscilla” należy rozumieć „to, co w Priscilli jest szczególnego w odniesieniu do innych okazów gatunku” – czy też jest to relacja między

elementami wspólnymi, a wtedy trzeba sprawdzić, czy chodzi o elementy wspólne gatunkowi, środowisku czy też wyłącznie nam dwojgu, bo różnimy się od reszty gatunku i może jesteśmy ładniejsi.

Jeśli dobrze się temu przyjrzeć – o tym, że osobniki płci przeciwnej wchodzi z sobą w relację szczególnego rodzaju, nie my decydujemy, lecz gatunek, a raczej bardziej niż gatunek decyduje o tym kondycja zwierzęca, a raczej zwierzęco-roślinna kondycja zwierząt-roślin, które się wyróżniają odmiennymi płciami. Teraz, w wyborze, jakiego dokonuję, wybierając Priscillę, żeby mieć z nią stosunki jakiegoś rodzaju, nie wiem jeszcze, jakiego – i w wyborze, jakiego dokonuje Priscilla, wybierając mnie, jeśli założymy, że wybierze mnie, a potem w ostatniej chwili nie zmieni zdania – nie wiadomo, co zagra w pierwszej kolejności, inaczej mówiąc, nie wiadomo, ilu ja ma za sobą to ja, które myśli, że jest tym ja, oraz ile Priscilli ma za sobą ta Priscilla, której, jak myślę, wybiegam właśnie naprzeciw.

Jednym słowem, im bardziej się upraszcza te pojęcia, tym bardziej one zaczynają się komplikować; jeżeli już raz się ustali, że to, co nazywam ja, polega na pewnej ilości aminokwasów, które układają się w pewnym porządku, wynika z tego, że wewnątrz tych molekuł przewidziane zostały już wszystkie możliwe powiązania i z zewnątrz może nadejść tylko komenda o wykluczeniu niektórych możliwych powiązań, komenda pod postacią enzymów, blokujących pewne procesy. Można zatem powiedzieć, że jest tak, jak gdyby wszystkie możliwe kombinacje już mi się przydarzyły, także i ta, która wyklucza, że coś mi się przydarzy; od chwili, kiedy zostało ustalone, że ja to ja, gra jest skończona, dysponuję pewną ograniczoną liczbą możliwości i basta, to, co wydarza się na zewnątrz, jest dla mnie ważne tylko wtedy, kiedy przekłada się na działania wcześniej przewidziane przez moje kwasy nukleinowe, jestem w sobie zasklepiony, przykuty do swojego programu molekularnego: poza sobą nie mam ani nie będę miał powiązań z niczym ani z nikim. I Priscilla też nie; mam na myśli prawdziwą Priscillę, biedactwo. Jeżeli dokoła niej i dokoła mnie są rzeczy, które wydają się mieć powiązania z innymi rzeczami, to mnie one nie dotyczą: ani dla mnie, ani dla niej nic istotnego nie może z tego wyniknąć.

Sytuacja jest niewesoła: nie dlatego że spodziewałem się, że będę miał osobowość bardziej złożoną od tej, jaka przypadła mi w udziale, wzięwszy pod uwagę szczególne rozmieszczenie kwasu i czterech podstawowych substancji, które kierują rozmieszczeniem blisko dwudziestu aminokwasów w czterdziestu sześciu chromosomach każdej posiadanej przeze mnie komórki; ale dlatego że ta osobowość powielona w każdej z moich komórek,



jest moja tylko z uwagi na pewien sposób mówienia, skoro na czterdzieści sześć chromosomów, dwadzieścia trzy pochodzą od mojego ojca, a dwadzieścia trzy pochodzą od mojej matki, czyli ja ciągnę za sobą rodziców w każdej ze swoich komórek, i nigdy nie zdołam się uwolnić od tego brzemienia.

Jestem tym, czym rodzice zapowiedzieli mi od samego początku, że będę, i niczym więcej. A w instrukcjach rodziców zawarte są instrukcje rodziców naszych rodziców, przekazywane z kolei z pokolenia na pokolenie w nieskończonym łańcuchu podporządkowania. Historii, którą chciałem opowiedzieć, nie tylko nie można opowiedzieć, ale przede wszystkim nie można jej też przeżyć, ponieważ ona jest już zawarta w przeszłości, a tej przeszłości także nie można opowiedzieć, gdyż ona z kolei należy do własnej przeszłości, do wielu jednostkowych przeszłości, o których nie bardzo wiadomo, do jakiego stopnia nie są przeszłością gatunku, ani tego, co poprzedzało gatunek – przeszłością powszechną, gdyż do niej odsyłają wszystkie jednostkowe przeszłości; ale niezależnie od tego, jak bardzo cofniemy się myślą wstecz, przeszłość powszechna istnieje tylko pod postacią jednostkowych istnień, tak jak w przypadku moim i Priscilli, chociaż między nami nic nie zachodzi, ani w planie jednostkowym, ani ogólnym.

Tym, czym każde z nas jest i co posiada, jest przeszłość; wszystko, czym jesteśmy i co posiadamy, to katalog nieodrzuconych możliwości, dowodów gotowych się powielić. Teraźniejszość nie istnieje, na oślep zmieramy w stronę tego, co na zewnątrz i co potem, realizując ustalony program za pomocą materiałów, które wytwarzamy, zawsze takich samych. Nie zmieramy w stronę żadnej przyszłości, nic nas nie czeka, tkwimy zakleszczeni w trybach pamięci, która nie przewiduje innego zajęcia poza pamiętaniem o sobie samej. Tym, co teraz sprawia, że Priscilla i ja mamy do siebie skłonność, nie jest ruch ku przyszłości: za naszym pośrednictwem spełnia się ostatni akt przeszłości. Żegnaj, Priscillo, nasze spotkanie, nasz uścisk są daremne, my pozostaniemy sobie dalecy albo bardzo bliscy, raz na zawsze, czyli niedostępni.

Rozdzielenie, niemożność spotkania istnieje w nas od samego początku. Przyszliśmy na świat nie w wyniku zespolenia, lecz zestawienia dwóch odrębnych ciał. Dwie komórki znalazły się blisko siebie: jedna była powolna i wypełniona mięszem, druga sprowadzała się do główki i ruchliwej witki. To jajo i nasienie: z początku jakby się wahają, potem spieszą w swoją stronę. Nasienie wnika w jajo główką do dołu, witka zostaje na zewnątrz; główka, wypełniona jądrem, zderza się z jądrem jaja; oba jądra rozbijają się w drobny mak: można by oczekiwać bóg wie jakiego zespolenia, wymieszania czy

wymiany; a tymczasem cały zapis jednego i drugiego jądra, te linijki ułożone w równych odstępach, rozmieszczają się w nowym jądrze, gęsto zapisanym; są w nim słowa obu jąder, zachowane w całości. Żadne z tych odrębnych słów nie zatraciło się w drugim, żadne nic z siebie nie dało ani się nie oddało; po złączeniu obie komórki mają wspólne opakowanie, ale są takie jak przedtem: pierwszą rzeczą, jaką odczuwają, jest niejakiem rozczarowanie. Tymczasem podwojone jądro już uruchomiło druk serii odbitek, powielając w każdej z potomnych komórek sprzężone informacje ojca i matki, utrwalając nie tyle złączenie, ile nieprzezwycięzalny dystans, który w każdym związku rozdziela partnerów, utrwalając fiasko, pustkę istniejącą nawet w najbardziej udanym związku.

Bez wątpienia, w każdym spornym punkcie nasze komórki mogą być posłuszne instrukcjom tylko jednego rodzica i muszą się wymknąć rozkazom drugiego; ale wiemy, że to, jak się przedstawiamy w naszej zewnętrznej powłoce, liczy się mało w zestawieniu z tajemnym programem, zakodowanym w każdej z naszych komórek, gdzie nadal się ze sobą ścierają przeciwstawne rozkazy ojca i matki. Tym, co liczy się naprawdę, jest ów nierozstrzygalny spór ojca i matki, który każdy ciągnie za sobą, zachowując urazę w każdym punkcie, w którym jeden z małżonków musiał ustąpić temu drugiemu, urazę silniejszą niż zwycięstwo dominującego małżonka. Toteż jeżeli cechy kształtujące moją wewnętrzną i zewnętrzną postać nie są zwyczajną sumą lub wypadkową rozkazów otrzymanych od ojca i od matki, są wynikiem sprzeniewierzenia się rozkazom gdzieś w głębi komórek, rozkazom, które zostają zrównoważone innym, tajnym rozkazem, podminowanym wątpiwością, czy może jednak ten drugi rozkaz nie byłby lepszy. I wtedy ogarnia mnie czasem niepewność, czy naprawdę jestem sumą dominujących cech przeszłości, rezultatem całej serii działań, które zawsze dawały liczbę większą od zera, czy też moja prawdziwa natura nie jest czasem pochodną sekwencji cech pokonanych, sumą elementów opatrzonych znakiem minus, pochodną tego, co w drzewie derywacji zostało wykluczone, stłumione, urwane: brzemień tego, czego nie było, ciąży na mnie, nie mniej druzgocące od tego, co było i czego nie mogło nie być.

Pustka, rozdzielenie i oczekiwanie, oto, czym jesteśmy. I pozostajemy tacy nawet w dniu, kiedy zamknięta w nas przeszłość odnajduje swoje pierwotne kształty pod postacią roju komórek nasiennych lub zogniskowanego dojrzewania komórek jajowych, a wreszcie słowa zapisane w jądrach nie są tożsame z wcześniejszymi, ale nie są też częścią nas, są informacją wykraczającą poza nas, informacją, która już do nas nie należy. W jakimś

utajonym punkcie nas samych podwójna seria rozkazów z przeszłości dzieli się na dwie części, a nowe komórki odnajdują uproszczoną przeszłość, już nie podwójną, która nadaje im lekkość i złudzenie, że są naprawdę nowe, że mają nową przeszłość, jaka wydaje się niemal przyszłością.

Teraz mówię o tym pośpiesznie, ale to skomplikowany proces, który dokonuje się w mroku jądra, we wnętrzu narządów płciowych, w sekwencji faz nieco konwulsyjnych, których porządku nie można odwrócić. Najpierw wydaje się, że pary informacji od matki i od ojca, które dotychczas były rozdzielone, przypomniały sobie, że są parami i łączą się po dwie, to wiele cienkich strzępków, które gmatwiają się, splątane; chęć połączenia się w parę na zewnątrz siebie skłania mnie do połączenia się w parę wewnątrz siebie, w głębi najdalszych korzeni materii, z jakiej się składam, skłania mnie do poślubienia pamięci o parze, którą w sobie noszę, o pierwszej parze, czyli tyleż tej, która mnie bezpośrednio poprzedza, ojca i matki, ile w ogóle pamięci o pierwszej parze z początku świata zwierzęco-roślinnego, z pierwszego aktu kopulacji na Ziemi, i tak czterdzieści sześć nitek, jakie mroczna i tajemna komórka przechowuje w swoim jądrze, wiąże się po dwie, nie zażegnując dawnego rozdźwięku, toteż natychmiast potem nitki próbują się rozwiązać, ale pozostają szczipione w jakimś punkcie węzła, i kiedy wreszcie udaje im się gwałtownie rozerwać – bo tymczasem mechanizm rozdzielania zawładnął całą komórką, napinając jej mięsz – każdy chromosom jest już inny, utworzony z odcinków, które przedtem należały do jednego lub do drugiego jądra, i oddala się od drugiego chromosomu z pary, który też jest już inny, naznaczony naprzemienną wymianą segmentów, i oto już obie komórki rozłączają się, każda ma po dwadzieścia trzy chromosomy, odmienne od chromosomów obu jąder, i odmienne od tych, które zawierała poprzednia komórka, a przy następnym rozdzieleniu powstaną cztery odmienne komórki i każda będzie miała po dwadzieścia trzy chromosomy, w których to, co pochodzi od ojca i od matki, a raczej od ojców i od matek, jest wymieszane.

Tym sposobem spotkanie wielu przeszłości, spotkanie, do jakiego nigdy nie może dojść w terażniejszości tych, którzy myślą, że się spotkali, dokonuje się w trybie przeszłości tego, kto przychodzi potem i nie zdoła go przeżyć w swojej terażniejszości. Wydaje nam się, że zmierzamy do swoich zaślubin, a tymczasem są to jeszcze nadal zaślubiny ojców i matek, zaślubiny, które spełniają się dzięki naszym oczekiwaniom i naszemu pożądaniu. To, co wydaje się naszym szczęściem, jest zaledwie szczęściem należącym do innej historii, która kończy się tam, gdzie my uważamy, że zaczyna się nasza.

I mamy jeszcze przed sobą szmat drogi, Priscillo, nim zdołamy się spotkać

i zabiegać o siebie: przeszłość rozporządza nami ze ślełą obojętnością i kiedy tylko zdoła poruszyć te fragmenty siebie i nas, nie troszczy się już o to, jaki użytek z nich zrobimy. My byliśmy tylko fazą wstępną, opakowaniem dla tego mariażu pasm przeszłości, do którego dochodzi dzięki nam, ale które należy już do innej historii, do historii dalszej: takie spotkania następują zawsze przed nami i po nas i odgrywają w nich rolę elementy nowości, które nam są niedostępne: przypadek, ryzyko, nieprawdopodobieństwo.

I tak właśnie żyjemy, sami nie jesteśmy wolni, ale wolność nas otacza i zagarnia, wprawia nas w ruch ta nieustępliwa fala kombinacji możliwych przypadków, która przechodzi przez owe punkty czasu i przestrzeni, w jakich krąg rozmaitych przeszłości zespala się z kręgiem rozmaitych przyszłości. Pierwotne morze było zupą zazębionych cząsteczek, którą co jakiś czas mąciły wszechobecne komunikaty o tym, co jest jednakowe i co jest odmienne, narzucając nam nowe kombinacje. Toteż pradawne przyływy wzbierają okresowo we mnie i w Priscilli, posłuszne fazom Księżyca; i tak gatunki obdarzone płcią są posłuszne dawnemu uwarunkowaniu, które ustala wiek i sezon godów, ale także przyznaje czas dodatkowy i odroczenia stosownie do wieku i do pór roku, a czasem sprowadza zaślepienie, przymusy i zepsucie.

Słowem, ja i Priscilla jesteśmy tylko miejscem spotkania komunikatów z przeszłości, nie samych komunikatów między sobą, ale także komunikatów i odpowiedzi, które im towarzyszą. A ponieważ rozmaite elementy i cząsteczki odpowiadają na te komunikaty w sposób odmienny – niedostrzegalnie lub bezgranicznie odmienny – komunikaty różnią się między sobą, stosownie do tego, jak świat je odbiera i interpretuje, albo też chcąc pozostać sobą, muszą się zmieniać. Można więc powiedzieć, że komunikaty wcale nie są komunikatami, że nie istnieje przeszłość, którą należy przekazać, istnieje tylko wiele odmian przyszłości, które korygują bieg przeszłości, nadają jej kształt, wymyślają ją na nowo.

Historia, jaką chciałem opowiedzieć, jest historią spotkania dwóch jednostek, których nie ma, skoro można je określić tylko w odniesieniu do przeszłości lub do przyszłości, a realność tej przeszłości i przyszłości jest nieustannie podawana w wątpliwość. Albo też jest to historia, której nie można oddzielić od historii całej reszty tego, co istnieje, a zatem od historii tego, co nie istnieje, a nie istniejąc, sprawia, że to, co istnieje, istnieje. Możemy powiedzieć tylko tyle, że w pewnych punktach i momentach ten interwał pustki, jakim jest nasza jednostkowa obecność, jest lekko muśnięty falą, która nie przestaje odnawiać kombinacji molekuł, komplikując je lub przekreślając, a to wystarcza, żeby dać nam pewność, że ktoś może powiedzieć o sobie „ja”,

a ktoś inny „Priscilla” w przestrzennym i czasowym rozmieszczeniu żywych komórek, i że wydarza się lub się wydarzyło czy też wydarzy się coś, co wciągnie nas bezpośrednio, a także – ośmielę się powiedzieć – szczęśliwie i bez reszty. Już to wystarcza, Priscillo, bym poczuł się szczęśliwy, kiedy kładę swoją wygiętą szyję na twojej szyi i lekko szczypię twoją żółtą sierść, a ty rozszerzasz nozdrza, odsłaniasz zęby i kłękasz na piasku, zniżając garb do wysokości mojej klatki piersiowej, tak abym zdołał się na nim oprzeć i pchnąć cię od tyłu, zapierając się tylnymi nogami, a przy tym jaka słodycz bije z zachodów słońca w oazie, pamiętasz, kiedy zdejmują nam juki i karawana się rozprasza, a my, wielbłądy, czujemy naraz lekkość i ty ruszasz biegiem, a ja kłusem doganiam cię w gaju palmowym.

### III. Śmierć

Ryzykiem, jakie podjęliśmy, było samo życie: życie bez końca. Groźba dalszej egzystencji od początku ciążyła na każdym, kto przypadkiem ją rozpoczął. Skorupa pokrywająca Ziemię jest płynna: jedna spośród wielu kropli gęstnieje, rośnie, pomału wchłania sąsiednie substancje, jest kroplą-wyspą, galaretowatą, kurczy się i rozrasta, przy każdej pulsacji zajmuje coraz więcej miejsca w przestrzeni, jest kroplą-kontynentem, która rozgałęzia się na oceany, doprowadza do zakrzepnięcia biegunów, zwiera swoje pozieleniałe śluzowate obrzeża na równiku, i jeśli nie zatrzyma się w porę, pochłonie cały glob. I ta kropla będzie żyła, tylko ona, na zawsze, jednorodna i ciągła w czasie i w przestrzeni, śluzowata kula z Ziemią w charakterze jądra, miazga zawierająca życiowe substancje dla nas wszystkich, ponieważ my wszyscy jesteśmy uwięzieni w tej kropli, która nigdy nie pozwoli nam się urodzić ani umrzeć, życie będzie należało tylko do niej, do nikogo poza tym.

Na szczęście kropla się rozszczepia. Każdy fragment jest łańcuchem cząsteczek ułożonych w pewnym porządku i tylko dzięki temu, że istnieje pewien porządek, utrzymuje się on na powierzchni bezładnej substancji i oto dokoła powstają inne łańcuchy cząsteczek, ułożonych w tym samym porządku. Każdy łańcuch wprowadza wokół siebie porządek, inaczej mówiąc, powiela siebie wielokrotnie, a kolejne odbitki także się powielają, w tym samym niezmiennym geometrycznym układzie. Roztwór identycznych żywych kryształów pokrywa powierzchnię Ziemi, w każdej chwili powstaje i umiera, nawet tego nie dostrzegając, żyje życiem nieciągłym i wiecznym, jest zawsze taki sam w rozproszonym czasie i przestrzeni. Każda inna forma jest wykluczona, także nasza.

Dzieje się tak aż do chwili, kiedy zaczyna brakować materiału niezbędnego do powielenia, a wówczas każdy łańcuch cząsteczek tworzy wokół siebie cośjakby rezerwę substancji, którą przechowuje w swego rodzaju opakowaniu, zawierającym wszystko, co niezbędne. Ta komórka rośnie, rośnie do pewnego momentu; rozdwa się; dwie komórki dzielą się na cztery, na osiem, na szesnaście; rozmnożone komórki zamiast pływać osobno, szczepiają się ze sobą, niczym kolonie, ławice czy polipy. Świat pokrywa się lasem gąbek: każda gąbka zwielokrotnia własne komórki, tworząc sieć pełni i pustki, i ta sieć rozszerza swoje oka, i poddaje się ruchowi morskich prądów. Każda komórka żyje dla siebie, a wszystkie razem żyją sumą własnych egzystencji. Zimowy mróz rozdziera tkanę gąbki, ale nowsze komórki zostają na miejscu, znów zaczynają się dzielić i na wiosnę odtwarzają tę samą gąbkę. Teraz niewiele już

brakuje do zakończenia gry: skończona liczba wiecznych gąbek opanuje świat; wypite przez pory morze wpłynie w gęstą sieć podziemnych korytarzyków; to gąbki będą żyć, żyć wiecznie, nie my, chociaż daremnie czekamy na chwilę, kiedy one wydadzą nas na świat.

Ale w monstrualnych wylęgarniach morskich głębin, w lepkich grzybowiskach, które zaczynają się wyłaniać z miękkiej skorupy ledwie wynurzonych ziem, nie wszystkie komórki rosną jedne na drugich: co jakiś czas odrywa się od nich jakby rój, kołysze się, odlatuje, osiada nieco dalej, znów się dzieli, odtwarzając pierwotną gąbkę, polipa czy grzyba. Czas ponawia się teraz cyklicznie: następują po sobie kolejne fazy, wciąż jednakowe. Grzybowisko z jednej strony traci trochę swoich zarodników na wietrze, z drugiej rośnie jako nietrwała grzybnia, do czasu, aż dojrzeją w niej inne zarodniki, które zginą jako takie, kiedy się uwolnią. Rozpoczął się wielki podział wewnątrz żywych istot: nieznające śmierci grzyby żyją jeden dzień i w ciągu jednego dnia się odradzają, ale pomiędzy elementem, który przekazuje komendę rozmnażania, a elementem, który ten rozkaz wypełnia, otwiera się przepaść nie do zasypania.

Teraz walka toczy się pomiędzy tymi, którzy istnieją i chcieliby żyć wiecznie, a nami, jakkolwiek nas nie ma, lecz chcielibyśmy zaistnieć, choćby na chwilę. W obawie przed przypadkowym błędem, który otworzyłby drogę odrębności, ci, którzy są, zwiększają ilość zabezpieczeń kontrolnych; jeżeli komendy nakazujące rozmnażanie są wynikiem zestawienia dwóch osobnych, ale jednakowych komunikatów, błędy transmisji są łatwiej usuwalne. Tym samym komplikuje się cykl naprzemiennie występujących faz: od rozgałęzień polipa przyssanego do morskiego dna odrywają się przezroczyste meduzy, które unoszą się na wodzie; rozpoczynają się gody meduz, przelotna igraszka i luksus ciągłości, dzięki której polipy utrwala się na zawsze. Na wynurzonych ziemiach roślinne potwory rozkładają wachlarze liści, ścielą dywany mchu, wyginają gałęzie, na których rozkwitną obupłciowe kwiaty; mają nadzieję, że oddadzą śmierci tylko małą i ukrytą cząstkę siebie, ale tymczasem już mechanizm krzyżujących się komunikatów opanował świat: to będzie ten wylom, przez który my, chociaż nas nie ma, wtargniemy tłumnie.

Morze pokryło się warstwą jajeczek; fale je unoszą, mieszają z zasobami komórek nasiennych. Każde pływające stworzenie, które wykluwa się z zapłodnionego jaja, powieli już nie jedno, ale oba stworzenia, jakie pływały tam przed nim; ono nie będzie ani jednym, ani drugim z nich, lecz jeszcze kimś trzecim; to znaczy, dwa pierwsze umrą po raz pierwszy, ten trzeci po raz pierwszy się urodzi.

Na niewidocznym obszarze komórek-programów, gdzie w ramach gatunku powstają i rozsypują się wszystkie kombinacje, panuje jeszcze pierwotna ciągłość; ale interwał pomiędzy jedną a drugą kombinacją wypełniają już osobniki śmiertelne, obdarzone płcią i odrębne.

Ryzyko życia bez śmierci zostało zażegnane – jak mówią – raz na zawsze. Nie dlatego, że z mułu kipiących moczarów nie może ponownie wychynąć pierwsza grudka niepodzielnego życia, ale dlatego, że teraz dokoła jesteśmy my – zwłaszcza ci z nas, którzy funkcjonują jako mikroorganizmy i bakterie – gotowi rzucić się na nią i ją pożreć. Nie dlatego, aby łańcuchy wirusów nie miały się nadal powielać według swego precyzyjnie krystalicznego porządku, ale dlatego, że to się może dokonywać tylko we wnętrzu naszych ciał i tkanek, wewnątrz nas, zwierząt i roślin najbardziej złożonych; to znaczy świat istnień wiecznotrwałych został wchłonięty przez świat istnień przemijających, a ich odporność na śmierć gwarantuje nam naszą śmiertelność. Jeszcze płynąc, suniemy po dnie, pośród koralowców i morskich anemonów; jeszcze maszerujemy, torując sobie przejście pośród mchów i paproci, pod konarami pierwotnego lasu, jednakże rozmnażanie płciowe należy już do cyklu gatunków jeszcze starszych, czar prysnął, wiecznie żywi umarli, nikt obecnie nie zamierza, jak się wydaje, rezygnować z seksu, choćby z odrobiny seksu, jaka przypada mu w udziale, żeby odzyskać życie, które nieustannie się powiela.

Zwycięzcy – jak na razie – to my, istoty nieciągłe. Pokonane leśne bagniska są jeszcze nadal wokół nas; właśnie wyrąbaliśmy sobie maczetą przejście w splątanych korzeniach namorzynu; wreszcie nad naszymi głowami otwiera się szczelina czystego nieba; unosimy w górę oczy, chroniąc je przed słońcem: nad nami rozciąga się inny dach, łupina słów, które my nieustannie wydzielamy. Ledwie opuściliśmy ciągłość pierwotnej materii, a już zostajemy wpięci w tkanę łączną, która wypełnia lukę w naszych nieciągłościach, w naszych zgonach i narodzinach; zostajemy wpięci w ogół znaków, artykułowanych dźwięków, ideogramów, morfemów, liczb, dziurkowanych kart, taśm magnetycznych, tatuaży, system komunikacji, który obejmuje stosunki społeczne, pokrewieństwa, instytucje, towary, afisze reklamowe, bomby z napalmu, to znaczy wszystko, co jest językiem w szerszym znaczeniu. Na tym nie koniec niebezpieczeństwa. Jesteśmy w stanie trwogi, w lesie, który traci liście. Niczym duplikat ziemskiej skorupy kulista czasza krzepnie nad naszymi głowami; stanie się nieprzyjacielską powłoką, więzieniem, jeżeli nie zdołamy znaleźć sposobności, żeby ją rozbić, udaremnić jej nieustanne powielanie siebie.

Sufit, który nas osłania, tworzą sterczące żelazne przekładnie; to jakby



wnętrze samochodu, pod którym leżę, żeby naprawić usterkę, ale nie mogę spod niego wyleźć, ponieważ kiedy ja tak leżę, wyciągnięty na plecach, samochód zwiększa objętość, rozrasta się i przykrywa cały świat. Nie ma czasu do stracenia, muszę zrozumieć, na czym polega ten mechanizm, znaleźć właściwy punkt, przyłożyć rękę i zatrzymać ów niekontrolowany proces, uruchomić komendy, które pozwolą przejść do następnej fazy; fazy maszyn, które same się powielą dzięki skrzyżowaniu informacji męskich i żeńskich, i zmuszą nowe maszyny do narodzin, a stare do śmierci.

W pewnej chwili wszystko wokół mnie się zacieśnia, także strona, na której ta historia stara się znaleźć finał, jakkolwiek ten finał jej nie zakończy, sieć słów, w których ja zapisany i zapisana Priscilla, spotykając się, zwielokrotniamy siebie w innych słowach i w innych myślach, uruchamiamy reakcję łańcuchową, dzięki której rzeczy wyprodukowane przez ludzi lub przez nich używane, części ich języka, także zdolają dojść do słowa, maszyny przemówią, wymienią między sobą słowa, z jakich są zbudowane, wymienią komendy, które wprawiają je w ruch. Obieg życiowej informacji, który prowadzi od kwasów nukleinowych do pisma, ma przedłużenie w perforowanych taśmach, potomnych innych taśm: pokolenia maszyn, może doskonalszych od nas, będą żyć dalej i mówić o życiu, i o słowach, które należały także do nas; a przełożone na elektroniczne instrukcje słowo „ja” i słowo „Priscilla” spotkają się jeszcze raz.

Część 3

Jeżeli  $t = 0$

Jeżeli  $t = 0$

Mam wrażenie, że nie po raz pierwszy jestem w tej sytuacji: wyciągam lewą rękę przed siebie, trzymając w niej ledwie rozluźniony luk, prawą zaciskam na plecach, strzała S jest zawieszona w próżni mniej więcej w jednej trzeciej swojej trajektorii, a nieco dalej, także zawieszony w próżni i także zastygły mniej więcej w jednej trzeciej swojej trajektorii lew L skacze na mnie z rozwartą paszczą i wyciągniętymi pazurami. Za sekundę dowiem się, czy trajektoria strzały i trajektoria lwa zbiegną się w punkcie X, przebyłym zarówno przez L, jak i przez S w tej samej sekundzie  $t_x$ , i będę wiedział, czy lew wywróci się w powietrzu z rykiem zduszonym przez strumień krwi, która zaleje mu czarne gardło, przebite strzałą, czy też nietknięty runie na mnie i przygniecie mnie obiema łapami, które rozerwą mi tkankę mięśniową ramion i klatki piersiowej, podczas gdy jego paszcza, zamykając się jednym ruchem szczęki, odetnie mi głowę na wysokości pierwszego kręgu szyi.

Tak liczne i złożone są czynniki warunkujące paraboliczny ruch zarówno strzał, jak i dzikich kotów, że nie potrafię na razie ocenić, która z obu możliwości jest bardziej prawdopodobna. Znajduję się w jednej z tych niepewnych sytuacji, pełnych wyczekiwania, w których naprawdę nie wiadomo, co o tym sądzić. I do głowy przychodzi mi następująca myśl: wydaje mi się, że to się nie zdarza po raz pierwszy.

Nie chcę się tutaj odwoływać do innych swoich łowieckich doświadczeń: w chwili, kiedy łucznik uwierzy, że ma doświadczenie, jest zgubiony; każdy lew, jakiego spotykamy w naszym krótkim życiu, różni się od każdego innego \*wa; biada nam, jeżeli zaczniemy porównywać, przewidywać dalsze posunięcia na podstawie norm i przesłanek. Mówię o tym konkretnym lwie L i o tej konkretnej strzale S, które są teraz w jednej trzeciej swoich trajektorii.

I nawet nie można mnie zaliczyć do tych, którzy wierzą w istnienie pierwszego i absolutnego lwa, i wierzą, że każdy konkretny, a także domniemany lew, który na nas skacze, jest tylko jego cieniem i pozorem. W naszym twardym życiu nie ma miejsca dla niczego, co nie byłoby określone i postrzegalne zmysłami.

Równie obca jest mi opinia tego, kto twierdzi, że każdy od chwili urodzin nosi w sobie nawiedzające go w snach wspomnienie lwa, dziedziczone z ojca na syna, toteż kiedy tylko widzi lwa, mówi sobie: o, proszę, lew! Mógłbym wytłumaczyć, jak i dlaczego wykluczyłem tę opinię, ale nie wydaje mi się, żeby to miał być właściwy moment.

Wystarczy, jeżeli powiem, że słowo „lew” kojarzy mi się tylko z tą żółtą

plamą, która wyskoczyła zza krzaka na sawannie, kojarzy mi się z tym ochryplym oddechem, który wydziela odór krwawiącego mięsa, i z białą sierścią na brzuchu, i z różowymi poduszkami łap, i z ostrym kątem wciąganych pazurów, tak jak je widzę teraz nad sobą, i doznaję mieszanki odczuć, które nazywam lwem tylko dlatego, żeby je jakoś nazwać, jakkolwiek to oczywiste, że te odczucia nie mają nic wspólnego ze słowem „lew”, a także z wyobrażeniem lwa, jakie ktoś mógłby sobie wytworzyć w innych okolicznościach.

Jeżeli mówię, że nie po raz pierwszy przeżywam chwilę, którą właśnie przeżywam, to mówię tak dlatego, że odnoszę wrażenie nieznacznego rozszczepienia obrazów, jakbym zarazem widział nie lwa lub strzałę, ale dwa lwy albo i więcej, i dwie strzały albo i więcej, nałożone na siebie z ledwie dostrzegalnym przesunięciem, tak że kręte kontury lwich kształtów i wycinek strzały wydają się podkreślone albo też obwiedzione aureolą cieńszych i kolorystycznie bardziej stonowanych linii. Rozszczepienie mogłoby jednak być zaledwie iluzją, która pozwala mi sobie wyobrazić niedające się inaczej określić wrażenie głębi, i dlatego lew, strzała, krzak są czymś więcej niż ten lew, ta strzała, ten krzak, czyli są niekończącym się powtórzeniem lwa, strzały, krzaka, sprzęgniętym z niekończącym się powtórzeniem samego siebie w chwili, kiedy właśnie rozluźniłem cięciwę łuku.

Nie chciałbym jednak, żeby to doznanie, tak jak je opisałem, za bardzo przypominało coś już kiedyś widzianego, strzałę w tym ułożeniu i lwa w tej pozycji, i wzajemny układ pozycji strzały, lwa, i mnie stojącego z lukiem w rękę; wołałbym powiedzieć, że tym, co rozpoznałem, jest tylko przestrzeń, ten punkt przestrzeni, w którym znajduje się strzała i który byłby pusty, gdyby strzały nie było – pusta przestrzeń, która obecnie zawiera lwa i ta, która zawiera obecnie mnie, jest zupełnie tak, jakby w pustce przestrzeni, jaką zajmujemy, a raczej przemierzamy – a raczej, jaką świat zajmuje czy przemierza – niektóre punkty stały się dla mnie rozpoznawalne spośród wszystkich innych punktów równie pustych i w równej mierze przemierzanych przez świat. I niech to będzie jasne, to rozpoznanie nie ma żadnego związku na przykład z ukształtowaniem terenu, z odległością do rzeki czy do lasu: otaczająca nas przestrzeń jest zawsze przestrzenią odmienną, dobrze o tym wiem, wiem, że Ziemia jest ciałem niebieskim, które porusza się pośród innych ruchomych ciał niebieskich, wiem, że żaden znak ani na Ziemi, ani na niebie nie może posłużyć mi za absolutny punkt odniesienia, pamiętam zawsze o tym, że gwiazdy obracają się w kręgu galaktyki, a galaktyki uciekają od siebie z prędkością wprost proporcjonalną do odległości. Ale ogarnęło mnie

podejrzenie, że znalazłem się oto w przestrzeni dla mnie nienowej, że wróciłem do punktu, przez który już przechodziliśmy. A ponieważ rzecz dotyczy nie tylko mnie, ale także strzały i lwa, nie ma powodu myśleć, że jest to sprawa przypadku: tutaj chodzi o czas, który wciąż przemierza trasę już wcześniej przemierzoną. Mógłbym zatem określić jako czas, a niejako przestrzeń tę pustkę, którą zdawało mi się rozpoznawać w trakcie przemierzania.

Pytanie, jakie teraz sobie zadaję, dotyczy tego, czy jeden z punktów przebiegu czasu mógłby się nałożyć na punkty przebiegów poprzednich. W takim przypadku wrażenie głębi obrazów można by objaśnić powtarzalnym pulsowaniem czasu tej samej chwili. W niektórych punktach mogłoby nawet dojść do drobnego przesunięcia między jednym przebiegiem a drugim: obrazy nieznacznie rozszczerzone czy zatarte byłyby wskazówką, że trasa czasu jest trochę zużyta i zostawia wąski margines na działania wokół swoich obowiązkowych przebiegów. Ale nawet gdyby chodziło tylko o chwilowy efekt optyczny, pozostaje akcent jakby kadencji, który, mam wrażenie, wybija takt przeżywanej przeze mnie chwili. Nie chciałbym jednak, żeby to, co powiedziałem, obdarzyło tę chwilę szczególną trwałością w ciągu chwil, które ją poprzedzają i po niej następują: z punktu widzenia czasu ta chwila trwa tyle, ile trwają inne, obojętna na swoją zawartość, zawieszona w biegu między przeszłością a przyszłością; tym, co jak mi się wydaje, odkryłem, jest tylko punktualna rytmiczność w serii powtarzalnych nawrotów.

Jednym słowem, cały problem, teraz, kiedy strzała ze świstem przesywa powietrze, a lew wygina się w skoku i nie można jeszcze przewidzieć, czy ostrze nasączone jadem węża przebije płową sierść, trafiając między wytrzeszczone oczy, czy też chybi celu i wystawi moje bezbronne trzewia na rozdarcie i oddzielenie od kostnego szkieletu, na jakim są jeszcze umocowane, i rozwłóczy je po skrwawionym i zakurczonym podłożu, aż przed nocą sępy i szakale zatrą po nich wszelki ślad; otóż cały mój problem polega teraz na tym, żeby ustalić, czy ciąg, do którego należy ta sekunda, jest otwarty czy zamknięty. Ponieważ, jak mi się wydaje, słyszałem niekiedy opinie, że jest to ciąg skończony, to znaczy, jeżeli czas wszechświata rozpoczął swój bieg w pewnym momencie i biegnie dalej pośród wybuchów gwiazd i mgławic, wciąż coraz rzadszych, aż do chwili, kiedy rozproszenie osiągnie punkt graniczny, a gwiazdy i mgławice ponownie zaczną się skupiać, powinienem z tego wysnuć wniosek, że czas powróci na swój dawny szlak, że łańcuch minut rozwijać się będzie w odwrotnym kierunku, aż do chwili, kiedy ponownie dotrzemy do początku, aby potem zacząć wszystko od nowa, i tak to będzie się

toczyć w nieskończoność – a nie jest jeszcze powiedziane, że już się rozpoczęło: wszechświat nie robi nic innego, jak tylko pulsuje między dwiema krańcowymi chwilami, zmuszony powtarzać się od zawsze – tak jak powtórzył się już nieskończoną ilość razy i jak powtarza tę sekundę, w której ja się teraz znajduję.

Spróbujmy się w tym rozeznaczyć: znajduję się teraz w jednym z pośrednich punktów czasoprzestrzeni jakiejś fazy wszechświata; po upływie milionów miliardów sekund oto strzała i lew, i ja, i krzak odnaleźliśmy się w tej samej sytuacji, w jakiej znajdujemy się teraz, i ta sekunda zostanie zaraz pochłonięta i pogrzebana przez upływ setek milionów miliardów sekund, upływ, który nadal trwa, niezależnie od wyniku, jaki za sekundę zakończy zbieżny lub przesunięty lot lwa i strzały; potem, w pewnej chwili bieg odwróci kierunek, wszechświat powtórzy swoją historię na opak, ze skutków punktualnie wynikną przyczyny, i nawet od tych skutków, które mnie czekają i których nie znam, od strzały, która wbija się w podłoże, wznosząc chmurę żółtego pyłu i drobne odłamki krzemienia, albo też przeszyje podniebienie dzikiej bestii, niczym nowy potworny ząb, powrócimy do chwili, którą obecnie przeżywam, strzała, jak wessana, wróci na napiętą cięciwę łuku, lew opadnie za krzakiem na tylne łapy, ugięte i sprężyste, a wszystko, co nastąpi potem, zostanie sekunda po sekundzie wymazane przez nawrót tego, co było przedtem, zostanie zapomniane w rozpadzie miliardowych kombinacji neuronów, jakie zachodzą w płatach mózgu, i nikt nie będzie umiał żyć w odwróconym czasie, podobnie jak ja teraz nie mam pewności, w jakim kierunku zdąży czas, w którym się poruszam, i czy dalszy ciąg, którego oczekuję, nie spełnił się już przed sekundą, przynosząc mi ocalenie lub śmierć.

Pytanie, jakie sobie stawiam, brzmi następująco: skoro tak czy inaczej trzeba wrócić do tego punktu, czy w takim razie nie powinienem się zatrzymać, zatrzymać w czasie i w przestrzeni, podczas gdy ledwie rozluźniona cięciwa łuku wygina się w kierunku odwrotnym do tego, w którym była poprzednio naciągnięta, i podczas gdy prawa noga, ledwie uwolniona od ciężaru ciała, unosi się do skrętu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i nieruchomieje w oczekiwaniu, aż z mroku czasoprzestrzeni wyjdzie znów lew i skoczy na mnie z czterema łapami w powietrzu, a strzała znów podejmie swoją trajektorię dokładnie w tym samym punkcie, w jakim jest obecnie. Czemu w gruncie rzeczy służy dalszy ciąg, jeżeli wcześniej czy później ponownie znajdziemy się w tym samym miejscu? Lepiej będzie, jeżeli pozwolę sobie na odpoczynek trwający parę dziesiątek miliardów lat, a w tym czasie niech reszta wszechświata kontynuuje swój przestrzenny i czasowy bieg aż do końca,

i poczekam na podróż powrotną, żeby znowu wskoczyć do środka, a potem na wstecznym biegu wrócić do własnej historii i do historii wszechświata, sięgając do samych początków, i żeby potem znów zacząć wszystko na nowo, i znaleźć się tutaj – albo też pozwolę, żeby czas cofnął się na swój własny rachunek, a potem na powrót się do mnie zbliżył, podczas gdy ja, znieruchomią, będę na niego czekać – i wtedy przekonam się, czy to dobry moment, żeby zrobić następny krok i podejrzeć, co przydarzy mi się za sekundę, czy też lepiej nie ruszać się z miejsca. Wobec tego nie ma potrzeby, żeby moje materialne cząsteczki wymknęły się swojemu biegowi w czasoprzestrzeni, żeby wymknęły się krwawej, przelotnej wygranej łowcy lub lwa: jestem pewien, że cząstka nas pozostaje w jakiejś mierze przywiązana do każdego punktu przecięcia czasu i przestrzeni, a zatem wystarczy nie odłączać się od tej części, utożsamiać się z nią, i pozwolić, żeby cała reszta obracała się tak, jak ma się obracać aż do końca.

Przedstawia się więc oto możliwość ustanowienia stałego punktu w zmiennych fazach wszechświata. Mam wykorzystać tę okazję, czy lepiej jej zaniechać? Zatrzymać, może bym się zatrzymał, ale nie sam, bo rozumiem, że nie miałyby to wielkiego sensu, lecz zatrzymałbym się razem ze wszystkim, co służy nazwaniu tej chwili, ze strzałą, lwem, łucznikiem zawieszonymi tak na zawsze. Mam wrażenie, że gdyby lew zdawał sobie sprawę z sytuacji, on także chętnie zostałby tam, gdzie jest, mniej więcej w jednej trzeciej trajektorii swojego gniewnego skoku, i oderwałby się od tej projekcji samego siebie, która za sekundę zmierzy się z drgawkami agonii albo z gniewnym przeżuwaniem ludzkiej czaszki, jeszcze nieostygłej. Mogę mówić zatem nie tylko za siebie, ale także w imieniu lwa. I w imieniu strzały, ponieważ strzała nie może pragnąć niczego innego, jak być taką, jaką jest teraz, w tej rozpędzonej chwili, i odsunąć od siebie przeznaczenie stępionego odłamka, które ją czeka, niezależnie od tego, do jakiego trafi celu.

Jakkolwiek ustaliliśmy, że sytuacja, w jakiej się teraz wszyscy znajdujemy, ja i lew, i strzała, w chwili  $t_0$  sprawdziła się dwukrotnie przy każdym przebiegu czasu w obu kierunkach, za każdym razem w identycznym kształcie, i że powtórzyła się tyle razy, ile razy wszechświat powtórzył w przeszłości swoje skurcze i rozkurcze – jeżeli w ogóle mówienie o przeszłości i o przyszłości w następowaniu tych faz ma jakiś sens, podczas gdy wiemy, że nie ma żadnego sensu w stosunku do przebiegu tych faz – pozostaje zawsze niepewność wobec tej sytuacji w odniesieniu do kolejnych sekund  $t''$   $t_2$ ,  $t_3$  i tak dalej, tak jak sytuacja pozostaje niepewna wobec poprzednich  $t''$   $t_{2,13}$  i tak dalej.

Możliwości, jeśli dobrze się przyjrzeć, są następujące: albo linie

czasoprzestrzeni, którymi wszechświat podąża w fazach swojego pulsowania zbiegają się we wszystkich punktach; albo zbiegają się tylko w wyjątkowych punktach, takich jak sekunda, którą przeżywam, a rozchodzą się w innych.

Jeżeli ta druga ewentualność jest słuszna, to z punktu czasoprzestrzeni, w jakim się obecnie znajduję, rozchodzi się wiązka możliwości, które im dalej postępują w czasie, tym bardziej się rozgałęziają, przyjmując kształt stożka, i zmiernają w stronę całkiem odrębnych przyszłości, i za każdym razem, kiedy trafiam tutaj ze strzałą i lwem zawieszonymi w próżni, znajdzie się całkiem inny punkt X, punkt przecięcia ich trajektorii, toteż za każdym razem lew zostanie ranny na inny sposób, doczeka się innej agonii albo też w różnej mierze odnajdzie siły, żeby zareagować, albo też wcale nie zostanie ranny i rzuci się na mnie, za każdym razem na inny sposób, dając mi możliwość obrony lub też jej nie dając, a moje zwycięstwa lub porażki odniesione w walce z lwem okażą się potencjalnie nieskończone, a im więcej razy zostaną rozszarpany, tym większe będzie prawdopodobieństwo, że nie chybię celu następnym razem, kiedy za miliardy lat znajdę się tutaj ponownie, a o tym moim teraźniejszym położeniu nie mogę wydać na razie żadnego sądu, ponieważ gdyby się okazało, że właśnie przeżywam ułamek sekundy poprzedzający atak bestii, byłby to ostatni szczęśliwy moment, a jeżeli tym, co mnie czeka, jest triumfalne powitanie pogromcy lwów, przeżywam właśnie szczytowy moment lęku, najczarniejszy punkt zejścia do piekieł, i muszę go znieść, żeby zasłużyć na apoteozę. Dlatego też muszę się wymknąć z tej sytuacji, niezależnie od tego, co mnie czeka, ponieważ jeżeli istnieje jakiś nieliczący się interwał czasu, to właśnie jest to ten moment, który pozwala się określić wyłącznie w odniesieniu do tego, co nastąpi, to znaczy ta sekunda nie istnieje sama w sobie, a zatem nie ma żadnej możliwości nie tylko zatrzymania się w niej, ale nawet przemierzenia jej w trakcie sekundowego trwania, słowem, jest to interwał czasu, pomiędzy chwilą, w której lew i strzała wzbili się w powietrze, a chwilą, w której krew tryśnie z żył lwa lub moich.

Trzeba dodać, że jeżeli z tej sekundy rozchodzą się, przybierając kształt stożka, nieskończone linie możliwych przyszłości, to te same linie pochodzą ukośnie z przeszłości, która także jest stożkiem nieskończonych możliwych rozwiązań, toteż ja sam, a znajduję się tutaj z lwem, który skacze na mnie z wysoka, i ze strzałą, która toruje sobie drogę w powietrzu, za każdym razem jestem innym ja, ponieważ przeszłość, wiek, matka, ojciec, plemię, język, doświadczenie za każdym razem są inne, lew też jest wciąż innym lwem, chociaż ja za każdym razem widzę go takim, z frędzlem ogona przy prawym boku, a ruch ten mógłby wyglądać zarówno na uderzenie batem, jak i na



pieszczotę; widzę go z rozwianą grzywą, która zasłania mi część klatki piersiowej i torsu i pozwala tylko dojrzeć z ukosa tylne, uniesione łapy, jakby lew szykował się do radosnego uścisku, ale tak naprawdę gotów jest z całej siły zatopić mi pazury w barkach; za każdym razem strzała wykonana jest z innych materiałów, zaostrzona innymi narzędziami, zatruta innym węzowym jadem, jakkolwiek wciąż przeszywa powietrze, wykreślając tę samą parabolę i wydając ten sam świst. Tym, co się nie zmienia, jest układ pomiędzy mną, strzałą, lwem w tej chwili niepewności, która w swoich nawrotach pozostaje niezmienna, nie zmienia się też niepewność, której stawką jest śmierć, należy jednak przyznać, że jeżeli ta zagrażająca mi śmierć jest śmiercią jakiegoś ja, obdarzonego inną przeszłością, jakiegoś ja, które wczoraj rano nie zbierało korzonków razem ze swoją kuzynką, czyli jakiegoś zupełnie innego ja, kogoś obcego, być może tego, który wczoraj rano sam zbierał korzonki z moją kuzynką, a zatem mojego wroga; gdyby jednak tutaj na moim miejscu zamiast mnie znalazł się ktoś inny, nie bardzo by mnie obchodziło, czy poprzednim lub następnym razem strzała trafia w lwa, czy też nie trafia.

W takim przypadku jest wykluczone, żeby trwanie w punkcie  $t_0$  przez cały obrót czasu i przestrzeni mogło mnie obchodzić. Zawsze jednak pozostaje inna hipoteza: wzorem dawnej geometrii elementarnej wystarczy zbieżność dwóch punktów, żeby doprowadzić do zbieżności pozostałych, toteż może się zdarzyć, że linie czasoprzestrzeni, wytyczone przez wszechświat <sup>w</sup> swoich przemianach fazach, zbiegną się we wszystkich punktach, a wówczas nie tylko  $t_0$ , ale także  $t_1$  i  $t_2$ , i wszystko, co potem nastąpi, zbiegnie się <sup>z</sup> odnośnymi  $t_1$ ,  $t_2$ , L, innych faz, i to samo będzie dotyczyć sekund poprzednich i następnych, a ja zostanę zredukowany tylko do jednej przeszłości i do jednej przyszłości, które powtórzą się nieskończoną ilość razy przed i po tej chwili. Należy jednak postawić sobie pytanie, czy jest sens mówić o powtórzeniu, kiedy czas zostaje wyznaczony przez jeden jedyny ciąg punktów i ani ich natura, ani kolejność nie podlegają żadnym wariacjom: wystarczyłoby powiedzieć, że czas jest skończony i zawsze jednakowy, a zatem można uznać, że został nam dany jednocześnie w całej swojej rozciągłości, tworząc uwarstwioną teraźniejszość; to znaczy chodzi o czas doskonale pełny, w takiej mierze, w jakiej każda chwila, na którą czas się rozpada, tworzy jakby warstwę niezmiennie teraźniejszą, włączoną między inne równie teraźniejsze warstwy. Jednym słowem, sekunda  $t_0$ , w której znajdują się strzała  $S_0$ , nieco dalej lew  $L_0$  i ja sam  $Q_0$ , jest warstwą czasoprzestrzeni, raz na zawsze jednakową i znieruchomiłą, a obok niej pojawia się  $t_1$  ze strzałą  $S_1$  i lwem  $L_1$  i mną  $Q_1$  lekko przesuniętymi, a obok jest  $t_2$ , który zawiera  $S_2$  i  $L_2$  i  $Q_2$  i tak dalej. W jednej z tych ustawionych

w szeregu sekund ujawnia się, kto żyje, a kto ginie: lew  $L_n$  czy ja  $Q_n$ , a w następnych sekundach z całą pewnością odbywa się: albo huczne powitanie łowcy, który wraca do plemiennej wioski ze skórą lwa, albo obrzędy pogrzebowe łowcy, podczas gdy na sawannie szerzy się strach po przejściu lwa mordercy. Każda sekunda jest ostateczna, dokonana, pozbawiona interferencji innych sekund, a ja o, tutaj na moim terytorium  $t_0$  mogę być całkiem spokojny i zupełnie się nie przejmować, co przytrafia się  $Q_1, Q_2, Q_3, \dots, Q_n$  w odnośnych sekundach graniczących z moją sekundą, ponieważ w gruncie rzeczy lwy  $L_1, L_2, L_3, \dots, L_n$  nigdy nie zdołają zająć miejsca  $L_0$ , który jest na razie nieszkodliwy, ale mi zagraża, utrzymywany na dystans przez lecącą strzałę  $S_0$ , a ona zawiera w sobie tę śmiercionośną moc, jaką mogłyby zmarnować  $S_1, S_2, S_3, \dots, S_n$ , rozmieszczając się na coraz dalszych od celu odcinkach trajektorii i okrywając mnie śmiesznością jako najbardziej niezdarnego łuczника plemienia albo też okrywając śmiesznością jako niezdarę tego  $Q$ , który w czasie  $t$  mierzy z luku.

Wiem, że skojarzenie z klatkami taśmy filmowej nasuwa się spontanicznie, ale skoro unikałem go do tej chwili, miałem swoje powody. Zgoda, każda sekunda jest dopełniona i nie komunikuje z innymi, zupełnie jak klatka filmowa, ale dla określenia jej zawartości nie wystarczają punkty  $Q_0, L_0, S_0$ , które ograniczyłyby ją do scenki typu polowanie na lwa, z pewnością dramatycznej, ale niewątpliwie zawężonej; tym, co należy równocześnie brać pod uwagę, jest ogół punktów zawartych we wszechświecie właśnie w sekundzie  $t_0$ , nie wykluczając żadnego z nich, i lepiej wybić sobie z głowy klatki filmowe, gdyż wprowadzają tylko zamieszanie.

Skoro postanowiłem obecnie na zawsze zamieszkać sekundę  $t_0$  – a gdybym tego nie zrobił, wyszłoby na jedno, ponieważ jako  $Q_0$  nie mógłbym zamieszkać żadnej innej sekundy – z całą swobodą rozglądam się dokoła i kontempluję swoją sekundę w całej jej rozciągłości. Zawiera ona z mojej prawej strony rzekę poczerniałą od hipopotamów, z lewej białą-czarną sawannę zebr i gdzieś tam rozsięte na horyzoncie czerwono-żółte baobaby dzioborożców, a każdy z tych elementów jest rozpoznawalny dzięki pozycjom, jakie odpowiednio zajmują hipopotamy  $H(a)_0, H(b)_0, H(c)_0$  i tak dalej, zebry  $Z(a)_0, Z(b)_0, Z(c)_0$  i tak dalej, dzioborożce  $D(a)_0, D(b)_0, D(c)_0$  i tak dalej. Sekunda mieści ponadto wioski pełne chat i zapasów z przywozu i wywozu towarów, plantacje, które skrywają pod ziemią tysiące ziaren w rozmaitych fazach kiełkowania, bezkresne pustynie, na których każde naniesione wiatrem ziarenko piasku zajmuje określoną pozycję  $P(a)_0, P(b)_0, \dots, P(n)_0$ , miasta nocą, w których są okna oświetlone i są okna zgaszone, miasta za dnia, pełne czerwonych i żółtych, i zielonych semaforów, krzywe produkcji, wskaźniki cen,

notowania giełdowe, zasięg chorób zakaźnych wraz z usytuowaniem każdego wirusa, miejscowe wojny z gradem kul  $K(a)$   $K(z)_o$   $K(zz)$   $K(zzz)_o$ ... zastygłych na swoich trajektoriach, i nie wiadomo, czy te kule osiągną wrogów  $W(a)_o$   $W(b)$   $W(c)_o$  ukrytych pośród liści, samoloty z gronami bomb, ledwie zrzuconymi, które wiszą pod spodem, samoloty z gronami bomb, które czekają na zrzućenie, utajona wojna totalna, drżeniąca w sytuacji międzynarodowej  $MS_o$ , i nie wiadomo, w którym momencie  $MS_x$  przerodzi się w jawną wojnę totalną, wybuchy gwiazd „supernowych”, które mogłyby radykalnie odmienić konfigurację naszej Galaktyki...

Każda sekunda jest wszechświatem, przeżywana przeze mnie sekunda jest sekundą, którą zamieszkuję, *the second I live is the second I live in*, muszę nauczyć się obmyślać swoją przemowę równocześnie we wszystkich możliwych językach, jeżeli chcę przeżywać tę swoją chwilę-jako-wszechświat na pełną skalę. Dzięki kombinacji wszystkich równoczesnych danych mógłbym zdobyć obiektywną znajomość chwili-jako-wszechświata  $t$  w całej jej przestrzennej rozciągłości, ze mną włącznie, zważywszy na to, że wewnątrz  $t_o$  ja  $Q_{(1)}$  nie jestem ani trochę ograniczony swoją przeszłością  $Q_{-}$ ,  $Q_2$   $Q_3$  i tak dalej, ale jestem ograniczony systemem ustanowionym przez wszystkie dzioborożce  $D_o$ , kule  $K_r$ , wirusy  $V$ , bez czego nie można by ustalić, że ja jestem  $Q_n$ . A nawet, skoro nie muszę się już przejmować tym, co przytrafi się  $Q$ ,  $Q_2$   $Q_3$  i tak dalej, nie ma powodu, żebym nadal Przyjmował subiektywny punkt widzenia, który doprowadził mnie aż tutaj, to znaczy, mogę się utożsamić równie dobrze z samym sobą, jak z lwem czy z ziarenkiem piasku albo ze wskaźnikiem kosztów utrzymania, albo z wrogiem, albo z nieprzyjacielem wroga.

Żeby to wszystko zrobić, wystarczy dokładnie ustalić współrzędne tych wszystkich punktów i obliczyć niektóre stałe. Mógłbym na przykład uwydatnić wszystkie elementy zawieszony i niepewne, które są istotne zarówno dla mnie, jak i dla lwa, dla bomb, dla wroga i dla nieprzyjaciela wroga, i uznać  $L$  za moment powszechnego zawieszenia i niepewności. Ale to nie mówi mi jeszcze nic istotnego o  $L$ , ponieważ założmy, że chodzi o straszny moment, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem, mógłby to być tyleż straszny moment w całym ciągu momentów o wzrastającym stopniu straszności, ile straszny moment w ciągu straszności malejącej, a zatem zwodniczej. Inaczej mówiąc, ta dowiedziona, lecz względna straszność  $t_o$ , może przyjąć wartości całkowicie odmienne, w takiej mierze, w jakiej  $t$ ,  $l$ ,  $t_3$  mogą przeobrazić substancję  $t_o$  w sposób radykalny albo, inaczej mówiąc, rozmaite  $t$ , pochodzące od  $Q$ ”  $L_p$   $W(a)$ ”  $WO/a$ ), mają zdolność ustalania podstawowych wartości  $t_o$ .

W tym miejscu sprawy zdają mi się komplikować: moja linia postępowania

polega na zamknięciu się w  $t_0$ , tak aby nic nie wiedzieć o tym, co dzieje się poza tą sekundą i by zrezygnować z punktu widzenia ograniczenie osobistego, wszystko po to, żeby przeżyć L w jego globalnej, obiektywnej konfiguracji, jednakże tę obiektywną konfigurację można uchwycić nie od wewnątrz  $t_0$ , lecz obserwując ją z pozycji innej chwili-jako-wszechświata, na przykład z  $t$ , albo z  $t''$  i nie z pozycji całej ich równoczesnej rozciągłości, lecz z określonego punktu widzenia, z punktu widzenia wroga albo nieprzyjaciela wroga, lwa albo mojego własnego.

Podsumowując: po to, żeby zatrzymać się w  $t_0$ , muszę ustalić obiektywną konfigurację  $t_0$ ; po to, żeby ustalić obiektywną konfigurację  $t_0$ , muszę przesunąć się do punktu  $t$ ; żeby przesunąć się do punktu  $t''$  muszę przyjąć jakąkolwiek perspektywę subiektywną, a w takim razie lepiej będzie, jeżeli zachowam własną. Podsumowując znowu: żeby zatrzymać się w czasie, muszę poruszać się wraz z czasem, żeby stać się obiektywnym, muszę być nadal subiektywny.

Zobaczmy, jak więc miałbym zachować się w praktyce: skoro zostało już ustalone, że ja jako  $Q_0$  zachowuję swoje umocowanie w  $t_0$ , mógłbym zrobić szybki wypad do  $t''$  a jeśli to nie wystarczy, mógłbym dotrzeć aż do  $t_2$  i do  $t_v$  utożsamiając się chwilowo z  $Q_1$ ,  $Q_2$ ,  $Q_3$ , wszystko oczywiście w nadziei, że ciąg  $Q$  przetrwa i nie zostanie przedwcześnie zerwany przez zakrzywione pazury  $L_1$ ,  $L_2$ ,  $L_v$  ponieważ tylko dzięki temu mógłbym zrozumieć, w jaki sposób skonfiguruje się moja pozycja  $Q_0$  w  $t_0$ , a to jest jedyna rzecz, na której mi zależy.

Jednakże ryzykuję tym, że zawartość  $t_p$  zawartość chwili-jako-wszechświata  $t''$  okaże się dużo ciekawsza, dużo bogatsza w emocje i niespodzianki od L, nie wiadomo, czy zwycięskie, czy rujnujące, i będę miał pokusę, żeby całkowicie poświęcić się  $t$ , i odwrócić plecami od  $t_0$ , zapominając, że przeszedłem do  $t$  tylko po, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o  $t_0$ . I ulegając tej ciekawości  $t$ , tej mojej bezprawnej chęci poznania chwili-jako-wszechświata, która nie należy do mnie, chcąc zrozumieć, czy naprawdę zrobiłbym dobry interes, zamieniając moje trwałe i bezpieczne obywatelstwo w  $t_0$  na nowinki, jakie może zaoferować mi  $t''$  mógłbym posunąć się o krok dalej, do  $t_2$ , żeby wyrobić sobie bardziej obiektywne pojęcie o  $t$ ; a ten krok dalej mógłby z kolei...

Jeżeli sprawy tak się mają, spostrzegam teraz, że moja sytuacja wcale by się nie zmieniła, nawet gdybym odrzucił hipotezy, od których wyszedłem: to znaczy, założywszy że czas nie zna powtórzeń i polega na ciągu bezpowrotnie minionych sekund, całkowicie od siebie różnych, że każda sekunda wydarza

się raz na zawsze, a zamieszkać ją w ciągu jej dokładnego czasu trwania oznacza zamieszkać ją na zawsze, i że L interesuje mnie tylko przez wzgląd na  $t_1$ ,  $t_2$ ,  $t_3$ , które po nim nadchodzą, wraz ze swoją zawartością życia lub śmierci, w następstwie ruchu, jaki wykonałem, wypuszczając strzałę, i w następstwie ruchu, jaki wykonał lew, zrywając się do skoku, a także wskutek dalszych ruchów, które lew i ja wykonamy w najbliższych sekundach, i wskutek strachu, który paraliżując mnie na bezkresny czas trwania jednej sekundy, sparaliżuje w locie lwa i strzałę na moich oczach, to sekunda  $t_0$  równie błyskawiczna, jak błyskawicznie nadeszła, przeskoczy oto do następnej sekundy i już bez żadnego wahania wyznaczy trajektorię lwa i strzały.

## Pościg

Samochód, który mnie ściga, jest szybszy od mojego; w środku siedzi mężczyzna uzbrojony w rewolwer, dobry strzelec, jak zorientowałem się po kulach, które chybiły celu ledwie o parę centymetrów. Podczas ucieczki skierowałem się w stronę centrum; była to decyzja zbawienna; prześladowca jest wciąż za moimi plecami, ale dzielą nas inne samochody; stoimy przed światłami w długim sznurze pojazdów.

Światła są ustawione w taki sposób, że po naszej stronie czas trwania czerwonego wynosi sto osiemdziesiąt sekund, a zielonego sto dwadzieścia, to z pewnością wynik założenia, że ruch na przecznicy jest większy i powolniejszy. To założenie błędne: biorąc pod uwagę samochody, które przejeżdżają ulicę poprzeczną na zielonym, powiedziałbym, że ich liczba dwukrotnie przewyższa liczbę samochodów, które w tym samym czasie mogą oderwać się od naszej kolumny i minąć światła. Co wcale nie znaczy, że tamtą stroną się pędzi: w gruncie rzeczy samochody także i tam posuwają się z rozpaczliwą powolnością, którą można uznać za jakąś prędkość dopiero w zestawieniu z nami, a my ledwie się wlecemy, bo kiedy zielone gaśnie dla nich, a zapala się dla nas, skrzyżowanie jest jeszcze wciąż zablokowane przez napływ ich samochodów i tak tracimy co najmniej trzydzieści sekund z naszych stu dwudziestu, nim nasze auta zrobią choćby jeden obrót kół. A zatem kolumna poprzeczna narzuca nam opóźnienie, ale potem musi je odplacić utratą czterdziestu, a niekiedy nawet sześćdziesięciu sekund, nim zdoła włączyć się do mchu, kiedy znów zapali się zielone, wzięwszy pod uwagę zator, spowodowany każdym powolnym przepływem samochodów; ich strata nie jest dla nas żadnym zyskiem, ponieważ każdemu końcowemu opóźnieniu z tej strony (i początkowemu opóźnieniu z tamtej) odpowiada większe opóźnienie końcowe z tamtej (i początkowe z tej), i to w trybie wzrastającym, a więc zielone światło jest coraz dłużej nieprzejezdne dla obu stron, co odbywa się bardziej naszym kosztem niż tamtych.

Spostrzegam, że kiedy w tym rozumowaniu przeciwstawiam „nas” „tamnym”, terminem „my” obejmuję tyleż siebie, ile mężczyznę, który mnie ściga, żeby mnie zabić, zupełnie jakby granica wrogości przebiegała nie między mną a nim, lecz między naszą kolumną a kolumną poprzeczną. Ale myśli i uczucia tych wszystkich, którzy stoją tu znieruchomiali i zniecierpliwieni, z nogą na sprzęgle, muszą podążać nurtem narzuconym przez odpowiednie strumienie mchu ulicznego; można przypuścić, że powstaje jakaś wspólnota dążeń między mną, a ja nie mogę doczekać się chwili, kiedy ucieknę, a nim,

który czeka, aż powtórzy się poprzednia okazja, kiedy na peryferiach udało mu się strzelić do mnie dwa razy i jakimś cudem chybić, chociaż jedna kula zbiła lewy reflektor, a druga utkwiała w suficie.

Trzeba powiedzieć, że domniemana wspólnota, zawarta w słowie „my”, jest całkowicie pozorna, ponieważ w praktyce moja wrogość obejmuje zarówno samochody, które się z nami krzyżują, jak i te z naszej kolumny; jednakże w ramach naszej kolumny czuję zdecydowanie większą wrogość do samochodów, które stoją przede mną i nie pozwalają mi mszyć, niż do tych, które stoją za mną i mogłyby się okazać wrogię, gdyby próbowały mnie wyprzedzić, a to dosyć trudne zadanie, zważywszy gęstość strumienia, w jakim każdy samochód jest uwięziony między dwoma innymi, a także biorąc pod uwagę minimalną sposobność manewru.

Jednym słowem, mój obecny wróg numer jeden jest uwięziony między innymi ciałami stałymi, do których czuję nieuchronnie narastającą odrazę i strach; podobnie też jego mordercze zamiary, obrócone wyłącznie przeciwko mnie, są obecnie rozproszone i skierowane na inne tory przez ogromną ilość obiektów pośrednich. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w kalkulacjach, jakie mój wróg prowadzi równoległe ze mną, on także kolumnę, w której stoimy, nazywa „naszą”, a kolumnę, która się z nami krzyżuje, „ich”, jak również jest pewne, że nasze kalkulacje, zmierzające do przeciwstawnych wyników, mają wiele wspólnych elementów i odcinków.

Chciałbym, żeby nasza kolumna mszyła najpierw szybko, a potem zwolniła, to znaczy, żeby stojące przede mną samochody rozpędziły się, wtedy ja mszyłbym za nimi, i mógłbym w ostatniej chwili przejechać na zielonym; ale żeby zaraz potem kolumna zablokowała się na czas dostatecznie długi, bym zdołał zniknąć i skręcić w jakąś boczną ulicę. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mój prześladowca stara się w swoich kalkulacjach przewidzieć, czy zdoła przejechać przez skrzyżowanie razem z moim strumieniem samochodów, czy zdoła utrzymać się w kolumnie za mną do chwili, kiedy dzielące nas samochody rozjadą się w różnych kierunkach, a w każdym razie będzie ich mniej, a wtedy jego samochód mógłby umieścić się tuż za mną albo obok mnie, na przykład na równoległym pasie przed innymi światłami, w dogodnej pozycji, żeby wystrzelić do mnie cały magazynek (ja nie mam broni) sekundę przedtem, nim zapali się zielone i pozwoli mu uciec.

W sumie ja liczę na nierównomierność, z jaką zmieniają się fazy postoju i fazy ruchu; on natomiast liczy na równomierność odstępów, jakie upływają między fazą ruchu a fazą postoju każdego samochodu kolumny. Problem polega na tym, żeby ustalić, czy kolumnę można podzielić na serię odcinków,

z których każdy żyje własnym życiem, czy też należy ją uznać za byt unikalny i niepodzielny, w którym jedyną spodziewaną zmianą byłoby zmniejszanie rozmiarów w miarę nadchodzenia godzin nocnych, aż do osiągnięcia punktu granicznego, w którym tylko nasze samochody zachowają ten sam kierunek i będą się starały zmniejszyć dzielącą je odległość... Tym, co nasze kalkulacje mają wspólnego, jest fakt, że czynniki, które zwykle decydują o sprawności naszych samochodów – moc silników i zręczność kierowców – niemal zupełnie przestały się liczyć, a o wszystkim decyduje ruch kolumny albo też ruch, który jest wypadkową rozmaitych kolumn krzyżujących się w mieście. W sumie ja i człowiek, który otrzymał polecenie, żeby mnie zabić, jesteśmy jakby unieruchomieni w przestrzeni, poruszającej się na własny rachunek, trwamy przykuci do tej pseudoprzestrzeni, która się rozpada i zawiązuje na nowo, a to od jej kombinatorycznych zestawień zależy nasz los.

Najprostszym sposobem wyjścia z tej sytuacji byłoby wyjście z samochodu. Gdyby jeden z nas albo gdybyśmy obaj zostawili nasze samochody i ruszyli dalej pieszo, przestrzeń powróciłaby do istnienia, a wraz z nią powróciłaby zdolność poruszania się w przestrzeni. Ale my stoimy na ulicy, na której obowiązuje zakaz parkowania; musielibyśmy zostawić samochody w ruchu ulicznym (samochody zarówno jego, jak i mój są kradzione i należy je porzucić w chwili, kiedy nie będą nam już potrzebne); mógłbym przemknąć na czworakach między samochodami, żeby nie wystawić się na strzały, ale taka ucieczka rzuciłaby się w oczy i z miejsca miałbym na karku policję. Tymczasem ja nie tylko nie mogę szukać w policji ochrony, ale nawet za wszelką cenę muszę uniknąć ściągnięcia na siebie uwagi; to oczywiste, że nie mogę wyjść z samochodu, nawet gdyby on porzucił swój.

Moją pierwszą obawą, ledwie znaleźliśmy się tutaj zablokowani, było to, że zobaczę, jak on nadchodzi pieszo, wolny pośród setek osób uwięzionych za kierownicą, jak spokojnie robi przegląd kolumny samochodów i, doszedłszy do mojego, wpakuje mi resztę zawartości swojego magazynka, a potem pędem ucieka. Moje lęki nie były pozbawione podstaw: w lusterku wstecznym dostrzegłem wkrótce sylwetkę swojego prześladowcy, który wysuwał się przez uchylone drzwi samochodu i wyciągał szyję, sięgając głową ponad blaszanymi dachami jak ktoś, kto chce zrozumieć powód tak wielkiego bezruchu, który wydłuża się w nieskończoność; zaraz potem ujrzałem, jak jego wąła sylwetka wymyka się z auta i postępuje parę kroków między szeregami samochodów. Ale w tej samej chwili całą kolumnę przebiegło jedno z owych nieregularnych, kapryśnych złudzeń ruchu; z samochodów ustawionych za jego autem dobiegało wściekłe trąbienie i już kierowcy i pasażerowie wyskakiwali ze



środką, nie szczędząc groźnych okrzyków i gestów. Z pewnością by go dopadli i siłą doprowadzili za kierownicę, gdyby on pospiesznie nie wrócił na swoje miejsce i nie ruszył, pozwalając, żeby reszta kolumny mogła nacieszyć się kolejnym obrotem kół, choćby przez chwilę. Przynajmniej jeśli o to chodzi, mogę być całkiem spokojny: nie możemy opuścić samochodu choćby na minutę, mój prześladowca nigdy się nie ośmieli dotrzeć do mnie pieszo, bo nawet gdyby zdążył strzelić, nie zdołałby potem ująć cało przed furią innych kierowców, gotowych go zlinczować, nie tyle z powodu samego zabójstwa, ile z powodu przeszkody, jaką utworzyłyby oba auta – jego i ofiary – unieruchomione na środku drogi.

Staram się wysunąć wszystkie hipotezy, ponieważ im więcej szczegółów zdołam przewidzieć, tym większą mam szansę na ocalenie. Zresztą, co innego mógłbym zrobić? Nie posuwamy się do przodu nawet o centymetr. Aż do tej chwili uważałem kolumnę za ciągłość linearną albo za płynny nurt, w którym poszczególne samochody poruszają się beładnie. Nadszedł moment, bym uściślił, że samochody ustawione są w trzech kolumnach i że naprzemiennie czasu postoju i czasu ruchu jest w każdym szeregu odmienna, toteż są chwile, kiedy porusza się tylko kolumna z prawej strony albo kolumna z lewej, albo też kolumna środkowa, w której właśnie stoimy, ja i mój potencjalny zabójca. Lekceważyłem do tej pory ten ważny aspekt, nie tylko z tego powodu, że trzy kolumny ustawiały się w tak regularnym szyku stopniowo, a ja zdałem sobie z tego sprawę z opóźnieniem, ale także dlatego, że w gruncie rzeczy sytuacja nie zmieniła się przez to na lepsze ani na gorsze. Z pewnością różnica szybkości między różnymi kolumnami byłaby rozstrzygająca, gdyby w pewnej chwili, ruszając z prawą kolumną, mój prześladowca zdołał przysunąć swój samochód do mojego, wystrzelić i pojechać dalej. Ale również tę ewentualność należy wykluczyć: założywszy że zabójca zdoła się wśliznąć do jednej z bocznych kolumn (samochody niemal stykają się zderzakami, ale wystarczy umiejętnie wybrać chwilę, w której w sąsiedniej kolumnie między maską a bagażnikiem otworzy się wąska szczelina, i wetknąć w nią nos, nie troszcząc się o protesty dziesiątków klaksonów), ja, mając go na oku w tylnym lusterku, zauważyłbym manewr, nim on zdołałby doprowadzić to posunięcie do końca, i zważywszy na dzielący nas dystans, miałbym czas, aby temu zaradzić analogicznym zwrotem. Mógłbym wcisnąć się do lewej lub do prawej kolumny, tam, gdzie on już się wśliznął, i nadal jechać przed nim z tą samą prędkością; albo też mógłbym przenieść się do kolumny po przeciwnej stronie, czyli, gdyby on jechał w lewej kolumnie, ja przeniósłbym się do prawej, a wtedy dzieliliby nas już nie tylko dystans w linii kierunku jazdy, ale również

dystans szerokości, który z miejsca stałby się barierą nie do pokonania.

Załóżmy jednak, że znajdziemy się obok siebie w dwóch przyległych kolumnach: on nie może do mnie strzelić w dowolnej chwili, bez ryzyka, że zostanie zablokowany w korku, z trupem za kierownicą w sąsiednim samochodzie, czekając na przybycie policji. Zanim pojawiłaby się okazja szybkiej i pewnej akcji, prześladowca musiałby siedzieć mi na karku, Bóg wie jak długo; a w tym czasie z uwagi na to, że relacja między prędkościami poszczególnych kolumn zmienia się nierównomiernie, nasze samochody nie utrzymałyby się długo w jednej linii; mógłbym odzyskać przewagę i w takim przypadku to jeszcze nic groźnego, bo nastąpiłby powrót do wcześniejszej sytuacji; największym ryzykiem dla mojego prześladowcy byłaby sytuacja, gdyby jego kolumna ruszyła, a moja stała w miejscu.

Mając prześladowcę przed sobą, nie byłbym już prześladowany. Mógłbym nawet utrwalić sytuację i przerzucić się do jego kolumny, zatroszczywszy się o to, by dzieliło nas sporo samochodów. On musiałby jechać z prądem bez sposobności zmiany kierunku jazdy, ja zaś jadąc za nim, byłbym zupełnie bezpieczny. Przed światłami skręciłbym w przeciwnym kierunku niż on i rozdzielilibyśmy się na zawsze.

W każdym razie wszystkie te hipotetyczne manewry musiałby trzymać się zasady, że ten, kto przed światłami znalazł się w prawej kolumnie, jest zmuszony do skrętu w prawo, a ten, kto stoi w lewej kolumnie, do skrętu w lewo (zator na skrzyżowaniu nie dopuszcza zmiany planów), podczas gdy ten, kto jest w środku, może w ostatniej chwili rozstrzygnąć, co będzie dla niego najkorzystniejsze. I właśnie z tego powodu zarówno on, jak i ja pilnujemy się środkowej kolumny: ja aż do ostatniej chwili chcę zachować wolność wyboru, on chce mieć sposobność skręcenia tam, gdzie ja skręcę.

W pewnej chwili czuję, że ogarnia mnie fala entuzjazmu: ja i mój prześladowca wykazaliśmy naprawdę najwięcej sprytu, wybierając kolumnę środkową. Krzepiąca jest świadomość, że wolność nadal istnieje, a zarazem poczucie, że otacza nas i ochrania blokada ciał stałych i niedostępnych, i pozostaje tylko troska o to, żeby unieść lewą stopę znad pedału sprzęgła, prawą nacisnąć pedał gazu i natychmiast unieść stopę, opuścić lewą na sprzęgło, a są to działania nie podjęte przez nas dobrowolnie, lecz wymuszone ogólnym rytmem ruchu drogowego.

Przeżywam właśnie chwilę dobrego samopoczucia i optymizmu. W granicie rzeczy nasz nich jest równoznaczny z każdym innym ruchem, czyli polega na tym, że zajmujemy otwierającą się przed nami przestrzeń i zostawiamy ją za sobą, i tym samym ledwie pojawia się przede mną wolna przestrzeń, jaja

zajmuję, bo w przeciwnym razie zająłby ją ktoś inny; jedynie możliwym działaniem w przestrzeni jest zanegowanie przestrzeni, ja ją podważam, ledwie zaczyna się wyłaniać, a następnie pozwalam, żeby znów zaczęła się wyłaniać po moim przejściu, gdzie natychmiast znajdzie się ktoś, kto ją zaneguje. Jednym słowem, przestrzeni nie sposób nigdy zobaczyć i może ona nawet nie istnieje, jest tylko rozpiętością rzeczy i miarą odległości; odległość między mną a moim prześladowcą polega na ilości dzielących nas samochodów z tej samej kolumny, a ponieważ ich liczba jest stała, nasz pościg jest pościgiem tylko z nazwy, podobnie jak trudno byłoby powiedzieć, że dwaj podróżni siedzący w dwóch różnych wagonach tego samego pociągu się ścigają.

Gdyby jednak liczba tych samochodów-interwałów rosła lub malała, nasz pościg stałby się ponownie prawdziwym pościgiem, niezależnie od naszych prędkości czy swobody ruchu. Muszę znów wyostrzyć uwagę: istnieje niejaki prawdopodobieństwo, że obie ewentualności się potwierdzą. Dostrzegam, że z linii między punktem, w którym się obecnie znajduję, a skrzyżowaniem regulowanym światłami odchodzi boczna droga, niemal zaułek, który zasila trakt wątlm, lecz stałym strumieniem samochodów. Wystarczyłoby, żeby parę z tych napływających samochodów wcisnęło się między nas, a z miejsca wzrosłaby moja przewaga, zupełnie jakbym się rzucił do niespodziewanej ucieczki. Tymczasem z naszej lewej strony, pośrodku drogi, rozpościera się teraz wąska wysepka służąca za parking; jeżeli są na niej czy też utworzą się miejsca wolne, wystarczy, by parę samochodów-interwałów zechciało tam zaparkować, a już mój prześladowca ujrzałby, jak niespodziewanie by się zmniejszył dzielący nas dystans.

Muszę pospiesznie znaleźć jakieś rozwiązanie, a ponieważ jedynym otwierającym się przede mną polem jest pole teorii, nie pozostaje mi nic innego, jak nadal zgłębiać teoretyczną znajomość sytuacji. Nie mogę zmienić rzeczywistości, niezależnie od tego, czy jest dobra, czy zła: ten mężczyzna otrzymał polecenie, żeby mnie dogonić i zabić, podczas gdy ja usłyszałem, że mogę tylko uciekać; owe instrukcje zachowują swoją prawomocność nawet w przypadku, gdyby przestrzeń uległa skasowaniu w jednym ze swoich wymiarów albo wręcz we wszystkich, a wszelki ruch stałby się niemożliwy; nawet wtedy nie przestalibyśmy odgrywać roli ściganego i ścigającego.

Muszę zarazem pamiętać o dwóch rodzajach relacji: z jednej strony istnieje układ obejmujący wszystkie pojazdy, jakie są równocześnie w ruchu w centrum miasta, którego całkowita powierzchnia samochodowa dorównuje wielkością całkowitej powierzchni gruntów drogowych albo ją przewyższa; z drugiej strony istnieje układ, jaki się wytwarza między uzbrojonym

prześladowcą a bezbronnym ściganym. Obecnie te dwa typy relacji zmierzają do utożsamienia się w takim sensie, że druga z nich jest zawarta w pierwszej na zasadzie pojemnika, który nadaje jej kształt i czyni niewidoczną, tak że zewnętrzny obserwator nie zdoła wyodrębnić z morza identycznych samochodów dwóch pojazdów uwikłanych w śmiertelną pogoń, w szalony pościg, który kryje się pod tym nieznośnym bezruchem.

Postarajmy się przeanalizować każdy element ze spokojem: pościg powinien polegać na porównaniu prędkości dwóch przestrzennych ciał w ruchu, ale ponieważ, jak widzieliśmy, przestrzeń nie istnieje niezależnie od ciał, które ją zajmują, pościg będzie polegał wyłącznie na ciągu wariacji zależnych od pozycji, jakie zajmują owe ciała. To ciała określają okoliczną przestrzeń, a jeżeli to stwierdzenie wydaje się zaprzeczać doświadczeniu zarówno mojemu, jak i mojego prześladowcy – zważywszy, że my dwaj nie możemy o niczym przesądzić, ani o przestrzeni koniecznej do ucieczki, ani o przestrzeni koniecznej do ścigania – dzieje się tak, ponieważ chodzi tu nie o właściwości poszczególnych ciał, lecz o właściwości ogółu tych ciał w ich wzajemnych relacjach, w ich inicjatywach i niezdecydowaniu, i ruszaniu z miejsca, w ich błyskających światłach, i trąbieniu, i gryzieniu paznokci, i w nieustannych gniewnych zgrzytach skrzyni biegów: bieg jałowy, bieg pierwszy, bieg drugi, jałowy; jałowy, pierwszy, drugi, jałowy.

Teraz, kiedy już skasowaliśmy pojęcie przestrzeni (myślę, że mój prześladowca doszedł tymczasem do takich samych wniosków) i kiedy pojęcie ruchu nie zakłada już ciągłości w odniesieniu do ciała, które przemieszczając się, musi przejść przez serię punktów, lecz zakłada tylko nieciągłą i nieregularną wymianę ciał, które zajmują w przestrzeni ten lub inny punkt, zdołam być może z mniejszym zniecierpliwieniem zaakceptować powolność kolumny, ponieważ tym, co się liczy, jest przestrzeń, która powstaje i przeobraża się wokół mojego samochodu, podobnie jak wokół każdego innego samochodu w korku. Jednym słowem, każdy samochód znajduje się w centrum układu relacji, który w praktyce jest równoznaczny innemu układowi, czyli samochody są między sobą wymienne, mówię, samochody, każdy ze swoim kierowcą; każdy kierowca mógłby doskonale zamienić się miejscami z innym kierowcą, ja także z moimi sąsiadami, a mój prześladowca ze swoimi.

W tej zamianie pozycji można wyodrębnić lokalne kierunki uprzywilejowania: na przykład kierunek ruchu naszej kolumny, jakkolwiek nie przesądza o samym ruchu, wyklucza jednak, że można się poruszać w kierunku przeciwnym. Dla nas dwóch zresztą, kierunek pościgu jest

kierunkiem korzystnym, i pośród innych możliwości do zamiany nie może dojść tylko między nami, a także nie może dojść do żadnej innej zamiany, która pozostawałaby w sprzeczności z naszym pościgiem. Dowodzi to, że w tym świecie wymienialnych pozorów relacja ścigający-ścigany pozostaje jedyną rzeczywistością, której możemy się trzymać.

Problem polega na tym: jeżeli jeden samochód – przy niezmiennym kierunku ruchu i kierunku pościgu – wart jest drugiego, właściwości każdego z nich można przypisać wszystkim pozostałym. Nie jest wykluczone, że tę kolumnę tworzą więc same ścigane samochody, to znaczy, że każdy z nich ucieka, tak jak ja uciekam, pod groźbą pistoletu wystającego z samochodu, który jedzie z tyłu. I nawet nie mogę wykluczyć, że każdy samochód z kolumny ściga inny samochód, mający równie mordercze zamiary, i że w pewnej chwili centrum miasta nie zamieni się w pole bitwy albo w teatr rzezi. Niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy też nie, zachowanie otaczających mnie samochodów niczym by się nie różniło, a zatem wolno mi się upierać przy mojej hipotezie i śledzić wzajemne pozycje dwóch dowolnie wybranych samochodów, uchwyconych w rozmaitych momentach, przy czym jednemu z nich przypisać rolę ściganego, a drugiemu ścigającego. Jest to poza tym gra, która może doskonale służyć zmyleniu oczekiwań: wystarczy każdą zmianę pozycji w kolumnie zinterpretować jako epizod domniemanego pościgu. Na przykład teraz, kiedy jeden z samochodów-interwałów włącza lewy migacz, ponieważ dostrzegł wolne miejsce na parkingu, ja zamiast się zająć wyłącznie swoją przewagą, która zaraz się zmniejszy, równie dobrze mogę pomyśleć, że chodzi tu o manewr w innym pościgu, o jedno z niezliczonych posunięć ściganych lub ścigających z mojego otoczenia, i tak, sytuacja, którą, przygwożdżony samotnym lękiem, przeżywałem do tej pory subiektywnie, jest wyprojektowana poza mnie, rozciągnięta na ogólny układ, do jakiego wszyscy należymy.

Nie jest to pierwszy raz, kiedy samochód-interwał opuszcza swoje miejsce; z jednej strony parking, z drugiej prawa kolumna, nieznacznie szybsza, zdają się silnie przyciągać samochody jadące za mną. Podczas kiedy ja nadal snułem nic własnych dociekań, otaczająca mnie przestrzeń uległa wielu przemianom: w pewnej chwili także mój prześladowca przeniósł się na prawą stronę i, korzystając z przewagi tej kolumny, wyprzedził parę samochodów z kolumny środkowej; wtedy ja również przeniósłem się na prawą stronę; on wrócił do kolumny środkowej i ja także przeniósłem się do środka, ale cofnąłem się o jeden samochód, podczas gdy on zyskał przewagę nad trzema. Wszystkie te rzeczy wcześniej wprawiłyby mnie w niepokój, ale teraz interesują mnie

przede wszystkim jako poszczególne przypadki ogólnego systemu ścigania, którego własności staram się określić.

Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to skoro wszystkie samochody uczestniczą w pościgach, właściwości gończe powinny być wymienne, z czego wynika, że ten, kto ściga, może być ścigany, a ten, kto jest ścigany, może ścigać. Pomiedzy samochodami wytworzyłaby się wtedy zgodność i symetria relacji, i jedyny element trudny do ustalenia dotyczyłby odstepu między ściganym a ścigającym w poszczególnych ogniwach pościgu. Faktycznie odstep ten mógłby obejmować dwadzieścia lub czterdzieści samochodów albo też nie obejmować żadnego, jak – z tego, co widzę w lusterku – przydarza się teraz mnie: właśnie w tej chwili mój prześladowca wywalczył sobie miejsce tuż za mną.

Powinienem więc uznać się za pokonanego i dojść do wniosku, że zostało mi tylko parę minut życia, chyba że podczas snucia dalszych hipotez przyjdzie mi do głowy jakieś zbawienne rozwiązanie. Załóżmy na przykład, że samochód, który mnie ściga, ma za sobą łańcuch ścigających samochodów: dokładnie na sekundę przed strzałem mojego prześladowcy, prześladowca mojego prześladowcy mógłby go doścignąć i zabić, ratując mi życie. Ale gdyby na dwie sekundy przedtem prześladowca mojego prześladowcy został doścignięty i zabity przez swojego prześladowcę, mój prześladowca byłby ocalony i zyskałby sposobność, żeby mnie zabić. Doskonały system pościgów powinien opierać się na zwykłym łańcuchowym powiązaniu funkcji: każdy prześladowca ma za zadanie udaremnić prześladowcy, który go wyprzedza, oddanie strzału do swojej ofiary, i jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić – trzeba strzelić do tego prześladowcy. Cały problem polega na tym, żeby wiedzieć, w jakim ogniwie łańcuch zostanie przerwany, ponieważ od punktu, w którym jeden prześladowca zdoła zabić drugiego, następny z nich, nie musząc już zapobiec dokonaniem zabójstwa, zrezygnuje ze strzelania, a prześladowca, który przybędzie po nim, nie będzie miał powodu, by strzelać, skoro nie dojdzie już do zabójstwa, które miał udaremnić, i cofając się tak wzdłuż całego łańcucha, wykluczy się istnienie ścigających i ściganych.

Ale jeżeli dopuszczę istnienie za sobą łańcucha prześladowców, nie ma powodu, żeby ten łańcuch nie miał dalszego ciągu w części kolumny, która jest przede mną. Teraz, kiedy zapala się zielone i jest prawdopodobne, że na tym odcinku wolnej drogi uda mi się wjechać na skrzyżowanie, gdzie rozstrzygną się moje losy, zdaję sobie sprawę, że element rozstrzygający nie znajduje się za moimi plecami, lecz jest wpisany w moją relację z tym, kto mnie poprzedza. Toteż jedyny liczący się wybór polega na tym, czy moja kondycja ściganego jest

kondycją ostateczną i asymetryczną (jakby wynikało z faktu, że w relacji ze swoim prześladowcą jestem bezbronny), czy też z kolei ja także jestem prześladowcą. Po bliższej analizie danych jedna z możliwych hipotez przedstawia się następująco: otrzymałem polecenie zabicia tylko jednej osoby i pod żadnym pozorem nie mogę użyć broni przeciwko komukolwiek innemu: w takim przypadku dysponowałbym bronią tylko wobec własnej ofiary, a byłbym bezbronny wobec pozostałych osób.

Żeby się przekonać, czy ta moja hipoteza odpowiada prawdzie, pozostaje mi tylko wyciągnąć rękę – jeżeli w schowku swojego samochodu znajdę pistolet, będzie to oznaczało, że ja także jestem prześladowcą. Mam czas, żeby się o tym przekonać; nie zdążyłem skorzystać z zielonego światła, ponieważ samochód przede mną został zablokowany przez ukośny strumień, a teraz znów zapala się czerwone. Ruszył strumień poprzeczny; samochód przede mną jest w kiepskiej sytuacji, gdyż przekroczył linię świateł; kierowca odwraca się, żeby zobaczyć, czy może włączyć tylny bieg, dostrzega mnie, na twarzy maluje mu się wyraz przerażenia. To wróg, ścigałem go po całym mieście i cierpliwie śledziłem w tym powolnym korku. Dotykam przerzutni biegów, w prawej ręce mam pistolet z tłumikiem. W lusterku widzę swojego prześladowcę, który trzyma mnie na muszce.

Zapala się zielone, włączam bieg, lewą ręką skręcam, prawą wystawiam przez okienko i strzelam. Mężczyzna, którego ścigałem, opada na kierownicę. Mężczyzna, który mnie ścigał, opuszcza pistolet, już bezużyteczny. Wjechałem w poprzeczną ulicę. Absolutnie nic się nie zmieniło: kolumna porusza się drobnymi nieciągłymi odcinkami, ja nadal jestem więźniem ogólnego systemu samochodów w ruchu, gdzie nie sposób odróżnić ściganych od ścigających.

## Nocny kierowca

Zaraz po wyjeździe z miasta spostrzegam, że jest już ciemno. Włączam długie światła. Jadę samochodem z A do B trzypasmową szosą, taką, w której środkowy pas służy do wyprzedzania w obu kierunkach. Abym mógł prowadzić nocą, moje oczy także muszą jakby wyłączyć jedno ze swoich wewnętrznych urządzeń i włączyć inne, ponieważ nie trzeba się już wyteżać, żeby spomiędzy cieni i stłumionych kolorów wieczornego pejzażu wyodrębnić dalekie samochody, które nadjeżdżają z naprzeciwka lub jadą przed nami, ale trzeba kontrolować swego rodzaju czarną tablicę, która domaga się innej lektury, dokładniejszej, ale zarazem uproszczonej, skoro ciemność zaciemnia wszystkie detale obrazu, jakie mogłyby rozproszyć uwagę, i wydobywa tylko elementy niezbędne, białe pasy na asfalcie, żółte światła mijania i czerwone punkciki. Proces ten zachodzi automatycznie, a jeżeli ja się dzisiaj nad tym zastanawiam, dzieje się tak, ponieważ teraz, kiedy zewnętrzne możliwości rozproszenia uwagi maleją, biorą we mnie górę raczej wewnętrzne, moje myśli biegną na własny użytek w obwodzie alternatyw i wątpliwości, których nie potrafię wyłączyć, słowem, muszę zrobić szczególny wysiłek, żeby skoncentrować się na prowadzeniu.

Wsiadłem do samochodu nieoczekiwanie po telefonicznej kłótni z Y. Ja mieszkam w A, Y mieszka w B. Nie zamierzałem odwiedzać jej dzisiejszego wieczoru. Ale podczas naszej codziennej rozmowy powiedzieliśmy sobie rzeczy bardzo nieprzyjemne; pod koniec, powodowany urazą, oświadczyłem Y, że chcę zerwać nasz związek; Y odparła, że wcale o to nie dba i zaraz zadzwoni do Z, mojego rywala. W tym momencie jedno z nas – nie pamiętam, czy ona, czyja sam – przerwaliśmy rozmowę. Nie upłynęła nawet minuta, jak sobie uświadomiłem, że powód naszej kłótni był niczym wobec ewentualnych skutków. Zadzwonić do Y ponownie byłoby błędem; jedynym sposobem zaradzenia tej sytuacji była wyprawa do B i wyjaśniająca rozmowa w cztery oczy. I tak oto jestem na drodze, którą przemierzałem setki razy o każdej godzinie i o wszystkich porach roku, ale jeszcze nigdy równie mocno mi się nie dłużyła.

Aby ująć to lepiej – wydaje mi się, że utraciłem poczucie przestrzeni i czasu: stożki światła rzucane przez reflektory pogrążają w nieokreśloność zarysy miejsc; wskaźniki kilometrów na drogowskazach i cyfry wyskakujące na tablicy rozdzielczej to dane, które nic mi nie mówią, które nie odpowiadają na moje naglące pytania o to, co robi teraz Y, o czym myśli. Czy naprawdę zamierzała zadzwonić do Z, czy była to tylko pogróżka rzucona w odwecie?



A jeżeli Y mówiła na poważnie, to czy wykonała telefon natychmiast po naszej rozmowie, czy też wolała przez chwilę się zastanowić, pozwolić, żeby złość opadła, nim ona podejmie decyzję? Z, podobnie jak ja, mieszka w A; od lat kocha się w Y bez wzajemności; jeżeli ona zaprosiła go do siebie, on z pewnością ruszył już do B; a zatem on także pędzi tą samą drogą; każdy wyprzedzający mnie samochód może okazać się jego samochodem, podobnie jak każdy samochód, który wyprzedzam. Trudno jest mi zdobyć taką pewność: samochody jadące w moją stronę są dwoma czerwonymi światełkami, które mnie wyprzedzają, i dwiema żółtymi źrenicami, jakie widzę w tylnym lusterku, gdy jadą za mną. W chwili wyprzedzania mogę najwyżej dostrzec typ samochodu i liczbę osób w środku, jednakże przeważają samochody z samym kierowcą, a jeśli chodzi o model, nie wydaje mi się, żeby auto Z wyróżniało się czymś szczególnym.

Jakby wszystkiego było mało, zaczyna padać. Pole widzenia ogranicza się do półkola ze szkła, wymiatanego przez wycieraczkę, cała reszta jest prążkowanym lub nieprzejrzystym mrokiem, informacje docierające z zewnątrz to ledwie żółte i czerwone błyski, zniekształcone przez wirówkę kropel. Wszystko, co mogę zrobić, to wyprzedzić Z i nie pozwolić, żeby on mnie wyprzedził, w jakimkolwiek samochodzie by jechał, ale nigdy się nie dowiem, czy on naprawdę jedzie ani czym jedzie. Czuję wrogość do wszystkich samochodów, które zmierzają w stronę A: każdy samochód szybszy od mojego, który gorączkowo stuka kierunkowskazem w moje lusterko, domagając się, bym mu ustąpił, powoduje ukłucie zazdrości; i za każdym razem, gdy widzę, jak zmniejsza się odległość, dzieląca mnie od tylnych świateł jakiegoś rywala, z triumfem przerzucam się na pas środkowy, żeby dotrzeć do Y jeszcze przed nim.

Wystarczyłoby mi parę minut przewagi: widząc, jak szybko do niej przybiegam, Y od razu zapomni o powodach kłótni; wszystko między nami będzie takie, jak przedtem; Z, kiedy już się zjawi, zrozumie, że został wezwany tylko z racji gry, jaka się między nami dwojgiem toczy; poczuje się intruzem. A może właśnie w tej chwili Y, żalując wszystkiego, co usłyszałem, próbowała się do mnie dodzwonić albo ona także doszła do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli zjawi się sama, siadła za kierownicą, i właśnie teraz pędzi tą drogą w przeciwną stronę niż ja.

Przestałem już zważać na samochody, które jadą w moim kierunku, i przyglądam się tym jadącym z naprzeciwka, są dla mnie tylko podwójną gwiazdą reflektorów, która rozrastając się, wymiata mrok z mojego pola widzenia, a potem znika nagle za moimi plecami, ciągnąc za sobą coś jakby

podmorską luminescencję. Y ma samochód pospolitej marki podobnie zresztą jak ja. Każda z tych świetlistych zjaw mogłaby się okazać nią, pędzącą do mnie, i przy każdej czuję jakieś poruszenie we krwi, jakby wskutek bliskości, której przeznaczeniem jest pozostanie w ukryciu; miłosny komunikat, przeznaczony tylko dla mnie, miesza się z innymi komunikatami, pędzącymi nitką drogi, a jednak nie potrafiłbym pragnąć z jej strony odmiennego komunikatu.

Spostrzegam, że tym, czego najbardziej pragnę, pędząc do Y, wcale nie jest spotkanie z Y: chcę, żeby Y pędziła do mnie, to odpowiedź, jakiej potrzebuję, to znaczy, chcę, żeby ona wiedziała, że ja do niej pędzę, ale zarazem chciałbym wiedzieć, że ona pędzi do mnie. Jedyłą pocieszającą myślą jest myśl, która najbardziej mnie dręczy: jeżeli w tej chwili Y pędzi w kierunku A, ona także, ilekroć dojrzy światła samochodu pędzącego w kierunku B, będzie stawiała sobie pytanie, czy to ja do niej pędzę, i będzie pragnęła, abym to był ja, i nigdy nie zdoła mieć takiej pewności. Dwa samochody zmierzające w odwrotnym kierunku przez sekundę znalazły się obok siebie, blask rozświetlił krople deszczu, odgłos obu silników stopił się w jedno, jakby naniesiony gwałtownym podmuchem wiatru: może to byliśmy my dwoje, w każdym razie na pewno to byłem ja, jeżeli to w ogóle cokolwiek znaczy, a z drugiej strony to mogła być ona, taka, jaką bym chciał, żeby była, to mógł być znak, po którym chciałbym ją rozpoznawać, jakkolwiek właśnie ten znak czyni ją nierozpoznawalną. Jazda jest jedynym pozostającym nam sposobem na wyrażenie tego, co mamy sobie do powiedzenia, ale nie możemy wysłać ani też otrzymać komunikatu tak długo, jak będziemy jechać.

Siadłem za kierownicą oczywiście po to, żeby dotrzeć do niej jak najprędzej; ale im dłużej jadę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że moment dotarcia do mety nie jest prawdziwym celem mojej jazdy. Nasze spotkanie, wraz z wszelkimi nieistotnymi szczegółami, jakie zwykle towarzyszą scenie spotkania, gęsta sieć doznań i znaczeń, i wspomnień, która by się przede mną rozwinęła – pokój z filodendronem, lampa z matowego szkła, kolczyki – i rzeczy, które bym wypowiedział, po części błędne lub niezbyt przemyślane, lub też rzeczy, które ona mogłaby powiedzieć, w pewnej mierze bezsprzecznie niestosowne, a w każdym razie niezgodne z moimi oczekiwaniami, i cały kołowrotek nieprzewidywalnych skutków, jakie każdy gest i każde słowo za sobą pociągają, spowiłyby wszystko, co mamy sobie do powiedzenia albo też, co chcemy usłyszeć, obłokiem wrzawy, tak że komunikacja, już trudna przez telefon, okazałaby się tym bardziej zakłócona, stłumiona, jakby pogrzebana pod lawiną piasku. Dlatego odczułem potrzebę nie tyle mówienia, ile przeobrażenia tych rzeczy w stożek światła o prędkości stu czterdziestu na

godzinę, odczułem potrzebę przetworzenia samego siebie w stożek światła poruszający się po autostradzie, ponieważ to pewne, że Y taki sygnał może odebrać i zrozumieć, i że on się nie zatraci w niejasnym chaosie drugorzędnych wibracji, podobnie też ja, odbierając i rozumiejąc rzeczy, które ona ma mi do powiedzenia, nie chciałbym, żeby były czymś innym (a nawet nie chciałbym, żeby ona sama była czymś innym) niż ten stożek światła, który, jak widzę, porusza się po autostradzie z prędkością (mówię tak, na oko) stu dziesięciu, stu dwudziestu kilometrów. Liczy się to, żeby przekazać wszystko, co jest nieodzowne, a pominąć wszystko, co zbyteczne, zredukować nas samych do zasadniczego komunikatu, do świetlnego sygnału, który porusza się w określonym kierunku, redukując złożoność naszych osób i sytuacji, i wyrazów twarzy, zamykając je w tej puszczy cienia, którą reflektory ciągną za sobą i skrywają. Y, którą kocham naprawdę, jest tą wiązką świetlistych promieni w ruchu, a cała reszta jej postaci może być domyślna; ja sam, którego ona może kocha, ja sam, który mam zdolność dostania się w ten obieg stanu egzaltacji, jakim jest jej życie uczuciowe, jestem kierunkowskazem włączonym przy wyprzedzaniu, a podejmuję ten akt z miłości do niej, i nie bez ryzyka.

Także z Z (wcale nie zapominam o Z) mogę ustanowić właściwą relację tylko wówczas, jeśli on będzie migotaniem i oślepiającym blaskiem, który mnie ściga, lub parą pozycyjnych świateł: jeżeli wezmę pod uwagę jego osobę i tę nieodłączną mu szczyptę – nazwijmy to – patosu, ale także to coś, co mnie w nim bezsprzecznie irytuje, chociaż – muszę przyznać – daje się zrozumieć, i jeżeli wezmę pod uwagę tę jego całą natrętną historię nieszczęśliwej miłości i jego zawsze trochę dwuznaczne zachowanie... no, to nigdy nie wiadomo, czym to się skończy. Tymczasem dopóki wszystko idzie tym trybem, nie ma powodu do obaw: Z stara się mnie wyprzedzić lub też pozwala mi się wyprzedzić (ale ja nie wiem, czy to jest on), Y pędzi do mnie (ale ja nie wiem, czy to jest ona) pełna skruchy i znów zakochana, ja śpieszę do niej zazdrosny i pełen niepokoju (ale nie mogę tego okazać ani jej, ani nikomu).

Pewnie, gdybym był na autostradzie zupełnie sam, gdybym nie widział tych wszystkich samochodów, jadących w obu kierunkach, wtedy wszystko byłoby dużo prostsze, miałbym pewność, że ani Z nie ruszył się z domu, żeby zająć moje miejsce, ani Y się nie ruszyła, żeby się ze mną pogodzić, i mógłbym te dane umieścić w aktywach lub w pasywach własnego bilansu, ale na pewno nie stworzyłyby one podstaw do wątpliwości. A jednak gdyby mi dano sposobność zastąpienia mojego obecnego stanu niepewności stanem pewności negatywnej, odmówiłbym takiej zamiany. Sytuacja idealna, wykluczająca wszelkie wątpliwości, miałyby polegać na tym, że w tej części świata istniałyby

tylko trzy samochody: mój, samochód Y i samochód Z: wówczas żaden inny samochód nie mógłby zmierzać w tym samym kierunku, co ja i Z, a jedynym samochodem jadącym w naprzeciwka byłby samochód Y Tymczasem pośród tych setek samochodów, które noc i deszcz redukują do anonimowych błysków, tylko nieruchomy obserwator, zajmujący dogodną pozycję, zdołałby odróżnić jeden samochód od drugiego, a nawet rozpoznać, kto siedzi w środku. Ja sam znajduję się w równie sprzecznej sytuacji: jeżeli chcę otrzymać komunikat, sam muszę zrezygnować z bycia komunikatem, ale komunikat, jaki chciałbym otrzymać od Y – że Y sama stała się komunikatem – ma wartość tylko wtedy, jeżeli ja sam jestem komunikatem, a z drugiej strony komunikat, jakim sam się stałem, ma sens tylko wówczas, jeśli Y nie ograniczy się do przyjęcia go jak byle adresatka komunikatów, ale sama będzie komunikatem, na który czekam.

Gdybym teraz dotarł do B, wszedł do mieszkania Y, zobaczył, że ona tam siedzi z bólem głowy i roztrząsa powody kłótni, nie odczułbym żadnej satysfakcji; gdyby jeszcze potem zjawił się Z, zrodziłaby się z tego teatralna scena, odrażająca; a gdybym się dowiedział, że Z wcale nie przyjechał albo też Y nie spełniła swojej groźby i do niego nie zatelefonowała, poczułbym się jak kretyn. Z drugiej strony, gdybym został w A, a Y zjawiłaby się tam, żeby mnie przeprosić, znalazłbym się w kłopotliwej sytuacji: spojrzalbym na Y innymi oczami, jak na kobietę słabą, która mnie oplata, i coś między nami uległoby zmianie. Nie potrafię już przyjąć innej sytuacji niż przeobrażenia nas w komunikaty. A co z Z? Także Z nie powinien uniknąć naszego losu, on także powinien przeobrazić się w komunikat, bo biada nam, jeżeli ja pędzę do Y zazdrosny o Z, a Y pędzi do mnie, pełna skruchy, gdy tymczasem Z nawet nie ruszył się z domu...

W połowie drogi jest stacja obsługi. Zatrzymuję się, biegnę do baru, kupuję garść żetonów, wybieram kierunkowy do B, potem numer Y. Nikt nie odpowiada. Z radością przyjmuję deszcz żetonów: to oczywiste, że Y nie wytrzymała napięcia, wsiadła do samochodu, ruszyła do A. Teraz wracam na szosę, ale na przeciwległy pas, i pędzę do A. Wszystkie wyprzedzane samochody albo też samochody, które mnie wyprzedzają, mogłyby należeć do Y Na przeciwległym pasie wszystkie samochody jadące w odwrotnym kierunku mogłyby należeć do Z, tego fantasty. Albo też: również Y zatrzymała się na stacji obsługi, zadzwoniła do mnie do A, nie zastając mnie w domu, uznała, że jadę do B i zmieniła kierunek jazdy. Teraz jedziemy w przeciwnych kierunkach, oddalając się od siebie, i każdy wyprzedzany samochód albo też samochód, który mnie wyprzedza, należy do Z, bo on także w połowie drogi

próbował zadzwonić do Y...

Wszystko to jest jeszcze bardziej niepewne, ale czuję, że osiągnąłem już stan wewnętrznego spokoju: dopóki zdołamy wybierać nasze numery telefonów i nikt nie będzie odpowiadał, wszyscy troje nadal będziemy pędzić tam i z powrotem wzdłuż białych linii, bez punktów wyjścia ani dojścia, które obciążąłyby wachlarzem doznań i znaczeń jednoznaczność naszej jazdy, będziemy pędzić uwolnieni nareszcie od kłopotliwej zawartości naszych postaci i głosów, i stanów ducha, zredukowani do sygnałów świetlnych, a to jedyne stosowne wyjście dla kogoś, kto zamierza utożsamiać się z tym, co sam mówi, bez deformującego szumu, jaki nasza lub cudza obecność wprowadza do tego, co mówimy.

Pewnie, koszt, jaki przychodzi nam zapłacić, jest duży, ale musimy go ponieść: nie możemy się już rozpoznać pośród wielu sygnałów, podążających tą drogą, każdy z nas niesie swoje ukryte i nieodgadnione znaczenie, a na zewnątrz nie ma już nikogo, kto byłby zdolny nas odczytać i zrozumieć.

## Hrabia Montecristo

### 1

Od lat siedzę zamknięty w celi, nie bardzo umiem powiedzieć, jak wygląda zamek If, w którym jestem uwięziony. Okratowane okienko znajduje się w głębi szybu, który przewierca gruby mur: nie obejmuje żadnego widoku; dzięki większemu lub mniejszemu natężeniu światła rozpoznaję w przybliżeniu godziny i pory roku; ale nie wiem, czy pod spodem widnieje morze, skarpa czy też jeden z wewnętrznych dziedzińców twierdzy. Szyb się zwęża, przyjmując kształt korytka; aby wyrzeć na zewnątrz, musiałbym się wczołgać do samego końca; próbowałem, to nie jest wykonalne nawet dla człowieka, z którego pozostał tylko cień. Wylot jest może dalej, niż by się zdawało: próbę oszacowania odległości zakłóca perspektywa w kształcie lejka i kontrast światła.

Mury są tak grube, że mogłyby skrywać inne cele i schody, i strażę, i magazyn amunicji; albo też forteca jest tylko murem, pełną i spoistą bryłą, z człowiekiem żywcem pochowanym w swoim wnętrzu. Obrazy, które wyobraża sobie więzień, następują po sobie i nie wykluczają się nawzajem: cela, otwór strzelniczy, korytarze, które dwa razy dziennie przemierza więzienny strażnik, niosąc zupę i chleb, mogłyby być zaledwie drobnymi porami w skale o konsystencji gąbki.

Słyszę szum morza, zwłaszcza w burzliwe noce: czasami wydaje mi się, że fale rozbijają się tuż obok o ścianę, do której przykładam ucho; czasami wydaje mi się, że fale drążą tunel od spodu, pod rafami fundamentów, moja cela znajduje się na szczycie najwyższej wieży, a huk niesie się po całym więzieniu, on także uwięziony, niczym w spiralnej muszli.

Wyteżam słuch: dźwięki zakreślają wokół mnie kształty oraz zmienne i wystrzępione przestrzenie. Z dreptania więziennych strażników próbuję odtworzyć siatkę korytarzy, zakręty, zakola, proste linie przerywane odgłosem wyskrobywania resztek z dna miski na progu każdej celi i zgrzytania rygli: potrafię wytyczyć tylko następstwo punktów w czasie, bez odpowiedników w przestrzeni. Nocą dźwięki stają się wyraźniejsze, ale nie można na ich podstawie oznaczyć miejsc ani odległości: gdzieś chrobocze szczur, jęczy ktoś chory, okrętowa syrena zapowiada wejście statku na redę w Marsylii, a łopata księdza Farii drąży sobie przejście w tych kamieniach.

Nie wiem, ile razy ksiądz Faria próbował ucieczki: za każdym razem pracował miesiącami, podważając kamienne płyty, rozkruszając cementowe spojenia, wierząc skałę prymitywnymi dłutami; ale właśnie w chwili, kiedy

ostatnie uderzenie kilofa powinno mu było otworzyć przejście, spostrzegając, że trafił do celi jeszcze głębiej położonej niż ta, z której wyruszył. Wystarczy drobny błąd w obliczeniach, niewielki uskok w pochyłości tunelu i oto on zapuszcza się do wnętrza fortecy, nie odnajdując już drogi powrotnej. Przy każdym niepowodzeniu znów poprawia rysunki i wzory, którymi pokrył ściany swojej celi; znów szykuje swój arsenał przygodnych narzędzi i znów zaczyna drażyć.

## 2

Również ja obmyślałem i nadal obmyślam sposoby ucieczki; a nawet wysnułem tyle hipotez dotyczących topografii fortecy, dotyczących najkrótszej i najpewniejszej drogi, która zawiodłaby mnie do zewnętrznego bastionu, skąd skoczyłbym do morza, że już nie potrafię odróżnić swoich przypuszczeń od danych popartych doświadczeniem. Opierając się na hipotezach, potrafię niekiedy stworzyć sobie tak przekonujący i szczegółowy obraz twierdzy, że mogę ją swobodnie przebiegać myślą; natomiast elementy, które odtwarzam na podstawie tego, co widzę i słyszę, są bezładne, niepełne i zawsze sprzeczne.

W pierwszym okresie mojego uwięzienia, kiedy jeszcze rozpaczliwe akty buntu nie przywiodły mnie do osobnej celi, w której gniję, trudy więziennego życia kazały mi pokonywać w górę i w dół schody, i wały ochronne, przemierzać korytarze i przechodzić przez tajemne drzwi zamku If; ale z wszystkich zachowanych w pamięci obrazów, które nadal rozkładałem i składałem na nowo w swoich domysłach, żaden z nich nie przystaje do drugiego, żaden nie pomaga mi zrozumieć, jaki kształt ma twierdza i w jakim jej punkcie obecnie przebywam. Zbyt wiele myśli dręczyło mnie wówczas – jakim sposobem ja, Edmond Dantes, ubogi, ale uczciwy marynarz, mogłem dostać się w szpony organów sprawiedliwości i tak nagle utracić wolność – żebym potrafił skupić uwagę na układzie budowli.

Zatoka Marsylii i jej wysepki były mi znajome od dzieciństwa; i wszystkie wejścia na pokład w moim niezbyt długim życiu marynarza, wszystkie wypłynięcia i powroty miały ten pejzaż za tło; jednakże ilekroć spojrzenie żeglarzy napotyka posępną skałę If, odwraca się od niej w przypływie lęku. I tak, kiedy przywiedziono mnie tutaj skutego łańcuchami w łodzi pełnej żandarmów, a na horyzoncie zarysował się kontur tej skały i jej mury, pojąłem, jaki czeka mnie los, i zwiesiłem głowę. Nie widziałem – albo też tego nie pamiętam – do której przystani zawinęła barka, po jakich stopniach kazali mi się wspinać, jakie drzwi zamknęły się za moimi plecami.

Teraz, kiedy po upływie wielu lat przestałem się zadręczać pasmem

niegodziwości i niepowodzeń, które spowodowały moje uwięzienie, pojąłem jedno: zalednim sposobem wyrwania się z kondycji więźnia jest zdobycie wiedzy o tym, jak zbudowane jest więzienie.

Jeżeli nie odczuwam potrzeby naśladowania Farii, dzieje się tak, dlatego że wystarcza mi sama wiedza o tym, że ktoś szuka drogi wyjścia, abym uwierzył, że taka droga istnieje, a w każdym razie, że można podjąć próbę jej znalezienia. I tak, hałas, jaki powodował Faria swoim drażnieniem, stał się koniecznym dopełnieniem moich myśli. Czuję, że Faria nie jest tylko tym, kto próbuje przygotować własną ucieczkę, ale jest też częścią mojego planu; i nie dlatego, abym się spodziewał, że on otworzy przede mną drogę ocalenia – pomylił się już tyle razy, że straciłem zaufanie do jego intuicji – ale dlatego, że jedyne posiadane informacje o miejscu, w którym się znajduję, zawdzięczam jego kolejnym pomyłkom.

### 3

Mury i sklepienia są przewiercone kilofem księdza we wszystkich kierunkach, ale jego trasy nawijają się na siebie niczym kłębek wełny, a moja cela jest przez niego przemierzana wciąż zgodnie z nową marszrutą. Faria dawno utracił poczucie orientacji: nie rozpoznaje już czterech stron świata, nawet nie wie, gdzie jest zenit, a gdzie nadir. Czasami słyszę skrobanie od strony sufitu; lecą odpady tynku; otwiera się wyłom; pojawia się odwrócona głowa Farii. Odwrócona według mnie, nie według niego; on wyczołguje się ze swojego tunelu, posuwa się do przodu głową na dół, ale w jego wyglądzie nic się nie zmienia: ani jego zbielałe włosy, ani broda pozieleniała od pleśni, ani strzępy workowego płótna, które okrywają mu wychudłe łędwia. Faria przebiega sufit i ściany ze zręcznością muchy; przystaje, wbija kilof w jakiś punkt, otwiera sobie przejście, znika.

Czasami bywa tak, że ledwie zniknął w głębi jednej ściany, już wychodzi ze ściany frontowej; jeszcze widać jego piętę, a on już wystawia brodę z drugiej strony. Pojawia się jeszcze bardziej zmęczony, wynędzniały, postarzały, jakby upłynęły lata od ostatniego razu, kiedy go widziałem.

Czasami jednak ledwie wśliznął się w tunel, słyszę, że wciąga powietrze jak ktoś, kto szykuje się do głośnego kichnięcia: w meandrach twierdzy jest zimno i wilgotno; ale kichnięcia nie słyhać. A ja czekam: czekam tydzień, miesiąc, rok; Faria nie wraca; jestem już przekonany, że nie żyje. Niespodziewanie jednak ściana frontowa drży, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi; z osypiska wynurza się Faria i kończy swoje kichnięcie.

Zamieniamy ze sobą coraz mniej słów; albo też prowadzimy dalej rozmowę, chociaż nie pamiętam, żebyśmy ją kiedykolwiek zaczęli.



Zrozumiałem, że Faria z trudem odróżnia jedną celę od drugiej, skoro odwiedził ich tak wiele podczas swoich chybionych wypraw. W każdej celi znajdują się siennik, dzbanek, kubał, człowiek, który stoi i wpatruje się w niebo przez wąski otwór strzelniczy. Kiedy Faria wynurza się spod ziemi, więzień się odwraca: ma zawsze tę samą twarz, ten sam głos, te same myśli. I wciąż nazywa się tak samo: Edmond Dantes. Twierdza nie ma lepszych i gorszych miejsc: powtarza w czasie i w przestrzeni wciąż tę samą kombinację figur.

#### 4

Bohaterem każdej mojej domniemanej ucieczki jest Faria. Nie dlatego, abym chciał się z nim utożsamić: Faria jest postacią konieczną, bym zdołał przedstawić sobie ucieczkę w obiektywnym świetle, ponieważ nie byłbym do tego zdolny, gdybym przeżywał ją naprawdę: chcę powiedzieć, gdybym śnił o niej w pierwszej osobie. Teraz już nie wiem, czy tym, kto kopie jak kret, jest prawdziwy Faria, który otwiera sobie przejścia w murach prawdziwej twierdzy If, czy też jest to hipotetyczny Faria, który walczy z hipotetyczną twierdzą. Wynik jest zawsze taki sam: zwycięża twierdza. Jest tak, jakbym w rozgrywkach Farii z twierdzą posuwał swoją bezstronność do tego stopnia, że opowiadałbym się po stronie twierdzy... no nie, teraz przesadzam: ta rozgrywka toczy się nie tylko w moim umyśle, ona się toczy między dwoma prawdziwymi przeciwnikami, niezależnie od mojej woli; mój wysiłek zmierza do oglądania jej z dystansu, do wyobrażania jej sobie bez lęku.

Jeżeli zdołam obserwować twierdzę i księdza z doskonale zrównoważonego punktu widzenia, będę mógł rozpoznać nie tylko charakterystyczne błędy, jakie Faria popełnia za każdym razem, ale rozpoznam także nieustannie powielany błąd metody, którego dzięki poprawnemu zarysowi sytuacji uda mi się uniknąć.

Faria postępuje w sposób następujący: napotyka jakąś trudność, szuka rozwiązania, poddaje je próbie, znów natrafia na trudność, planuje nowe rozwiązanie, i tak dalej. Według niego, po wyeliminowaniu wszystkich możliwych błędów i nieprzewidzianych okoliczności ucieczka musi się powieść: wszystko polega na zaplanowaniu i urzeczywistnieniu ucieczki doskonalej.

Ja zaś wychodzę z odwrotnego założenia: istnieje twierdza doskonała, z której nie można uciec; jeżeli się okaże, że w samym projekcie twierdzy lub podczas budowy popełniono błąd lub zaniedbanie, ucieczka będzie możliwa. Tymczasem Faria nadal rozkłada twierdzę, szukając jej słabych punktów, a ja nadal na nowo ją składam, wyszukując przeszkód coraz bardziej

nieprzewidywalnych.

Wyobrażenia na temat twierdzy, jakie Faria i ja sobie stwarzamy, stają się coraz bardziej rozbieżne: Faria, który wyszedł od figury prostej, wciąż coraz bardziej ją komplikuje, chcąc zrozumieć każdą nieprzewidzianą okoliczność, jaką napotyka w swoich wędrówkach; ja wyszedłszy od chaosu tych danych, w każdej osobnej przeszkodzie dostrzegam zapowiedź całego systemu przeszkód, każdy segment zamieniam w foremną figurę, układam z nich ściany bryły, wielościany lub hiperwielościany, wpisuję te wielościany w kule lub w hiperkule, i tym sposobem im bardziej domykam kształt twierdzy, tym bardziej go upraszczam, wpisuję w raport liczbowy lub we wzór z algebry.

Ale żebym zdołał obmyślić taką fortecę, ksiądz Faria nadal musi się zmagać z rumowiskiem ziemi, ze sworzniami ze stali, z zawartością ścieków, z budkami strażników, ze skokami w pustkę, z wcięciami ścian nośnych, ponieważ jedynym sposobem umocnienia twierdzy wyobrażonej jest nieustanne poddawanie próbie twierdzy prawdziwej.

## 5

A więc każdą celę zdaje się oddzielać od zewnątrz szerokość muru, ale Faria, kopiąc, odkrywa, że pośrodku zawsze znajduje się jakaś inna cela, a między tą celą a zewnątrz jest jeszcze jakaś cela pośrednia. Rysuje mi się obraz twierdzy, która rozrasta się wokół nas, a im dłużej przebywamy w jej zamknięciu, tym bardziej ona oddala nas od zewnątrz. Ksiądz kopie i kopie, ale mury rosną wszcz, pomnażają się blanki i barbakany. Jeżeli Faria zdoła się poruszać szybciej, niż następuje rozrost fortecy, być może w pewnej chwili znajdzie się na zewnątrz, nawet tego nie spostrzegając. Należałoby odwrócić stosunek między prędkościami, tak żeby twierdza, kurcząc się, wyrzuciła księdza jak armatnią kulę.

Ale jeżeli chcemy uciec, a twierdza przyrasta z prędkością czasu, należałoby poruszać się jeszcze szybciej, włączyć bieg wsteczny czasu. Chwila, w której znalazłbym się na zewnątrz, byłaby tą samą chwilą, w której się tutaj znalazłem: wychyłam się, dostrzegam nareszcie morze, i co widzę? Łódź pełna żandarmów przybija właśnie do If; pośrodku siedzi Edmond Dantes, skuty łańcuchami.

I oto kiedy znów wyobrażam sobie siebie jako protagonistę ucieczki, z miejsca włączam do gry nie tylko swoją przyszłość, ale także i przeszłość, swoje wspomnienia. Wszystkie niejasności, jakie istnieją w relacji między niewinnym więźniem a jego więzieniem, nadal rzucają cień na moje wyobrażenia i na decyzje. Jeżeli więzienie jest otoczone moim zewnątrz, to owo zewnątrz przywiodłoby mnie na powrót do środka za każdym razem,

gdybym zdołał się do niego przedostać: zewnątrz nie jest niczym innym niż przeszłością, próba ucieczki jest daremna.

Muszę wyobrazić sobie więzienie jako miejsce zawierające się w sobie samym, wyzbyte zewnątrz – powinienem więc zrezygnować z opuszczenia go – albo też muszę je sobie wyobrażać nie jako swoje więzienie, lecz jako miejsce pozbawione związku ze mną, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, to znaczy muszę obmyślić trasę prowadzącą z wewnątrz na zewnątrz, nie zważając na to, jaką wartość zyskało to „wnętrze” i „zewnątrze” w moich emocjach; trasa musi być wiarygodna, nawet jeżeli zamiast „zewnątrza” użyję słowa „wnętrze”, i na odwrót.

## 6

Jeżeli na zewnątrz znajduje się przeszłość, przyszłość zawiera się być może w najbardziej uwewnętrznionym punkcie wyspy If, czyli droga wyjścia jest drogą prowadzącą do wnętrza. Na rysunkach, którymi ksiądz Faria pokrywa ściany, pojawiają się na przemian dwie mapy o nierównych konturach, usiane strzałkami i znakami: jedna z nich powinna przedstawiać If, druga wyspę z archipelagu toskańskiego, gdzie ukryty jest skarb: Montecristo.

Ksiądz Faria chce uciec właśnie po to, żeby odnaleźć skarb. Aby skutecznie swój plan, musi wytyczyć prostą, która na mapie wyspy If wyprowadzi go ze środka na zewnątrz, a na mapie wyspy Montecristo zawiedzie z zewnątrz do tego najbardziej uwewnętrznionego punktu, jakim jest grotka ze skarbem. Pomiedzy wyspą, której nie można opuścić, a wyspą, do której nie można dotrzeć, musi istnieć jakaś więź: toteż w bazgrołach Farii obie mapy nakładają się na siebie aż do utożsamienia.

Trudno jest mi obecnie zrozumieć, czy Faria kopie teraz po to, by skoczyć do morza, czy też, żeby wejść do groty pełnej złota. W jednym i drugim przypadku dąży do tego samego punktu dojścia: do miejsca wielorakości rzeczy możliwych. Czasami wyobrażam sobie tę wielorakość ześrodkowaną w błyszczącej podziemnej pieczarze, czasami widzę ją jako promieniującą eksplozję. Skarb Montecristo i ucieczka z If są dwiema fazami tego samego procesu, może następującymi po sobie, a może okresowymi, niczym pulsowanie.

Poszukiwanie centrum If-Montecristo nie przynosi lepszych rezultatów niż dążenie do jej nieosiągalnego obwodu: w jakimkolwiek punkcie się znajduję, hipersfera rozrasta się wokół mnie we wszystkich kierunkach; centrum jest wszędzie tam, gdzie ja jestem; wejście bardziej w głąb oznacza wejście w siebie samego. Drażysz, drażysz i wciąż przebiegasz tę samą drogę.

Kiedy już Faria zdobędzie skarb, zamierza uwolnić Napoleona z Elby, dać mu środki, które pozwolą cesarzowi stanąć na czele swojej armii... Plan ucieczki-poszukiwania z wyspy If-Montecristo nie byłby pełny, gdyby nie zawierał również poszukiwania-ucieczki Napoleona z wyspy, na którą cesarz został zesłany. Faria kopie; jeszcze raz przedostaje się do celi Edmonda Dantesa; widzi więźnia od tyłu, jak zwykle wpatzonego w niebo, które widnieje w szczelinie otworu; na odgłos kilofa więzień się odwraca: to Napoleon Bonaparte. Faria i Dantes-Bonaparte razem kopią tunel w twierdzy. Mapa If-Montecristo narysowana jest w taki sposób, że kiedy obróci się pod odpowiednim kątem, ukazuje się mapa Świętej Heleny: ucieczka zamienia się w bezpowrotne wygnanie.

Niejasne motywy uwięzienia zarówno Farii, jak i Edmonda Dantesa, mają z różnych powodów coś wspólnego z losami sprawy napoleońskiej. Ta domniemana figura geometryczna, która nazywa się If-Montecristo, spotyka się w paru punktach z inną figurą, która nazywa się Święta Helena. Istnieją w przeszłości i w przyszłości chwile, w których historia napoleońska wkracza w naszą historię nieszczęsnych galerników, oraz istnieją też chwile, w których ja i Faria możemy lub mogliśmy wpłynąć na ewentualny odwet Cesarstwa.

Te punkty przecięcia jeszcze bardziej komplikują rachuby przewidywań; istnieją punkty, w których linia, jaką jeden z nas podąża, rozwidla się, rozgałęzia, przyjmując kształt wachlarza; każda gałąź może napotkać inne gałęzie, które się oddzielają od innych linii. Kanciastym szlakiem przechodzi Faria, który draży skałę; brakuje paru sekund, a natknąłby się na tabor i armaty cesarskiej armii, która odzyskuje Francję.

Poruszamy się w ciemności; tylko powtarzalność naszych tras ostrzega nas, że coś się zmieniło w trasach innych postaci. Założmy, że Waterloo jest punktem, w którym trasa wojsk Wellingtona mogłaby się skrzyżować z trasą Bonapartego; jeżeli obie linie się spotkają, odcinki znajdujące się poza tym punktem zostaną wyeliminowane; odwzorowanie Waterloo w rogu mapy, na której Faria kopie swój tunel, zmusza więźnia do zawrócenia po własnych śladach.

## 8

Punkty przecięcia wielu hipotetycznych linii implikują szereg planów, które się rozkładają niczym kartki rękopisu na biurku pisarza. Założmy, że pisarz, który powinien jak najszybciej oddać wydawcy powieść w dwunastu tomach, zatytułowaną *Hrabia Montecristo*, nazywa się Alexandre Dumas. Jego praca postępuje w taki oto sposób: dwaj pomocnicy (Augustę Maquet i RA. Fiorentino) szkicują kolejne warianty zdarzeń, jakie rozwidlają się

w każdym punkcie i Dumas otrzymuje fabułę wszystkich dopuszczalnych odmian bezgranicznie rozrośniętej hiperpowieści; autor wybiera, odrzuca, wycina, skleja, łączy; jeżeli jakieś rozwiązanie wydaje mu się z uzasadnionych powodów lepsze, ale zarazem wykluczające epizod, który wygodnie byłoby włączyć, stara się powiązać kikuty rozmaitego pochodzenia, scala je pośpiesznie, próbuje ustanowić pozorną ciągłość między rozbieżnymi odcinkami przyszłości. Rezultatem końcowym będzie powieść *Hrabia Montecristo*, gotowa do oddania drukarni.

Wykresy, którymi ja i Faria pokrywamy ściany więzienia, przypominają wykresy, jakie Dumas kreśli na swoich kartkach, chcąc utrwalić kolejność wybranych wariantów. Plik kartek może już trafić do drukarni: zawiera Marsylię z mojej młodości; przebiegając oczami zagęszczone pismem linijki, mogę spacerować po falochronach portu, maszerować w górę rue de la Canebiere w słońcu poranka, odwiedzać katalońską wioskę, przycupniętą na wzgórzu, mogę raz jeszcze zobaczyć Mercedes... Następny plik kartek czeka na ostatnie retusze: Dumas kończy jeszcze rozdziały o uwięzieniu w zamku If; Faria i ja, poplamieni atramentem, miotamy się tam w środku, w gąszczu poprawek... Na obrzeżach biurka piętrzą się propozycje dalszych ciągów historii, jakie metodycznie układają dwaj pomocnicy. W jednej z wersji Dantes ucieka z więzienia, odnajduje skarb Farii, przeobraża się w hrabiego Montecristo o ziemistej, nieprzeniknionej twarzy, swoją niezłomną wolę i bezmierne bogactwa przeznacza na zemstę; a makiaweliczny Villefort, chciwy Danglars, podły Caderousse ponoszą karę za swoje nikczemności; zgodnie z przewidywaniami, jakie w ciągu tylu lat karmiły moje gniewne marzenia, moją żądzę odwetu.

Obok, na stole leżą inne szkice przyszłości. Faria otwiera sobie szczelinę w ścianie, dostaje się do gabinetu Alexandre'a Dumasa, bezstronnym i wyzbytym emocji spojrzeniem obejmuje obszary przeszłości, teraźniejszości i przyszłości – sam nie potrafiłbym tego zrobić, ponieważ ja z czułością próbowałbym rozpoznać siebie w postaci młodego Dantesa, który ledwie otrzymał awans na kapitana, z bólem zdołałbym się odnaleźć w Dantesie galerniku, upojony wielkością utożsamiałbym się z hrabią Montecristo, który majestatycznie wkracza na najbardziej niedostępne paryskie salony; ja, który na jego miejscu ze strachem ujrzałbym tam same obce postaci – i sięgając raz po jedną, raz po drugą kartkę, niczym małpa wyciąga swoje długie, owłosione ręce, szuka rozdziału o ucieczce, strony, bez której wszystkie możliwe dalsze ciągi powieści stają się niemożliwe. Koncentryczna twierdza If-Montecristo-biurko Dumasa zawiera nas, więźniów, skarb, oraz hiperpowieść *Montecristo*

wraz z jej wariantami i kombinacjami wariantów rzędu miliardów miliardów, ale ich liczba jest zawsze skończona. Farii zależy na jednej stronie i nie traci nadziei na jej odnalezienie; ja natomiast chciałbym zobaczyć, jak przyrasta stos odrzuconych kartek, rozwiązań niebranych pod uwagę, które już tworzą serię plików, cały mur...

Układając kolejno wszystkie dalsze ciągi, które pozwalają wydłużyć historię, niezależnie od tego, czy są prawdopodobne czy nieprawdopodobne, otrzymamy zygzakowaną linię *Montecrista* Dumasa; natomiast jeżeli powiązemy ze sobą okoliczności, które nie pozwalają historii toczyć się dalej, wykreślimy spiralę powieści w negatywie, *Montecrista* opatrzonego znakiem minus. Spirala może obracać się wokół samej siebie, zmierzając do wewnątrz albo na zewnątrz: jeżeli wkręci się w samą siebie, historia utknie w miejscu bez możliwości dalszego rozwoju; a jeżeli spirala biegnie po zwojach, które się rozszerzają, przy każdym obrocie mogłaby włączać odcinek *Montecrista* opatrzonego znakiem plus, aż wreszcie historia pokryłaby się z zawartością książki, którą Dumas odda do drukarni, albo też przerosłaby ją bogactwem sprzyjających sytuacji. Decydująca różnica między obiema książkami – taka, która pozwoli uznać jedną z nich za prawdziwą, a drugą za fałszywą, chociaż one są identyczne – będzie polegać wyłącznie na metodzie. Żeby sporządzić plan książki – albo ucieczki – trzeba przede wszystkim wiedzieć, co należy wykluczyć.

## 9

I tak, dalej prowadzimy porachunki z twierdzą; Faria sonduje słabe miejsca murów i natrafia na wciąż nowe punkty oporują analizując jego chybione próby, żeby obmyślić nowe schematy murów, które dołączą do planu mojej domniemanej twierdzy.

Jeżeli zdołam zbudować w myśli twierdzę, z której nie sposób uciec, ta wymyślona twierdza albo będzie tożsama z prawdziwą – w takim przypadku jest pewne, że nigdy się stąd nie wydostaniemy; ale przynajmniej zyskamy spokój kogoś, kto wie, że tkwi tutaj, ponieważ nie mógłby znajdować się gdzie indziej – albo będzie to twierdza, z której ucieczka jest jeszcze bardziej niemożliwa-a wówczas jest to znak, że istnieje możliwość ucieczki: wystarczy wtedy odszukać punkt, w którym twierdza wymyślona różni się od twierdzy prawdziwej, żeby znaleźć tę możliwość.

Inne opowieści kosmikomiczne  
Przekład Anna Wasilewska

## Księżyc jak grzyb

Według sir George'a Darwina Księżyc oderwał się od Ziemi wskutek słonecznego przyływu. Przyciąganie Słońca, które oddziaływało na warstwę lżejszej skały (granitu) jak na ciało płynne, uniosło w górę pewien jej fragment i wyrwało go naszej planecie. Pokrywające wówczas całą Ziemię wody, które zostały w większości wessane przez wir, powstały wskutek ucieczki Księżyca (wirem tym okazał się Pacyfik), odsłaniając resztę granitu, który się rozłupał i pofałdował, tworząc kontynenty. Ewolucja życia na Ziemi bez Księżyca, gdyby w ogóle do niej doszło, wyglądałaby zupełnie inaczej.

Tak, tak, teraz, kiedy o tym mówicie, pamięć mi wraca! – *wykrzyknął stary Qfwfq*. – Jakżeby inaczej? Księżyc zaczął się wynurzać spod wody niczym grzyb: właśnie przepływałem tamtędy łódką i nagle poczułem, że coś mnie od dołu wypycha. Do diaska! Mielizna! – wołam, ale oto jestem już wywindowany z moją łódką na czubek jakiejś narośli, a wędka i haczyk zwisają mi w próżni.

Teraz łatwo o tym mówić, ale chciałbym was widzieć wówczas, jak przewidujecie te zjawiska! Pewnie, nawet wtedy znalazł się ktoś, kto uczył nas na zagrożenia, jakie niesie przyszłość, i można obecnie powiedzieć, że ten ktoś wiele rzeczy przewidział, wprawdzie nie odnośnie do Księżyca, bo Księżyc zaskoczył wszystkich, ale przewidział, że wyłonią się obszary ziemi. Inspektor Oo z Obserwatorium Przyływów i Odpływów wygłosił na ten temat wiele odczytów, ale nikt mu nie uwierzył. Na szczęście, ponieważ on potem grubo pomylił się w obliczeniach i przyszło mu za to zapłacić.

W tamtym czasie całą powierzchnię globu pokrywały wody, spod których nie było widać połaci ziemi. Każda rzecz na tym świecie była spłaszczona, pozbawiona wypukłości, morze było spokojną i gładką kałużą, a my wyruszyliśmy na swoich szalupach na połów płastug.

Na podstawie obliczeń poczynionych w Obserwatorium Inspektor Oo wyciągnął wniosek, że Ziemię czekają wielkie przemiany. Zgodnie z jego teorią ziemski glob miał się w niedalekiej przyszłości podzielić na dwie strefy: kontynentalną i oceaniczną. W strefie kontynentalnej powstaną wkrótce góry i koryta wodne, a także pojawi się bujna roślinność. Przed tymi z nas, którzy znajdą się na kontynencie, otworzą się niepomierne bogactwa; oceany zaś nie będą się nadawały do zamieszkiwania dla nikogo, nie licząc właściwej im fauny, a nasze kruche łodzie zostaną zmiecione przez potężne burze.

Ale kto mógł traktować poważnie równie apokaliptyczne przepowiednie? Całe nasze życie toczyło się na cienkiej warstwie wody i nie potrafiliśmy sobie



wyobrazić innego. Każdy żeglował w swojej łódeczce, ja oddawałem się cierpliwej pracy rybaka, pirat Bm Bn szykował zasadzki na pasterzy kaczek, przyczajony za szuwarami, młodziutka Flw zręcznie wiosłowała w swoim kajaku. Kto z nas mógł przypuszczać, że z tej gładkiej, lustrzanej powierzchni podniesie się fala, nie wody, lecz twarda fala granitu i uniesie nas ze sobą?

Ale zacznijmy od początku. Pierwszym, który znalazł się na samej górze, byłem ja, kiedy niespodziewanie osiadłem na mieliźnie. Słyszałem dochodzące znad morza krzyki moich towarzyszy: zabierali kolejno głos, wytykając mnie palcami, nie szczędząc mi drwin, a ich słowa dobiegały do mnie jakby z innego świata:

– Hej, ty tam, Qfwfq, cha, cha!

Garb, na którym się znalazłem, nie tkwił w miejscu: przemieszczał się, tocząc się po powierzchni morza jak bilardowa kula; źle się wyraziłem, to była podziemna fala, która na trasie swojego przebiegu wybrzuszała skalisty dywan, a potem pozwalała mu opaść na dawne miejsce. Rzecz w tym, że ja, unoszony i pchany tym solidnym przyplływem, zamiast spaść do wody, utrzymywałem równowagę tam w górze, posuwając się do przodu, a wokół mnie pojawiały się wciąż nowe ryby pozbawione wody, i te ryby rzucały się, dysząc na twardym gruncie, który pomału się wynurzał.

O czym myślałem? Z pewnością nie o teoriach Inspektora Oo (ledwie znałem jego nazwisko), lecz o nowych możliwościach połowu ryb, które się przede mną niespodziewanie otwierały; wystarczyło, bym wyciągnął ręce, a już napełniałem łódź płastugami. Dobiegające z innych łodzi okrzyki zdumienia i drwiny zamieniały się w przekleństwa, w pogrożki. Rybacy nazywali mnie złodziejem, piratem: u nas obowiązywała zasada, żeby każdy łowił w strefie, która została mu przydzielona; przekroczenie tej granicy było uznawane za przestępstwo. Ale kto zdołałby teraz powstrzymać tę samobieźną mieliznę? To nie moja wina, że łódź mi się napełniała, podczas gdy ich łodzie pozostawały puste.

Scena wyglądała następująco: bańka granitu, rozrastając się, przemierzała bezmiar wód, otoczona chmurą śmigających płastug; ja łapałem ryby w locie; z tyłu mknęły w pościgu łodzie zawistnych towarzyszy, którzy próbowali przypuścić szturm na moją małą fortecę; a potem zaczął narastać coraz większy dystans, którego nikt z nowych zastępów moich prześladowców nie potrafił pokonać; ogarniał ich zmierzch, powoli spowijał ich mrok nocy, podczas gdy ja byłem tam, gdzie Słońce nie przestawało świecić w porze wiecznego południa.

Nie tylko ryby utknęły na kamiennej fali; wszystko, co unosiło się na

wodzie, ulegało w końcu zatopieniu: flotyllę kanadyjek wypełnionych lucznikami, pontony z żywnością, ozdobne galery wiozące królów i księżniczki oraz ich świty. Na horyzoncie rysowały się miasta zbudowane na palach, wznoszące się nad wodą; i z miejsca były zmiotane w łoskocie łamanych desek i słomy, i jazgotu kur. Były to już oznaki ujawniające naturę zjawiska: krucha warstwa rzeczy pokrywających świat mogła zniknąć, zastąpiona przez ruchomą pustynię, której przejście niszczyło i wykluczało każde żywe istnienie. Już to powinno nas było ostrzec, nas wszystkich i Inspektora. Aleja, powtarzam, nie stawiałem hipotez na temat przyszłości: cała moja uwaga skupiała się na utrzymaniu równowagi i na próbach ocalenia równowagi szerszej, bardziej ogólnej, wstrząsanej od podstaw.

Przy każdej przeszkodzie, którą kamienna fala rozbijała w pył, spływał na mnie deszcz rupieci, narzędzi, diademów. Na moim miejscu ktoś pozbawiony skrupułów (jak potem wyszło na jaw) rzuciłby się do plądrowania. Ja natomiast – przecież mnie znacie – tego nie zrobiłem. A nawet ogarnęło mnie wręcz przeciwne szaleństwo: zacząłem odrzucać nieszczęsnym rybakom płastugi, które z taką łatwością zdobywałem. Nie mówię tego, żeby podkreślać swoje zasługi; w ten sposób wyrażałem sprzeciw wobec tego, co się działo, próbowałem zaradzić szkodom, wspomóc ofiary. Wołałem ze szczytu rozpadzonej góry:

– Ratuń się, kto może! Uciekajcie! Z drogi! – Staralem się podeprzeć te rozchwiane pale, których mogłem dosięgnąć, żeby po przejściu fali one ustały jeszcze na swoim miejscu. A porzuconym rozbitkom, którzy pluskali się tam, w dole, rozdawałem to wszystko, co wskutek zderzeń i wstrząsów znajdowało się w zasięgu moich rąk. Miałem nadzieję, że moja obecność tam, na szczycie, wytworzy nową równowagę. Cieszyłbym się, gdyby kamienna fala uniosła zarazem całe zło swojego ponurego przejścia i całe dobro uczynków, jakim się poświęcałem; były to aspekty tego samego naturalnego zjawiska, które pognębiło wolę moją i wolę innych.

Tymczasem nic mi się nie udawało: ludzie nie rozumieli moich wołań i się nie usuwali, palowe fundamenty waliły się, ledwie ich dotykałem, wyrzucane przeze mnie rzeczy wywoływały w wodzie bójki i wzmagały zamieszki.

Jedynym dobrym uczynkiem, jaki mi się powiódł, było uratowanie stada kaczek, które nie padły łupem rabusia Bm Bn. Niczego nieświadom pasterz płynął wśród szuwarów na swojej pirodze i nie dostrzegł wymierzonej w siebie włóczni, która miała go przebić. Dotarłem na kamiennej fali w samą porę, by powstrzymać ramię bandyty. Zawołałem „sio, sio” do kaczek, które odleciały w bezpieczne miejsce. Ale ponieważ znajdowałem się tuż nad nim, Bm Bn

uczepił się mnie: znaleźliśmy się we dwóch na szczycie kamiennej fali, a równowaga między dobrem a złem, którą miałem jeszcze nadzieję ocalić, została ostatecznie pogrzebana.

Dla Bm Bn była to jeszcze jedna okazja do nowych rozbojów, aktów kłusownictwa, niszczenia. Fala granitu nadal negowała istnienie świata, niczego nieświadoma i obojętna; ale panował nad nią umysł, który tę negację obracał na swoją korzyść. Byłem teraz więźniem już nie ślepego sejsmicznego kataklizmu, lecz więźniem pirata; co mogłem zrobić, by powstrzymać te dwie tak jednoznaczne siły? Zawieszony pomiędzy kamieniem a bandytą czułem niejasno, że opowiadam się po stronie kamienia, w tajemniczy sposób czułem, że jest on moim sprzymierzeńcem, ale nie wiedziałem, jak mam pod niego podłączyć swoje mizerne siły, by powstrzymać Bm Bn przed dalszymi aktami przemocy i grabieży.

Nic się nie zmieniło, kiedy na kamiennej fali znalazła się również Flw. Byłem zmuszony patrzeć na jej porwanie i nie mogłem nawet ruszyć palcem, żeby mu zapobiec, ponieważ Bm Bn związał mnie jak baleron. Flw nadpływała w kajaku pośród wodnych lilii i żonkili; Bm Bn zakręcił w powietrzu długie lasso i ją porwał; ale była to dziewczyna miła i ustępliwa, i pogodziła się z tym, że zostanie branką tego brutala.

Ja natomiast się nie pogodziłem i dałem temu wyraz:

– Nie mam zamiaru oświetlać ci drogi, Bm Bn. Rozwiąż mnie, a sam odejdę.

Bm Bn ledwie raczył odwrócić głowę:

– A ty co tu jeszcze robisz? – warknął. – Czy jesteś tutaj, czy cię nie ma, dla mnie liczysz się mniej niż mucha. Idź, skacz do morza, utop się – i mnie rozwiązał.

– Pójdę, ale jeszcze o mnie usłyszysz – odrzekłem i szepnąłem, zwracając się do Flw: – Czekać na mnie, uwolnimy cię!

Zamierzałem właśnie skoczyć. I w tej samej chwili spostrzegłem na horyzoncie kogoś, kto krążył po morzu na szczudłach. Na widok naszej fali nie usunął się na bok, lecz wyszedł nam naprzeciw. Ze szczudeł zostały drzazgi, on sam upadł na granit.

– Moje obliczenia nie zawiodły – oznajmił. – Pozwólcie, że się przedstawię: Inspektor Oo z Obserwatorium Przyływów i Odpływów.

– Przybywa pan w samą porę, panie Inspektorze, żeby udzielić mi rady, jak mam postąpić – odezwałem się. – Sytuacja tutaj w górze doszła do takiego punktu, że miałem zamiar odejść.

– Popelniłby pan wielki błąd – zaproponował Inspektor – i zaraz panu

wyjaśnię, dlaczego.

Zaczął wykładać mi swoją teorię, popartą już faktami: rozpoczynał się właśnie oczekiwany proces wynurzania się kontynentów, czego dowodem było wydęcie, na którym się znajdowaliśmy; otwierała się przed nami era nowych, bezkresnych możliwości. Słuchałem z otwartymi ustami: sprawy przybierały nowy obrót, miejsce, w którym tkwiłem, nie było już ośrodkiem zniszczenia i tragedii, lecz perłą nowych możliwości ziemskiego życia, tysiąc razy zasobniejszego.

– I dlatego – dokończył triumfalnie Inspektor – chciałem się znaleźć po waszej stronie.

– Jeżeli pozwolę ci tu zostać! – zaśmiał się szyderczo Bm Bn.

– Jestem pewien, że zostaniemy przyjaciółmi – oznajmił Oo. – Czekają nas wielkie kataklizmy, a moje badania i prognozy pozwolą nam opanować sytuację, a nawet obrócić ją na naszą korzyść.

– Nie tylko na naszą, mam nadzieję! – wykrzyknąłem. – Jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, panie Inspektorze, jeżeli to wielkie szczęście przypadło w udziale właśnie nam, to jakże możemy wykluczyć naszych bliźnich? Musimy powiadomić wszystkich, których napotkamy! Zabrać ich ze sobą!

– Milcz, kwiczo! – i tu Bm Bn schwycił mnie za brzuch – jeżeli nie chcesz wylądować na powrót w błocie, z którego pochodzisz! To miejsce jest dla mnie i dla tych, których sam sobie dobiore, i basta! Dobrze mówię, panie Inspektorze?

Zwróciłem się do Oo, pewien, że znajdę w nim sprzymierzeńca przeciwko arogancji bandyty:

– Panie Inspektorze, z pewnością nie egoizm powodował pana badaniami! Nie może pan pozwolić, żeby Bm Bn wykorzystał je do swoich osobistych celów...

Inspektor wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie chciałbym się wypowiadać na temat waszych wewnętrznych sporów: nie wiem, jakie okoliczności je poprzedziły. Jestem inżynierem. Jeżeli tutaj, jak mi się wydaje, pan dowodzi – i skinął głową w stronę Bm Bn – chciałbym poddać pana rozważeniu wyniki moich obliczeń...

Rozczarowanie, jakie poczułem, słuchając tych słów, niczym świadectwa najbardziej nieoczekiwanej zdrady, nie tyle dotyczyło samej osoby Inspektora, ile jego prognoz przyszłości. Inspektor nadal opisywał życie, które miało się rozwinąć na wynurzonych ziemiach, opisywał miasta wzniesione na murowanych fundamentach, ulice, którymi podążają wielbłądy i konie, i wozy, i koty, i karawany, i kopalnie złota i srebra, i lasy trzciny i sandałowców,

i słonie, i piramidy, i wieże, i zegary, i piorunochrony, i tramwaje, dźwigi, windy, wieżowce, girlandy i sztandary w dni świąt narodowych, świetliste, wielobarwne szyldy na fasadach teatrów i kin, których odbłask, w nocie wielkiej gali, padałby na perły osadzone w naszyjnikach. Wszyscy go słuchaliśmy, Flw z urzeczonych uśmiechem, Bm Bn z nozdrzami rozdętymi żądzą posiadania; ale we mnie te bajeczne prorocтва nie budziły już żadnej nadziei, ponieważ oznaczały tylko ciągłość rządów mojego wroga, a to wystarczało, aby każda cudowna rzecz powlekała się lśniąca, fałszywą i pospolitą patyną.

Powiedziałem o tym Flw w chwili, kiedy tamci byli zajęci snuciem projektów.

– Więcej jest warte nasze ubogie wodne życie poławiaczy płastug niż tyle luksusów opłaconych zależnością od Bm Bn! – I zaproponowałem jej, żebyśmy razem uciekli, porzucając bandytę i Inspektora na przyszłym kontynencie: – Zobaczymy, jak sobie sami poradzą...

Czy ją przekonałem? Flw była, jak wam już powiedziałem, stworzeniem uległym, delikatnym jak skrzydło motyla. Perspektywy roztoczone przez Inspektora ją pociągały, ale brutalność Bm Bn odpychała. Nie było mi trudno rozbudzić w niej urazę do bandyty; zgodziła się pójść ze mną.

Granitowa wypukłość zdawała się bardziej niż kiedykolwiek wypychana z wnętrza ziemi, z całych sił dążąc ku Słońcu. A nawet część bardziej wystawiona na słoneczne przyciąganie nieustannie się rozrastała, tak że strefa poniżej skurczyła się, tworząc wąskie gardło lub szypułkę, ukrytą w stożku cienia. Należało skorzystać z tej drogi ucieczki i z osłony przed południowym światłem.

– Nadszedł właściwy moment! – zawołałem, chwyciłem ją za rękę i ześlizgnęliśmy się oboje wzdłuż szypułki. – Teraz albo nigdy!

Wypowiedziałem te słowa jako emfaticzną przestrożę, nie przypuszczając nawet, że tak dosłownie się sprawdzą. Zaledwie oddaliliśmy się wpływ od tego, co widziane obecnie z zewnątrz, wyglądało na monstualny podział naszej planety, kiedy ziemią i wodami targnął wstrząs. Masa granitu, którą przyciągało do siebie Słońce, odrywała się od bazaltowego dna, w jakie do tej pory była wrośnięta. I ogromnych rozmiarów gład – w części górnej wyblakły i porowaty, w dolnej nasycony jeszcze śluzem wnętrza ziemi, pokryty smugami płynnych minerałów i lawy, obwieszony przez kolonie dżdżownic – poszybował w niebo, lekki jak liść. W czeluść rozpadliny spływały kaskadami wody globu, a nieco dalej zaczynały się wyłaniać wyspy i półwyspy, i płaskowyże.

Zaczepliwszy się na tych wynurzonych pagórkach, zdołałem uprowadzić

w bezpieczne miejsce Flw i samego siebie, ale nie potrafiłem jeszcze oderwać wzroku od tego fragmentu świata, który uleciał w niebo i oddalał się ruchem obrotowym. Zdołałem tylko przechwycić pomstowania Bm Bn, który miał za złe Inspektorowi:

– Ty i te twoje zakichane prognozy, głąbie jeden... – Podczas gdy ruch obrotowy już wyrównywał ostre krawędzie i występy, szlifując bryłę o jednorodnej i wapiennej powierzchni. Słońce było już daleko, a kulę, która od tej pory miała się nazywać Księżycem, dosięgła noc, i Księżyc zachował swoją bladą, jakby pustynną poświatę.

– Ci dwaj dostali za swoje! – wykrzyknąłem, a ponieważ Flw niezbyt dobrze zdawała sobie sprawę ze zmiany sytuacji, wyjaśniłem: – Tamto nie było kontynentem, zapowiedzianym przez Inspektora, ale jeżeli zmysły mnie nie zawodzą, ten kontynent wyrasta właśnie pod naszymi stopami.

Góry i rzeki, i doliny, i pory roku, i pasaty kształtowały rzeźbę wynurzanych obszarów. Już pierwsze iguanodony, zwiastuny przyszłości, wychodziły na otwartą przestrzeń z lasów sekwoi. Flw przyjmowała wszystko w sposób naturalny: zerwała z gałęzi ananas, rozbiła jego skorupę o pień drzewa, wgrzyzła się w soczysty miąższ, wybuchła śmiechem.

Sprawy przybrały taki obrót, jak wiecie, i tak jest aż do dzisiaj. Flw, nie można w to wątpić, jest zadowolona. Przechadza się nocą rozświetloną neonowymi szyldami, owija się gładko w szynszyle, uśmiecha się przed fleszami fotografów. Ale ja zadaję sobie pytanie, czy ten świat jest naprawdę moim światem.

Czasami podnoszę wzrok na Księżyc i na myśl przychodzi mi pustynia, chłód, pustka, które obciążają drugi talerz wagi i podtrzymują ten nasz ubogi przepych. Jakkolwiek w porę przeskoczyłem na tę stronę, było to dzieło czystego przypadku. Wiem, że tutaj na Ziemi jestem dłużnikiem Księżyca, jestem dłużnikiem tego, co jest, wobec tego, czego nie ma.

## Córki Księżyca

Księżyc, wyzbyty osłony powietrza, która służyłaby mu za tarczę, od samego początku był wystawiony na ciągły grad meteorytów i na erozyjne działanie promieni słonecznych. Według Toma Golda z Cornell University, skały księżycowej powierzchni zamieniły się w pył wskutek przedłużonego tarcia cząstek meteorytów. Według Gerarda Kuipera z Uniwersytetu w Chicago, ulatnianie się gazu z księżycowej magmy nadało satelicie porowatą i lekką konsystencję, przypominającą pumeks.

Księżyc jest stary – *zgodził się Qfwfq* – podziurawiony, zużyty. Tocząc się nago po niebie, zużywa się i wysycha, jak obgryzana kość. Nie dzieje się tak po raz pierwszy; pamiętam nawet jeszcze starsze i bardziej wyniszczone księżyce; widziałem już tyle księżyców, jak rodziły się, przebiegały niebo i umierały, jeden podziurawiony jak sito gradem spadających gwiazd, innemu eksplodowały wszystkie kratery, jeszcze innego pokryły szybko parujące krople potu barwy topazu, a potem zielonkawe chmury, i zredukowały go do wyschniętej i gąbczastej skorupy.

Nie jest łatwo opisać to, co dzieje się na Ziemi, kiedy umiera Księżyc; spróbuję to zrobić, odwołując się do ostatniego przypadku, jaki zapamiętałem. W wyniku długiej ewolucji Ziemia, można by rzec, już wtedy dotarła do punktu, w jakim znajdujemy się obecnie; czyli weszła w tę fazę, w której szybciej zużywają się samochody niż zelówki butów; istoty prawie ludzkie oddawały się produkcji i sprzedaży, i kupowaniu; kontynenty pokrywały miasta o jaskrawej pigmentacji. Miasta te wyrastały mniej więcej w tych samych miejscach, co dzisiaj, jakkolwiek kształt kontynentów był nieco odmienny. Istniał nawet Nowy Jork, w pewnej mierze podobny do dzisiejszego Nowego Jorku, który wszyscy dobrze znacie, ale dużo nowszy, pełen nowych produktów, nowych szczoteczek do zębów, Nowy Jork z Manhattanem, gęsto usianym wieżowcami, które lśniły jak nylonowe włókna nowiutkiej szczoteczki do zębów.

W tym świecie, w którym każda rzecz przy najmniejszej oznace uszkodzenia lub zużycia, przy pierwszej kontuzji czy plamce była natychmiast wyrzucana i wymieniana na inną, nową i nienaganną, istniał tylko jeden zgrzyt, jeden cień: Księżyc. Błądził po niebie ogołcony, spróchniały i szary, coraz bardziej obcy temu światu tutaj, na dole, jako relikwium całkiem niestosownego sposobu istnienia.

Dawne wyrażenia, takie jak „księżyc w pełni”, „półksiężyc”, „ostatnia kwadra”, nie wyszły z użycia, ale była to tylko retoryka: jak można było mówić

o pełni w odniesieniu do tego kształtu pełnego szczelin i szczerb, który zawsze wyglądał tak, jakby miał spuścić nam na głowy deszcz gruzu? Nie wspominając już o fazie, kiedy Księżyc ubywało! Księżyc przeobrażał się w skorupę wygryzionego sera i znikał zawsze wcześniej, niż się spodziewano. Przy nowiu za każdym razem się zastanawialiśmy, czy nam się jeszcze ukaże (mieliśmy może nadzieję, że nareszcie zniknie?), a kiedy Księżyc znów się pojawiał, coraz bardziej przypominając grzebień, który traci zęby, odwracaliśmy wzrok, doznając dreszczy.

Był to widok przygnębiający. Maszerowaliśmy w tłumie, który z naręczami paczek wchodził i wychodził ze sklepów, czynnych dniem i nocą, przebiegaliśmy wzrokiem świetliste napisy, które pnąc się wzdłuż wieżowców, niezawodnie powiadamiały nas o nowych produktach rzucanych na rynek, i oto widzieliśmy, jak on wychodzi nam naprzeciw, blady pośród tych jaskrawych świateł, spowolniony, chory, nie potrafiliśmy odpędzić od siebie myśli, że każda nowa rzecz, każdy świeżo kupiony produkt może się uszkodzić, zepsuć, wyblaknąć, i z mniejszym entuzjazmem biegliśmy kupować i harować, a to nie pozostawało bez wpływu na dalszy rozwój przemysłu i handlu.

Tak też zaczął się wyłaniać problem, co począć z tym szkodliwym satelitą: niczemu już nie służył; był wrakiem, który nie nadawał się nawet na złom. Tracąc ciężar, poruszał się, nachylając swoją orbitę ku Ziemi: w dodatku stanowił zagrożenie. A im bardziej się zbliżał, tym bardziej zwalniał bieg; jego kwadry nie stanowiły już podstawy obliczeń; także kalendarz i rytm miesiący były czysto konwencjonalne; Księżyc poruszał się skokami, jakby miał zaraz runąć.

W tamte noce nisko zawieszony Księżyc osoby o chwiejnym usposobieniu oddawały się rozmaitym dziwactwom. Zawsze znalazł się jakiś lunatyk, który chodził po gzymsach wieżowca z rękami wyciągniętymi w stronę Księżyca, czy też wilkołak, który zaczynał wyć na środku Times Square, albo piroman, który podkładał ogień w składach portowych doków. Były to zjawiska niemal codzienne i nawet już nie przyciągały zwyczajowego wianuszka gapiów. Ale kiedy zobaczyłem całkowicie nagą dziewczynę, siedzącą na ławce w Central Parku, nie mogłem nie przystanąć.

Jeszcze zanim ją dostrzegłem, miałem poczucie, że wydarzy się coś niezwykłego. Przemierzając Central Park za kierownicą odkrytego samochodu, poczułem, że zalewa mnie światło, które drgało tak, jak drgają jarzeniówki, nim całkiem się rozpalą, wysyłając całą serię sinych i mrugających błysków. Widok dookoła przypominał ogród, który zapadł się w głąb księżycowego krateru. Obok fontanny, w której odbijał się skrawek Księżyca, siedziała naga



dziewczyna. Zahamowałem. Zdawało mi się, że ją rozpoznaję. Wybiegłem z samochodu, kierując się w jej stronę; ale stanąłem jak ogłuszony. Nie wiedziałem, kim ona jest; czułem tylko, że pilnie muszę coś dla niej zrobić.

Wokół ławki leżały jej rozrzucone ubrania, pończochy i buty, jeden tu, drugi tam, kolczyki i naszyjniki, i bransoletki, torebka i torba na zakupy, i cała ich zawartość rozsiana w kręgu o długim promieniu, i liczne paczki, i towary, jakby ta istota, wracając z obfitego shoppingu, poczuła czyjeś wołanie i z miejsca upuściła wszystko na ziemię, pojęła, że musi uwolnić się od każdej rzeczy czy znaku, który wiązał ją z Ziemią, i teraz siedziała tam, czekając, aż zostanie przyjęta przez księżycowy glob.

– Co się dzieje? – wyjąkałem. – Czy mogę w czymś pomóc?

– *Help?* – spytała, z oczami wciąż szeroko rozwartymi, wpatrzona w niebo.

– *Nobody can help.* Nikt na to nie poradzi – i było jasne, że nie ma na myśli siebie, lecz Księżyc.

Tkwiał nad nami, wypukły, podziurawiony jak durszlak, niemal nas przygniatał, jak dach, który ma się zapaść. W tej samej chwili zaczęły ryczeć zwierzęta w zoo.

– Czy to już koniec? – spytałem odruchowo, sam nawet nie wiedząc, o co pytam.

Ona odparła:

– Zaczyna się – czy coś w tym rodzaju (mówiła, prawie nie otwierając ust).

– Co chce pani przez to powiedzieć? Że zaczyna się koniec czy zaczyna się coś innego?

Wstała, zrobiła parę kroków po łące. Miała długie, miedziane włosy, które spływały jej na ramiona. Była tak bezbronna, że czułem niemal potrzebę zaopiekowania się nią, posłużenia jej za tarczę, i wyciągnąłem ku niej ramiona, jakbym chciał ją uchronić przed upadkiem lub oddalić od niej każdą rzecz, która mogłaby ją zranić. Ale moje ręce nie ośmielały się jej musnąć, nieruchomiejąc zawsze o parę centymetrów od jej skóry. I podążając tak za nią przez klomby, zdawałem sobie sprawę, że jej ruchy są podobne do moich, że ona także stara się uchronić coś kruchego, coś, co mogłoby upaść i się roztrzaskać, i co należy doprowadzić do miejsca, gdzie mogłoby łagodnie osiąść, coś, czego w każdym razie ona nie ośmielała się dotknąć, lecz tylko wspomóc gestami: był to Księżyc.

Wydawał się zagubiony; opuściwszy koleiny swojej orbity, nie wiedział, dokąd ma podążać; pozwalał się unosić jak suchy liść. To jakby opadał prosto w dół w stronę Ziemi, to skręcał się w spiralę, to dryfował. Tracił wysokość, to nie budziło wątpliwości: przez chwilę zdawało się, że rozbije się o Hotel Plaża,

tymczasem on wpłynął gładko w korytarz między dwoma wieżowcami i zniknął nam z oczu gdzieś nad Hudsonem. Zjawił się po chwili z drugiej strony, wynurzając się zza chmury, zalewając wapiennym światłem Harlem i East River, i jakby uniesiony porywem wiatru, potoczył się w stronę Bronksu.

– Jest tam! – zawołałem. – O, zatrzymuje się!

– Nie może się zatrzymać! – krzyknęła dziewczyna, po czym naga i bosa pobiegła przez łąki.

– Gdzie idziesz? Nie możesz tak odejść! Stój! Mówię do ciebie! Jak się nazywasz?

Wykrzyczała jakieś imię, Daiana lub Deanna, które mogło być też wołaniem. I zniknęła. Żeby ją dogonić, wsiadłem z powrotem do samochodu i zacząłem przeszukiwać aleje Central Parku.

Reflektory oświetlały żywopłoty, pagórki, obeliski, ale Diany nigdzie nie było. Oddaliłem się już za bardzo: musiała zostać z tyłu; zawróciłem, żeby przebyć tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Jakiś głos za mną powiedział:

– Nie, jest tam, idź prosto!

Za moimi plecami, na opuszczanym dachu mojego samochodu siedziała naga dziewczyna, wskazując mi Księżyc.

Chciałem jej powiedzieć, żeby usiadła niżej, że nie mogę jechać tak przez całe miasto, ale nie śmiałem jej rozpraszać, skoro ona całą uwagę skupiała na świetlistej plamie, która to zniknęła, to pojawiała się w głębi Avenue. A poza tym – co najdziwniejsze – żaden przechodzień zdawał się nie zauważać tej wyprostowanej kobiecej postaci na dachu odkrytego samochodu.

Przebyliśmy jeden z mostów, które łączą Manhattan ze stałym lądem. Teraz jechaliśmy ulicą wielopasmową, po bokach śmigały inne samochody, a ja miałem wzrok utkwiony przed siebie, obawiając się śmiechów i kpin, jakie z pewnością nasz widok wywoływał u pasażerów sąsiednich samochodów. Ale kiedy minął nas jeden z nich, ze zdumienia omal nie zjechałem na bok: na dachu limuzyny siedziała przycupnięta naga dziewczyna, z włosami rozwianymi na wietrze. Przez sekundę przemknęła mi myśl, że to moja pasażerka przeskoczyła w pędzie z jednego auta na drugie, ale wystarczyło, żebym zerknął w tył, aby się przekonać, że kolana Diany tkwiły wciąż na wysokości mojego nosa. I nie tylko jej postać jaśniała pod moim spojrzeniem: wszędzie widać było dziewczyny wyciągnięte w najdziwniejszych pozach, uczipione chłodnicy, drzwiczek, błotników jadących samochodów, i tylko złota lub ciemna grzywa włosów kontrastowała z różowym lub smagłym blaskiem nagiej skóry. Na każdym samochodzie siedziała jedna z tych tajemniczych pasażerek, wychylona do przodu, nakłaniając kierowcę do pościgu za

Księżycem.

Zostały wezwane przez Księżyc w niebezpieczeństwie: to było pewne. Ile ich było? Nowych samochodów okupowanych przez księżycowe dziewczyny przybywało na każdym skrzyżowaniu i na każdym rozdrożu, z wszystkich dzielnic miasta zmierzały one do miejsca, nad którym Księżyc zdawał się zawisnąć. Na krańcu miasta stanęliśmy przed cmentarzem samochodów.

Droga pięła się w górzystej okolicy, pełnej dolinek i pasm, i pagórków, i szczytów; chociaż jej nierówności nie były wynikiem rzeźby terenu, lecz wynikiem nawarstwienia się wyrzuconych przedmiotów: na te niezabudowane grunty trafiało wszystko, czego miasto pozbywało się zaraz po zużyciu, pragnąc z miejsca odnaleźć radość, jaką zapewnia zabawa nowymi rzeczami.

W ciągu wielu lat to bezkresne cmentarzysko samochodów obrosło stertami dziurawych lodówek, pożółkłych numerów pisma „Life”, przepalonych żarówek. Nad tym poszarpanym i zardzewiałym terenem opuszczał się teraz Księżyc, a bezmiar pogniecionej blachy wybrzuszał się jakby pod naporem przyływu. Byli do siebie podobni, zgrzybiały Księżyc i ta ziemską skorupa zastygła w skupisko złomu; góry żelastwa tworzyły łańcuch, który amfiteatralnie zamykał się na samym sobie, przybierając kształt krateru wulkanu lub księżycowego morza. Księżyc zawisł nad tym wszystkim i było tak, jakby planeta i jej satelita przeglądali się w sobie nawzajem.

Silniki naszych samochodów umilkły: nic tak bardzo nie onieśmiela samochodów jak ich własne cmentarze. Diana wysiadła i wszystkie pozostałe Diany zrobiły to samo. Ale teraz ich zapał trochę osłabł: stawiały niepewne kroki, jakby obecność tych żelaznych szczątków, powykręcanych i tnących, przywróciła im nagle świadomość, że są nagie; wiele z nich skrzyżowało ramiona, żeby zakryć piersi, jakby przebiegł je zimny dreszcz. Tymczasem szły w rozproszeniu, wspinając się na górę martwych przedmiotów, pokonały koronę amfiteatru, zeszły w głąb, ustawiły się w wielkim kręgu. Wtedy wszystkie naraz uniosły w górę ramiona.

Księżyc poderwał się, jakby pod wpływem tego gestu, i przez chwilę zdawało się, że odzyskuje siły i wzbija się w niebo. Dziewczyny z kręgu stały z wyciągniętymi ramionami, mając piersi i twarze zwrócone w stronę Księżyca. Czy Księżyc właśnie tego od nich oczekiwał? Czy właśnie ich potrzebował, żeby utrzymać się na niebie? Nie zdążyłem zadać sobie tego pytania. W tej chwili na scenę wjechał dźwig.

Dźwig został zaprojektowany i zbudowany przez władze, które postanowiły oczyścić niebo z tak nieestetycznej zawady. Był to buldożer, który wysuwał w górę coś w rodzaju kleszczy kraba; toczył się do przodu na swoich

gąsienicach, niski i krępy, zupełnie jak krab; a kiedy znalazł się w miejscu właściwym do przeprowadzenia operacji, spłaszczył się jakby jeszcze bardziej, żeby przywrzeć do ziemi całą swoją powierzchnią. Wciągarka obróciła się błyskawicznie; uniosła ramię ku górze; aż trudno było przypuścić, że można skonstruować dźwig o tak długim ramieniu. Zębaty chwytak się otworzył; teraz bardziej niż kleszcze kraba przypominał paszczę rekina. Księżyc był tam; zakolysał się, jakby chciał uciec, ale dźwig wydawał się namagnesowany: Księżyc, przyciągnięty, trafił prosto w jego paszczę. Metalowe szczęki zwały się z suchym trzaskiem: krak! Przez chwilę sądziliśmy, że Księżyc rozkruszył się jak beza, tymczasem on utkwiał między zaworami chwytaka, zostając częściowo na zewnątrz, a częściowo w środku. Nabral podłużnego kształtu, był teraz czymś w rodzaju grubego cygara, trzymanego w zębach. Na ziemię spłynął deszcz barwy popiołu.

Teraz dźwig usiłował wyrwać Księżyc z jego orbity i sprowadzić go na dół. Wciągarka zaczęła się obracać w odwrotnym kierunku, już z wielkim trudem. Diana i jej towarzyszkę trwały nieruchomo z uniesionymi ramionami, mając jakby nadzieję, że zdołają pokonać wrogi atak, przeciwstawiając mu siłę własnego kręgu. Dopiero wówczas, kiedy popioły z księżycowego rozpadu spłynęły im na twarze i piersi, ujrzeliśmy, że dziewczyny się rozpraszają. Diana wydała przenikliwy krzyk skargi.

Właśnie w tej samej chwili uwięziony Księżyc utracił resztę swojej świetlistości: zamienił się w czarną i bezkształtną skalę. Runąłby na Ziemię z łoskotem, gdyby nie powstrzymały go zęby chwytaka. Na dole porządkowi szykowali stalową sieć, przybijając ją do gruntu długimi gwoździami wokół miejsca, gdzie dźwig ostrożnie składał swój ładunek.

Kiedy Księżyc znalazł się na Ziemi, był już tylko dziobatym i piaskowym głazem, tak nieprzejrzystym, że wydawało się niewiarygodne, aby oświetlał kiedyś niebo swoim lśniącem odbiciem. Dźwig otworzył zawory chwytaka, cofnął się na gąsienicach, prawie się wywrócił, niespodziewanie odciążony. Porządkowi czekali z siecią: ciasno owinęli Księżyc. On próbował się szamotać w tym swoim kaftanie bezpieczeństwa: wstrząs pokrewny trzęsieniu ziemi spowodował lawinę pustych puszek, spadających z góry odpadków. Potem wrócił spokój. Niebo, już oczyszczone, oblewały strumienie światła puszcanych z reflektorów. Ale ciemność już bladła.

Świt zastał na cmentarzu samochodów o jeden złom więcej: zatopiony pośród nich Księżyc, nie odróżniał się prawie od innych wyrzuconych przedmiotów; miał ten sam kolor, ten sam wygląd skazańca, budził to samo wrażenie rzeczy, w której trudno rozpoznać dawną nowość. Wokół krateru

ziemskich odpadków niesło się echo pomruku: światło poranka odsłaniało rojowisko budzącego się życia. Między wypatroszonymi szkieletami ciężarówek, wygiętych kół, poskręcanych blach poruszały się brodate istoty.

Pośród wyrzucanych z miasta rzeczy żyła społeczność osób również wyrzuconych, odesłanych na margines czy też takich, które z własnej woli odesłały się na margines albo też zmęczyła je biegania po mieście, mająca na celu tylko sprzedaż i kupno rzeczy nowych, których przeznaczeniem było natychmiastowe przedawnienie: społeczność osób, które uznały, że tylko rzeczy odrzucone są prawdziwym bogactwem świata. Wokół Księżyca, wzdłuż amfiteatru, pełno było tych wychudzonych postaci, których twarze widniały w obramieniu zmierzwionych bród i włosów. Pośród tego tłumu oberwańców czy cudaków była też naga Diana, a wraz z nią wszystkie dziewczyny z minionej nocy. Postąpiły naprzód, zaczęły uwalniać stalowe druty sieci, zdejmując je z powbijanych gwoździ.

Natychmiast, niczym sterowiec uwolniony z cumowania, Księżyc poszybował nad głowami dziewczyn, nad trybuną oberwańców, i zastygł w zawieszeniu, powstrzymywany przez stalową sieć, której drutami manewrowały Diana i jej towarzyszki, raz je ciągnąc, raz puszczając, a kiedy wszystkie zaczęły biec, trzymając w dłoniach końce drutów, Księżyc podążył za nimi.

Ledwie Księżyc się poruszył, zagłębienie odpadków wezbrało jakby falą: stare karoserie, pogniecione jak akordeony, zaczęły maszerować, ze zgrzytem ustawiły się w szeregu, a zastęp dziurawych puszek potoczył się z hukiem grzmotu, nie bardzo wiadomo, czy pociągnięty przez całą resztę, czy też wlokąc ją za sobą. W siad za Księżycem, który ocalał przed wyrzuceniem, wszystkie rzeczy i wszyscy ludzie, pogodzeni już wcześniej z tym, że odrzucono ich na bok, ruszali znów w drogę, rojnie zmierzając ku zamożniejszym dzielnicom miasta.

Tego ranka miasto świętowało Dzień Wdzięczności Konsumenta. Każdego roku, w listopadzie, odbywało się to święto, powołane, żeby dać klientom sposobność okazania wdzięczności Produkcji, która wytrwale zadowalała każde ich życzenie. Największy sklep w mieście organizował coroczną paradę: olbrzymi balon, w kształcie pajaca o jaskrawych barwach, przesuwiał się główną ulicą, utrzymywany na tasiemkach, które ciągnęły dziewczyny w cekinach, maszerujące za orkiestrą. I także tego ranka orszak szedł w dół Fifth Avenue: *majorette* kręciła piruety buławą, rozbrzmiewały wielkie bębny, a balonowy olbrzym, który wyobrażał Zadowolonego Klienta, latał między wieżowcami, grzecznie prowadzony na smyczy przez girlsy w kepi

i szamerunkach, i naramiennikach z frędzlami, jadące na lśniących motocyklach.

W tym samym czasie inny orszak przemierzał Manhattan. Księżyc, odrapany i pokryty pleśnią, także nadciągał, żeglując między wieżowcami, ciągnięty przez nagie dziewczyny, a z tyłu napływał sznur zmasakrowanych samochodów, szkieletów ciężarówek, pośród milczącego tłumu, który pomału przyrastał. Do ciżby, która od wczesnych godzin świtu podążała za Księżycem, dołączyły tysiące osób wszelkiej barwy, całe rodziny z dziećmi w każdym wieku, zwłaszcza teraz, gdy orszak przechodził przez najbardziej zatłoczone, czarne i portorykańskie dzielnice, rozsiadłe wokół Harlemu.

Księżycowy orszak, zwinny i milczący, zygzakiem przemierzył Uptown, wkroczył na Broadway, zbiegając się z innym, który ciągnął przez Fifth Avenue swojego olbrzyma z baloników.

Na Madison Square jedna defilada skrzyżowała się z drugą: powstał jeden orszak. Zadowolony Klient, być może wskutek zderzenia z najeżoną powierzchnią Księżyca, zniknął, zamienił się w szmatkę z kauczuku. Na motocyklach siedziały teraz Diany, które ciągnęły Księżyc na kolorowych tasiemkach; albo też, ponieważ ich liczba się podwoiła, można uwierzyć, że to motocyklistki zrzuciły mundurki i kepi. Podobnego przeobrażenia zaznały również motocykle i samochody z orszaku: nie sposób już było odróżnić, które z nich były stare, a które nowe: wykrzywione koła, pordzewiałe błotniki wymieszały się z lustrzaniem lśniącymi powłokami z chromu, z warstwami lakiem.

A z tyłu, za orszakiem, wystawy pokrywały już pajęczyny i pleśń, windy wieżowców zaczynały skrzypieć i jęczeć, żółkły reklamowe plakaty, lodówkowe pojemniki na jajka wypełniały się piskletami niczym inkubatory, telewizory nadawały trzaski burz atmosferycznych. Miasto strawiło siebie w jednej chwili: i właśnie to miasto, nadające się do wyrzucenia, podążało za Księżycem w jego ostatniej wędrówce.

Przy akompaniamencie zespołu, który bębnił w puste bańki po benzynie, orszak dotarł do mostu Brooklńskiego. Diana uniosła w górę buławę *majorette*: jej towarzyszkę zakreśliły w powietrzu wstążkami. Księżyc poderwał się po raz ostatni, pokonał wygięte kraty mostu, przechylił się w stronę morza, uderzył o lustro wody jak pustak, pogrążył się w głębinach, wypuszczając na powierzchnię miriady pęcherzyków.

Tymczasem dziewczyny, zamiast puścić wstążki, trzymały się ich kurczowo, Księżyc uniosł je w górę, uprawdzając Diany z mostu, poza balustradę: one wykreśliły w powietrzu trajektorie godną nurków i zniknęły

pośród fal.

My zostaliśmy na swoich miejscach, wychyleni spoza balustrady mostu Brooklinskiego i z nabrzeży, osłupiali, miotani raz chęcią skoczenia w ślad za nimi, raz pragnieniem wiary, że one znowu się wynurzą, jak to robiły poprzednio.

Nie musieliśmy długo czekać. Morze zaczęło wibrować do fal, które rozchodziły się kolistnie. W środku tego koła ukazała się wyspa, wyrosła góra, jakby półkula, coś jakby glob, spoczywający na wodzie, a raczej: unoszony na wodzie albo nie: jak nowy Księżyc, który wznosi się w niebo. Mówię, Księżyc, jakkolwiek nie przypominał Księżycyca bardziej niż to coś, co jak widzieliśmy, zanurzyło się przed chwilą w wodzie: jednakże ten nowy Księżyc był odmienny w zupełnie odmienny sposób. Wylaniał się z wody, ciągnąc za sobą pasmo zielonych i lśniących alg; strumienie wody tryskały ze źródeł na trawie, która nadawała Księżycowi szmaragdowy połysk; pokrywała go zamglona roślinność, która bardziej niż rośliny przypominała pawie pióra o mieniących się oczkach.

Ledwie zdołaliśmy dostrzec ten krajobraz, ponieważ dysk, w który był wpisany, oddalał się błyskawicznie po niebie, a bardziej szczegółowe detale zatracaly się w ogólnym wrażeniu świeżości i rozkwitu. Zapadał zmrok: skontrastowane barwy wyrównywały się w rozwibrowanym światlocieniu; księżycowe łąki i lasy ledwie się odcinały od napiętej powierzchni jaśniejącego dysku. Ale zdążyliśmy jeszcze dojrzeć zawieszony na gałęziach hamaki, poruszane wiatrem, a na nich wyciągnięte swobodnie dziewczyny, które zawiodły nas aż tutaj; rozpoznałem wśród nich Dianę, nareszcie ukojoną, która chłodziła się wachlarzem z piór i być może pozdrawiała mnie z daleka.

– Jest! Jest! – wykrzyknąłem; wszyscy krzyczeliśmy, a szczęście z ich odnalezienia już wibrowało rozpaczą z powodu ich utraty, ponieważ Księżyc, wznosząc się w ciemne niebo, wysyłał nam tylko odbłask słońca, które się przeglądało w jego jeziorach i łąkach.

Ogarnął nas szal: puściliśmy się galopem przez kontynent, przez puszcze i sawanny, które znów pokryły Ziemię, grzebiąc miasta i drogi i wymazując wszelkie świadectwa tego, co było. I ryczeliśmy, unosząc w niebo trąby oraz długie i wąskie ciosy, potrząsaliśmy długą sierścią, która porastała nam grzbiety, przejęci gwałtowną trwogą, jaka ogarnia nas, młode mamuty, kiedy dociera do nas świadomość, że życie właśnie się rozpoczyna, a jest jasne, że nie dostaniemy tego, o czym marzymy.

## Meteoryty

Według najnowszych teorii, Ziemia była początkowo niewielkim zimnym ciałem, które następnie urosło, pochłaniając meteoryty i meteorytowy pył.

Z początku ludziliśmy się, że zdołamy utrzymać porządek – *opowiadał stary Qfwfq* – właśnie dlatego że była nieduża i można ją było zamiatać i odkurzać każdego dnia. Dużo rzeczy na nią spadało: można by rzec, że obracając się, Ziemia nie miała innego celu niż zbieranie całego pyłu i spieści, które krążyły w przestrzeni. Teraz jest inaczej, istnieje atmosfera, patrzycie w niebo i mówicie: och, jakie ono jest jasne, jakie przejrzyste; ale trzeba wam było widzieć wszystko, co latało nad naszymi głowami, kiedy planeta, krążąc po swojej orbicie, natykała się na jedną z tych meteorytowych chmur i nie mogła się z niej wydostać. Był to pył tak biały jak naftalina, osadzał się w drobnych cząsteczkach, a czasami w nieco większych odłamkach, krystalicznych, zupełnie jakby nam z nieba runął i roztrzaskał się żyrandol ze szkła, pośrodku znajdowały się większe kamyki, rozproszone okruchy innych systemów planetarnych, ogryzki gruszek, zawory, jońskie kapitele, stare numery „Herald Tribune” i „Paese Sera”: jak wiadomo, wszechświaty powstają i rozpadają się, ale w przestrzeni krążą wciąż te same materiały. Ziemia, nieduża i zwinna (gdyż poruszała się znacznie szybciej niż obecnie), potrafiła uniknąć wielu spadających odłamków: widzieliśmy, że z głębi przestrzeni nadlatuje jakiś przedmiot, łopocząc jak ptak – potem okazało się, że to była na przykład skarpetka – lub też żeglując w lekkim rozkołysaniu – raz był to fortepian – dopływa do nas na odległość pół metra, a potem nic, sunie dalej po swojej trajektorii, nawet się o nas nie otarłszy: zatraca się, może na zawsze, w pustych ciemnościach, które za sobą zostawialiśmy. Ale niejedną raz meteorytowa fala zalewała nas, wzbijając gęsty kurz i wywołując łoskot pustych puszek; w takiej chwili moją pierwszą żonę Xha ogarniało wielkie pobudzenie.

Xha chciała utrzymywać wszędzie ład i czystość; i to jej się udawało. Pewnie, miała z tym sporo pracy, ale ówczesne rozmiary planety pozwalały jeszcze wszystko codziennie ogarnąć, a fakt, że tylko my dwoje ją zamieszkiwaliśmy – jakkolwiek miał tę niedogodność, że nie było nikogo, kto by nam pomógł – był też korzystny, ponieważ dwie równie spokojne i porządne osoby, jak my, nie robią bałaganu, a kiedy biorą jakąś rzecz, odkładają ją zawsze na miejsce; kiedy już uporaliśmy się z naprawą szkód spowodowanych przez meteorytowy gruz, ze starciem kurzu, z praniem i rozwieszeniem bielizny, która wciąż się brudziła, nie zostawało nam już nic



do roboty.

Z początku Xha pakowała śmieci do wielu toreb, które ja ciskałem w próżnię, podrzucając je tak wysoko, jak tylko mogłem: Ziemia miała jeszcze niewielką siłę przyciągania, a ja byłem silny w ramionach i zręcznie rzucałem, toteż mogliśmy się uwalniać od ciał sporej objętości i ciężaru, zwracając je przestrzeni, skąd pochodziły. Wobec drobin pyłu ta operacja była niemożliwa: jakkolwiek napełnialiśmy nimi torebki, nie sposób było odrzucić je tak daleko, żeby do nas nie wracały; niemal zawsze pękały w powietrzu i pokrywały nas kurzem od stóp do głów.

Dopóki to było możliwe, Xha wołała zmiatać kurz w szczeliny gruntu; potem te szczeliny się wypełniły czy też raczej powstała z nich kolonia kraterów. Jest faktem, że wielka ilość nagromadzonego materiału wybrzuszała wnętrze Ziemi, a szczeliny utworzył właśnie rozrost objętości. Należało ten pył rozprowadzić w równomiernych warstwach na powierzchni planety, tak żeby zakrzepł w gładką i ciągłą skorupę i nie sprawiał wrażenia, że porządki zostały w połowie zarzucone lub zaniedbane.

Zręczność i upór, jaki wykazała Xha, starając się usuwać każdą drobinę, która niweczyła uładzoną harmonię naszego świata, służyły teraz przetwarzaniu meteorytowego kruszywa w podstawę tego samego harmonijnego porządku, układaniu kruszywa w regularne warstwy i skrywaniu ich pod łatwą do czyszczenia powierzchnią. Jednakże każdego dnia osiadał na ziemskiej nawierzchni nowy kurz, tworząc powłokę raz cienką, raz pogrubioną przez rozsiane wypukłości i garby; z miejsca zabieraliśmy się do pracy, żeby ułożyć nową warstwę.

Objętość naszej planety rosła, ale dzięki staraniom, jakich moja żona i ja – pod jej kierunkiem – dokładaliśmy, zachowywała kształt pozbawiony nieforemności, występów czy zgorzelin i żaden cień ani skaza nie zakłócały jej biało-naftalinowej jasności. Zewnętrzne warstwy skrywały także te przedmioty, które napłynęły razem z pyłkiem, i których nie mogliśmy już zwrócić nurtom kosmosu, ponieważ masa Ziemi, przyrastając, rozwinęła wokół siebie zbyt obszerne pole grawitacji, aby można je było pokonać, zawierając tylko sile moich ramion. Tam, gdzie odpadki były zbyt duże, grzebaliśmy je pod kopcami pyłu w kształcie starannie usypanych piramid, niezbyt wysokich, ułożonych w symetrycznych szeregach, tak żeby każdy wtętu tego, co nieforemne i samowolne, nie narzucił się naszym spojrzeniom.

Opisując werwę swojej pierwszej żony, nie chciałbym sprawić wrażenia, że w jej gorliwość wkradał się element nerwowości, lęku, niemal paniki. Nie, Xha była pewna, że te deszcze meteorytów były przypadkowym i tymczasowym

zjawiskiem, typowym dla wszechświata pozostającego jeszcze w fazie powstawania. Nie miała wątpliwości, że nasza planeta, inne ciała niebieskie oraz wszystko, co jest ich wnętrzem i zewnętrzem, powinny podlegać prawom ścisłej i regularnej geometrii, która zajmuje się badaniem linii prostych, krzywych, a także powierzchni; według niej, wszystko, co nie mieściło się w tym schemacie, było mało znaczącymi odpadkami i ona starała się je wymieść lub pogrzebać, umniejszając je tym samym, niemal zaprzeczając ich istnieniu. To oczywiście jest moja interpretacja jej poglądów: Xha była kobietą praktyczną, która nie traciła czasu na wypowiedzi uogólniające, lecz starała się dobrze wykonywać to, co w jej mniemaniu potrafiła dobrze wykonywać, i robiła to z ochotą.

Ten ziemski krajobraz, chroniony z tak skrupulatną zaciętością, był terenem naszych wieczornych spacerów, moich i Xha, zanim kładliśmy się spać. Była to płaska, gładka przestrzeń, poprzecinana w równych odstępach schludnymi krawędziami usypisk w kształcie piramid. Nad nami, na niebie, obracały się gwiazdy i planety, utrzymując właściwą prędkość i odległości, odsyłając sobie promienie światła, które kładły się na naszym obszarze jednostajnie rozproszonym migotaniem. Moja żona poruszała fiszbinowym wachlarzem, aby rozproszyć wokół naszych twarzy zawisły w powietrzu kurz; ja trzymałem parasol, który miał nas uchronić przed możliwym gradem meteorytów. Lekkie nakrochmalenie nadawało plisowanym sukniom Xha staranną świeżość; biała wstążka opinała jej włosy.

Pozwalaliśmy sobie na te chwile harmonijnej kontemplacji, ale one nie trwały długo. Wstawaliśmy wcześniej, a już tych kilka godzin snu wystarczało, żeby Ziemię pokryły odpadki.

– Szybko, Qfwfq, nie mamy chwili do stracenia! – mówiła Xha, wkładając mi miotłę do ręki, a ja mszałem w codzienny obchód, podczas gdy świt wybielał ciasny i nagi horyzont równiny. Po drodze tu i tam dostrzegałem sterty złomu i rupieci; w miarę przyrostu światła widoczny stawał się nieprzejrzysty tuman kurzu, który zasnuwał lśniąca nawierzchnię planety. Wymiatąłem wszystko, co tylko można, do kubła lub do worka, który ze sobą niosłem, ale przedtem nie traciłem okazji, żeby przyjrzeć się nieznanym przedmiotom, jakie sprowadziła noc: były tam: bukranion, kaktus, koło od wozu, bryłka złota, projektor filmowy. Obracałem je w rękę, szacując ich wagę, ssalem palec po ukłuciu kaktusem, i z upodobaniem snułem fantazje, że te tak niespójne przedmioty łączy jakaś tajemna więź, którą powinienem odgadnąć. Takim rojeniom mogłem się oddawać tylko wówczas, kiedy byłem sam: w obecności Xha pasja uprzątnania, wymazywania, wyrzucania tak nas oboje

pochłaniała, że nigdy nie patrzyliśmy na to, co wymiatamy. Tymczasem teraz najsilniejszym bodźcem do przeprowadzania codziennych inspekcji stała się dla mnie ciekawość, i każdego ranka wyruszałem niemal radosny, pogwizdując sobie.

Dokonailiśmy z Xha podziału obowiązków, każde z nas miało zadbać o swoją półkulę. Zdarzało się, że z półkuli, która przypadła mi w udziale, nie usuwałem natychmiast odpadów, zwłaszcza kiedy były ciężkie, ale gromadziłem je w jednym miejscu, żeby potem wywieźć je taczka. I tym sposobem powstawały niekiedy całe stosy lub sterty rzeczy; były tam dywany, wydmy piasku, wydania Koranu, szyby naftowe, nedorzeczna zbieranina różnych rupieci. Oczywiście Xha nie pochwaliby mojego systemu, ale ja, jeśli mam powiedzieć prawdę, odczuwałem niejaka przyjemność, widząc, jak na horyzoncie majaczą te niejednorodne zarysy. Zdarzało mi się nawet zostawiać z dnia na dzień nagromadzone rzeczy (Ziemia rozrastała się tak bardzo, że nie każdego dnia Xha miała czas, żeby obejść ją całą), a rankiem miałem niespodziankę, odkrywając, ile nowych rzeczy dołączyło do poprzednich.

Pewnego dnia kontemplowałem tak stos rozbitych skrzyń i zardzewiałych bidonów, nad którymi górował dźwig, podtrzymujący pocięty wrak samochodu, kiedy zniżając wzrok, na progu chaty skleconej z kawałków blachy i dykty dostrzegłem dziewczynę zajęta obieraniem ziemniaków. Była ubrana, jak mi się zdaje, w same gałgany: kawałki celofanu, wystrzępione apaszki; w jej włosach tkwiły pojedyncze słomki i wiórki. Sięgała do worka po kartofle i, oskrobując je temperówką, zdejmowała łupiny wstążkami, które narastały w szarą kupkę.

Poczułem, że muszę się wytłumaczyć:

– Przepraszam, zastała tu pani niezły bałagan, zaraz wszystko wymiotę, uprzątnę...

Dziewczyna wrzuciła obrany ziemniak do miski i powiedziała:

– Daj że spokój...

– Może, jeśli by mi pani pomogła... – odezwałem się albo też zrobiła to ta część mnie samego, która nadal rozumowała tak jak zawsze. (Właśnie poprzedniego wieczoru powiedzieliśmy sobie z Xha: „Pewnie, gdyby znalazł się ktoś do pomocy, byłoby zupełnie inaczej!”)

– Sam pomóż mi obierać – powiedziała dziewczyna, ziewając i przeciągając się.

– Nie bardzo już wiadomo, jak się pozbywać rzeczy, które na nas spadają...

– tłumaczyłem. – Niech pani spojrzy – i uniosłem odkrytą beczkę, którą w tej chwili dostrzegłem. – Ciekawe, co jest w środku...

Dziewczyna powąchała i odparła:

– Sardele. Zjemy *fish and chips*.

Chciała, żebym usiadł przy niej i pokroił ziemniaki w cienkie plasterki. Na całym tym wysypisku znalazła czarniawą puszkę pełną oliwy. Rozpaliła na ziemi ogień, używając materiałów pakunkowych, i zaczęła smażyć rybki oraz plasterki ziemniaków w porzewiałej misce.

– W tym nie można, jest brudne... – zaprotestowałem, myśląc o kuchennych naczyniach Xha, lśniących jak lustra.

– A, dajże spokój... – ona na to, nakładając gorącą smażeninę do rożków z gazety.

Wiele razy stawiałem sobie potem pytanie, czy źle zrobiłem, nie mówiąc tego dnia Xha, że na Ziemię spłynęła także inna osoba. Ale musiałbym jej się przyznać do własnego lenistwa i że pozwalałam gromadzić się tylu rzeczom. Najpierw dobrze posprzątam, pomyślałem, pojmując mimo wszystko, że sprawy się skomplikowały.

Każdego dnia szedłem odwiedzić dziewczynę imieniem Wha, siedzącą pośród lawiny nowych przedmiotów, które zalewały już całą półkulę. Nie rozumiałem, jak Wha może mieszkać w tym rozgardiaszu i jak może pozwolić, żeby rzeczy piętrzyły się jedne na drugich, liany na baobabach, romańskie katedry na kryptach, wyciągi towarowe na pokładach węglonośnych, a potem jeszcze inne rzeczy, które osadzały się na tym wszystkim, szympansy na lianach, autokary typu sight-seeing-tour, zaparkowane na placach przed romańskimi katedrami, wyziewy metanu w kopalnianych korytarzach. Za każdym razem wpadałem w gniew; ta piekielna dziewczyna rozumuje zupełnie inaczej niż ja.

A jednak musiałem czasami przyznać, że lubię patrzeć, jak ona się w tym bałaganie krząta, nieuważna w ruchach, zupełnie jakby wszystko, co robiła, przytrafiało jej się przypadkiem; i za każdym razem byłem zaskoczony, że wychodzi jej to nieoczekiwanie dobrze. Wha wrzucała do jednego garnka rzeczy, które miała pod ręką, jak na przykład fasolę i słoninę, i kto by przypuszczał? Wychodziła z tego świetna zupa; układała w stos fragmenty egipskich posągów, jakby to były naczynia do umycia – kobiecą głowę, dwa skrzydła ibisa, korpus lwa – i wychodził jej wspaniały sfinks. Słowem, sam byłem zaskoczony myślą, że mógłbym całkiem dobrze się poczuć w jej towarzystwie.

Tym, czego nie potrafiłem jej wybaczyć, było roztargnienie, bałaganiarstwo, niewiedza, gdzie zostawiła daną rzecz. Porzucała meksykański wulkan Paricutin między bruzdami zaoranego pola, rzymski teatr z Luni

między szpalerami winnicy. Fakt, że potem zawsze odnajdywała je we właściwej chwili, nie wystarczał, żeby uciszyć moją irytację, ponieważ była to jeszcze jedna przypadkowa okoliczność, która dołączała do poprzednich, zupełnie jakby nie było ich już dość.

Z pewnością moje życie nie toczyło się tutaj, moje życie toczyło się u boku Xha i polegało na wyrównywaniu i oczyszczaniu powierzchni drugiej półkuli. Pod tym względem rozumowałem tak jak Xha, to nie ulegało wątpliwości, chciałem utrzymać Ziemię w stanie doskonałym, mogłem spędzać godziny z Wha tylko dlatego, że miałem pewność, że zdołam potem wrócić do świata Xha, gdzie wszystko szło takim trybem, jakim iść powinno, gdzie można było zrozumieć wszystko, co było do zrozumienia. Powinienem oznajmić, że z Xha osiągałem wewnętrzny spokój przy nieustannej zewnętrznej aktywności; z Wha natomiast mogłem utrzymać zewnętrzny spokój, robić tylko to, co w danej chwili chciałem robić, ale ten spokój był okupiony nieustanną irytacją, ponieważ miałem pewność, że ten stan rzeczy nie może długo trwać.

Mylilem się. Przeciwnie, najbardziej różnorodne meteorytowe fragmenty łączyły się ze sobą, choćby powierzchownie, układając się w mozaikę, choćby niepełną. Węgorze z Comacchio, źródło na Monviso, zespół książęcych pałaców, hektary pól ryżowych, syndykalne obyczaje najemników rolnych, przyrostki celtyckie, wskaźnik wzrostu produkcji przemysłowej – były to materiały rozproszone i osobne, które stopiły się w gęsto utkany zbiór wzajemnych relacji w tej samej chwili, gdy na Ziemię niespodziewanie spadła rzeka, i był to Pad.

I tak, każda nowa rzecz, która spadała na naszą planetę, znajdowała w końcu swoje miejsce, zupełnie jakby zawsze tam była, jej stosunek współzależności z innymi rzeczami i bezpodstawna obecność jednej z nich znajdowała podstawy w bezpodstawnej obecności innych, tak że powszechny nieład można było uznać za naturalny porządek rzeczy. W tym aspekcie można rozpatrywać także inne fakty, o których ledwie napomykam, ponieważ należą do mojego życia prywatnego: z pewnością pojęliście, że mam na myśli mój rozwód z Xha i mój drugi ślub, z Wha.

Życie z Wha, jeśli przyjrzeć mu się z bliska, także odznaczało się pewną harmonią. Rzeczy wokół niej zdawały się naśladować jej styl w rozmieszczaniu się i łączeniu, i ustępowaniu sobie miejsca, jej brak metody i obojętność dla surowców, i niepewność ruchów, która w punkcie kulminacyjnym kończyła się błyskawicznym i zdecydowanym wyborem, już niepodważalnym. Po niebie latał Erechtheion, wyszczerbiony przez kosmiczne katastrofy, gubiąc fragmenty, utrzymywał się przez chwilę na szczycie Lycabettus, znów

szybował, zatraćał o plac na Akropolu, gdzie później miał spaść Partenon, i lekko osiadał nieco dalej.

Czasami wystarczała nasza drobna interwencja, aby połączyć oderwane kawałki, dopasować zachodzące na siebie elementy, i w takich razach Wha, choćby sprawiając wrażenie, że coś tam sobie majsterkuje, wykazywała się zawsze szczęśliwą ręką. Bawiąc się, obrabiała warstwy skał osadowych, synklin i antyklin, zmieniała nachylenie boków kryształów, otrzymując ściany sfalerytu lub kwarcu, lub miki, lub łupka, między poszczególne warstwy kładła morskie skamieliny, umieszczając je na różnych poziomach, w zależności od wieku.

W taki oto sposób Ziemia pomału nabierała znanych wam kształtów. Deszcz meteorytowych odłamków wciąż nie ustaje, dorzuca do obrazu nowe szczegóły, oprawia go w ramy okien, zasłon, sieci drutów telefonicznych, wypełnia puste przestrzenie elementami, które jakoś tam do siebie przylegają, są tam semafony, obeliski, bar ze sklepem tytoniowym, absydy, powodzie, gabinet dentysty, okładka „Domenica del Corriere” z myśliwym, który gryzie lwa, i zawsze dochodzi do tego jakiś nadmiar w wykończeniu zbytecznych szczegółów, jak na przykład pigmentacja skrzydeł motyli, i jakiś nedorzeczny element, jak wojna w Kaszmirze, i zawsze mam wrażenie, że nadejdzie jeszcze coś, czego nadal brakuje, może tylko saturnijskich wierszy Newiusza, które wypełniłyby odstęp między dwoma fragmentami poematu, lub wzór przekształceń kwasu dezoksyrybonukleinowego w chromosomach, a wówczas obraz się dopełni, będę miał przed sobą świat precyzyjny i zagęszczony, odzyskam Xha i Wha zarazem.

Teraz, kiedy już od dawna utraciłem obie – Xha pokonał deszcz pyłków, zniknęła wraz z nastaniem jego rygorystycznych rządów; Wha, może jeszcze wciąż przycupnięta dla zabawy w schowku przepelnionego magazynu rzeczy znalezionych, i sama już nie do odnalezienia – nadal jeszcze czekam, aż one wrócą, aż znów pojawią się choćby w myśli, która przelatuje mi przez głowę, w spojrzaniu zamkniętych lub otwartych oczu, ale pojawią się razem, obie w tej samej chwili; wystarczyłoby odzyskać je razem tylko na moment, żeby wszystko zrozumieć.

## Kamienne niebo

Prędkość rozchodzenia się fal sejsmicznych we wnętrzu ziemskiego globu zmienia się zależnie od głębokości i nieciągłości materiałów, które tworzą skorupę, płaszcz i jądro.

Wy żyjecie tam, na zewnątrz, na skorupie – *dał się słyszeć głos Qfwfq, dobiegający z głębi krateru* – albo prawie na zewnątrz, bo powyżej macie inną skorupę, z powietrza, ale jesteście zawsze na zewnątrz dla tego, kto patrzy na was z koncentrycznych stref Ziemi, tak jak ja patrzę, poruszając się w szczelinach między jedną strefą a drugą. Nawet nie chcecie o tym wiedzieć, że Ziemia w środku nie jest spoista: jest nieciągła, utworzona z zachodzących na siebie powierzchni o różnej gęstości, powierzchni sięgających środka, czyli jądra z żelaza i niklu, a ono także tworzy system dwóch jąder, wewnętrznego i zewnętrznego, z których każde obraca się samodzielnie, zależne od większej lub mniejszej płynności pierwiastka.

Każecie się nazywać Ziemianami, ale nie wiadomo, jakim prawem; powinniście przyjąć imię pozaziemian, ludzi, którzy przebywają na zewnątrz: Ziemianinem jest ten, kto żyje w środku, tak jak ja i tak jak żyła Rdix aż do dnia, kiedy ją podstępnie uprowadziliście na to wasze ponure zewnątrz.

Ja zawsze mieszkałem tutaj, w środku, najpierw razem z Rdix, potem sam, na jednym z wewnętrznych łądów. Kamienne niebo obracało się nam nad głowami, jaśniejsze od waszego, i podobnie jak wasze, nawiedzały je chmury w miejscach, gdzie gęstnieją zawiesiny chromu czy magnesu. Skrzydlate cienie zrywają się do lotu: wewnętrzne nieba mają swoje ptaki, konkrety lekkich skał, które wykreślają spirale, biegnąc w górę, aż nikną z oczu.

Pogoda zmienia się nagle, kiedy padają ołowiane deszcze lub kiedy bije grad cynkowych kryształów, nie ma innego wyjścia jak przedostać się między porowatości gąbczastych skał. Chwilami ciemność przeoruje rozpalony zygzak: to nie jest błyskawica, to rozżarzony metal, który spływa w dół jedną z żył.

Za ziemię uznawaliśmy sferę, która nas nosiła, za niebo sferę, która otaczała tę ziemską sferę: zupełnie tak, jak wy, ale dla nas te rozróżnienia były zawsze tymczasowe, arbitralne, ponieważ konsystencja pierwiastków wciąż ulegała zmianie, i w pewnej chwili spostrzegaliśmy, że nasze niebo jest twarde i spoiste, taki młyński kamień, który nas miażdży, podczas gdy ziemia była lepkiem klejem, zmaconym przez wiry, rojnym od pękających bąbelków. Staralem się wykorzystać potoki cięższych pierwiastków i zbliżyć się do środka Ziemi, do prawdziwego jądra, które służyło za jądro każdemu innemu jądro, i trzymałem za rękę Rdix, pomagając jej schodzić. Ale każdy przeciek

zmierzający w stronę jądra podrywał w górę inne materiały, zmuszając je do wypłynięcia na powierzchnię; czasami, kiedy tak się pogrążyliśmy, osiągała nas fala, tryskająca ku warstwom wyższym, która zwijała się spiralnie. W ten sposób przebiegaliśmy promień Ziemi w odwrotnym kierunku; w warstwach minerałów otwierały się szczeliny, zasysając nas, a skała pod nami ponownie krzepła. Aż do czasu, gdy lądowaliśmy na innym gruncie, który nas utrzymywał i gdy górowało nad nami inne kamienne niebo, a my nawet nie wiedzieliśmy, czy znajdujemy się powyżej, czy poniżej punktu, z którego wyruszyliśmy.

Kiedy na oczach Rdix metal nowego nieba przechodził w stan ciekły, Rdix ogarniała chęć latania. Wystarczył skok do góry i Rdix już przepływała kopułę pierwszego nieba, drugiego, trzeciego, chwyciła się stalaktytów zwisających z wyższych sklepień. Podążałem za nią, trochę dlatego żeby wziąć udział w tej zabawie, a trochę dlatego aby jej przypomnieć, że trzeba wrócić na nasz szlak, prowadzący w odwrotnym kierunku. Z pewnością Rdix była przekonana, podobnie jak ja, że punktem, do którego powinniśmy zmierzać, jest środek Ziemi. Dopiero po dotarciu do środka moglibyśmy orzec, że planeta do nas należy. Byliśmy protoplastami życia na Ziemi i dlatego też powinniśmy sprawić, żeby Ziemia nadawała się do życia już począwszy od jądra, skąd nasza kondycja promieniowałaby na cały glob. Dążyliśmy do życia ziemskiego, to znaczy do życia Ziemi i w Ziemi; nie do tego, co wyrasta na powierzchni, i co według was można nazwać życiem ziemskim, podczas gdy jest to tylko pleśń, której plamy pokrywają pomarszczoną łupinę jabłka.

Obrana przez was droga była pomyłką, życiem skazanym na połowiczność, powierzchowność, nijakość. Rdix także o tym wiedziała: a jednak jej skłonność do ulegania fascynacjom nakazywała jej wybierać każdy stan zawieszenia, i zaledwie dane jej było utrzymać się w powietrzu, skakać, latać, wspinać się po kominach skał plutonicznych, szukała pozycji najmniej banalnych, widoków najbardziej niesamowitych.

Miejsca graniczne, przejścia z jednej ziemskiej warstwy do drugiej przyprawiały ją o lekki zawrót głowy. Wiedzieliśmy, że Ziemię tworzą zachodzące na siebie nawisy, niczym powłoki olbrzymiej cebuli, i że każdy nawis prowadzi do nawisu wyżej położonego, a wszystkie razem są zapowiedzią krańcowego sklepienia, tam, gdzie Ziemia przestaje być Ziemią, gdzie całe wnętrze zostaje po tej stronie, a po tamtej jest już tylko zewnątrz. Dla was ta granica Ziemi jest tożsama z samą Ziemią; sądzą, że sferą jest opasująca ją powierzchnia, nie objętość; żyliście zawsze tylko w tym płaskim wymiarze i nawet nie przypuszczacie, że można istnieć gdzie indziej i w inny



sposób; dla nas ta granica była czymś wiadomym, ale nie sądziliśmy, że można ją zobaczyć, nie ruszając się z głębi Ziemi, a owa perspektywa wydawała nam się bardziej niż przerażająca, wydawała się absurdalna. Właśnie tamtędy w bitumicznych erupcjach i strumieniach, i wydmuchach wydostawało się wszystko, co Ziemia wyrzucała ze swojego wnętrza: gazy, mieszanki ciekłe, lotne pierwiastki, bezwartościowe materiały, odpadki wszelkiego rodzaju. Był to negatyw świata, coś, czego nie potrafiliśmy sobie nawet wyobrazić, a sama abstrakcyjna myśl o tym wywoływała w nas dreszcz obrzydzenia, nie, raczej lęku czy też osłupienia, o, właśnie – zawrót głowy (mieliśmy reakcje bardziej złożone, niż można by sądzić, zwłaszcza Rdix), w który wkradała się po części fascynacja wezwaniem pustki, dwuznaczności, rzeczy ostatecznej.

Podążając za Rdix w tych jej szalonych wyprawach, dostałem się na dno wygasłego wulkanu. Nad nami, pod wąskim gardłem klepsydry, otwarła się jama krateru, grudkowata i szara, pejzaż niezbyt odbiegający kształtem i substancją od zwykłych pejzaży na naszych głębokościach; ale zdumiało nas to, że Ziemia tam nieruchomiała, nie ciężąc już samej sobie w innej pozycji, a dalej rozciągała się pustka, czy w każdym razie jakaś substancja nieporównanie bardziej znikoma od tych, które dotąd przemierzaliśmy, substancja przejrzysta i drgająca, niebieskie powietrze.

Jeśli chodzi o drgania, byliśmy przygotowani na odbiór tych wibracji, które rozchodzą się powoli w głębi granitu i bazaltu, a są to trzaski, zgrzyty, głuche grzmoty, które ospale przenikają masy roztopionych metali lub bariery kryształów. Tymczasem drgania powietrza dosięgły nas niczym snop iskier, dźwięczne, drobne i punktowe, i następowały po sobie z prędkością dla nas nieznośną, wyłaniając się z każdego punktu przestrzeni: było to coś w rodzaju łaskotania, które wprawiało nas w niestosowny dygot. Ogarnęła nas – a przynajmniej mnie, gdyż od tamtej chwili jestem zmuszony odróżniać moje stany ducha od stanów ducha Rdix – chęć wycofania się w czarną czeluść milczenia, w której echo wstrząsów rozlega się miękko i zanika w oddali. Ale Rdix, którą jak zwykle pociągało to, co jedyne i nierozważne, rozpierała żądza przywłaszczenia sobie czegoś wyjątkowego, nieważne, czy miało to być dobre, czy złe.

Właśnie w tamtej chwili zatrzasnęła się pułapka: poza krawędzią krateru powietrze drgało w sposób ciągły, a raczej w sposób ciągły, który zawierał nieciągłe sposoby drgania. Był to dźwięk, który rozbrzmiewał pełną mocą, potem słabł, odzyskiwał siłę i w tych swoich modulacjach wypełniał niewidoczny zamysł, rozłożony w czasie na podobieństwo naprzemiennych sekwencji pustki i pełni. Nakładały się na to inne drgania, ostre i odrębne, ale

bladły, kładąc się nimbem pełnym słodyczy lub goryczy i kontrapunktując przebieg głębszego dźwięku lub mu towarzysząc, narzucały coś jakby krąg lub pole, lub hegemonię dźwiękową.

Moim natychmiastowym impulsem była chęć wyrwania się z tego kręgu, powrót do wytłumionej gęstości, i ześlizgnąłem się w głąb krateru. Ale w tej samej chwili Rdix puściła się biegiem w górę stromych zboczy, w kierunku, skąd dobywał się dźwięk, i nim jeszcze zdołałem ją powstrzymać, pokonała krawędź krateru. Lub też było to ramię, coś, co mogłem uznać za ramię, które pochwytiło ją węzowym ruchem i wyciągnęło na zewnątrz; dosłyszałem jeszcze krzyk, jej krzyk, który połączył się z wcześniejszym dźwiękiem i współbrzmiając z nim, zapoczątkował pieśń, jaką ona i nieznajomy śpiewak zaintonowali, akompaniując sobie na strunach instrumentu, podczas kiedy oboje schodzili zewnętrznym stokiem wulkanu.

Nie wiem, czy ten obraz jest zgodny z tym, co ujrzałem i co sobie wyobraziłem: witały mnie znowu ciemności, wewnętrzne nieba zamykały się kolejno nade mną: krzemowe sklepienia, nawisy z aluminium, lepkie, siarkowe powietrze; i różnorodna podziemna cisza odbijała się echem dokoła w hamowanych pomrukach, w wyciszonych grzmotach. Ulga, jaką poczułem, gdy znalazłem się z dala od mdlących obrzeży powietrza i od udręki dźwiękowych fal, była równoczesna z rozpaczą, że utraciłem Rdix. I oto byłem sam: nie potrafiłem jej uchronić przed nieszczęściem, jakim było wydarcie jej Ziemi, wystawienie na nieustępliwe perkusyjne uderzenia napiętych strun powietrza, dzięki którym świat pustki łudzi się, że istnieje. Mój sen, by tchnąć życie w Ziemię, docierając wraz z Rdix do ostatniego ziemskiego środka, rozwiął się. Rdix była uwięziona, wygnana na otwarte obszary zewnątrz.

Nastąpił czas oczekiwania. Moje oczy kontemplowały gęsto spiętrzone krajobrazy, wypełniające wnętrze globu: podłużne pieczary, górskie, stłoczone łańcuchy, powstałe z odłamków i płytek, oceany wyciśnięte jak gąbki: ze wzruszeniem rozpoznawałem ten nasz świat, zagęszczony, skondensowany, zwarty i tym silniejszy czułem ból, że Rdix już do niego nie należy.

Uwolnienie Rdix stało się moją jedyną myślą: wylamać bramy zewnątrz, wedrzeć się wnętrzem w zewnątrz, włączyć znów Rdix w ziemską materię, zbudować nad nią nowe sklepienie, nowe niebo z minerałów, wybawić ją od piekła tego rozedrganego powietrza, tego dźwięku, tego śpiewu. Śledziłem gromadzenie się lawy w wulkanicznych jaskiniach, napór ziemskiej skorupy na pionowe kominy: tamtędy prowadziła droga.

Nadszedł dzień wybuchu: czarny słup lawy wzbił się w powietrze nad odciętym wierzchołkiem Wezuwiusza, magma sunęła winnicami zatoki,

wyważała bramy Herkulanum, miażdżyła poganiacza mułów i zwierzęta, przypierając je do kamiennego muru, wyrwała skąpca monetom, niewolnika kajdanom; ściśnięty obroźą pies zrywał łańcuch i szukał ratunku w spichlerzu. Byłem tam: gnałem razem z lawą, rozżarzona lawina rozszczepiała się na języki, potoki, serpentyny, a w jej najdalej wysuniętym cyplu znajdowałem sieja, biegnąc na poszukiwanie Rdix. Wiedziałem – coś mnie ostrzegało – że Rdix jest ciągle niewolnicą nieznanego śpiewaka: i że znajdę ją tam, gdzie znów usłyszę muzykę tego instrumentu i brzmienie tego głosu.

Pędziłem, unoszony strumieniem lawy, pośród ustronnych, warzywnych ogrodów i świątyń z marmuru. Dobiegł mnie śpiew i arpeggio, i dwa przeplatające się głosy; rozpoznałem jakże zmieniony głos Rdix, który towarzyszył nieznanemu głosowi. Napis na archivolcie, greckim alfabetem: Orpheos. Sforsowałem drzwi, wdarłem się przez próg. Widziałem ją tylko przez chwilę, siedziała przy harfie. Wnętrze było zamknięte i wydrążone, przysposobione do tego, by złowić muzykę, zatrzasnąć ją jakby w muszli. Ciężka kotara, zdaje się ze skóry, wywatowana niczym kołdra, zasłaniała okno, tak by odizolować muzykę od reszty świata. Zaledwie wszedłem, Rdix jednym szarpnięciem zerwała zasłonę, otwierając na oścież okno: na zewnątrz rozpościerała się zatoka, oślepiając swoim blaskiem miasto i ulice. Południowe światło zalało pokój, światło i dźwięki: zewsząd dochodziło brzdąkanie gitar i nierówny ryk stu wzmacniaczy, i wszystko to włączało się w nierównomierny warkot silników i w trąbienie. Pancierz hałasu opinał całą powierzchnię globu: pierścień ten zakreśla granice waszego pozaziemskiego życia i sterczą tam anteny zatknięte na dachach, i przetwarzają w dźwięki fale, które, niewidoczne i niedosłyszalne, pokonują przestrzeń; i są tranzystory, przyklepione do uszu po to, żeby w każdej chwili napełniać je akustycznym klajstrem, bo inaczej nawet nie wiecie, czy jesteście żywi czy martwi, i są szafy grające, które gromadzą dźwięki i je wyrzucają, i jest nieprzerwane wycie ambulansu, który zabiera rannych, ofiary waszej nieprzerwanej rzezi. Pod tym murem dźwięku lawa się zatrzymała. Przebity kolcami zasieków, jakie tworzą hałaśliwe drgania, postąpiłem jeszcze do przodu, zmierzając do miejsca, gdzie przez chwilę widziałem Rdix, ale ona zniknęła i zniknął jej porywacz: śpiew, którym żyli, zalała lawina hałasu, nie potrafiłem już wyodrębnić ani Rdix, ani jej śpiewu.

Wycofałem się, ruszając wstecz w strumieniu lawy, wspiałem się z powrotem po zboczach wulkanu, znów zamieszkałem ciszę, zaszyłem się w milczeniu.

Teraz wy, którzy żyjecie na zewnątrz, powiedzcie mi, czy z gęstej materii otaczających was dźwięków nie zdarza wam się przypadkiem wyłowić śpiewu

Rdix, śpiewu, który ją więzi i sam jest zarazem więźniem nieśpiewu, a on pochłania wszelki śpiew; jeżeli zdołacie rozpoznać głos Rdix, a w nim rozbrzmiewające jeszcze dalekie echo milczenia, dajcie mi znać, powiedzcie, co u niej słyhać, wy, pozaziemianie, wy, tymczasowi zwycięzcy, bym mógł spełnić swój plan i odnalazł Rdix, i zszedł wraz z nią do środka ziemskiego życia, i bym zdołał sprawić, żeby ziemskie życie promieniowało ze środka na zewnątrz, teraz, kiedy stało się jasne, że wasze zwycięstwo jest klęską.

## Dopóki trwa Słońce

Gwiazdy, zależnie od swojej wielkości i blasku, i barwy podlegają odmiennej ewolucji, której klasyfikacja przebiega według wykresu Hertzsprunga-Russela. Ich życie może być niezwykle krótkie (tylko parę milionów lat, jak w przypadku dużych niebieskich gwiazd) lub też mieć przebieg powolny (dziesięć miliardów lat w przypadku gwiazd żółtych), który zanim doprowadzi je do starości, może się przedłużać do miliardów tysięcy lat. Dla tych wszystkich gwiazd nadchodzi taka chwila, kiedy po spaleniu całego zapasu wodoru nie pozostaje im nic innego, jak rozrosnąć się i ochłodzić (przeobrazić się w „czerwone olbrzymy”), i rozpocząć serię reakcji termojądrowych, które błyskawicznie doprowadzą je do śmierci. Zanim Słońce – ta żółta gwiazda o średniej mocy, która świeci już od 4 czy 5 miliardów lat – dotrze do tego punktu, ma jeszcze przed sobą czas równie długi.

Mój dziadek osiedlił się tutaj – *opowiadał Qfwfq* – właśnie dlatego, żeby mieć trochę spokoju po tym, jak ostatni wybuch „Supernowej” wyrzucił ich po raz kolejny w przestrzeń, jego i babcie, ich dzieci, wnuki i prawnuki. Słońce właśnie wtedy gęstniało, zaokrąglone i żółtawe, na ramieniu Galaktyki, i zrobiło na nim dobre wrażenie, pośród tych wszystkich okolicznych gwiazd.

– Wypróbujmy tym razem taką żółtą – powiedział do żony. – Jeśli dobrze rozumiem, żółte to takie, które utrzymują się najdłużej bez żadnych zmian. A może za jakiś czas dokoła wykształci się również system planetarny.

Myśl, żeby ulokować się z całą rodziną na jakiejś planecie, może takiej z atmosferą i stworzeniami, i roślinami, od dawna chodziła po głowie Pułkownikowi Egg, który miał w zanadru podobne plany na czas emerytury, kiedy skończy się już ten nieustanny ruch tam i z powrotem wśród rozpalonej materii. Nie dlatego, żeby mój dziadek cierpiał z powodu gorąca, a jeśli chodzi o skoki temperatury, po tylu latach służby już dawno musiał się przyzwyczaić, ale po przekroczeniu pewnego wieku każdy woli umiarkowany klimat. Tymczasem moja babcia z miejsca zareplikowała:

– A dlaczego nie na tamtą? Im jest większa, tym większe budzi we mnie zaufanie! – i wskazała na „niebieskiego olbrzyma”.

– Chyba oszalałaś”, jakbyś nie wiedziała, co to jest! Nie znasz niebieskich? Spalają się tak szybko, że ani się obejrzyysz, a już po upływie dwóch tysięcy tysięcy lat musisz zwinąć manatki!

Ale sami wiecie, jaka jest babcia Ggge, nie tylko wygląd ma młodzieńczy, umysł także, nigdy nie zadowala się tym, co ma, zawsze chce coś zmienić,

nieważne, na lepsze czy na gorsze, pociąga ją każda inność. A trzeba wiedzieć, że cała robota w tych przeprowadzkach z jednego ciała niebieskiego na drugie, dokonywanych na łapu-capu, zawsze spadała na nią, zwłaszcza kiedy dzieci były małe.

– Wygląda na to, że o tym zapomina – zwierza się wnukom dziadek Eggg – nie potrafi usiedzieć spokojnie. A na co może narzekać tutaj, w systemie słonecznym? Od dawna przemierzam galaktyki wzdłuż i wszerz: chyba mam trochę doświadczenia, prawda? A jednak moja żona nigdy mi tego nie przyznała...

To jest obsesja Pułkownika: w swojej zawodowej karierze miał tak wiele satysfakcji, ale tej, na której najbardziej mu teraz zależy, nie potrafi uzyskać, nie może usłyszeć wreszcie od swojej żony: „Tak, Eggg, miałaś dobre oko, ja za to Słońce nie dałabym złamanego grosza, a ty od razu potrafiłaś ocenić, że jest to jedna z gwiazd jak najbardziej stabilnych i godnych zaufania, z tych, które nie splatają nagle psikusa, i nawet potrafiłaś tak się ustawić, żeby dostać przydział na Ziemi, kiedy już się ukształtowała... a ta Ziemia, pomimo wszystkich ograniczeń i niedostatków, oferuje jeszcze dobre tereny do zamieszkania, dzieci mają gdzie się bawić i jest niezbyt daleko do szkoły...” Właśnie to stary Pułkownik chciałby usłyszeć od swojej żony, żeby chociaż raz dała mu tę satysfakcję. Ale gdzie tam. Tymczasem wystarczy, że ona usłyszy o jakimś systemie gwiazdnym, który funkcjonuje w zupełnie inny sposób, na przykład o oscylacjach jasności „R R Lyrae”, i zaczynają się kaprysy: że może tam życie jest bardziej urozmaicone, że ma się więcej kontaktów, podczas gdy my tutaj siedzimy w kącie, w martwym punkcie, w którym nigdy nic się nie dzieje.

– A niby co ma się dziać? – pyta Eggg, biorąc nas wszystkich na świadków.  
– Zupełnie jakbyśmy nie wiedzieli, że wszędzie jest tak samo: wodór przemienia się w hel, potem następują zwykle sztuczki z berylem i litem, rozpalone warstwy zapadają się kolejno, potem puchną jak balony, całkiem bledną i ponownie się zapadają... Żeby jeszcze można było, skoro już tam jesteśmy, nacieszyć się tym widowiskiem! Tymczasem za każdym razem największą troską jest nie stracić z oczu paczek i pakunków z przewodniczki, i do tego są jeszcze płaczące dzieci, i córeczka, której czerwienieją oczy, i zięć, któremu roztapia się sztuczna szczęka... Jako pierwsza, wiadomo, najgorzej wychodzi na tym właśnie ona, Ggge; dużo mówi, ale trzeba ją widzieć w akcji...

Również dla starego Eggga (opowiadał nam o tym wiele razy) początki były pełne niespodzianek: kondensacja chmur gazu, zderzenie atomów, krzepnięcie materii, która przyrasta i przyrasta, aż wreszcie się zapala, a niebo wypełnia

się rozżarzonymi ciałami wszelkich barw, każde z nich wydaje się różnić od pozostałych średnicą, temperaturą, gęstością, trybem kurczenia się i rozszerzania, i te wszystkie izotopy, których istnienia nikt nawet nie przeczuwał, i te trzaski, te wybuchy, te pola magnetyczne: cały ciąg nieoczekiwanych zdarzeń. Ale teraz... Wystarczy rzut oka i on już wszystko wie: jaka to gwiazda, jakiej wielkości, ile waży, co spala, czy służy za magnes, czy też wyrzuca z siebie resztki i na jaką odległość je wyrzuca, o ile lat świetlnych może znajdować się następna gwiazda.

Rozpiętość pustki jest dla niego czymś na kształt pasma torów kolejowego węzła: rozstaw kół, zwrotnice, bocznice są takie a nie inne, można wybrać tę czy inną trasę, ale nie można pobiec między nimi ani ominąć tłuczeń. To samo dotyczy upływu czasu: każdy ruch jest przewidziany rozkładem jazdy, który on, Eggg, zna na pamięć; zna wszystkie przystanki, opóźnienia, połączenia, zawieszony terminy, sezonowe wahania. Zawsze marzył tylko o tym, że kiedy wycofa się ze służby, będzie kontemplował regularny i uporządkowany ruch we wszechświecie, tak jak emeryci, którzy codziennie chodzą na dworzec przypatrywać się przyjeżdżającym i odjeżdżającym pociągom, i będzie się cieszył, że to już nie jego, objuczonego bagażami i dziećmi wrzucają w sam środek tych obojętnych pocisków, z których każdy obraca się na swój własny rachunek...

Miejsce idealne, jak widać, pod każdym względem. W ciągu tych czterech miliardów lat, odkąd tu jestem, już się dosyć dobrze przystosowali, zawarli znajomości: ludzie przychodzą i odchodzą, to należy, rzecz jasna, do miejscowych obyczajów, ale dla pani Ggge, która tak lubi urozmaicenie, powinno to być korzystne. Teraz mają sąsiadów na tym samym piętrze, niejakich Cavicchia, naprawdę poczciwych ludzi: sąsiedzi sobie pomagają, robią wzajemne przysługi.

– Chciałbym widzieć – mówi Eggg – jak znajdujesz tak uczynnych ludzi w Obłoku Magellana! – (Ggge w żalu za innymi miejscami przywołuje nawet konstelacje pozagalaktyczne).

Ale raczej taidno zmienić sposób myślenia osoby, która osiągnęła już pewien wiek: skoro Pułkownik nie zdołał tego dokonać w czasie wielu lat małżeństwa, z pewnością nie uda mu się to obecnie. Na przykład: Ggge słyszy, że sąsiedzi ruszają do Teramo. Państwo Cavicchia pochodzą z Abruzji i każdego roku jadą odwiedzić rodzinę.

– No właśnie – mówi Ggge – wszyscy wyjeżdżają, a my wciąż tutaj tkwimy. Ja swojej mamy nie odwiedzałam już od miliardów lat!

– Ale czy ty nie rozumiesz, że to nie to samo? – protestuje stary Eggg.

Moja prababka, musicie wiedzieć, mieszka w Galaktyce Andromedy. Tak, swego czasu podróżowała zawsze w towarzystwie córki i zięcia, ale właśnie w chwili, kiedy zaczynała się kształtować ta gromada galaktyk, stracili się z oczu, ona ruszyła w jedną stronę, oni w drugą. (Ggge do dzisiaj obwinia o to Pułkownika: „Powinieneś był bardziej uważać – twierdzi. A on: – Aha, jakbym w tamtej chwili nie miał się o co troszczyć!” – mówi tylko tyle, żeby nie dodawać, że jego teściowa to z pewnością porządna kobieta, ale jako towarzyszka podróży należała do osób jakby stworzonych do tego, żeby wszystko komplikować, zwłaszcza w chwilach zamieszania).

Galaktyka Andromedy znajduje się prosto nad naszymi głowami, ale dzieli nas zawsze parę miliardów lat świetlnych. Ggge lata świetlne kojarzą się ze skokami pchły: nie rozumie, że przestrzeń jest masą, która przykleja cię do siebie tak jak czas.

Przedwczoraj, chcąc ją może rozweselić, Eggg oświadczył:

– Słuchaj, Ggge, nie jest powiedziane, że będziemy tu tkwić w nieskończoność. Od ilu tysiącleci tutaj jesteśmy? Od czterech milionów? A więc dobrze: weź pod uwagę, że krótko mówiąc, jesteśmy w połowie pobytu. Nie minie nawet pięć milionów tysiącleci, a Słońce tak spuchnie, że pochłonie Merkurego, Wenus i Ziemię, i zapoczątkuje znów serię błyskawicznych kataklizmów, jeden po drugim. Kto wie, dokąd trafimy. Postaraj się więc nacieszyć tą odrobiną spokoju, jaka nam jeszcze zostaje.

– Ach, tak – mówi Ggge, z miejsca ożywiona – a więc nie możemy dać się zaskoczyć. Zaraz odłożę rzeczy, które nie niszczeją i nie zawadzają, żebyśmy mogli zabrać je ze sobą, kiedy już Słońce wybuchnie.

I zanim jeszcze Pułkownik zdołają powstrzymać, biegnie na strych zobaczyć, ile mamy walizek i w jakim stanie, i czy zamki są mocne. (Pod tym względem uważa się za przezorną; kiedy człowiek zostaje wyrzucony w przestrzeń, nie ma nic gorszego, niż zbierać później zawartość walizek, rozproszoną pośród obłoków międzygwiazdowego gazu).

– Ale po co ten pośpiech? – krzyczy dziadek. – Mamy jeszcze przed sobą miliardy lat, przecież ci mówiłem!

– Tak, ale jest jeszcze tyle do zrobienia, Eggg, a ja nie chcę zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. Chcę mieć na przykład pod ręką konfiturę z pigwy na wypadek, gdybyśmy mieli spotkać moją siostrę Ddde, która za nią przepada, a nie wiadomo, od jak dawna już jej nie jada, biedactwo.

– Twoja siostra Ddde? Ale czy to nie ta, która jest na Syriuszu?

Rodzina babci Ggge jest liczna, sam już nie wiem, jak bardzo, rozproszona we wszystkich konstelacjach, i po każdym kataklizmie babcia spodziewa się, że



kogoś spotka. Faktem jest, że się nie myli: za każdym razem, kiedy Pułkownik eksploduje w przestrzeni, natyka się później na przygodnych krewnych czy kuzynów.

Teraz nikt jej nie powstrzyma: ogarnięta ferworem przygotowań, nie myśli już o niczym innym, porzuca ważne sprawy w połowie, bo przecież „niedługo Słońce się wypali”. Jej mąż się tym gryzie: tak długo marzył o radościach emerytury, kiedy mógłby sobie wreszcie pozwolić na pauzę w ciągu deflagracji, nie przejmując się tym, że w niebieskich tyglach płonie niejednorodna mieszanka paliw, i przyglądałby się ze spokojem, jak upływają stulecia w jednostajnym ruchu bez zakłóceń, i oto, kiedy już znalazł się na tym lotnisku, pani Ggge wprawia go w stan napięcia, na łózkach leżą otwarte walizki, w szufladach panuje bałagan, koszule są poukładane w stos, i oto te tysiące milionów miliardów godzin i dni, i tygodni, i miesiące, którymi on mógł się nacieszyć na swoim bezterminowym urlopie, obecnie będzie musiał przeżywać z nogą w strzemieniu, tak jak wtedy, gdy był na służbie, zawsze gotów na przeniesienie, nie mogąc nawet na chwilę zapomnieć, że wszystko, co go otacza, jest tymczasowe – tymczasowe, ale zawsze powtarzalne, mozaika protonów, elektronów, neutronów, które w nieskończoność rozpadają się i zawiązują, taka zupa, którą trzeba mieszać, aż się ostudzi lub podgrzeje, słowem, te wakacje na najbardziej umiarkowanej planecie systemu słonecznego są zupełnie zepsute.

– Co ty na to, Eggg, chyba możemy zabrać ze sobą parę naczyń, dobrze zapakowanych, żeby się nie stłukły...

– Ależ nie, co też ci przychodzi do głowy, Ggge, zajmują tyle miejsca, a pomyśl, ile rzeczy trzeba jeszcze pomieścić... – I on także musi w tym uczestniczyć, zajmować stanowisko w wielu sprawach, dzielić jej niecierpliwie wyczekiwanie, być w wiecznym pogotowiu...

Już teraz wiem, do czego obsesyjnie dąży ten stary emeryt, powtarzał nam to wielokrotnie: chce wypaść z gry raz na zawsze, pozwolić, żeby gwiazdy rozpadały się, powstawały na nowo i ponownie się rozpadały po sto tysięcy razy, a pani Ggge i jej krewne goniłyby w tym wszystkim za sobą i ścisnęły się, i gubiły pudła na kapelusze, i parasolki, i odnajdowały je, i ponownie gubiły, a on nie miałby z tym nic wspólnego, on by tkwił w głębi materii wyciśniętej i przeżutej, i wyplutej, która niczemu już by nie służyła... „Białe karły”!

Stary Eggg nie należy do tych, którzy mówią tylko po to, żeby mówić: ma w głowie precyzyjny plan. Czy znacie „białe karły”, gwiazdy zagęszczone i bezwładne, resztki po najstraszliwszych wybuchach, rozpalone do białości jądra zgniecionych i ściśniętych metali, które nadal obracają się powoli na

zapomnianych orbitach, zamieniając się pomału w zimne i zmatowiałe trumny pierwiastków?

– Niech tam Ggge jedzie, niech sobie jedzie – śmieje się Eggg – niech da się unieść strumieniom uciekających elektronów. Ja poczekam tutaj, aż Słońce i wszystko, co wokół niego krąży, zredukuje się do postaci starego karła; wydrążę sobie niszę pośród najtwardszych atomów, zniosę płomienie wszelkiej barwy, żeby móc wreszcie zagłębić się w ślepy zaułek, przedostać na martwy tor, byle tylko dotrzeć na brzeg, z którego nie ma powrotu...

I patrzy w górę, widząc już jak to będzie, kiedy znajdzie się na „białym karle”, a obracanie się galaktyk, ich rozbłyski i zaniki niebieskich, żółtych, czerwonych płomieni, kondensacja i rozproszenie obłoków i pyłu nie stworzy już pretekstów do zwykłych małżeńskich sprzeczek, ale będzie tym, co jest, co jest tam i jest tym, czym jest, koniec i kropka.

A jednak sądzę, że przynajmniej w pierwszym okresie swojego pobytu na tej opuszczonej i zapomnianej gwiazdzie, nadal jeszcze będzie prowadził w myślach spór z Ggge. Niełatwo będzie mu przestać. Mam wrażenie, że go widzę, jak samotny w pustce przemierza bezmiar lat świetlnych, nadal kłócąc się z żoną. „Przecież ci mówiłem” i „piękne odkrycie”, to słowa komentarza do narodzin gwiazd, trasy obrotu galaktyk, ochładzania się planet; „teraz będziesz zadowolona” i „tylko to potrafisz powiedzieć”, to słowa, które stemplowały każdy epizod i fazę, i wybuch ich kłótni oraz kosmiczne kataklizmy; „wydaje ci się, że zawsze masz rację” i „bo ty nigdy mnie nie słuchasz”, bez czego historia wszechświata nie miałaby dla niego imienia, pamięci ani smaku i jeśli te nieprzerwane małżeńskie utarczki kiedyś się skończą, cóż to będzie za rozpacz, co za pustka!

## Słoneczna burza

Słońce podlega nieustannym wewnętrznym zaburzeniom swojej gazowej i rozpalonej materii, zaburzeniom, które przejawiają się kataklizmami widocznymi na powierzchni: są to protuberancje, które pękają jak bańki; plamy o przyćmionej jasności, intensywne rozbłyski, które tryskają w przestrzeń nagłymi strumieniami. Kiedy obłok naelektryzowanego gazu dociera ze Słońca do Ziemi, przechodząc przez powłoki Van Allena, dają się odnotować burze magnetyczne i zorze polarne.

Są ludzie, którym Słońce daje poczucie bezpieczeństwa – *powiedział Qjwfg* – stabilności, osłony. Ale nie mnie.

Mówią: „No właśnie, Słońce zawsze było, ono nas karmi i grzeje, zawieszona wysoko nad pułapem chmur i wiatrów, promienne, zawsze takie samo, Ziemia wokół niego krąży, narażona na katastrofy i burze, a ono jest spokojne, niewzruszone, zawsze na swoim miejscu”. Nie wiercie w to. Twór, który nazywamy Słońcem, nie jest niczym innym, jak nieustannym wybuchem gazu, eksplozją, która trwa od pięciu miliardów lat i nieprzerwanie wyrzuca materię, to tajfun ognia pozbawiony kształtu i norm, zagrożenie, przemoc nieustanna, nieprzewidywalna. A my tkwimy w samym środku: to» nieprawda, że my jesteśmy tutaj, a Słońce jest tam; to wszystko jest karuzelą koncentrycznych prądów bez odstępów, jedną tkanką materii, raz rozrzedzoną, raz zagęszczoną, pochodzącą z tej samej pierwotnej chmury, która się skurczyła i zajęła ogniem.

Pewnie, właśnie ilość materii, jaką wyrzuca nam Słońce – okruchy cząstek, pęknięte atomy – materii, która rozmieszczona wzdłuż łączącej oba bieguny linii zasięgu magnesu, ukształtowała coś” w rodzaju niewidocznej osłony, jaka spowija Ziemię, a my możemy sobie nawet udawać, że dajemy wiarę temu, że nasz świat jest światem osobnym, gdzie przyczyny i skutki są podporządkowane pewnym regułom, i wystarczy je poznać, żeby nad nimi zapanować, uchronić się przed wirami pierwiastków w nieładzie, które krążą dokoła.

Ja, na przykład, zrobiłem dyplom kapitana żeglugi wielkiej, objąłem dowództwo statku parowego „Halley”; w dzienniku pokładowym zaznaczam szerokość, długość, wiatry, spisuję pomiary meteorologicznych przyrządów, komunikaty radiowe: nauczyłem się podzielać waszą wiarę w chwiejne normy, które rządzą ziemskim życiem. Czego więcej mógłbym pragnąć? Kurs jest pewny, morze spokojne, jutro dojrzymy rodzime wybrzeża Walii, za dwa dni wpłyniemy w bitumiczne ujście Mersey, zarzucimy kotwicę w porcie

LWerpoolu, u kresu podróży. Moje życie jest regulowane kalendarzem opracowanym w najmniejszych szczegółach: liczę dni, które mnie dzielą od najbliższego zaokrętowania i które spędzę w swoim spokojnym domu na wsi w Lancashire.

W drzwiach kabiny nawigacyjnej staje Mr Evans, drugi oficer, i mówi:

– *Lovely sun*, sir – i uśmiecha się.

Ja przytakuję, Słońce odznacza się naprawdę niezwykłą jasnością jak na tę porę roku i szerokość geograficzną; jeżeli wyteżę wzrok (a mogę wpatrywać się w Słońce i ono mnie nie oślepia), wyraźnie rozróżniam koronę i chromosferę, i rozmieszczenie plam, i widzę... widzę rzeczy, o których nie warto was powiadamiać: kataklizmy, które właśnie w tej chwili wstrząsają płonącymi głębinami, zapadające się kontynenty w płomieniach, rozżarzone oceany, które puchną i wylewają się z tygła, i przemieniają się w prądy niewidocznych radiacji, zwróconych w stronę Ziemi, szybkością dorównujących niemal światłu.

Zdławiony głos sternika Adamsa rozbrzmiewa w głośniku:

– Igła busoli, sir, igła busoli! Co, do diabła, się dzieje? Kręci się, kręci się jak ruletka!

– Upił się pan, czy jak?! – krzyczy Evans, ale ja wiem, że to wszystko jest normalne, że wszystko zaczyna być teraz normalne, wiem, że za chwilę wpadnie tu Simmons, radiotelegrafista. O, właśnie jest, oczy wychodzą mu z orbit: omal nie przewraca Evansa w progę.

– Wszystko padło, panie kapitanie! Słuchałem półfinału w boksie, wszystko padło! Nie mogę nawiązać kontaktu z żadną stacją!

– Co robić, panie kapitanie? – ryczy Adams w tubę. – Busola oszalała! Evans zbladł jak płótno.

To chwila, żebym dał im odczuć swoją wyższość.

– Spokojnie, panowie, wpadliśmy w magnetyczną burzę. Nic nie poradzimy. Powierzcie swoje dusze temu, w co wierzycie, i zachowajmy spokój.

Wychodzę na dziób. Morze jest znieruchomiałe, powleczone emaliowanym refleksem Słońca w zenicie. W tym zastoju żywiołów „Halley” zamienił się w kupę ślepego żelastwa, którym nie potrafi kierować żadna biegłość ani geniusz człowieka. Żeglujemy w Słońcu, w samym środku słonecznego wybuchu, gdzie nie liczą się busole ani radary. Zawsze byliśmy na łasce i niełasce Słońca, nawet jeśli zawsze udawało nam się o tym zapominać, wierzyć, że potrafimy się uchronić przed jego władzą.

W tej samej chwili ją dostrzegam. Podnoszę oczy na fokmaszt: jest tam,

w górze. Uczepiona masztu, zawieszona w powietrzu niczym flaga, która rozwija się na wiele mil, włosy falują na wietrze, całe ciało pulsuje jak jej włosy, gdyż ma tę samą lekką konsystencję pyłu, ręce cienkie w przegubach i silne w ramionach, lędźwie wygięte na kształt sierpa księżycy, pierś jak obłok, górujący nad nadbudówką statku i zwojami płótna, które zespalają się z dymem okrętowego komina, a nieco dalej z niebem. Wszystko to widziałem w niewidocznym naelektryzowaniu powietrza; a może tylko dostrzegłem jej twarz jako figurę dziobową; głowę monumentalnej Meduzy, oczy i rozwiane włosy: Rah zdołała mnie odnaleźć.

– Jesteś tu, Rah – odezwałem się. – Wytropiłaś mnie.

– Dlaczego się tutaj ukryłaś?

– Chciałem się przekonać, czy jest jakiś inny sposób istnienia. – I jest?

– Prowadzę statki po kursie wyznaczonym przez kompas, busola wskazuje mi kierunek, moje aparaty odbierają fale radiowe, wszystko, co się wydarza, ma swoją przyczynę.

– I ty w to wierzysz?

Z kabiny radiowej dobiegały przekleństwa Simmons'a, który usiłował złapać jakąkolwiek stację pośród trzasków elektrycznych wyładowań.

– Nie, ale lubię działać, jakby tak właśnie było, lubię prowadzić grę aż do końca – mówię Rah.

– A gdy to się okazuje niemożliwe?

– Zdaję się na dryf. Ale w każdej chwili jestem gotów przejąć kontrolę.

– Mówi pan sam do siebie, panie kapitanie? – Evans, jak zawsze, wsunął swoją wyblakłą twarz.

Starłem się odzyskać godny wygląd.

– Niech pan idzie pomóc Adamsowi, Mister Evans. Wahania igły magnetycznej będą się powtarzały według stałych wartości. Można w przybliżeniu wyliczyć kurs, zanim w nocy gwiazdy wskażą nam orientację.

Nocą smugi zorzy polarnej wygięły się na sklepieniu nieba w łuk, jak pręgi na grzbiecie tygrysa. Płomienne włosy i obficie udrapowane szaty – Rah pyszniła się, uwieszona masztów statku. Odnalezienie kierunku było już niemożliwe.

– Trafiliśmy na biegun – powiedział Adams, byle dać próbkę swojego poczucia humoru; dobrze wiedział, że magnetyczne burze mogą wywołać zorze polarne na każdej szerokości.

Przyglądałem się Rah nocą: wspaniała fryzura, klejnoty, mieniąca się suknia.

– Wystroiłaś się – przyznałem.

– Muszę uczcić odnalezienie zguby – odparła.

Ja nie miałem powodu do świętowania; popadłem w dawne uzależnienie; mój wytrwale realizowany projekt się nie powiódł.

– Jesteś coraz piękniejsza – przyznałem.

– Dlaczego uciekłeś? Zaszłyś się w tę dziurę, pozwoliłeś się złapać w pułapkę, sprowadzić do wymiarów świata, którym rządzą ograniczenia.

– Jestem tu dobrowolnie – odparłem, ale wiedziałem, że ona mnie nie zrozumie. Według niej nasze życie powinno nadal się toczyć w wolnych przestrzeniach, przesywanych promieniami, wśród podmuchów słonecznych eksplozji, które unosiłyby nas bez chwili spoczynku, uprowadzając poza wszelkie wymiary, poza konkretne kształty.

– Zawsze prowadzisz tę grę, udając, że sam wybierasz, decydujesz, ustalasz – powiedziała Rah. – To twój nałóg.

– A ty, jak się tu znalazłaś? – spytałem. Czyż jonosfera nie była barierą nie do pokonania? Tyle razy słyszałem, jak Rah muska ją jak motyl, który bije skrzydłami o szybę w pokoju. – Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak tu weszłaś.

Wzruszyła ramionami.

– Uderzenie promieni, szczelina w sklepieniu i oto jestem, żeby cię stąd zabrać.

– Zabrać mnie? Ale teraz sama jesteś w pułapce. Jak chcesz się stąd wydostać?

– Zostanę tutaj. Z tobą – oznajmiła.

– Katastrofa, panie kapitanie! – Simmons biegł w moją stronę. – Na pokładzie wysiadły wszystkie urządzenia elektryczne!

Evans siedział schowany za lukiem, chwycił radiotelegrafistę za ramię; mówił – zrozumiałem to z jego gestykulacji – że nie warto się do mnie zwracać, burza magnetyczna pomieszała mi w głowie, rozmawiam już z samym sobą, zwracając się do omasztowania.

Próbowałem upomnieć się o swój prestiż:

– Ocean przebiegają silne elektryczne prądy – wyjaśniłem – napięcie w przewodach rośnie, bezpieczniki wysiadają, to zupełnie normalne. – Ale teraz oni patrzyli na mnie oczami, w których nie było cienia szacunku dla mojej rangi.

Nazajutrz skutki burzy magnetycznej ustały na całym oceanie, ale nie na pokładzie naszego statku ani wokół nas w odległości dużego promienia. „Halley” nadal sunął za Rah, która spoczywała, leniwie wyciągnięta w powietrzu, jednym palcem zaczepiona o radar lub o piorunochron, lub o krawędź komina. Busola zdawała się roztrzepotaną rybą, radio nadal kipiało

jak garnek ciecierzycy. Wysłane na pomoc statki nie mogły nas odnaleźć: ich przyrządy psuły się, zaledwie okręty do nas podpływały.

Nocą świetliste smugi unosiły się nad „Halleyem”; była to zorza polarna, przeznaczona tylko dla nas, jakby była naszą banderą. Dzięki temu wytropiły nas statki ratunkowe. Nie zbliżając się do nas, żeby nie zarazić się tym, co wyglądało na tajemniczą chorobę magnetyczną, skierowały nas na redę w Liverpoolu.

Po wszystkich portach zaczęła krążyć fama: gdziekolwiek się znajdzie kapitan „Halleya”, tam występują zakłócenia elektryczne i pojawia się zorza polarna. I do tego moi oficerowie rozpowiadali jeszcze, że utrzymuję kontakty z niewidzialnymi mocami. Utraciłem oczywiście dowództwo „Halleya” i nie było mowy o tym, żebym zdołał wejść na pokład innego statku. Na szczęście, za oszczędności zgromadzone po latach żeglowania kupiłem stary wiejski dom w Lancashire, gdzie – jak już mówiłem – miałem zwyczaj przebywać między jednym a drugim rejssem i poświęcać się swoim ulubionym doświadczeniom pomiarowym i prognozowaniu zjawisk naturalnych. Napełniłem dom samodzielnie skonstruowanymi przyrządami, do których należał heliograf monochromatyczny, i za każdym razem, gdy schodziłem na ląd, niecierpliwie czekałem na chwilę, kiedy będę mógł zamknąć się w laboratorium., Wycofałem się do Lancashire z moją żoną Rah. Natychmiast okolicznym właścicielom, w promieniu wielu mil, zaczęły się psuć telewizory. Nie można już było wyregulować obrazu: na ekranie pojawiały się białe i czarne pasy, zupełnie jakby do akcji wkraczała zebra, gryziona przez pchły.

Byłem świadom, że krążą o nas pogłoski, ale się nimi nie przejmowałem: wydawało się, że ludziom chodzi głównie o moje doświadczenia; przywykli do czasów, kiedy moje przyrządy działały, może jeszcze nie mieli żadnych podejrzeń na temat mojej żony, nigdy jej nie poznali, nie wiedzieli, że w naszym domu nie funkcjonuje już żaden mechanizm, że nie mamy nawet elektryczności.

I do tego nocą z naszych okien sączyło się światło świec, nadając domostwu złowrogi wygląd: wiele osób czuwało w tamtych dniach nocą, przyglądając się łunie zorzy polarnej, która zaczęła wyróżniać naszą okolicę; nic dziwnego, że wzbudzaliśmy coraz większą podejrzliwość. Potem wędrownie ptaki straciły orientację: bociany zjawiały się w pełni zimy, albatrosy lądowały na wrzosowiskach.

Pewnego dnia zjawił się u mnie wielebny Collins.

– Chciałbym z panem porozmawiać, panie kapitanie – tutaj zakasłał – ... na temat zjawisk, które występują na terenie parafii... nieprawdaż?...

i pewnych pogłosek...

Stał w progu. Wpuściłem go do środka. Nie potrafił ukryć osłupienia, widząc, że u nas panuje ogólny rozpad: wszędzie leżą odłamki szkła, szczotki prądnic, strzępy map nawigacyjnych, wszystko w nieładzie.

– Ależ to nie jest dom, który odwiedziłem zeszłej Wielkanocy... – wymamrotał.

Mnie również ogarnęła przez chwilę tęsknota za uporządkowanym laboratorium, funkcjonalnym, dobrze wyposażonym, które pokazałem mu w poprzednim roku. (Wielebny Collins przywiązywał wielką wagę do utrzymywania dobrych stosunków z mieszkańcami okolic, zwłaszcza z tymi, których noga nigdy nie stanęła w kościele).

Opanowałem się.

– Tak, trochę zmieniliśmy wystrój...

Pastor natychmiast przeszedł do wyłuszczenia mi powodu swojej wizyty. Wszystkie dziwne rzeczy, które zaczęły się zdarzać, odkąd tu znowu zamieszkałem jako człowiek żonaty (położył nacisk na to słowo), opinia publiczna wiąże z moją osobą lub też z osobą pani Qfwfq (aż podskoczyłem), której jak dotąd nikt nie miał zaszczytu, oznajmił, być przedstawionym. Nic na to nie odparłem.

– Wiadomo, jacy są tutejsi ludzie – ciągnął dalej wielebny Collins – jest jeszcze tyle ignorancji, tyle przesądów... Nie można oczywiście dawać wiary wszystkiemu, co oni mówią... – I nie było pewne, czy przyszedł tutaj, żeby przeprosić za wrogość swoich parafian, czy też żeby się przekonać, ile prawdy mogło być w ich gadaniu. – Krążą pogłoski bez składu ni ładu. Proszę sobie wyobrazić, co do mnie dotarło: otóż widziano, jak pańska żona lata nocą nad dachami i kołysze się na antenach telewizyjnych. „Jak to? – spytałem – jak wygląda ta pani Qfwfq? Jak chochlik, jak elf?” „Nie – odparli – to olbrzymka, która wyleguje się w powietrzu, rozciągnięta jak chmura...”

– Ależ nie, zapewniam Waszą Wielbność, że tak nie jest – zacząłem mówić, i nie bardzo wiedziałem, czemu miałbym zaprzeczyć. – Rah musi leżeć z powodów zdrowotnych... Wasza Wielbność rozumie?... i dlatego wolimy nigdzie nie bywać... ale jest w domu... Teraz Rah niemal ciągle jest w domu... jeżeli Wasza Wielbność zechce, mogę ją przedstawić...

Oczywiście wielebny Collins na nic innego nie czekał. Musiałem zaprowadzić go do garażu, do wielkiego, starego garażu-magazynu, który w czasach, kiedy ta posiadłość była gospodarstwem rolnym, służył za młocarnię i stodołę. Nie było tam okien, światło sączyło się przez szpary, w powietrzu unosił się pyłek. I w tym pyłku można było rozpoznać Rah.



Wypełniała całe pomieszczenie, leżąc na boku, nieco skulona, zwinięta w kłębek, jedną ręką trzymała się za kolano, drugą gładziła cewkę Rutherforda, jakby to był kot angora. Głowę miała spuszczoną, ponieważ sufit był dla niej trochę za niski; mrużyła oczy za każdym razem, kiedy miedziany przewód tryskał snopem iskier, gdy unosiła rękę, by zasłonić ziewnięcie.

– Biedactwo, nudzi się trochę w tym zamknięciu, nie przywykła – zacząłem wyjaśniać, ale miałem ochotę wyrazić coś innego, dumę, która rozpierała mnie na ten widok. Oto, co bym powiedział, gdyby znalazł się ktoś zdolny mnie zrozumieć: „Patrzcie, jak ona się zmieniła: zaraz po przybyciu tutaj była furia, kto by powiedział, że będę umiał żyć z burzą, że zdołam ją poskromić, obłaskawić?”

Pogrążony w tych myślach, niemal zapomniałem o pastorce. Odwróciłem się. Już go nie było. Uciekł! Jest tam, biegnie; skacze przez żywopłoty, podpierając się parasolem.

Teraz spodziewam się najgorszego. Wiem, że sąsiedzi skrzyknęli się, są uzbrojeni i otaczają wzgórze. Słyszę szczekające psy, nawoływania, co jakiś czas poruszają się liście, to przednia straż śledzi mnie zza żywopłotu. Zaraz przypuszczą atak na dom, może zechcą podłożyć ogień: widzę, jak dokoła przybywa zapalonych pochodni. Nie wiem, czy zamierzają wziąć nas żywcem, czy zlinczować, czy też wydać na pastwę płomieni. Może chcą spalić moją żonę jako czarownicę; albo też zrozumieli, że ona nigdy nie da się pochwycić?

Patrzę na Słońce: wygląda, jakby weszło w fazę burzliwej aktywności; plamy się kurczą; bąble się rozrastają, po stokroć wspaniałe. Otwieram garaż, pozwalam światłu wnikać do środka. Czekam, aż silniejszy wybuch wyrzuci w przestrzeń elektryczny strumień, aż Słońce wyciągnie ramiona i sięgnie tutaj, zerwie dzielącą nas zasłonę, wtargnie, by zabrać swoją córkę i zwrócić ją szaleńczym przebiegom po bezkresnych równinach przestrzeni.

Wkrótce okoliczne telewizory zaczną znów funkcjonować, obrazy środków do prania i pięknych dziewczyn znów wypełnią ekrany, zastępy prześladowców rozwiążą się, każdy wróci do swojego przydziału codziennej racjonalności. Ja także zdołam odbudować laboratorium, powrócić do trybu życia sprzed tej przymusowej przerwy.

Nie sądźcie jednak, że nawet mając Rah na głowie, kiedykolwiek zaniedbałem raz obraną linię postępowania, nie sądźcie, że w pewnej chwili ustąpiłem, widząc, że nie zdołam umknąć Rah, widząc, że ona jest silniejsza; wymyśliłem plan jeszcze trudniejszy, żeby zastąpić plan zaszachowany przez Rah, ułożyłem plan zależny od Rah, na przekór Rah, dzięki Rah albo też z miłości do niej, i był to jedyny sposób na spełnienie naszej miłości: chciałem

pośród tych roztrzaskanych przyrządów, w tym pyłku wibracji zaprojektować inne przyrządy, inne jednostki miary, inne kalkulacje, które pozwoliłyby nam poznać i okiełznać międzyplanetarną burzę słoneczną, ponieważ ona nas nawiedza i potrząsa nami, i targa, i nas warunkuje, pomimo naszego złudnego parasola jonów. Tego chciałem. I kiedy teraz ona mknie jak piorun w stronę strefy ognia, ja znów staję się panem samego siebie, zbieram odłamki własnych mechanizmów i widzę, jak wątle są odzyskane moce.

Moi prześladowcy niczego jeszcze nie spostrzegli. Nadchodzą właśnie, uzbrojeni w trójzęby i strzelby, i kije.

– Jesteście zadowoleni?! – krzyczę. – Jej już tu nie ma! Wracajcie do swoich busoli, do swoich telewizorów! Wszystko jest w porządku! Rah odeszła. Ale wy nie wiecie, coście stracili. Nie wiecie, na czym polegał mój plan, mój plan wobec was, nie wiecie, co mogła dla nas oznaczać obecność Rah, straszliwej, nieznośnej Rah, dla mnie i dla was, chociaż wy chcecie mnie teraz zlinczować!

Stanęli. Nie rozumieją tego, co mówię, nie wierzą mi, nie wiedzą, czy mają się wystraszyć, czy też czuć się pokrzepieni. Ja zresztą też nie rozumiem tego, co powiedziałem, nie dowierzam sobie, ja też nie wiem, czy mam odczuwać ulgę, ja też się boję.

## Muszele i czas

Dokumentacja życia na Ziemi, niezwykle skąpa dla okresu prekambryjskiego, staje się niespodziewanie obfita, począwszy od epoki sprzed 520 milionów lat. W okresie kambru i ordowiku żywe organizmy zaczynają wydzielać substancje tworzące wapienne muszle, które przetrwają w warstwach skalnych jako skamieliny.

Jak myślicie, kto otworzył przed wami szczelinę wymiaru, w którym wszyscy jesteście tak bardzo zanurzeni, jakbyście – tak wam się wydaje – w nim i dzięki niemu przyszli na świat? To byłem ja – *dal się słyszeć głos Qfwfq, dobiegający spod muszli* – ja, nędzny mięczak, skazany na życie chwilą, ja, odwieczny więzień bezkresnej terażniejszości. Na próżno udajecie zrozumienie, nie potraficie odgadnąć, o czym mówię. Mówię o czasie. Gdyby nie ja, czasu by nie było.

Dlatego że ja, zrozumcie mnie dobrze, nie miałem pojęcia, czym może być czas i nawet nie miałem pojęcia, że mogłoby istnieć coś takiego jak czas. Noce i dni były o mnie jak fale, wymienne, jednakowe lub nacechowane przygodnymi różnicami, był to taki ruch w górę i w dół, w którym nie sposób się było dopatrzeć jakiegoś sensu ani normy. Kiedy jednak budowałem muszlę, mój zamiar był w pewnej mierze związany z czasem, był chęcią wyłączenia własnej terażniejszości z niszczącego roztworu wszystkich terażniejszości, chęcią wyosobnienia jej, wyprowadzenia na zewnątrz. Terażniejszość narzucała mi się w tak wielu postaciach, że nie potrafiłem ustalić żadnej kolejności: fale, noce, popołudnia, odpływy, zimy, kwadry księżyca, przypyływy, kanikuły; bałem się, że się w tym zatracę, rozpadnę na tyle różnych ja, ile napierało na mnie cząsteczek terażniejszości, nakładając się jedna na drugą, i z tego, co rozumiałem, wszystkie mogły być równoczesne, każda z nich zamieszkała przez cząsteczkę mnie samego, równoczesną wobec pozostałych.

Musiałem utrzymywać ślady w tej niezmiarzonej ciągłości: wyodrębnić serię odstępów, czyli liczb. Wapienna substancja, którą wydzielałem, nakładając ją spiralnie na kolejne warstwy, była czymś, co sączyło się nieprzerwanie, ale jednak przy każdym obrocie spirali substancja ta oddzielała krawędź jednego obrotu od krawędzi następnego i dlatego, jeśli zamierzałem coś liczyć, mogłem zacząć od liczenia tych obrotów. Chciałem wyprodukować czas przeznaczony tylko dla siebie, odmierzany tylko przez siebie, zamknięty: zegar, który nie musiałby się przed nikim tłumaczyć z tego, co odmierza. Chciałem wyprodukować czasomuszlę bezmiernie długą, nieprzerwaną, chciałem bez końca wydłużać swoją spiralę.

Wkładałem w to wszystkie swoje siły, i z pewnością nie byłem odosobniony: w tym samym czasie wielu innych próbowało zbudować muszlę nieskończoną. Czy udałoby się to mnie, czy komuś innemu, nie miało znaczenia: ważne było, żeby ktoś z nas zdołał wyprodukować bezkresną spiralę, a czas zacząłby istnieć, przybrałby taki kształt. Ale teraz muszę wam wyznać rzecz najtrudniejszą (nawet trudniejszą od uznania faktu, że jestem tutaj i do was mówię): czas, który nie potrafi się utrzymać, który zanika, który się osuwa jak piaszczysty brzeg, czas sfasetowany jak kryształ soli, rozgałęziony jak rafa koralowa, podziurawiony jak gąbka (a już nie wspomnę, przez jaki otwór, przez jaką szczelinę się przedarłem, żeby dotrzeć aż tutaj). Bezkresna spirala była bez szans: muszla rosła, rosła i w pewnej chwili nieruchomiała, koniec i kropka, była skończona. Zaczynała powstawać inna, w innym miejscu, w każdej chwili muszle powstawały tysiącami, tysiące ich narastało, każda była w innej fazie obrotu spirali, i wszystkie, wcześniej czy później, zamierały, fale unosiły ze sobą pustą powłokę.

Nasz trud szedł na marne: czas odmawiał trwania, była to substancja krucha, przeznaczona rozpadowi, do nas należały tylko iluzje czasu, których okres trwania wynosił tyle, ile długość niepokążnej spirali muszli, do nas należały odłamki czasu, oderwane i różne, jeden tu, drugi tam, niedające się połączyć ani porównać.

A na powłokach naszego zawziętego mozołu osadzał się piasek, który w nieregularnych podmuchach wiatru unosił czasopiasek i pozwalał mu opaść, grzebiąc puste muszle pod kolejnymi warstwami we wnętrzu płaskowyżów naprzemiennie wynurzanych i zatapianych, kiedy morza ponownie zalewały kontynenty, pokrywając je nowymi złożami pustych muszli. Tym sposobem nasza porażka wtapiała się w substancję świata.

Jak mogliśmy przypuszczać, że to cmentarzysko muszli może być prawdziwą muszlą, tą, którą ze wszystkich sił próbowaliśmy zbudować i sądziliśmy, że nam nie wyszło? Teraz jest jasne, że wyprodukowanie czasu polegało właśnie na porażce wysiłków, zmierzających do jego wytworzenia; tyle że nie pracowaliśmy dla siebie, lecz dla was. My, mięczaki, które jako pierwsze zamierzały przetrwać, podarowałyśmy nasze królestwo, czas, najbardziej niestałemu gatunkowi mieszkańców tymczasowości: rodzajowi ludzkiemu, któremu bez nas nigdy nie przyszłoby to do głowy. Przekrój ziemskiej skorupy pozwolił wyłonić się naszym skorupom porzuconym sto, trzysta, pięćset milionów lat temu i wówczas rozwarł się przed wami pionowy wymiar czasu, i uwolnił was od wciąż ponawianego obrotu ciał niebieskich, któremu nadal powierzaliście bieg waszej ułamkowej egzystencji.

Nie twierdzą, że nie macie w tym swojej zasługi, potrafiliście odczytać to, co było napisane między wierszami księgi Ziemi (no i proszę, sięgam po waszą zwyczajową metaforę, po zapis, od tego nie ma ucieczki, to dowód, że jesteśmy na waszym terytorium, już nie na moim), udało wam się przesyłabizować koślawe litery naszego bezładnego alfabetu, rozproszonego w tysiącletnich odstępach milczenia, udało wam się wydobyć z niego ciągłą wypowiedź, wypowiedź o was. Ale sami przyznajcie, że nie zdołalibyście nas odczytać, gdybyśmy, nawet nie wiedząc, o czym piszemy, tego nie napisali, albo też, gdybyśmy dobrze o tym wiedząc, nie zechcieli tego zapisać (sięgnę jeszcze raz po waszą ulubioną metaforę, skoro już przy tym jesteśmy), zostawić śladu, być śladem, relacją, więzią z innymi, rzeczą, która będąc sama w sobie i dla siebie, godzi się być czymś innym dla innych...

Ktoś musiał jednak dać początek: nie tyle coś robić, ile się stawać, stawać się rzeczą, przeobrażać się w to, co robił, sprawić, żeby wszystkie pozostawione rzeczy, rzeczy pogrzebane, stały się znakami czegoś innego, podobnie jak odcisk szkieletu ryby w glinie, zwęglone i roponośne lasy, odcisk łapy teksańskiego dinozaura w błocie z okresu kredowego, rozłupane otoczaki z paleolitu, szkielet mamuta odnaleziony w tundrze Bieriozowka, który między zębami zachował resztki jaskrów, oskubanych dwanaście tysięcy lat wcześniej, Wenus z Willendorfu, ruiny z Ur, rękopisy Esseńczyków, ostrze włóczni odłamane w Torcello, świątynia templariuszy, skarb Inków, Pałac Zimowy i Instytut Smolny, cmentarz samochodów...

Nasze urwane spirale posłużyły wam do ułożenia spirali ciągłej, którą nazywacie historią. Nie wiem, czy jest to powód do radości, nie potrafię osądzić tej nie swojej sprawy, dla mnie jest to tylko czasoodcisk, ślad naszego chybionego trudu, rewers czasu, uwarstwienie resztek i skorup, i nekropoli, i stosów tego, co zatracając się, ocalało, tego, co nieruchomiejąc, dotarło do was. Wasza historia jest odwrotnością naszej, odwrotnością historii tego, co niegdyś wprawione w ruch, nie dotarło, tego, co chcąc przetrwać, zagubiło się: ręka, która ulepiła naczynie, półki, które spłonęły w Aleksandrii, dykcja skryby, ciało mięczaka, który wydzieliał substancję muszli...

## Pamięć świata

Właśnie po to pana wezwałem, Müller. Teraz, kiedy przyjęto moją dymisję, pan zostanie moim następcą: pańska nominacja na dyrektora jest już nieuchronna. Proszę nie udawać, że spada pan z obłoków: od dawna się o tym mówi i z pewnością te pogłoski dotarły do pana uszu. Zresztą nie ma wątpliwości, że wśród młodej kadry naszej organizacji pan jest najlepiej do tego przygotowany, Müller, zna pan – można by rzec – wszystkie tajniki naszej pracy. Przynajmniej pozornie. Muszę o tym powiedzieć: rozmawiam z panem nie z własnej inicjatywy, lecz z polecenia naszych przełożonych. Nie wie pan jeszcze tylko o paru kwestiach i oto nadszedł moment, żeby się pan o nich dowiedział, Müller. Sądzi pan, jak zresztą wszyscy, że nasza organizacja od wielu lat przygotowuje największe centrum dokumentacji, jakie kiedykolwiek zaprojektowano, kartotekę, która będzie zawierać i porządkować wszystko, co wiemy o każdym człowieku i zwierzęciu, i rzeczy, z myślą o powszechnym inwentarzu, obejmującym nie tylko teraźniejszość, ale i przeszłość, wszystko, co było od początku świata, słowem, historię powszechną wszystkiego równocześnie albo też katalog wszystkich rzeczy, uwzględniający każdą chwilę. Faktycznie nad tym pracujemy i można powiedzieć, że jesteśmy dosyć zaawansowani: nie tylko zawartość najważniejszych bibliotek świata, archiwów i muzeów, roczników codziennych gazet ze wszystkich krajów znajduje się już na naszych perforowanych kartach, ale jest tam także dokumentacja gromadzona ad hoc, wszystkich ludzi, wszystkich miejsc. Cały ten materiał jest poddawany procesowi redukcji do tego, co najważniejsze, procesowi kondensacji, miniaturyzacji, i nawet jeszcze nie wiemy, kiedy on się zakończy; podobnie też wszystkie istniejące lub możliwe obrazy są archiwizowane na miniaturowych szpulkach mikrofilmów, a mikroskopijne cewki przewodów magnetycznych zawierają wszystkie zarejestrowane i dające się zarejestrować dźwięki. Zamierzamy zbudować scentralizowaną pamięć rodzaju ludzkiego, starając się ją zmagazynować w możliwie najmniejszej przestrzeni, na wzór jednostkowych pamięci naszych mózgów.

Ale niepotrzebnie powtarzam te rzeczy właśnie panu, przecież pan przyszedł tu do nas po wygraniu konkursu, przedstawiając nam projekt „Całe British Museum w jednym kasztanie”. Jest pan u nas względnie krótko, od paru lat, ale już pan poznał funkcjonowanie naszych laboratoriów równie dobrze jak ja, chociaż ja od samego początku zajmowałem stanowisko dyrektora. Nigdy bym nie porzucił tego stanowiska, zapewniam pana, gdyby starczyło mi sił. Jednakże po tajemniczym zniknięciu mojej żony wpadłem

w tak silną depresję, że nie potrafię się z niej otrząsnąć. Jest zatem rzeczą słuszną, że nasi przełożeni – spełniając także moje życzenie – pomyśleli o tym, aby mnie zastąpić. Przypada mi teraz w udziale poinformować pana o tajemnicach służbowych, które do tej pory przed panem przemilczano.

Tym, czego pan nie wie, jest prawdziwy cel naszej pracy. Chodzi o koniec świata, Muller. Pracujemy z myślą o bliskim końcu życia na Ziemi. Po to, żeby to wszystko, co się wydarzyło, nie okazało się daremne, chcemy przekazać naszą wiedzę innym, chociaż nawet nie wiemy, kim oni są ani też ile wiedzą.

Czy mogę zaproponować panu cygaro? Prognoza przewidująca, że Ziemia już wkrótce nie będzie się nadawała do zamieszkania – przynajmniej nie przez rodzaj ludzki – nie robi na nas wielkiego wrażenia. Już od dawna wiemy, że Słońce dotarło do połowy swojego życia: nawet jeśli dobrze nam pójdzie, za jakieś cztery lub pięć miliardów lat wszystko się skończy. Tak czy inaczej, ten problem niebawem by się pojawił; nowością jest, że terminy bardzo się skróciły, że nie mamy już czasu do stracenia, to wszystko. Wyginięcie naszego gatunku jest w pewnością perspektywą smutną, ale płacz jest marnym pocieszeniem, czymś na kształt rozpamiętywania pojedynczej śmierci. (Wciąż myślę o odejściu mojej Angeli, proszę wybaczyć, jeżeli się wzruszam). Na milionach nieznanymi planet żyją z pewnością istoty podobne do nas; mało jest ważne, że pamięć o nas i kontynuacja życia przypadnie ich potomkom, a nie naszym. Liczy się to, żeby przekazać im naszą pamięć, powszechną pamięć opracowaną przez organizację, której dyrektorem wkrótce pan zostanie.

Proszę się nie przerażać; zakres pana pracy się nie zmieni. System przekazywania naszej pamięci innym planetom leży w zakresie kompetencji innego sektora organizacji; my mamy już swoje zadanie i nawet nie dotyczy nas kwestia tego, czy za bardziej przydatne uznane będą media optyczne, czy akustyczne. Może się nawet okazać, że komunikatów nie trzeba będzie nadawać, lecz wystarczy je zdeponować w bezpiecznym miejscu, pod ziemską skorupą: wrak naszej planety, błakając się w przestrzeni, może pewnego dnia trafić w ręce pozagalaktycznych archeologów, którzy go zbadają. Nawet wybór kodu czy kodów nie jest naszą sprawą: istnieje sektor specjalny, który ma opracować system zapewniający dostępność naszego banku informacji, niezależnie od systemu językowego, jakim posłużą się tamci. Dla pana, chociaż pan już o tym wie, nic się nie zmieni, zapewniam, poza odpowiedzialnością, jaka pana czeka. I właśnie o tym chciałem trochę z panem pogawędzić.

Czym będzie rodzaj ludzki w momencie wygaśnięcia? Pewną sumą danych o sobie samym, sumą skończoną, skoro nie zdoła się jej odnowić ani

powiększyć. Przez pewien czas wszechświat miał szczególną sposobność zbierania i przetwarzania danych; i tworzenia ich, puszczania w obieg tam, gdzie nie byłoby kogo informować ani o czym: tym było życie na Ziemi, a zwłaszcza życie rodzaju ludzkiego, jego pamięć, jego wynalazki służące komunikacji i pamięci. Nasza organizacja ma stworzyć gwarancję, że ta suma informacji się nie rozproszy, niezależnie od tego, czy zostanie odebrana przez innych, czy też nie. Dyrektor musi zatroszczyć się o to, żeby nic się nie wymknęło, ponieważ wszystko, co się wymknie, czeka los tego, czego nigdy nie było. A zarazem musi się zatroszczyć o to, żeby stało się tak, jakby nigdy nie istniało to, co w ostatecznym rachunku spartaczyłoby lub usunęło w cień rzeczy bardziej istotne, czyli to wszystko, co zamiast poszerzyć informację wywołałoby niepotrzebny chaos i zgiełk. Liczy się powszechny model ustanowiony przez ogół informacji, które są źródłem innych informacji, jakich my nie podajemy, a może nawet ich nie posiadamy. W sumie, nie podając pewnych informacji, podaje się ich więcej, niż można by podać, podając je naprawdę. Rezultatem końcowym naszej pracy będzie model, w którym wszystko liczy się jako informacja, nawet to, czego nie ma. Tylko wtedy, na podstawie tego, co istniało, będzie można wiedzieć, co tak naprawdę było ważne, czyli co naprawdę istniało, ponieważ końcowym rezultatem naszej dokumentacji będzie ogół tego, co jest, co było i co będzie, a cała reszta jest niczym.

Pewnie, zdarzają się chwile w naszej pracy – panu także musiały się przydarzyć, Muller – kiedy próbuje się myśleć, że tylko to, co umyka naszemu zapisowi, jest ważne, że tylko to, co mija bez śladu, istnieje naprawdę, podczas gdy wszystko, co znajdzie się w naszych kartotekach, to część martwa, same wióry, odpady. Nadchodzi taka chwila, kiedy ziewnięcie, przelatująca mucha, czyjaś zachcianka wydają nam się jedynym skarbem, ponieważ są absolutnie bezużyteczne, jednorazowe i zaraz popadają w zapomnienie, wymykając się monotonnemu magazynowaniu pamięci świata. Kto może wykluczyć, że wszechświat jest nieciągłą siecią chwil niepochwytnych i że наша organizacja kontroluje wyłącznie negatyw matrycy, obramowanie banału i pustki?

Ale właśnie na tym polega nasze zawodowe skrzywienie: zaledwie skupimy na czymś uwagę, już chcielibyśmy tę rzecz umieścić w naszych kartotekach; toteż często mi się zdarzało, przyznaję, katalogować ziewnięcia, czyraki, niestosowne skojarzenia, gwizdy i ukrywać je w pakiecie informacji bardziej dorzecznych. Ponieważ miejsce dyrektora, które niedługo pan zajmie, ma ten przywilej: może naznaczyć pamięć świata osobistym piętnem. Proszę słuchać, Muller: nie chodzi mi o samowolę czy o nadużywanie władzy, lecz



o niezbywalny element naszej pracy. Masa informacji zimno obiektywnych, bezspornych mogłaby stworzyć obraz daleki od prawdziwego, sfalszować to, co jest swoiste dla każdej sytuacji. Przypuśćmy, że z innej planety dotrze do nas wiadomość o niezaprzeczalnych, rzeczywistych danych, całkiem zrozumiałych: nawet nie zwrócilibyśmy na nią uwagi, nawet byśmy jej nie dostrzegli; tylko wiadomość zawierająca coś niewyrażonego, wątpliwego, częściowo nie do odcyfrowania, przekroczyłaby próg naszej świadomości, wymusiłaby odbiór i interpretację. Musimy mieć to na uwadze: obowiązkiem dyrektora jest nadanie całości zgromadzonych i wyselekcjonowanych przez nasze służby elementów tej nieznaczej szczypty subiektywizmu, tej odrobiny kontrowersyjności, ryzyka, którego one potrzebują, żeby się uwiarygodnić. O tym chciałem pana uprzedzić, zanim przekażę panu dokumenty: w zebranych do tej pory materiałach daje się gdzieś zauważyć muśnięcie mojej ręki – niezwykle dyskretne, ma się rozumieć – są tam rozsiadane opinie, przemilczenia, a także kłamstwa.

Kłamstwo tylko pozornie wyklucza prawdę; sam pan wie, że kłamstwa w wielu przypadkach – na przykład w psychoanalizie kłamstwa pacjenta – są równie lub bardziej symptomatyczne, co prawda; i tak też będzie dla tych, którym przyjdzie zinterpretować nasz przekaz. Muller, mówiąc to panu, nie mówię tego z polecenia naszych przełożonych, lecz na podstawie osobistego doświadczenia, zwracam się do pana jak kolega do kolegi, jak mężczyzna do mężczyzny. Proszę mnie posłuchać: prawdziwą informacją, jaką mamy przekazać, jest kłamstwo. Dlatego też nie chciałem zabraniać sobie dyskretnego posługiwania się kłamstwem tam, gdzie ono nie tylko nie komplikowało przekazu, ale wręcz go upraszczało. Zwłaszcza w kwestii informacji o sobie samym uznałem, że wolno mi rozpowszechniać nieprawdziwe szczegóły (nie sądzę, aby miało to komukolwiek zaszkodzić). Na przykład moje życie z Angelą: opisałem je zgodnie z własnymi pragnieniami jako historię wielkiej miłości, w której Angela i ja występujemy jako dwoje ludzi niezmiennie zakochanych, szczęśliwych na przekór wszelkim przeciwnościom losu, namiętnych, wiernych sobie. Niezupełnie tak było, Muller: Angela poślubiła mnie z wyrachowania i natychmiast tego pożałowała, nasze życie było pasmem podłości i wybiegów. Ale czy to ma znaczenie, jak było dzień po dniu? W pamięci świata obraz Angeli jest ostateczny, doskonały, nic nie może go zadraskać, a ja na zawsze pozostanę najbardziej godnym pozazdroszczenia mężem, jaki kiedykolwiek istniał.

Z początku musiałem tylko przedstawiać w lepszym świetle dane, których mi dostarczało nasze codzienne życie. W pewnej chwili dane, jakie miałem

przed sobą, obserwując Angelę dzień po dniu (a potem śledząc ją, a wreszcie tropiąc) stawały się coraz bardziej sprzeczne, dwuznaczne, i mogły usprawiedliwić wszelkie hańbiące podejrzenia. Co miałem robić, Muller? Miałem przyćmić, zepsuć ten równie jasny i łatwy do przekazania obraz Angeli, tak kochany i ujmujący, miałem zmać ten najwspanialszy komunikat z naszych kartotek? Usuwałem te dane dzień po dniu, bez wahania. Ale wciąż się bałem, że ostateczny wizerunek Angeli zachowa jakąś poszlakę, jakieś niedomówienie, ślad, z którego będzie można wywnioskować, czym Angela była i co robiła w swoim ulotnym życiu. Spędzałem całe dni w laboratorium na selekcyjonowaniu, wymazywaniu, pomijaniu. Byłem zazdrosny, Muller: nie zazdrosny o ulotną Angelę – ta rozgrywka była już dla mnie stracona – lecz zazdrosny o Angelę-jako-informację, która miała przetrwać do końca wszechświata.

Pierwszy konieczny warunek, żeby Angela-jako-informacja przetrwała bez skazy, polegał na tym, aby żywa Angela nie nałożyła się na swój wizerunek. Właśnie wtedy Angela zniknęła i wszelkie poszukiwania okazały się daremne. Nie ma potrzeby, bym opowiedział panu teraz, Muller, w jaki sposób udało mi się pozbyć ciała, kawałek po kawałku. Proszę się nie obawiać, te szczegóły nie mają żadnego znaczenia dla naszej pracy, ponieważ w pamięci świata ja pozostanę szczęśliwym mężem, a potem niepokieszonym wdowcem, którego wszyscy znacie. Ale nie zaznałem spokoju: Angela-jako-informacja nadal stanowiła część systemu informacji i niektóre z nich mogłyby zostać uznane – z powodu zakłóceń transmisji lub też złośliwości deszyfranta – za niejasne przypuszczenia, insynuacje, domysły. Postanowiłem wymazać z naszych kartotek obecność osób, z którymi Angela mogła utrzymywać intymne kontakty. Było mi przykro, ponieważ po niektórych naszych kolegach w pamięci świata nie zostanie nawet ślad i będzie tak, jakby nigdy nie istnieli.

Może pan sądzi, że mówię o tym, żeby zrobić z pana swojego współnika, Muller. Nie, zupełnie nie o to chodzi. Muszę pana powiadomić o nadzwyczajnych środkach, do jakich jestem zmuszony się uciec, żeby wszelka informacja o kochankach mojej żony pozostała nadal wykluczona z kartotek. Nie dbam o to, jakie to będzie miało dla mnie konsekwencje; wobec wieczności, z którą przywykłem się rozliczać, niewiele lat zostało mi jeszcze do przeżycia; to, kim byłem naprawdę, rozstrzygnąłem już raz na zawsze i powierzyłem perforowanym kartom.

Jeżeli nie można już niczego sprostować w pamięci świata, pozostaje sprostować rzeczywistość w punkcie, gdzie jest ona niezgodna z pamięcią świata. Podobnie jak usunąłem istnienie kochanka swojej żony

z perforowanych kart, tak obecnie muszę usunąć go ze świata żywych.  
I dlatego wyjmuję teraz pistolet, wymierzam broń w pana, Muller, pociągam  
za spust i strzelam.

Nowe opowieści kosmikomiczne  
Przekład Anna Wasilewska

## Nicość i znikomość

Według obliczeń fizyka Alana Gutha ze Stanford Linear Accelerator Center wszechświat powstał dosłownie z niczego w niezwykle znikomym ułamku czasu: w sekundzie podzielonej przez miliard miliardów miliardów („Washington Post”, 3 czerwca 1984).

Jeżeli wam powiem, że to pamiętam – *zaczął Qfwfq* – wy zaoponujecie, że w nicości nic nie może niczego pamiętać ani też być przez nic zapamiętanym, i z tego oto powodu nie zdołacie uwierzyć w ani jedno słowo mojej opowieści. Trudno zbić takie argumenty, przyznaję. Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że od chwili, w której coś zaistniało, a wtedy nie istniało jeszcze nic innego, to coś stało się wszechświatem, a skoro przedtem nigdy go nie było, zaczęło istnieć jakieś przedtem, w którym go nie było, i jakieś potem, w którym już był, od tej chwili, jak mówię, zaczął się liczyć czas, a wraz z czasem pamięć, a wraz z pamięcią ktoś, kto pamiętał, czyli ja lub to coś, co w następstwie zrozumiało, że jest jakimś ja. Żebyśmy się zrozumieli: nie chodzi o to, że pamiętam, jaki byłem w czasach nicości, bo wtedy nie było czasu i nie było mnie; ale obecnie zdaję sobie sprawę, że jakkolwiek nie wiedziałem, że istnieję, było takie miejsce, w którym mogłem zaistnieć, czyli wszechświat; podczas gdy przedtem, nawet gdybym chciał, nie wiedziałbym, gdzie się podziać, a to już ogromna różnica, i ja pamiętałem właśnie o tej różnicy między przedtem a potem. Słowem, musicie przyznać, że również moje rozumowanie ma sens i do tego nie grzeszy uproszczeniem, tak jak wasze.

Pozwólcie, żebym wam to wyjaśnił. Nie jest powiedziane, że to, co wówczas było, istniało naprawdę: cząsteczki albo też elementy, z których miały później powstać cząsteczki, prowadziły egzystencję wirtualną: ten rodzaj egzystencji polega na tym, że jak jesteś, to jesteś, a jak cię nie ma, możesz liczyć na to, że zaistniejesz i zobaczysz, co się stanie. Już to wydawało nam się wielką sprawą, i z pewnością tak było, ponieważ jeżeli tylko zaczniesz istnieć wirtualnie, kołysać się w polu możliwości, pożyczać i oddawać nadal jeszcze hipotetyczne ładunki energii, może ci się kiedyś zdarzyć, że zaistniejesz naprawdę, czyli zakrzywisz wokół siebie choćby maleńki skrawek czasoprzestrzeni: tak jak się to przydarzyło pewnej wciąż rosnącej liczbie tego nie-wiadomo-czego – nazwijmy to neutrinami, ponieważ to ładne słowo, ale wtedy nikomu nawet się nie śniło o neutrinach – kołyszących się jeden przy drugim w nieskończenie wrzącej zupie, równie zawieszistej jak najgęstszy klej, zupie, której objętość przyrastała w czasie tak nieskończenie krótkim, że nie można tu mówić o czasie – i faktycznie czas nie zdążył jeszcze pokazać, czym się stanie –

i rozrastając się, tworzyła przestrzeń tam, gdzie nikt jeszcze nie wiedział, czym jest przestrzeń. I tak wszechświat z nieskończonej małej krosteczki zawieszony w gładkiej nicości błyskawicznie rozszerzał się do rozmiarów protonu, potem atomu, potem czubka szpilki, potem jej główki, łyżki, kapelusza, parasola...

Nie, opowiadał o tym zbyt pośpiesznie; albo zbyt powolnie, kto wie: rozszerzanie się wszechświata przebiegało z niezwykłą szybkością, ale punkt wyjścia był tak bardzo pograżony w nicości, że po to, aby się z niej wydostać i osiągnąć próg czasu i przestrzeni potrzebna była siła wybuchu trudna do zmierzenia w granicach czasu i przestrzeni. Powiedzmy, że chcąc opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło w pierwszej sekundzie historii wszechświata, musiałbym sporządzić sprawozdanie tak długie, że nie wystarczyłyby mi cały czas trwania wszechświata, jego miliony przeszłych i przyszłych stuleci; podczas gdy z całą późniejszą historią mógłbym się uporać w pięć minut.

Jest rzeczą naturalną, że przynależność do tego wszechświata pozbawionego uprzedniości i punktów odniesienia stała się wkrótce powodem pychy, chępliwości, zachwyty. Błyskawiczne rozwarcie się niewyobrażalnych dystansów, obfitość cząsteczek, które dobywały się zewsząd – hadronów, barionów, mezonów, kwarków – gwałtowna prędkość czasu, to wszystko razem dawało nam poczucie niezwyciężoności, supremacji, dumy, a ponadto zarozumiałstwa, jakby to wszystko nam się należało. Jedynym porównaniem, jakie mogliśmy uczynić, było porównanie do wcześniejszej pustki: i zaraz oddalaliśmy od siebie tę myśl jako wyobrażenie, które nawiązywało do kondycji nędznej, miernej, zasługującej na litość lub na szyderstwo. Każda nasza myśl odnosiła się do całości, lekceważąc części; całość była naszym żywiołem, obejmującym także czas, cały czas, w którym przyszłość górowała nad przeszłością pod względem ilości i pełni. Naszym przeznaczeniem było to, czego jest więcej, coraz więcej, i nie umieliśmy myśleć o tym, czego jest mniej, myśleć nawet ukradkiem: od tamtej pory mieliśmy podążać naprzód, zmierzając od tego, czego jest więcej, do tego, czego jest jeszcze więcej, od sum do ich wielokrotności, do potęg, do silni, nigdy się nie zatrzymując ani nie zwalniając.

Sam nie wiem, czy dopiero teraz, w świetle tego, czego się dowiedziałem, mam wrażenie, że podłożem tej egzaltacji była niepewność, prawie żądza wymazania śladu naszych całkiem niedawnych początków, czy też już wtedy to doznanie podstępnie mnie dręczyło. Ponieważ niezależnie od pewności, że naszym środowiskiem naturalnym jest całość, było też prawdą, że powstaliśmy z nicości, że ledwie wynurzyliśmy się z absolutnego niebytu, że tylko cienka nić

czasoprzestrzeni dzieli nas od poprzedniej kondycji, pozbawionej jakiegokolwiek substancji i rozciągłości, i trwania. Ogarniało mnie poczucie niepewności, ulotne, lecz dojmujące, zupełnie jakby to wszystko, co próbowało się ukształtować, nie potrafiło ukryć swojej rzeczywistej kruchości, podłoża pustki, do której mogliśmy wrócić równie szybko, jak się od niej oderwaliśmy. Stąd niechęć, jaką odczuwałem, widząc wahanie, z jakim wszechświat nabierał kształtu, jakbym nie mógł doczekać się chwili, w której jego zawrotna ekspansja ustanie, pozwalając mi poznać swoje granice we wszystkim, co dobre i co złe, ale również osiągając stabilność istnienia; stąd też lęk, którego nie potrafiłem stłumić, że jeśli tylko nastąpi jakaś przerwa, z miejsca zacznie się faza zstępująca, zacznie się równie błyskawiczny powrót do nieistnienia.

Reagowałem na to, rzucając się w inną krańcowość: „totalność! totalność!” – głośno wszem wobec, „przyszłość!” – obwieszczałem, „jutro!” , „beźmiar jest ze mną!” – oznajmiałem, torując sobie drogę pośród tej nieokreślonej karuzeli sił, „niechaj potencjalnościom stanie się zadość! – podburzałem – niechaj czyn zatriumfuje! Niechaj możliwości dowiodą swej mocy!” Już wtedy zdawało mi się, że fale cząsteczek (a może były to tylko radiacje?) zawierają wszystkie możliwe kształty i siły, a im bardziej przeczynałem, że wszechświat wokół mnie wypełnia się aktywnymi obecnościami, tym bardziej odnosiłem wrażenie, że są one dotknięte nagannym bezwładem, pełną rezygnacji apatią.

Pośród innych obecności były tam też – by tak rzec – obecności kobiece, czyli obecności obdarzone takimi napędowymi ładunkami, które dopełniały moje ładunki; szczególnie jedna z nich przyciągnęła moją uwagę: wyniosła i powściągliwa, zakreślała wokół siebie pole sił o konturach wysmukłych i nieharmonijnych. Pragnąc, żeby mnie dostrzegła, zdwajałem swoje popisy, pochwalając rozrzutność wszechświata, okazywałem ostentacyjną swobodę w czerpaniu z kosmicznych zasobów, jak ktoś, kto zawsze miał do nich dostęp, wysuwałem się na pierwszy plan w czasie i w przestrzeni, jak ktoś, kto zawsze spodziewa się wszystkiego, co najlepsze. Przekonany, że Nugkta (już teraz nazywam ją imieniem, które poznałem dopiero później) różni się od innych, ponieważ jest bardziej świadoma tego, co znaczy istnieć i być częścią czegoś, co istnieje – wszelkimi sposobami starałem się wyróżnić z masy chwiejnych osobników, którzy ociągali się z przyjęciem tej myśli. Efekt był taki, że wszyscy uznawali mnie za nieznośnego natręta, ale i tak nie zdołałem się do niej zbliżyć.

Myliłem się we wszystkim. Szybko spostrzegłem, że Nugkta ani trochę nie ceni mojej przesadnej aktywności, a nawet pilnuje się, aby nie dać mi żadnego sygnału, że mnie zauważa, jeśli nie liczyć gniewnych prychnięć wydawanych co

jakiś czas. Nadal trzymała się na uboczu, nieco apatyczna, jakby siedziała skulona, z brodą na kolanach, obejmując swoje długie nogi rękami o spiczastych łokciach (musicie mnie zrozumieć: opisuję sposób bycia, który byłby jej sposobem bycia, gdyby już wtedy można było mówić o kolanach, nogach, łokciach; albo jeszcze lepiej, to wszechświat był skurczony w sobie i nikt z obecnych nie znał innego sposobu bycia, niektórzy odznaczali się tylko większą naturalnością, jak na przykład ona). Skarby wszechświata, jakie słałem jej do stóp, przyjmowała z taką miną, jakby mówiła: „To wszystko?” Z początku ta jej obojętność wydawała mi się afektacją, potem zrozumiałem, że Nugkta chce mi dać nauczkę, nakłonić mnie do zachowań bardziej kontrolowanych. Z moimi napadami entuzjazmu musiałem jej się wydać naiwniakiem, nowicjuszem, lekkoduchem.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zmienić poglądy, zachowanie, styl. Mój stosunek do wszechświata miał być praktyczny, konkretny, cechujący człowieka, który nie wbijając się w dumę, potrafi ocenić wartość obiektywną ewolucji każdej rzeczy, niezależnie od jej ogromu. Miałem nadzieję, że tym sposobem przedstawię jej się w lepszym świetle, bardziej obiecującym, budzącym zaufanie. Czy mi się to udało? Nie, jeszcze mniej niż przedtem. Im bardziej dążyłem do tego, co solidne, co daje się wyrazić, policzyć, tym bardziej czułem, że ona uważa mnie za pyszałka, za oszusta.

W końcu uzyskałem jasność: dla niej istniał tylko jeden przedmiot admiracji, jedna wartość, jeden model doskonałości, i była nim nicość. Nie wobec mnie zwrócona była jej pogarda, lecz wobec wszechświata. Wszystko, co istniało, niosło w sobie skazę pierwotną: istnienie wydawało jej się poniżającym i prostackim wynaturzeniem nieistnienia.

Powiedzieć, że wstrząsnęło mną to odkrycie, to powiedzieć za mało: byt to afront dla moich przekonań, mojej żądzy totalności, moich bezmiernych oczekiwań. Ja i ta zwolenniczka nicości – czyż można sobie wyobrazić większą nieprzystawalność charakterów? Nie dlatego żeby brakowało jej argumentów (moja słabość do niej była tak wielka, że starałem się ją zrozumieć): to prawda, że nicość miała w sobie pewną absolutność, rygor, wytrwałość, i w zestawieniu z tym wszystko, co rościło sobie prawo do posiadania cech istnienia, zdawało się niepełne, ograniczone, chwiejne; jeżeli porównamy to, co jest, z tym, czego nie ma, w oczy rzucają się rysy najpośledniejsze, zanieczyszczenia, usterki; słowem, tylko do nicości można mieć zaufanie. Jakie mogłem wyciągnąć z tego wnioski? Odwrócić się do wszystkiego plecami, rzucić się w nicość? Jakby to było możliwe! Proces przechodzenia od nieistnienia do istnienia, raz wprawiony w ruch nie dawał się już zatrzymać: nicość należała do



nieodwołalnie zamkniętej przeszłości.

Istnienie miało i ten pożytek, że w kulminacyjnym punkcie osiągniętej pełni mogliśmy sobie pozwolić na chwilę tęsknoty za utraconą nicością, na melancholijną kontemplację negatywnej pełni pustki. Dzięki temu byłem gotów wspierać upodobanie Nugkty i nikt nie potrafił z większym ode mnie przekonaniem wyrazić tego niszczącego uczucia. W jednej chwili błysnęła mi ta myśl i ruszyłem ku niej ze słowami: „Och, gdybyśmy tak mogli zagubić się w bezkresnych przestrzeniach nicości...” (W każdym razie wydeklamowałem coś w tym rodzaju). A ona? Zostawiła mnie na lodzie, pełna niesmaku. Upłynęło trochę czasu, nim zrozumiałem, jak bardzo byłem prostacki, i nim się nauczyłem, że o nicości rozprawia się (albo lepiej: nie rozprawia się wcale) z większym taktem.

Kolejne kryzysy, jakie później przeżyłem, nie pozwoliły mi już odnaleźć spokoju. Jak mogłem się tak pomylić, żeby poszukiwać totalności pełni i przedkładać ją nad doskonałość pustki? Pewnie, przejście od nieistnienia do istnienia było wielką nowością, faktem sensacyjnym, pomysłem niezawodnym w skutkach. Ale nie mogłem powiedzieć, żeby sprawy przybrały lepszy obrót. Od sytuacji jasnej, pozbawionej błędów, bez skazy, przeszliśmy do konstrukcji skleconej naprędce, niedrożnej, która zapadała się z każdej strony, trzymając się kupy na słowo honoru. Co z tak zwanych cudów wszechświata mogło mnie wprawić w równie wielkie pobudzenie? Niedobór dostępnych materiałów w wielu przypadkach dyktował rozwiązania monotonne, powtarzalne, a w wielu innych narzucał chaotyczne, niespójne próby rozwiązań, z których niewiele mogło mieć jakieś dalsze ciągi. Może był to fałszywy start: roszczenia tego, co próbowało podawać się za wszechświat, szybko opadłyby jak maski, a nicość, jedynie autentyczna, możliwa totalność, ponownie narzuciłaby swoją niezwykłą absolutność.

Wszedłem w fazę, w której tylko szczeliny pustki, nieobecność, milczenie, luki, brakujące ogniwa, puszczone oczka w tkaninie czasu zdawały się zawierać jakiś sens i jakąś wartość. Przez te pęknięcia śledziłem wielkie królestwo nieistnienia, rozpoznawałem swoją jedyną, prawdziwą ojczyznę i czułem żal, że ją zdradziłem w przejściowym zaćmieniu świadomości, ojczyznę, którą Nugkta pomogła mi odnaleźć. Tak, odnaleźć; ponieważ razem z moją żoną miałem przeniknąć w te wąskie korytarze pustki, które przecinały spoistość wszechświata; razem mieliśmy dostąpić aktu odwołania każdego wymiaru, każdego trwania, każdej substancji, każdej formy.

Na tym etapie moje porozumienie z Nugktą powinno być wreszcie bez skazy. Co mogłoby nas teraz poróżnić? A jednak, co jakiś czas wychodziły na

jaw nieoczekiwane rozbieżności: miałem wrażenie, że obecnie ja stałem się dużo bardziej surowy wobec tego, co istniało; zdumiewała mnie odkrywana w niej przychylność, niemal współudział w wysiłkach, jakie podejmował ten wirujący pyłek, żeby się utrzymać. (Istniały już dobrze ukształtowane pola elektromagnetyczne, jądra, pierwsze atomy...).

Trzeba powiedzieć jedno: dopóki się sądziło, że wszechświat osiągnął maksimum totalnej pełni, mógł on podsuwać same komunały i retorykę, ale jeśli się uznało, że wszechświat powstał dzięki niewielkim środkom, z okruszków zgromadzonych na obrzeżach nicości, wzbudzał sympatię, a przynajmniej życzliwą ciekawość dla swoich przyszłych osiągnięć. Ze zdumieniem patrzyłem na Nugktę, gotową wspierać, podtrzymywać ten wszechświat ubogi, wymuszony, słabowity. Ja natomiast byłem nieustępliwy: „Niechaj nadejdzie nicość! Nicości sława niech będzie i chwała!” – nie dawałem za wygraną, przejęty tym, że Nugkta mogłaby odciągnąć nas od wspólnego celu. A co na to Nugkta? W odpowiedzi wydawała te same drwiące prychnięcia, zupełnie jak w czasach, kiedy okazywałem nadmierny entuzjazm dla rozkwitu wszechświata.

Z opóźnieniem, jak zwykle, zrozumiałem, że również tym razem ona ma rację. Z nicością mogliśmy mieć kontakt tylko w tym znikomym ułamku, który nicość utworzyła jako kwintesencję własnej daremności; nie mieliśmy innego obrazu ponad nasz ubogi wszechświat. Cała nicość, jaką mogliśmy wytropić, była tam, jako odwrotność tego, co jest, ponieważ także nicość nie była niczym innym, jak względną nicością, nicością skrycie poprzecinaną przez żyłkowania i próby stania się czymś, jeżeli to prawda, że w chwili kryzysu własnej marności mogła wydać z siebie wszechświat.

Dzisiaj, kiedy czas rozsypanął się na miliardy minut i lat, a wszechświat jest nierozpoznawalny i nie przypomina już siebie z tamtych pierwszych chwil, i odkąd przestrzeń stała się nagle przejrzysta, galaktyki wciągają noc w swoje roziskrzane spirale, a na orbitach układów słonecznych miliony światów szykuje swoje himalaje i oceany w rytm naprzemiennych kosmicznych sezonów, a na kontynentach cisną się tłumy, które świętują lub cierpią, lub wyrzynają się nawzajem ze skrupulatną zaciekłością, i odkąd rodzą się i upadają imperia w swoich stolicach z marmuru, porfiru i betonu, a bazyry kipią od nadmiaru poćwiartowanych wołów i mrożonego groszku, i tkanin z tiulu, i brokatu, i nylonu, i odkąd pulsują tranzystory i komputery, i wszelkiego rodzaju gadżety, i na każdej galaktyce wszyscy zajmują się tylko oglądaniem i zdejmowaniem pomiarów tego, co jest nieskończenie małe, i tego, co jest nieskończenie wielkie, od tamtego czasu istnieje sekret, który

znamy tylko Nugkta i ja: to, co zawiera się w czasie i w przestrzeni, jest znikome, wygenerowane przez nicość; to znikomość, która jest, ale mogłoby jej nie być, albo mogłaby być jeszcze mniejsza, węższa i nietrwała. Wolimy o tym nie mówić ani dobrze, ani źle, a to dlatego, że moglibyśmy powiedzieć tylko tyle: kruchy wszechświecie, potomku nicości, wszystko, czym jesteśmy i co robimy, przypomina nam siebie.

## Implozja

„Kwazary, galaktyki Seyferta, obiekty B.L. Lacertae lub też w ogóle jądra aktywnych galaktyk zwracają w ostatnich latach uwagę astronomów ze względu na olbrzymią ilość emitowanej energii, o prędkości do 10 000 km na sekundę. Istnieją przekonujące powody, by wierzyć, że źródłami energii kwazarów są czarne dziury o wielkiej masie” („Astronomia”, nr 36).

„Jądrami aktywnych galaktyk mogłyby się okazać odłamki, które nie eksplodowały podczas big bangu; odbywałby się w nich proces dokładnie odwrotny do procesu przebiegającego w czarnych dziurach, czyli proces ekspansji i uwalniania ogromnych ilości energii (»białe dziury«). Można by je określić jako otwory tunelu między dwoma punktami czasoprzestrzeni (mosty Einsteina-Rosena), wyrzucające materię pochłanianą przez czarną dziurę, która jest otworem wejściowym. Według tej teorii jest możliwe, że galaktyka Seyferta, odległa o sto milionów lat świetlnych, wyrzuca obecnie gazy, które zostały wciągnięte przez drugi otwór dziesięć miliardów lat temu. I jest też możliwe, że kwazar odległy o dziesięć miliardów lat świetlnych, powstał, według naszego dzisiejszego postrzegania, z materiału, który do niego dotarł z przyszłej epoki, biorąc początek z czarnej dziury, jaka dla nas utworzyła się dopiero dzisiaj” (Paolo Maffei / *mostri ciel cielo* [Potwory nieba], s. 210-215).

Eksplodować czy implodować – *odezwał się Qfwfq* – oto jest pytanie: czy jest rzeczą bardziej szlachetną chęć niepohamowanego wysyłania w przestrzeń własnej energii, czy też doprowadzania jej do gęstej koncentracji i wsysania. Wymknąć się, zniknąć; nic poza tym; zatrzymać w sobie każdy błysk, każdy promień, każdy upust, tłumiąc w głębi duszy konflikty, które nią targają, ukoić je; ukryć się, wymazać: obudzić się być może gdzie indziej, jako ktoś inny.

Inny... W jaki sposób inny? Czy wróciłby problem wyboru między eksplozją i implozją? Wciągnięty przez wir jednej galaktyki, miałbym się pojawić w innych czasach i pod innym niebem? Tutaj zapaść się w zimne milczenie, tam wyrazić siebie za pośrednictwem płomiennych ryków innego języka? Tutaj jak gąbka wchłaniać w ukryciu dobro i zło, tam wypływać oślepiającym strumieniem, rozlewać się, trwonić, ztracać? W jakim celu ten cykl miałby się powtarzać? Nic o tym nie wiem, nie chcę wiedzieć, nie chcę o tym myśleć: tu i teraz mój wybór jest dokonany: ja imploduję, jakby dośrodkowa zapaść miała mnie na zawsze wybawić od błędów i wątpliwości, od czasu nietrwałych przemian, od śliskiej równi pochylej tego, co najpierw i tego, co potem, żebym mógł osiągnąć czas stabilny, znieruchomiały, gładki, i dojść do jedyne go stanu, który byłby ostateczny, spójny, jednorodny.

Eksplodujcie, jeśli tak wam się podoba, przeobrażajcie się w nieskończony deszcz strzał, szafujcie sobą, marnotrawcie się, gińcie; ja imploduję, zapadam się w otchłanną głębię samego siebie, zdążam do swojego pogrzebanego środka, zanurzam się w nieskończoność.

Od jak dawna żaden z was nie potrafi wyobrazić sobie siły witalnej inaczej niż pod postacią eksplozji? Powodów wam nie brakuje, to prawda, uznajecie model wszechświata powstałego wskutek szaleńczego wybuchu, którego pierwsze odłamki wirują jeszcze, nieokiełznane i rozpalone, na krańcach przestrzeni, waszym emblematem są żywiołowe rozbłyski supernowych, które popisują się swoją zuchwałą młodością gwiazd buchających energią; waszą ulubioną metaforą jest wulkan, który ma dowieść, że nawet całkiem dojrzała i stateczna planeta zawsze gotowa jest wybuchnąć i wytrysnąć. I oto teraz fajerki jaśniejące w najdalszych rejonach nieba uprawomocniają wasz kult powszechnej deflagracji; gazy i cząsteczki osiągnące niemal prędkość światła tryskają z wirującego ośrodka spiralnych galaktyk, dobywają się z dysków eliptycznych galaktyk, głoszą, że Big Bang nadal trwa, że wielki Pan nie umarł. Nie, nie jestem głuchy na wasze argumenty; mógłbym do was dołączyć. Odwagi! Wybuchnij! Eksploduj! Nowy świat wciąż jeszcze zaczyna się od nowa, powtarza swoje zawsze powielane początki w huku armatnich wystrzałów jak w czasach Napoleona... Czy to nie od tamtej epoki sławiącej rewolucyjną siłę artylerii wybuch postrzegany jest nie tylko jako zagrożenie dla dóbr i osób, lecz jako oznaka narodzin, początków stworzenia? Czy nie od tamtych czasów wszelkie namiętności, własne ja, poezja, postrzegane są jako nieustanna eksplozja? Ale jeśli tak jest, liczą się także argumenty przeciwne; od tamtego sierpnia, kiedy nad miastem obróconym w warstwę popiołu rozrósł się grzyb, zaczęła się epoka, dla której wybuch jest symbolem absolutnej negacji. O czym zresztą wiedzieliśmy, odkąd siedząc kalendarz ziemskich kronik, stawialiśmy sobie pytanie o losy wszechświata, a wyrocznie termodynamiki udzielały nam odpowiedzi: każda istniejąca forma roztopi się w strumieniu ciepła; żadne istnienie nie ujdzie bezpowrotnemu chaosowi cząsteczek; czas jest katastrofą nieustającą, nieodwracalną.

Tylko nieliczne stare gwiazdy potrafią wymknąć się strumieniowi czasu; są jak otwarte drzwi wagonu, pozwalające wyskoczyć z pociągu, który pędzi w stronę unicestwienia. Po osiągnięciu krańcowego stopnia zgrzybiałości, skurczone do rozmiarów „czerwonych karłów” lub „białych karłów”, ogarnięte ostatnim migotliwym spazmem „pulsarów”, zagęszczone do stadium „gwiazd neutronowych” i wreszcie, kiedy już ich światło zanika na marnotrawnym firmamencie – przeobrażone w ciemne zaprzeczenie samych siebie,

dojrzewają oto do niepoahamowanego kolapsu, w którym wszystko, także świetliste promienie, zapadają się do środka, żeby już nigdy się stamtąd nie wydostać.

Chwała gwiazdom, które się zapadają. Otwiera się przed nimi nowa wolność: usunięte z przestrzeni, wykluczone z czasu, istnieją dla siebie, nareszcie nie zależą od całej reszty i może jako jedyne mogą mieć pewność, że istnieją naprawdę. „Czarne dziury” to nazwa oszczerca, podyktowana zawiścią: one są przeciwieństwem dziur, nic nie odznacza się większą pełnią ani ciężarem, ani gęstością, ani spoistością, ani też uporem w podtrzymywaniu ciężenia, które w sobie niosą, jakby zaciskając pięści, zwierając zęby, wyginając grzbiet. Tylko spełniając te warunki, można ocaleć przed rozpadem, który spowoduje nadmierną rozprężliwość, karuzelę efuzji, można się uchronić przed krzyczącą ekstrawersją, przed wrzeniem i wybuchami furii. Tylko tym sposobem wchodzi się w czasoprzestrzeń, w której to, co niedomówione, niewyrażone, nie traci własnej siły, w której nie rozrzedza się brzemień znaczeń, w której opanowanie, dystans zwielokrotniają skuteczność każdego aktu.

Nie pozwólcie się rozproszyć, łamiąc sobie głowę nad nierozważnymi zachowaniami hipotetycznych obiektów quasi-gwiazdnych, które krążą na niepewnych krańcach wszechświata: przypatrujcie się temu, co jest tutaj, w centrum naszej Galaktyki, gdzie wszystkie obliczenia i przyrządy wskazują na obecność ciała o olbrzymiej masie, którego jednak nie sposób zobaczyć. Pajęczyny promieniowania i gazów, uwięzione być może od czasu ostatnich wybuchów, dowodzą, że tam w środku tkwi jedna z tak zwanych dziur, teraz już wygasła jak stary krater. Wszystko, co nas otacza, obrót układów planetarnych i konstelacje, i ramiona Drogi Mlecznej, każda rzecz w naszej Galaktyce utrzymuje się na osi tej implozji zapadniętej w samej sobie. To jest mój biegun, moje lustro, moja sekretna ojczyzna. Nie musi niczego zazdrościć odleglejszym galaktykom, których jądro zdaje się eksplodować: także i tam liczy się to, czego nie widać. Stamtąd także nic nie dobywa się na zewnątrz, możecie mi wierzyć: to, co tak iskrzy i wiruje z niewiarygodną prędkością, jest tylko strawą, która zostanie zmiążdżona w dośrodkowującym mózdzierzu i przyswojona przez inny sposób istnienia, ten mój.

Pewnie, czasami mam wrażenie, że dobiega mnie głos z najdalszych galaktyk.

– To ja, Qfwfq, jestem tobą, który eksploduje, kiedy ty implodujesz: ja siebie rozdaję, wyrażam się, rozprzestrzeniam, komunikuję, realizuję każdą swoją potencjalność, ja naprawdę istnieję, nie ty, bo ty jesteś introwertyczny, małomówny, egocentryczny, utożsamiony z niezmiennym samym sobą...

Wówczas ogarnia mnie lęk, że nawet po drugiej stronie grawitacyjnej zapaści czas nadal płynie: czas odmienny, bez związku z tym, który został po tej stronie, ale równie rozpędzony w bezpowrotnym biegu. W tym przypadku implozja, w którą się rzucam, byłaby zaledwie udzieloną mi pauzą, zwłoką w nieuchronnej fatalności, której nie zdołam się wymknąć.

Coś jakby sen lub wspomnienie przepływa mi przez umysł: Qfwfq czmycha przed katastrofą czasu, znajduje przesmyk, który pozwala mu uniknąć wyroku, rzuca się w tę szczyrbę, pewien, że nic mu już nie grozi, przez szczelinę swojej kryjówki obserwuje lawinowo następujące wypadki, którym się wymknął, chłodno współczuje temu, kogo one dopadły, i oto ma wrażenie, że kogoś rozpoznaje, tak, to jest Qfwfq, to Qfwfq, który na oczach Qfwfq odtwarza przebieg tej samej katastrofy, wcześniejszej lub późniejszej, Qfwfq, który w momencie zagłady widzi, że Qfwfq ratuje siebie, ale nie ratuje jego.

– Qfwfq, ratuj się! – krzyczy Qfwfq, ale czy jest to Qfwfq, który zapadając się, chce ocalić tego Qfwfq, co eksploduje, czy też na odwrót? Żaden Qfwfq nie ocala przed spłonięciem eksplodujących Qfwfq, którzy z kolei nie potrafią żadnego Qfwfq uchronić od niepohamowanej implozji. Każda trasa czasu zmierza do katastrofy, niezależnie od tego, czy biegnie prosto, czy w przeciwnym kierunku, a ich punkty przecięcia nie tworzą sieci torów regulowanych układem zwrotnic i rozjazdów, ale plątaninę, zagmatwany splot...

Wiem, że nie powinienem dawać posłuchu głosom ani też dawać wiary przywidzeniom czy zmorom. Nie przestaję drażnić swojej dziury, swojej kreciej nory.

Opowieść kosmikomiczna przetworzona  
Przekład Anna Wasilewska



## Inna Eurydyka

Zwyciężyliście, wy, ludzie z zewnątrz, i przerobiliście wszystkie opowieści na swoją modłę, ażeby nas, tych ze środka, skazać na role, jakie chcecie nam przypisać, role władców ciemności i śmierci, a nazwa, którą nam nadaliście, wywodząc nas z Piekieł, nosi żałobne akcenty. Pewnie, jeżeli wszyscy zapomną, co naprawdę zaszło między nami, między Eurydyką i Orfeuszem, i mną, Plutonem, jeżeli już nikt nie będzie pamiętał, że Eurydyka była jedną z nas i mieszkała na powierzchni Ziemi, zanim porwał ją Orfeusz, uciekając się do swojej zwodniczej muzyki, wówczas nasze dawne marzenie, aby uczynić z Ziemi żyjącą sferę, będzie na zawsze stracone.

Już niemal nikt nie pamięta, co miało znaczyć, że chcemy dać Ziemi życie: nie takie życie, jakie macie na myśli wy, zadowoleni z tej warstwy kurzu, która osiadła na pograniczu ziemi, wody, powietrza. Ja chciałem, żeby życie rozchodziło się ze środka Ziemi, rozprzestrzeniało na koncentryczne sfery, które ją tworzą, krążyło pośród płynnych i stałych metali. To był sen Plutona. Tylko tym sposobem Ziemia stałaby się ogromnym żywym organizmem, tylko tym sposobem uniknęłaby niepewnego losu wygnańca, bo do tego musiałoby się sprowadzić jej życie, mając pod sobą mroczny ciężar kamiennej, nieożywionej kuli, a nad sobą pustkę. Nawet już sobie nie wyobrażacie, że życie mogło być czymś odmiennym od tego, co dzieje się na zewnątrz albo też prawie na zewnątrz, skoro nad wami i nad ziemską skorupą istnieje też inna cienka powłoka, powłoka powietrza. Ale nie sposób się temu równać z ciągiem sfer, których szczeliny my, istoty głębi, zawsze zamieszkiwaliśmy, i z których nadal jeszcze się wynurzamy, aby zapełniać wasze sny. Ziemia w środku nie jest spoista: jest nieciągła, utworzona z zachodzących na siebie powierzchni o różnej gęstości, powierzchni sięgających środka, czyli jądra z żelaza i niklu, a ono także tworzy system dwóch jąder, wewnętrznego i zewnętrznego, z których każde obraca się samodzielnie, zależne od większej lub mniejszej płynności pierwiastka.

Każecie się nazywać Ziemianami, ale nie wiadomo, jakim prawem; powinniście przyjąć imię pozaziemian, ludzi, którzy przebywają na zewnątrz: Ziemianinem jest ten, kto żyje w środku, tak jak ja i tak jak żyła Eurydyka aż do dnia, kiedy ją podstępnie uprowadziliście na to wasze ponure zewnątrz.

Takie jest królestwo Plutona, ponieważ ja zawsze mieszkałem tutaj, w środku, najpierw razem z Eurydyką, potem sam, na jednym z wewnętrznych łądów. Kamienne niebo obracało nam się nad głowami, jaśniejsze od waszego, i podobnie jak wasze, nawiedzały je chmury, w miejscach, gdzie gęstnieją

zawiesiny chromu czy magnesu. Skrzydlate cienie zrywają się do lotu: wewnętrzne nieba mają swoje ptaki, konkretne lekkich skał, które wykreślają spirale, biegnąc w górę, aż znikną z oczu. Pogoda zmienia się nagle, kiedy padają ołowiane deszcze lub kiedy bije grad cynkowych kryształów, nie ma innego wyjścia jak przedostać się między porowatości gąbczastych skał. Chwilami ciemność przeoruje rozpalony zygzak: to nie jest błyskawica, to rozżarzony metal, który spływa w dół jedną z żył.

Za ziemię uznawaliśmy sferę, która nas nosiła, za niebo sferę, która otaczała tę ziemską sferę: zupełnie tak, jak wy, ale dla nas te rozróżnienia były zawsze tymczasowe, arbitralne, ponieważ konsystencja pierwiastków wciąż ulegała zmianie, i w pewnej chwili spostrzegliśmy, że nasze niebo jest twarde i spoiste, taki młyński kamień, który nas miażdży, podczas gdy ziemia była lepkiem klejem, zmaconym przez wiry, rojnym od pękających bąbelków. Staralem się wykorzystać potoki cięższych pierwiastków i zbliżyć się do środka Ziemi, do prawdziwego jądra, które służyło za jądro każdemu innemu jądru, i trzymałem za rękę Eurydykę, pomagając jej schodzić. Ale każdy przeciek zmierzający w stronę jądra podrywał w górę inne materiały, zmuszając je do wypłynięcia na powierzchnię; czasami, kiedy tak się pogrążyliśmy, dosięgała nas fala, tryskająca ku warstwom wyższym, która zwijała się spiralnie. W ten sposób przebiegaliśmy promień Ziemi w odwrotnym kierunku; w warstwach minerałów otwierały się szczeliny, zasysając nas, a skała pod nami ponownie krzepła. Aż do czasu, kiedy lądowaliśmy na innym gruncie, który nas utrzymywał i gdy górowało nad nami inne kamienne niebo, a my nawet nie wiedzieliśmy, czy znajdujemy się powyżej czy poniżej punktu, z którego wyruszyliśmy.

Kiedy na oczach Eurydyki metal nowego nieba przechodził w stan ciekły, ogarniała ją chęć latania. Wystarczył skok do góry i Eurydyka już przepływała kopułę pierwszego sklepienia, drugiego, trzeciego, chwytając się stalaktytów zwisających z wyższych sklepień. Podążałem za nią, po trosze dlatego żeby wziąć udział w tej zabawie, a po trosze dlatego, aby jej przypomnieć, że trzeba wrócić na nasz szlak, prowadzący w odwrotnym kierunku. Z pewnością Eurydyka była przekonana, podobnie jak ja, że punktem, do którego powinniśmy zmierzać, jest środek Ziemi. Dopiero po dotarciu do środka moglibyśmy orzec, że planeta do nas należy. Byliśmy protoplastami życia na Ziemi i dlatego też powinniśmy sprawić, żeby Ziemia nadawała się do życia, już począwszy od jądra, skąd nasza kondycja promieniowałaby na cały glob. Dążyliśmy do życia ziemskiego, to znaczy do życia Ziemi i w Ziemi; nie do tego, co wyrasta na powierzchni i co według was można nazwać życiem

ziemskim, podczas gdy jest to tylko pleśń, której plamy pokrywają pomarszczoną łupinę jabłka.

Widzieliśmy już, jak pod sklepieniami z bazaltu wyrastają plutoniczne miasta, które byśmy założyli, w otoczeniu murów z jaspisu, miasta sferyczne i koncentryczne, żeglujące po oceanach rtęci, poprzecinane rzekami rozpalonej lawy. Chcieliśmy, aby wyrósł żywy organizm-miasto-maszyna i zajął cały glob, maszyna sejsmiczna, która całą swoją bezgraniczną energię zużywałaby na budowanie siebie, na kombinacje i permutacje wszystkich substancji i form, z prędkością sejsmicznego wstrząsu wykonując pracę, którą wy, tam, na zewnątrz, musieliście opłacić wielowiekowym znojem. I to miasto-maszyna-żywy-organizm miały zamieszkać istoty podobne nam, olbrzymy, a one pod obracającymi się sklepieniami zawarłyby w krzepkim uścisku olbrzymki, które przyjmowałyby wciąż nowe pozycje, wynajdując wciąż nowe odmiany aktów cielesnych.

Z tego melanzu i z tych wibracji miało powstać królestwo różnorodności i totalności: królestwo milczenia i muzyki. Bezustanne wibracje rozchodzące się z odmienną powolnością, zależną od głębokości i nieciągłości materiałów, pokryłyby siecią zmarszczek naszą bezmierną ciszę, przetwarzając ją w nieprzerwaną muzykę świata, w której głębinowe glosy żywiołów osiągnęłyby harmonię.

Chcę przez to powiedzieć, że obrona przez was droga jest pomyłką, pomyłką jest także wasze życie, gdzie praca i przyjemność pozostają w niezgodzie, gdzie muzyka i hałas są rozdzielone; chcę przez to powiedzieć, że od tamtego czasu wszystko stało się jasne, a śpiew Orfeusza nie był niczym innym, jak zapowiedzią tego waszego niepełnego i podzielonego świata. Dlaczego Eurydyka wpadła w zasadzkę? Eurydyka należała całkowicie do naszego świata, a jednak jej skłonność do ulegania różnym fascynacjom nakazywała jej wybierać każdy stan zawieszenia, i zaledwie dane jej było utrzymać się w powietrzu, skakać, latać, wspinać się po kominach skał wulkanicznych, widywano ją, jak wykonuje skręty, obroty, akrobacje, piruety...

Miejsca graniczne, przejścia z jednej ziemskiej warstwy do drugiej przyprawiały ją o lekki zawrót głowy. Wiedzieliśmy, że Ziemię tworzą zachodzące na siebie skalne nawisy, niczym powłoki olbrzymiej cebuli, i że każdy nawis prowadzi do nawisu wyżej położonego, a wszystkie razem są zapowiedzią krańcowego sklepienia, tam, gdzie Ziemia przestaje być Ziemią, gdzie całe wnętrze zostaje po tej stronie, a po tamtej jest już tylko zewnątrz. Dla was ta granica Ziemi jest tożsama z Ziemią; sądzą, że sferą jest opasująca ją powierzchnia, nie objętość; żyliście zawsze tylko w tym płaskim

wymiarze i nawet nie przypuszczacie, że można istnieć gdzie indziej i w inny sposób; dla nas ta granica była czymś wiadomym, ale nie sądziliśmy, że można ją zobaczyć, nie ruszając się z głębi Ziemi, a owa perspektywa wydawała nam się bardziej niż przerażająca, wydawała się absurdalna. Właśnie tamtędy w bitumicznych erupcjach i strumieniach, i wydmuchach wydostawało się wszystko, co Ziemia wyrzucała ze swojego wnętrza: gazy, mieszanki ciekłe, lotne pierwiastki, bezwartościowe materiały, odpadki wszelkiego rodzaju. Był to negatyw świata, coś, czego nie potrafiliśmy sobie nawet wyobrazić, a sama abstrakcyjna myśl o tym wywoływała w nas dreszcz obrzydzenia, nie, raczej lęku, czy też osłupienia, o, właśnie – zawrót głowy (mieliśmy reakcje bardziej złożone, niż można by sądzić, zwłaszcza Eurydyka), w który wkradała się po części fascynacja wezwaniem pustki, dwuznaczności, rzeczy ostatecznej.

Podążając za Eurydyką w tych jej szalonych wyprawach, dostałem się na dno wygasłego wulkanu. Nad nami, pod wąskim gardłem klepsydry, otworzyła się jama krateru, grudkowata i szara, pejzaż niezbyt odbiegający kształtem i substancją od zwykłych pejzaży na naszych głębokościach; ale zdumiało nas to, że Ziemia tam nieruchomiła, nie ciężąc już samej sobie w innej pozycji, a dalej rozciągała się pustka, czy w każdym razie jakaś substancja nieporównanie bardziej znikoma od tych, które dotąd przemierzaliśmy, substancja przejrzysta i drgająca, niebieskie powietrze.

Właśnie te drgania zgubiły Eurydykę, drgania tak odmienne od tych, które rozchodzą się powoli w głębi granitu i bazaltu, odmienne od tych wszystkich trzasków, zgrzytów, głuchych grzmotów, które ospale przenikają masy roztopionych metali lub bariery kryształów. Tutaj drgania dosięgły ją niczym snop iskier, dźwięczne, drobne i punktowe, i następowały po sobie z prędkością dla nas nieznośną, wyłaniając się z każdego punktu przestrzeni: było to coś w rodzaju łaskotania, które wprawiało nas w niestosowny dygot. Ogarnęła nas – a przynajmniej mnie, gdyż od tej chwili jestem zmuszony odróżniać swoje stany ducha od stanów ducha Eurydyki – chęć wycofania się w czarną czeluść milczenia, w której echo wstrząsów rozlega się miękko i zanika w oddali. Ale Eurydykę, którą jak zwykle pociągało to, co jedyne i nierozważne, rozpierała żądza przywłaszczenia sobie czegoś wyjątkowego, nieważne, czy miało to być dobre, czy złe.

Właśnie w tamtej chwili zatrzasnęła się pułapka: poza krawędzią krateru powietrze drgało w sposób ciągły, a raczej w sposób ciągły, który zawierał nieciągłe sposoby drgania. Był to dźwięk, który rozbrzmiewał pełną mocą, potem słabł, odzyskiwał siłę, i w tych swoich modulacjach wypełniał niewidoczny zamysł, rozłożony w czasie na podobieństwo naprzemiennych

sekwencji pustki i pełni. Nakładały się na to inne drgania, ostre i odrębne, ale bladły, kładąc się nimbem pełnym słodyczy lub goryczy, i kontrapunktując przebieg głębszego dźwięku lub mu towarzysząc, narzucały coś jakby krąg lub pole, lub hegemonię dźwiękową.

Moim natychmiastowym impulsem była chęć wyrwania się z tego kręgu, powrót do wytłumionej gęstości, i ześlizgnąłem się w głąb krateru. Ale w tej samej chwili Eurydyka puściła się biegiem w górę stromych zboczy, w kierunku, skąd dobywał się dźwięk, i zanim jeszcze zdołałem ją powstrzymać, pokonała krawędź krateru. Lub też było to ramię, coś, co mogłem uznać za ramię, które pochwyliło ją węzowym ruchem i wyciągnęło na zewnątrz; dosłyszałem jeszcze krzyk, jej krzyk, który połączył się z wcześniejszym dźwiękiem i współbrzmiać z nim, zapoczątkował pieśń, jaką ona i nieznajomy śpiewak zaintonowali, akompaniując sobie na strunach instrumentu, podczas kiedy oboje schodzili zewnętrznym stokiem wulkanu.

Nie wiem, czy ten obraz jest zgodny z tym, co ujrzałem i co sobie wyobraziłem: witały mnie znowu ciemności, wewnętrzne nieba zamykały się kolejno nade mną: krzemowe sklepienia, nawisy z aluminium, lepkie, siarkowe powietrze; i różnorodna podziemna cisza odbijała się echem dokoła w hamowanych pomrukach, w wyciszonych grzmotach. Ulga, jaką poczułem, gdy znalazłem się z dala od mdlących obrzeży powietrza i od udręki dźwiękowych fal, była równoczesna z rozpaczą, że utraciłem Eurydykę. I oto byłem sam: nie potrafiłem jej uchronić przed nieszczęściem, jakim było wydarcie jej Ziemi, wystawienie na nieustępliwe perkusyjne uderzenia napiętych strun powietrza, dzięki którym świat pustki łudzi się, że istnieje. Mój sen, by tchnąć życie w Ziemię, docierając wraz z Eurydyką do ostatniego ziemskiego środka, rozwiął się. Eurydyka była uwięziona, wygnana na otwarte obszary zewnątrz.

Nastąpił czas oczekiwania. Moje oczy kontemplowały gęsto spiętrzone krajobrazy, wypełniające wnętrze globu: podłużne pieczary, górskie, stłoczone łańcuchy, powstałe z odłamków i płytek, oceany wyciśnięte jak gąbki: ze wzruszeniem rozpoznawałem ten nasz świat, zagęszczony, skondensowany, zwarty, i tym silniejszy czułem ból, że Eurydyka już do niego nie należy.

Uwolnienie jej stało się moją jedyną myślą: wylamać bramy zewnątrz, wedrzeć się wewnątrz w zewnątrz, ponownie włączyć Eurydykę w ziemską materię, zbudować nad nią nowe sklepienie, nowe niebo z minerałów, wybawić ją od piekła tego rozedrganego powietrza, tego dźwięku, tego śpiewu. Śledziłem gromadzenie się lawy w wulkanicznych jaskiniach, napór ziemskiej skorupy na pionowe kominy: tamtędy prowadziła droga.

Nadszedł dzień wybuchu: czarny słup lawy wzbil się w powietrze nad odcięty wierzchołkiem Wezuwiusza, magma sunęła winnicami zatoki, wyważała bramy Herkulanum, miażdżyła poganiacza mułów i zwierzęta, przypierając je do kamiennego muru, wyrwała skąpca monetom, niewolnika kajdanom; ściśnięty obroźą pies zrywał łańcuch i szukał ratunku w spichlerzu. Byłem tam: gnałem razem z lawą, rozżarzona lawina rozszczepiała się na języki, potoki, serpentyny, a w jej najdalej wysuniętym cyplu znajdowałem sieja, biegnąc na poszukiwanie Eurydyki. Wiedziałem – coś mnie ostrzegęło – że Eurydyka jest nadal niewolnicą nieznanego śpiewaka: i że znajdę ją tam, gdzie znów usłyszę muzykę tego instrumentu i brzmienie tego głosu.

Pędziłem, unoszony strumieniem lawy, pośród ustronnych, warzywnych ogrodów i świątyń z marmuru. Dobiegł mnie śpiew i arpeggio, i dwa przeplatające się głosy; rozpoznałem jakże zmieniony głos Eurydyki, który towarzyszył nieznanemu głosowi. Napis na archWolcie, greckim alfabetem: Orpheos. Sforsowałem drzwi, wdarłem się przez próg. Widziałem ją tylko przez chwilę, siedziała przy harfie. Wnętrze było zamknięte i wydrążone, przysposobione do tego, by złowić muzykę, zatrzasnąć ją jakby w muszli. Ciężka kotara, zdaje się, ze skóry, wywatowana niczym kołdra, zasłaniała okno tak, by odizolować muzykę od okolicznego świata. Zaledwie wszedłem, Eurydyka jednym szarpnięciem zerwała zasłonę, otwierając na oścież okno: na zewnątrz rozpościerała się zatoka, oślepiając swoim blaskiem miasto i ulice. Południowe światło zalało pokój, światło i dźwięki: zewsząd dochodziło brzdąkanie gitar i nierówny ryk stu wzmacniaczy, i wszystko to włączało się w nierównomierny warkot silników i w trąbienie. Pancierz hałasu opinał całą powierzchnię globu: pierścień ten zakreśla granice waszego pozaziemskiego życia i sterczą tam anteny zatknięte na dachach, i przetwarzają w dźwięki fale, które niewidoczne i niedosłyszalne pokonują przestrzeń; i są tranzystory, przylepione do uszu po to, żeby w każdej chwili napełniać je akustycznym kłajstrem, bo inaczej nawet nie wiecie, czy jesteście żywi, czy martwi, i są szafy grające, które gromadzą dźwięki i je wyrzucają, i jest nieprzerwane wycie ambulansu, który zbiera rannych, ofiary waszej nieprzerwanej rzezi.

Pod tym murem dźwięku lawa się zatrzymała. Przebity kolcami zasieków, jakie tworzą hałaśliwe drgania, postąpiłem jeszcze do przodu, zmierzając do miejsca, gdzie przez chwilę widziałem Eurydykę, ale ona zniknęła, i zniknął jej porywacz: śpiew, którym żyli, zalała lawina hałasu, nie potrafiłem już wyodrębnić ani Eurydyki, ani jej śpiewu.

Wycofałem się, ruszając wstecz w strumieniu lawy, wspiałem się z powrotem po zboczach wulkanu, znów zamieszkałem ciszę, zaszyłem się

w milczeniu.

Teraz wy, którzy żyjecie na zewnątrz, powiedzcie mi, czy nie zdarza się wam przypadkiem wyłowić z gęstej materii otaczających was dźwięków śpiewu Eurydyki, śpiewu, który ją więzi i sam jest zarazem więźniem nieśpiewu, który masakruje każdy inny śpiew, jeżeli zdołacie rozpoznać głos Eurydyki, a w nim rozbrzmiewające jeszcze dalekie echo milczenia, dajcie mi znać, powiedzcie, co u niej słyhać, wy, pozaziemianie, wy, tymczasowi zwycięzcy, abym mógł spełnić swój plan i na powrót zdołał przywieść Eurydykę do centrum życia ziemskiego, abym mógł przywrócić królestwo władców wnętrza, władców, którzy zamieszkują gęstą objętość rzeczy, teraz, kiedy władcy zewnątrz, bogowie wysokich Olimpów i rozrzedzonego powietrza dali wam wszystko, co mogli dać, i jest jasne, że to nie wystarcza.